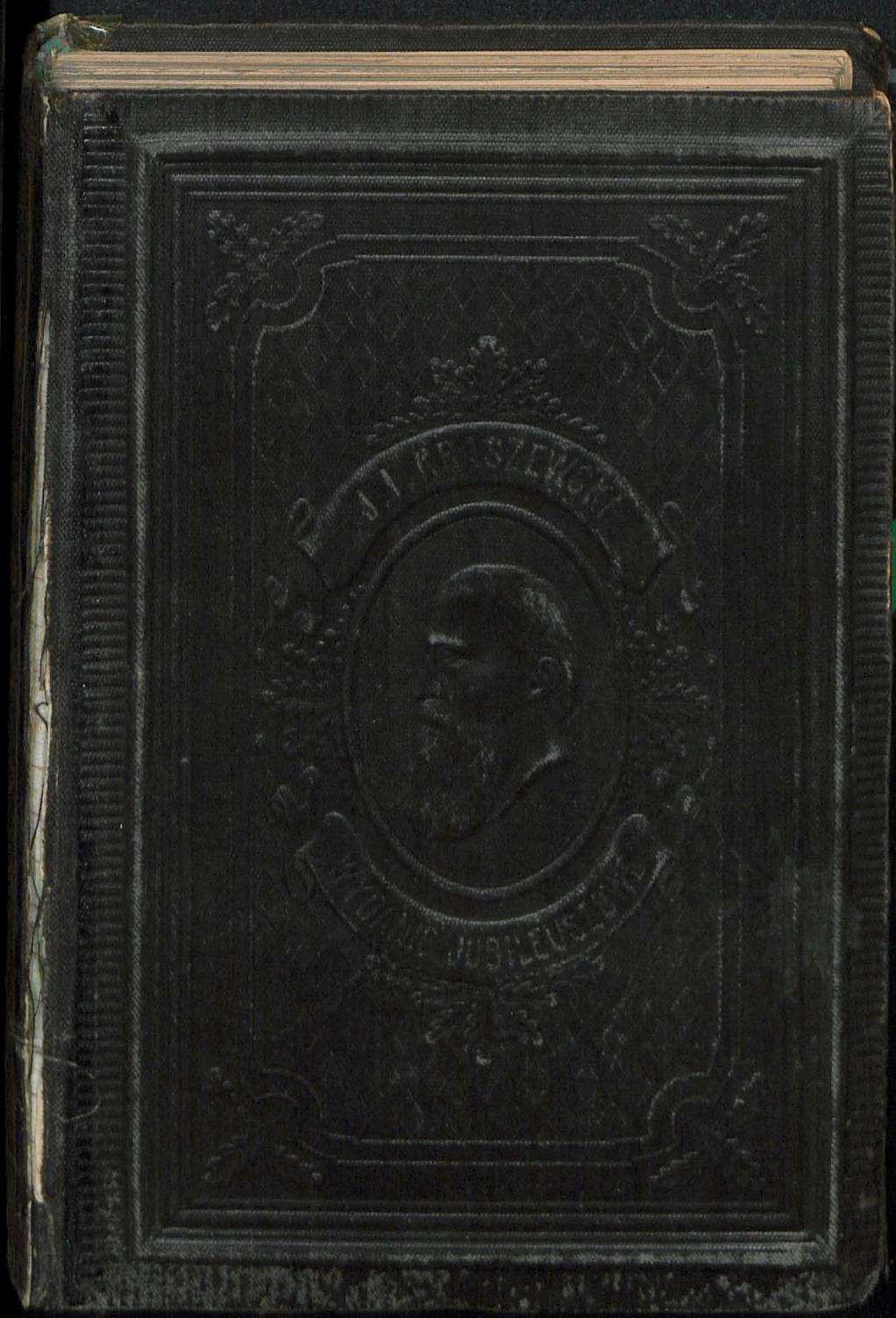




WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

HISTORIA
O JANASZU KORCZAKU
I O PIĘKNÉJ MIECZNIKÓWNIE.
—
POWIEŚĆ.

TOM XII.

Wydawnictwo na korzyść Jubilatów.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA.

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1879.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Декабря 1877 г.



7

HISTORYA
O JANASZU KORCZAKU
I O PIĘKNÉJ MIECZNIKÓWNIE.

Jesień pozłociła już dąbrówy—lasy stały w tych sukienkach różnobarwnych, które kładną, nim mróz liście zwarzy, a wicher je rozniesie po świecie. Na polach jeżyła się ściern żółta i gdzieś niegdzie spóźniony tylko owies leżał w kopach roztrzęsionych; zasiewy ozime czerwieniały miejscami lub zielenią majową łudziły oczy. Wędrowne ptactwo odlatywać zaczynało. Czuć było, że się kończy uroczystość letnia życia, a spoczynek zimowy ma się rozpocząć. Mało było ruchu na drogach i łąkach; ludzie zebrawszy co Bóg dał do domu, gospodarzyli w obejściach swoich. Szlachty wiele było wyciągnęło z królem Sobieskim pod Wiedeń; nadstawiano ucha: co ztamtąd przyjdzie? czy odgłos zwycięstwa czy okrzyk klęski? Chrześcijański król musiał iść w obronie stolicy cesarstwa, walczyć i powstrzymać nawałę dziezy, która groziła Europie. Niejeden przecież potrzasał głową, lękając się, aby ta wojna na kraj zemsty nie sprowadziła.

Na kresach było chwilowo bezpieczniejsz, bo się Turcy z wielką siłą wybrawszy na cesarstwo, a pociągawszy za sobą ordy tatarskie, nie mieli czasu zabawiać napaściami na granice.

Oddychała więc cała rubież choć chwilę.

Od czasu jak Turecy Kamieniec zajęli i zamki po-
obsadzali, mało kto ważył się mieszkać w tych stro-
nach, i wprzód już dość pustych. Majętności, ja-
kie tam szlachta posiadała, przez rządów i dzierżaw-
ców trzymane, rzadko pana widywały, a płacił z nich
co kto chciał, najczęściej nie, bo pozorów nie brakło,
aby się od tego uwolnić.

Pustoszały i zarastały pola, niszczały zamki i dwory,
czekano lepszych czasów.

Na granicy Podola, w kącie dosyć odosobnionym,
między wzgórzami porośniętą dębina i gęstymi krzakami,
z pośrodku których gdzieś niegdzie nagie boki
skał wyglądały, stał zasunięty głęboko stary zame-
czek, niegdyś obrotowy, którego mury jeszcze się do-
tąd w dość dobrym stanie utrzymywały. Okolica
była mało zaludniona, wzgórze po większej części
lasem okryte, pół wydartych mało, — i podróżny, któ-
ry przypadkiem tu zawitał, stawał zdziwiony na
widok zameczyska niezapowiadającego się niczem
w okolicy.

Drogi wiodące do niego były tak mało wyjeżdżone, że
gdyby deszcze i śloty ich nie wymywały, dawnoby
chwasty porosły. W tym kraju dosyć jest małej
rozpadliny w ziemi, którą struga wody z góry ście-
kać może, aby w przeciągu niewielu lat stała się wą-
wozem.

Gdziekolwiek wozy przejeżdżały, a wybiły koleje,
popłynął deszcz, uniósł z sobą gliniastą ziemię i ro-
bił trwałe gościniec. Mało go potem ludzka poprawia-
ła ręka. Czasu na to nie było. Jeżeli w poprzek prze-
biegła woda i wyryla dół, nie stawiano mostu; co naj-
więcej rzucił kto dla przejazdu wiązkę chróstu lub tro-
chę kamieni, i po nich się dostawano na brzeg drugi.

Okolica dziwnie była piękna wśród tej ciszy, jaka
tu panowała. Tu nie czuć było wojny — nie słychać
gwaru życia, tylko ptactwo bujało, zwierzę dziki pasł
się wygodnie, i krzewy a rośliny gęsto puszczały, nie-
trzebione.

Pomiędzy zielonemi wzgórzami, które się rozstępo-
wały dosyć szeroko, tworząc dolinę, płynęła żartko
mała rzeczulka Lesicą zwana; na cyplu nagim, nad
stawem z niej powstającym, stał ów zamek stary, daw-
niejsze pono czasy niż korybutowskie pamiętający.
Od strony stawu wzgórze było pod nim oberwane jak
ściana, gdzie niegdzie wystającą najeżoną skałą, z dru-
giej przepokop wodą napelniony dzielił go od osady na
podzameczu uciepionej.

Nędzna to była, nie wiedzieć jak nazwać, wieś czy
mieścina...

Osadnicy po większej części uprawiali małe kawał-
ki roli, niektórzy zajmowali się prostymi rzemiosłami,
kilku Żydów prowadziło jakieś tajemnicze handle na
kresach. W rynku było parę domowstw obszernych,
ale tak samo z gliny i chróstu lepionych jak chaty
włościan. Nikt tu nie zmagił się na porządniejsze bu-
dowle drewniane, bo tatarskie napady były częste,
a gdy się Lipki albo i Budżaki pokazały w okolicy,
co żyło biegło z całym mieniem na zamek, a tłuszcza
palila chaty i szopy.

Wprawdzie niejedna taka burza Gródek ominęła, bo
i trafić do niego niebardzo było Tatarom łatwo, a szla-
ki ich dalej przechodziły, i zapuszczać się w wąwozy
wiodące w ten zakąt nie było bezpiecznie, gdyż lada
garść żołnierza mogła zadać wielką klęskę.

Ludność, jeśli Lipki ją zaskoczyły tak, że na za-

mek zbiedz nie mogła, rozpierzchała się w lasy i góry pobliskie, gdzie też bezpieczne znajdowała schronienie. Starsi z osady znali wnijścia do pieczar tak ukrytych, że ich nikt w świecie dojść nie mógł, a Tatar lasów nie lubił i w odkrytych tylko polach zwykł był harcować.

Bezpieczniej tu też było może niż gdzieindziej na pograniczu, a w złym razie i zameczek mógł się tak długo bronić, ażeby dzieć, co nigdy nie oblegała długo, odeszła.

Zamek na cyplu miał mury choć stare, ale krzepkie, z kamieni wzniesione przed laty, grube i wysokie dosyć; z tej strony, która na staw wychodziła, dwie rondele po rogach; od fossy i miasteczka, oprócz narożnych baszt, bramę obronną, także dwoma wystającymi bastyonami oslonioną. Tuż przed nią niegdyś zwodzony most być musiał, lecz dawno go nie stało, i na fossie most lichy na palach wzniesiono, który w czasie niebezpieczeństwa rozbierano lub podpalano. Kilka śmigowiec w murach, wprost nań wykierowanych, broniło przystępu. Stał jednak zamek, raczej siłą dawną budowy swój, niż staraniem, którego tu wcale widać nie było. Gdziekolwiek dachu kawałek został, składał się z krokwi odartych lub gontów słomą polatanych. Brama blachami okuta pordzewiała, i płaty z niej opadały niepoprawiane. Snadź jej też może nie otwierano nigdy, bo wystarczała obszerna forta obok, w którą się i wóz włościański mógł zatoczyć.

Wszedłszy z miasteczka na zamek i szeroką minawszy bramę, podwórzec widać było prostokątny, dosyć obszerny, zewsząd kurtynami staremi otoczony. W głębi od strony stawu, stary piętrowy budynek mu-

rowany przypierał też niemal do kurtyny. Gdzieś niegdzie szopy po pod murami i horodnie widać było w dosyć złym stanie, a pod niemi, począwszy od odwiecznych kul kamiennych, połamanych wozów, zapasu drzewa, słomy, wszelaki sprzęt stary pozrzuć na kupy.

W podwórzu, oprócz wydeptanych kilku ścieżek i około bramy miejsca wydeptanego, kędy wozy stawały, rosła trawa i chwasty. Po murach czepiały się gdzie niegdzie dzikie krzewy, ożyny i drobne roślinki, z pośrodku kamieni dobywające się na świat. W jednym miejscu, plotem z kołków zagrodzonym, był mały ogródek warzywny; tam fasole, kukurydza, różne zielsko na parze grządek bujało.

Podwórze to, wchodząc od głównej bramy, zamknięte było w głębi murowanym domem, który niemal całą poleć zasłaniał, wziąć je było można za zamczysko samo.

Nie kończyło się ono tu przecież i choć przez dom nie wiodło żadne przejście, w prawo i lewo dwie drożyny prowadziły do wąskiego, murami ściśniętego przesmyku, w którego kurtynie warowna brama osloniona przepuszczała do wnętrza dawniej cytadelli. Bramę tę zupełnie nowsza snadź budowa zakrywała. W pierwszym podwórzu były jeszcze życia jakiegoś ślady, na drugim już pustka odwieczna.

Wrota wiodące w ciśniejszy dziedziniec drugi, otwarte od wieków, wisiały na zardzewiałych wrzęciadach, jakby się już zamknąć nie mogły. Kawał zarzuconego plotu chróścianego je zastępował. Można go było odchylić i cokolwiek pod górę idąc przypatrzyć się opuszczonej warowni. Przestrzeń zajęta nią była znacznie mniejsza, gdzie niegdzie obnażoną ska-

łą szarą przeciętą, wreszcie porosła trawami. Dwie rondele ze wschodkami otwartymi wznosiły się na rogach. Mniej więcej w półrodku stał podnioslejszy nad kurtyny budynek niewielki, kwadratowy, snadź starożytny bardzo, lecz dziś już niezamieszkały. Drzwi i okna jego zezerniałe, zabrukane, pozamykane były. Gdzie niegdzie w górnych zabrakło błon w olów oprawnych, a jaskółcze gniazda w wielkiej ilości okrywały swobodnie wszystkie muru wyłomy.

Choć opuszczona, budowa ta niegdyś musiała być bardzo starannie wzniesiona, bo dotrwała dziwnie całą i nienaruszoną. Dach tylko gontowy porósł zielonemi mechami.

Oprócz podniesionego mieszkania na dole, dwa rzędy okien nieregularnie rozrzuconych w ścianach, dwa piętra wskazywały; główne drzwi we wgłębieniu muru po wschodach od dziedzińca dosięgać tylko było można. Nad niemi wpuszczony kamień miał na sobie zatarte herby i napisy. Jeszcze wyżej w wyłobieniu widać było mały posążek N. Panny z Dzieciąciem Jezus na ręku. Okrywał je niegdyś z góry daszek, którego teraz tylko szczątki zostały.

Stada wróble, którym tu nikt gospodarować nie przeszkadzał, przelatywały swobodnie, świergocząc dzień cały. W baszcie na prawo, w ciemnym kącie, siedziała stara ogromna sowa, której może przez przesąd jakiś nie prześladowano. W nocy wylatywała na żer, we dnie drzemała w tym kącie, który za swe niezaprzeczone nawykła uważać dziedzictwo. Wróble tylko napadały ją stadem we dnie, lecz nawykła do ich szczebiotania, całkiem na tę zgraję krzykliwą nie zważała.

Zamek nie był wcale wesół, a mieszkalną była ledwie ta część, która w pierwszym podwórzu stała.

Tu murowane domowstwo, acz opuszczone, bardzo było obszerne.

Zajmował je pod te czasy, już od lat wielu, zwany podstarościm Paweł Dorszak, rządzący Gródkiem z przyległościami w imieniu miecznika Zboińskiego, którego dobra te były dziedzictwem. Na zamku od bardzo dawna ani dziedzic, ani z ramienia jego nikt nie powstał. Dorszak się tu za pana samowładnego uważał, i choć rapporta pisał czasem, czując się sam panem, rządził jak mu się podobało. Kilka osad, słobód i wielka przestrzeń ziemi do Gródka należała, lecz nigdy z tego miecznik grosza nie miewał.

Od dnia do dnia a do spokojniejszych czasów odkładano uporządkowanie majątności, w której żyć nie było bezpiecznie, a gospodarować trudno.

Przed laty piętnastu, gdy stary podstarość zmarł, zjawił się u miecznika mieszkającego w Lubelskiem ów Paweł Dorszak, weale mu nieznajomy, ofiarując usługi swoje. Za całe polecenie miał jakieś podejrzanę pod pieczęcią świadectwo, jako u panów Potockich, na ich dobrach około Zbrucza kilka lat siedział, a wyszedł z nich tak, że do niego pretensyi nie miano.

Miecznik właśnie kłopotał się kogo tam poszle, bo mało kto się ważył na kresy życie stawić i nędzę cierpieć, a wieczną groźbę tatarskiej niewoli. Spadł mu jak z nieba ów Dorszak, choć się nikomu nie podobał. Chłop był jak wół ogromny, silny, czerwony, rudy, oczu dzikich i bystro biegających, uśmiechu niemiłego, śmiały i zawadyaka. Strój z kozacka tatarski nosił, i z jednym pacholikiem do Cygana podob-

nym na dwór przybył. Po polsku mówił, mieszając tatarskie wyrazy i płacząc się w mowie.

Opowiadał się szlachcicem od Halicza, ale o sobie i rodzinie mało mówił. Żonatym być miał i bezdzietnym. Za powierzony zamek i dobra gardłem chciał ręczyć, że je w całości dochowa. Miecznik wahał się długo, tak mu przybyły był nie do smaku. Miecznikowa też odradzała: człek był nieznany, a świadectwo podejrzone. Lecz nie było nikogo, a w Gródku szkody uczynić nie mógł, bo oprócz murów a ziemmi choć żyznój, czynszów, osepów i danin nigdy grosza nie widział. Szło to zawsze na reparacye, dachy, mosty, wyderkafy różne. Złamany szeląg nie wpływał. Dorszak się kłął, że intratę da i niemalą. Z góry nawet ją obliczał. Dał się przeto namówić miecznik, i pełnomocnictwo przed aktami spisawszy, wyprawił nowego podstarościego.

Od téj pory listy wprawdzie przychodziły, ale pieniędzy wcale nie. Na naglące domagania się o przyjazd, o rachunki, odpowiedzi były wykrętne, często milczenie po kilka miesięcy, a potem pismo, w którym nie to stało, czego się spodziewano.

Miecznikowi na Mierzejewicach, Opolu i Woli Zbrzeskiej działo się bardzo dobrze, mógł się bez owego Gródka obejść wysmienicie, przecież krciło go dobra mieć, a z nich tynfa nigdy nie dostać, i jakby na uragowisko pisma takie, które przeczytawszy, w garści nieraz zmiął i w kąt cisnął.

Byłby sam pewnie się wybrał od dawna zrobić tam porządek, ano czasu nie było. Miał miecznik zawsze jakąś dosługę publiczną, od której się wymówić nie mógł. Mąż był rycerski, rycerskimi sprawy zajęty, więc jeśli nie na wojnie i nie w obozie, to na komis-

syi, to z poleceniem króla na sejmiku, na dworze i t. p. Tchnąć nie było czasu i nawet się w swoich Mierzejewicach rozpatrzyć. Miał naówczas pan Zboński lat pięćdziesiąt, a od kilkunastu żonaty był. Istny obraz ówczesnego szlachcica, zahartowanego za młodu, zdrow, przystojny, do konia i do korda dzielny, niezmordowanie czynny, zawsze myśli wesolój, do wszelkiego dzieła obywatelskiego gotów, do zwady i do biesiady stający ohocho, długo w domu nie zagrzewający miejsca nigdy—miecznik był i szczęśliwy, i kochany. Nie mu na świecie nie brakło, bo i substancya starczyła, i miłość była u ludzi.

Ożenił się też był jak nie można lepiej, pojawiając jedyną córkę przyjaciela swego Musińskiego, najpiękniejszą, najmajątniejszą pannę w okolicy, do tego humorem i charakterem jakby dla niego stworzoną. Musiński rotmistrz, hulaka trochę, ale z kośćciami był pocziwy. Rotmistrzówna za wezasa po śmierci matki nauczyła się w domu ojca gospodarować i rządzić, więc później za mąż poszedłszy, u miecznika wpędce wszystko w kluby wzięła. A była to potrzeba wielka, bo sam pan czasu na to nie miał.

Nazywał ją mąż, całując po rękach, złotą Handzią swoją; a przez lat kilkanaście żyjąc z sobą, nigdy się jedno na drugie i zmarszczyć nie miało powodu. Po śmierci Musińskiego objął miecznik po nim majątność niemalą, tak, że go za pana miano.

Ówczesnych kobiet los był taki, iż większą część życia w tęsknicyby, a wyglądając panów mężów, spędzały, gdyby nie to, że pracy miały tyle, iż na nią czasu nie stawało. Miecznik rzadkim był gościem w domu, a gdy przyjechał, gody i szczęście z sobą przywoził, ale często nim konie od ganku odeszły, już

je na jutro dysponowano. W jego niebytności miecznikowa gospodarstwo, i ład domowy, i interesa miała na głowie, nie licząc wychowania córki, z którą się nie rozstawiała. Dwa tylko lata ostatnie Jadzia spędziła w klasztorze u ksieni panien Brygidek, która była miecznikowej ciotecznią. Zdało się to dobrém, aby i robotek, i książek, i pobożności, i światła z sobą do domu przyniosła trochę, w dodatku do tego, co od matki wziąć mogła. Wyrosło dziewczę jak dwie krople wody do matki podobne, hoże, świeże, śmiałe i do pracy niezmiernie ochocze i czynne...

Gdy pod Wiedeń ciągnąć przyszło, wezwał Sobieski miecznika z sobą, powierzając mu dowództwo w wojsku komputowém. Byłaby się jejmość sprzeciwiła téj wyprawie dalekiej i niebezpiecznej, gdyby ona nie była przeciwko wrogowi chrześcijaństwa wymierzona, więc obowiązkiem, gdyby przytém królowi co odmówić było można, i gdyby miecznik się dał powstrzymać.

Mowy więc o tém być nie mogło. Właśnie przed tém niedawno pozwał był sąsiad pana Zboińskiego o granice. Gdyby był po ludzku a po bratersku przybywszy sam zagaił sprawę, kompromisby był łatwy; ale słowa nie rzekłszy, miecznika przed sąd ciągnąć — oburzyło oboje.

Zboiński pięścią w stół uderzył.

— Zje kaduka, rzekł: papiery mam, obronię się, a nie... będę go choć po sądach ciągał, aby znał co powinność braterska każe. Pieni mu się chce, będzie ją miał... bo się lada pozwu, chwalić Boga, nie zlekne.

Szło tedy o dokumenta.

U pana miecznika papierów w domu nie było.

Wszystkie jakie miał tytuły possessyi: działy, testamenta i odwieczne skrypta chowano na wypadek nieszczęścia w jednym miejscu. Jeszcze po dziadzie odziedziczony kuferek, jak długawy wałek okrągły wyglądający, obity skórą jakąś z włosiem, gwoździami mosiężnemi przytwierdzoną, o dwu zamkach, stojący zawsze w kancelaryi miecznika, mieścił w sobie archiwum dosyć porządnie fascykulami pozwiązywane. Tam też spoczywały w rurach blaszanych mapy posiadłości.

Zaraz po otrzymaniu pozwu, miecznik wezwał jejmości do siebie, i zabrał się z nią razem do poszukiwania dokumentów granicznych. Robota była niemała, bo owe fascykuly niedobrze były uporządkowane. Niektóre z nich do spraw dawno ukończonych i do dóbr wyszłych z imienia się odnosiły. Wszystko jednak przeglądać przyszło, bo akta graniczne głęboko gdzieś utkwiły.

Gdy tak oboje stare owe dzieje lustrowali, wpadł miecznikowej w ręce fascykul z napisem: „Papiery tyczące się Gródka Braclawskiego.“ Odłożono go na bok. Znalazły się dokumenta graniczne. Zaczęto napowrót do kufra pakować, ale dawno niewidziany grodecki fascykul ciekawość samej pani obudził. Miecznik go też, jak powiedział, nigdy w rękach nie miał. Jedwabnym był sznurkiem zielonym związany, i snadź długo z nim leżał, bo się wpił w papiery, a węzeł przyplaszczył, że go trudno przyszło rozplątać. Gdy nareszcie rozbierać przyszło poźółkle notaty, inwentarze i informacje, trafiła się notatka niewyraźna, ręką dziada jegomości pisana, w której stało opisanie loszku zamurowanego na zamku i złożonych w nim ze skrzynią kosztowności i pieniędzy.

Miecznik nigdy o nich w życiu nie słyszał; lecz z opisu tego, co się tam znajdowało, wnosić mógł, iż ojciec ani dziad zamurowaną skrzynkę nie dobyli. Ruchomości tego rodzaju świecie się w rodzinach przechowywały, nigdy ich nikt nie sprzedawał, chyba szło o okup z niewoli pogańskiej.

Można było przypuszczać, iż owa skrzynia po dziś dzień się na zamku jeszcze znajdować musi. Nie był to skarb tak znaczny, aby się zbyt oń troszczono; przecież ze spisu wnosząc, kilka a może kilkanaście tysięcy czerwonych złotych wynosił. Mogło być bardzo, że go ktoś tam domyślił się, wyszukał i przywłaszczył; wątpliwość wszakże zostawała, a miecznikowa gorąco się wzięła za to, że należało do Gródka jechać i skrzynię odzyskać. Tyle lat ona tam już przetrwała, że miecznik chciał czekać, ażby się wiedeńska potrzeba ukończyła, a on sam po nią mógł się wybrać. Jejmość była przeciwnego zdania. Zdało się jój, że Gródek obejrzeć, i Dorszaka gospodarstwo w miejscu osądzić czas był wielki, a nigdy bezpiecniej się to dopełnić nie mogło niż teraz, gdy Turcy i Tatarowie gdzieindziej byli zajęci. Ofiarowała się, jako dla rozrywki, bodaj z córką jechać, zapewniając, iż radę sobie da i skrzynkę przywiezie.

Zakrzyknął miecznik, nie chcąc na tę niebezpieczną wyprawę żadną miarą pozwolić, ale się złota Handzia uparła, i na pół żartem, pół doprawdy zagroziła gniewem, jeśliby jój też, jak mówiła, na potrzebę tę isć zabroniono.

Długie o to były spory i niejeden dzień trwające; wszakże, jak się to pospolicie dzieje, gdy jejmość czego mocno zapragnie, na swoim postawi. Nierychło wreszcie zgodził się miecznik, choć z największą

w sercu trwoga. Tatarowie, choć ich znaczna część wyszła, włóczyli się nad granicami, a dosyć było kupki małej, aby wielkie nieszczęście stać się mogło. Śmiała się z tego miecznikowa. Gdy przyszło do obmyślenia wyboru w podróż, spory też powstały wielkie; bo ona chciała w małym poście, a mąż rad był dla bezpieczeństwa dać ludzi co najwięcej i dobrać co najdzielniejszych, na których się mógł spuścić bezpiecznie. Za warunek to położył, iż sam dwór i towarzystwo naznaczy.

Na dworze miecznika znajdował się naówczas daleki powinowaty, chłopak ubogi, ale wielkich nadziei, Janasz Korczak. Dwudziestoletnie pachole, byłby on na wiedeńską wyprawę się wyprosił, gdyby nie przypadek, który mu takiego trudu podjąć nie dopuszczał. Najeżdżając konia pod miecznika, gdy się ten pod nim zwinął, Janasz nogę złamał. Wprawdzie mu ją doktor Niemiec, sprowadzony z Lublina, natychmiast wziął w leszczotki i młode kości się doskonale zrosły, ale mu jeszcze ani wiele chodzić, ani do znużenia jeździć nie dozwolano. Janasz się kłął, że najmniejszego bolu nie czuje, że zdrow i siły ma; na wyprawę isć mu nie dał miecznik. Lecz gdy przyszło dwór dla jejmości zbierać, padł do nóg panu Zboińskiemu, aby się wprosić i dla bezpieczeństwa być dodanym. Trudno było mu oprzeć się, a prawdę rzekłszy, nie mała to była rękojmia, bo Janasz ciałem i duszą był oddany miecznikowstwu, mężny był, przebiegły, roztropny i niezmordowany. Śmiało mu rodzinę mógł miecznik powierzyć. Staruszek kapelan, ksiądz Fabian Żudra, [niewielką być mógł pomocą, lecz i ten aż wzdychał, nie śmiejąc się narzucić, a kraje nieznane bardzo pragnął oglądać. Staruszek był krzepki, nie

uciążliwy nikomu, w rozmowie miły; miecznikowa go też zabrać przyrzekła. Do koni i dla obrony, wybrano sześciu ludzi co najtęższych i do państwa przywiązanych. Oprócz tego dwu hajduków, Holoba i Trakieniec, i węgrynek Giezy, jechać mieli.

Janasz choć najmłodszy, podejmował się dowodzić i marszałkować. Broń dla wszystkich ludzi, nietylko tę, jaką przy sobie mieć mogli, ale zapaśną, na wozy wzięto, koni luźnych od wypadku trzy, prochu i kul poddostatkim. A że krajem niezawsze ludnym i gościnnym jechać miano, wszelkiego jadła, okrycia i czegokolwiek w podróży potrzeba, przysposobiono. Miecznikowa i o chorobie, uchowaj Boże na kogo, pomyślała, ziółek, i kropli, i różnych medykamentów upchawszy puzderko całe.

Mierzejewice więc na czas jakiś opustoszeć miały, bo miecznik z wojskiem ciągnął, a pani w drogę się zaraz wybierać chciała, aby przed zimą powrócić.

Zdawało się Zboińskiemu, iż najlepiej uczyni, gdy do Dorszaka przodem zaufanego człowieka z kartką poszle, oznajmiając mu o przybyciu pani, aby przynajmniej izby oczyszczone znalazła i co do życia było potrzeba zasposobione. Miecznikowi to humor na wyjeźdném znacznie popsulo; nie mówił nic, ale się lękał. Wprawdzie Gródek od napaści dotąd był wolny, ale okolica i sama bliskość Tatarów a włóczęgów niepokoiła go mocno. Przeciwnie sama pani, córka, Janasz, co miał dowodzić wyprawą, ksiądz nawet, myśli byli najlepszej, i cieszyli się za wezasa tém, co oglądać i co przywieźć z sobą mieli.

Słońce zachodziło za wzgórze opasujące dolinę. Ku mieścinie u stop zameczku położonej z dwóch stron przeciwnych zdażalo dwóch jeźdźców, wzajem się z dala przypatrując sobie.

Jeden z nich chłop ogromny, na silnym koniu, okrytym potem i pianą, jechał z wolna. Dwa silne, bure charty wołoskie w ślad za nim biegły. Odziany był z kozacka, w małej czapeczce barankowej na głowie, w siwym żupaniku, skórzanym paskiem ściągniętym, w długich bótach, a bat miał przez plecy przewieszony. Twarz czerwona, plamista—odrażająca była. Najeżony wąs rudy jeszcze jęj dzikszego dodawał wyrazu. Małe oczka czarne, niespokojne, siedzące głęboko, ocieniały brwi najeżone. Usta obwisłe, spękane od gorąca czy niezdrovia, wyglądały jak poranione. Choć ubogo na pozór wyglądał, lecz dumę i samowolę czuć w nim było jakby zwycięzkiego rozbójnika.

Z drugiej strony na silnej szkapie z jukami w trokach, dążył burką z ramion nieco zsuniętą okryty, chłop zdrowy, silny, wesołej twarzy, poświstując piosenkę. Pospolite rysy, opalona skóra, zaniedbane włosy, sam ubiór okazywał sługę lub posłańca możnego domu...

Rozglądał się jadąc ciekawie bardzo, i nie śpiesząc podążał do miasteczka. Wjechawszy tu, stanął przed karczmą, wywołał Żyda, i o coś go zapytawszy, z wolna drogą ku zamkowi ruszył. Zobaczywszy to, pozostały za nim jeździec z chartami, konia ścisnął, i dogoniwszy jadącego, zwrócił się ku niemu namarszczywszy brwi, pytając z ruska:

— A dokąd to?

Zagadnięty popatrzał.

Pisma Kraszewskiego. T. XII.

MUZEUM
JIK
ROMANOWIE
7

— A wam co do tego? odparł.

Zaczerwieniła się twarz rudego i ręką w bok się ujął.

— Ale! krzyknął: już ciż do tego, boście na moim gruncie...

— Nieprawda! rzekł drugi...

Wzdrygnął się rudy i musiał konia mimowolnie ścisnąć nogami, bo pod nim skoczył, za co go ścignął bez litości bizunem i osadził.

— Kto wy? wrzasnął na głos—jak śmiecie!...

— Nie gorączujcie się, zawołał śmiejąc się posłaniec.

— Ja tu pan!

— Nieprawda! powtórzył drugi.

Oczy rudemu krwią zabiegły...

— Mów coś za jeden?...

— Ja tu na drodze z wami rozmowy prowadzić nie potrzebuję—rzekł spokojnie zagadnięty.

— Chcecie wiedzieć com ja za jeden, jedźcie za mną na zamek, powie wam podstarość...

— Jaki podstarość?

— Pono jakiś Dorszak... niedbale dodał podróżny. Na chwilę zamilkł rudy...

— No, to ja jestem podstarość Dorszak...

Jeździec odwrócił się, uśmiechnął, czapkę zdjął... i nie powiedział nic.

— Co to jest? w jaką to grę z sobą gramy? podchwycił Dorszak...

— W żadną, rzekł drugi: jadę do pana z listem od jaśnie wielmożnego miecznika.

Słowa te zmieszały nieco pana Dorszaka na pozór się uspokoił i zlagodniał.

— Także gadajcie! zawołał. Ja—ja tu pan jestem

z ręki miecznika. U nas się ludzi luźnych włóczy dosyć, porządku pilnować muszę.

— Toć nie mówię nic, rzekł posłaniec; alem was nie znał.

— Jedźcież więc za mną.

To mówiąc obejrzał się na flegmatycznego posła Dorszak, na charty, które się w miasteczku rozporządzać zaczynały, świsnął i klusem pojechał przodem.

Drugi koniowi też dał ostrogi i w milczeniu ruszył za nim.

Na miasteczku scena ta krótka już była ludzi z domowstw wywabiła... Żydzi stali przed karczmi, chłopak jakiś wysforował się w rynek, i chart go był już potarmosił, gdy podstarość na niego świsnęła. Czapki i jarmulki po drodze uchylały się i ludzie kłaniali nisko. Od miasteczka droga nieco pod górę prowadziła na zameczek. Trzeba było przebywać chwiejając się i lichy most, który pod koźmi trząsł się cały. Naostatkiem furta sklepioną wjechali w podwórze.

Tu, jak wprzód na charty, Dorszak przeraźliwie świsnął, i z pod szopki wyskoczył chłop w koszuli zgrzebnej i wyrostek w świcie krótkiej, którzy konia wzięli. Zsiadał też już i posłaniec powoli, najprzód nieco koniowi popuszczając popręgi. Dopiero gdy tego dopełnił, a zobaczył przed sobą podstarościego, stojącego z oznakami niecierpliwego oczekiwania, nie mówiąc począł dobywać z za sukni zawinięty w chustę starannie papier, który panu Dorszakowi wręczył.

— Chodźcie za mną do zamku, to się tam w izbie na dole rozgościcie, odezwał się podstarość.

— Dziękuję panu, odparł posłany, ale najprzód o koniu i jukach pomyśleć muszę.

Na to nie nie odpowiedział podstarości, i ku zamkowi poszedł szybko. Mrok padał, a w podwórzu murami osłoniętą ciemnowo się robić zaczynało. Posłaniec wdał się w rozmowę z parobkiem, troszcząc się o konia. Sam zdjął powoli juki, siodła jednak zrzucić nie dozwolił—dopóki by szkapa nie wypoczęła.

Podstarości minawszy dół, po kamiennych schodach szybko wszedł na piętro, a charty za nim pobiegły...

We drzwiach stała oczekując na niego kobieta. Spojrzawszy na nią, łatwo było poznać typ wschodni.

Średnich lat, niegdyś zapewne piękna bardzo, brunetka z oczyma czarnemi, z brwiami obfitemi, rzymskiego nosa, ust kształtnych, zdawała się zestarzałą przedwcześnie, znużoną, chmurną, ale wyraz energii wielki przetrwał w całej fizioognomii. Głowę bujnemi włosami okrytą, które się z pod jedwabnej chustki wymykały rozrzucone, niosła dumnie do góry. Miała na sobie odzież białą, a na niej z tureckiej materii obszerny kaftan. Ciekawemi oczyma, nie nie mówiąc, zmierzyla wchodzącego i list, który trzymał w ręku.

Jakby się domyślał, że ją we drzwiach znajdzie, podniósł głowę także, ale się nie pozdrowili nawet. Spotkawszy jego wejrzenie, kobieta odeszła, zostawiając drzwi otwarte. Izba, do której wszedł za nią Dorszak, była obszerna, a za nią ukazywały się dalsze, dziwnie zastawione sprzętami, pomiędzy którymi tureckie kufry, sofya i niskie stoły odbijały od starych krzeseł i szaf ciemnych.

Kobieta założywszy ręce na piersi, padła na niskie siedzenie. Dorszak wchodził zamyślony.

— Głodny jestem jak pies... i psy też głodne być muszą, odezwał się złamanym językiem rusko-polskim...

— Zaraz ci jeść dadzą—obojętnie odpowiedziała kobieta, i podniósłszy głos zawołała:—Tatiano!

Nierychło wtoczyła się kobieta opasła, w bardzo zaniedbanym stroju, i potoczyła oczami.

— Jeść! krzyknął Dorszak, siadając za stół! Światła—a prędej.

Rozłamał był już pieczęć i niecierliwie usiłował czytać, ale mrok nie dopuszczał. List rzucił na stół.

— Miecznik człowieka z listem przysłał, mruknął. Co mu tam do głowy przyszło, on sobie zawsze myśli, że jest tu panem. Ha! ha!

— A któż? odezwała się kobieta.

Dorszak się rozśmiał i w piersi palcem stuknął.

— Któż, jeśli nie ja! Kto tu szyi nadstawia tyle lat, aby się w tej dziurze ukrywać? Zje kata, jeśli mi ją z rąk nazad wydrze.

Kobieta ramionami ruszyła.

— Jak mi raz dał tu wleźć, nie wykurzy mnie tak łatwo... mówił, nie zważając jakby do siebie, Dorszak. Zechce to mu tam z lichem co zapłacić... alem niedarmo pracował, aby drudzy korzystali. Gdzie człowiek lat tyle siedzi i haruje, to sobie własność przecież musiał wysiedzieć... Czego on odemnie chce...

Kobieta patrzała na mówiącego, jakby z politowaniem, ale nie mówiła już nic.

W tej chwili sługa wniosła świecę i postawiła ją na stole. Dorszak porwał list, począł go czytać,

brwi mu się ściagały, plunął i rzucił go znowu na stół, począł chodzić, potem wziął pismo, aby je raz jeszcze odczytać, i powtórnie cisnął niém od siebie, ręce w kieszenie włożył i przechadzał się chmurny.

— Ale tego, tom się i nie spodziewał! zawołał nagle, stając przed kobietą: wszak to miecznikowa z całym dworem jedzie do Gródka.

Począł się śmiać.

— Dalipan, zabawna historia! Herod baba... Zda je im się, że wszystkich Tatarów zabrał z sobą Kara Mustafa! i że tu jak u Boga za piecem siedzieć można! Zobaczymy...

Ale ja ich tu mieć nie chcę—dodał—i prędko wykurzę, aż im ochota od zaglądania w moje gospodarstwo odpadnie...

Kobieta słuchała milcząca, podparła się na rękę i patrzała w okno, jak gdyby dawno wiedziała, że z nim ani się poczciwie rozmówić, ani go opamiętać nie potrafi.

Im dłużej chodził i myślał Dorszak, tém zdawał się mocniej obruszać i gniewem płonąć. Ruchy jego gwałtowne i cała postać przekonywały, że się powstrzymuje tylko, aby nie wybuchnąć.

Wtém Tatiana wniosła ręcznik, misę i miskę. Dorszak spojrział tylko i rzucił się za stół, a psy z obu stron siadły, patrząc na niego w oczy. Nim począł jeść, dostał z szatki flaszkę, wypił kieliszek i postawił ją przed sobą. Skutkiem poruszenia i napoju, twarz mu cała się zaogniła... Straszny był. Kobieta ilekroć na niego spojrziała, odwracała oczy ze wstrętem...

— A ty jadłaś? spytał kobiety, zwracając oczy na nią.

— Nie głodnam, rzekła: trudno było czekać dzień cały...

Urwała natychmiast rozmowę.

— Dziś cię znowu twoja chandra, widzę, napadła? rzekł Dorszak.

— Takam ja dziś jak byłam wczoraj, odparła krótko.

— Człowiek do domu się przywlecze, i nie ma do kogo gęby otworzyć, ani z kim pogadać poczciwie!

Kobieta ruszyła ramionami i zmilczała. Dorszak jakby dalej rozmowy prowadzić nie chciał, podniósł głowę ku drzwiom i począł wołać:

— Tatiana!

W progu ukazała się kobieta.

— Kumysu! krzyknęła...

— Tatara z ciebie zrobili... szepnęła siedząca na poduszkach. Nietylko do kumysu, ale i do ich obyczajów nawykłeś.

Jakby nie słyszał téj wymówki Dorszak, siedział zamyślony. Kobieta przyniosła wysoką szklankę z białawym napojem, który wychylił chciwie, wasy otarł, i dopiero po odejściu sługi, począł jakby sam do siebie:

— A czemu nie mam być Tatarem! Mają oni rozum. Bujają w stepie, pracować nie potrzebują. Żyją w swobodzie, i murzy ich bogatsze od nas... Mało to oni łupów nabiorą!...

— I to się wam życiem do zazdrości wydaje, taka pogańska włóczęga?... poczęła kobieta.

— Co ty, babo, znasz! co ty rozumiesz! krzyknął Dorszak. Siedziałabyś cicho! Mnie ty będziesz rozumu uczyła, co złe a co dobre? Wiem ja i bez ciebie, o radę cię pytać nie będę.

— Toż to i bieda, westchnęła siedząca. Inaczéj-
byś żył, gdybyś mnie słuchał, i byłoby błogosławień-
stwo boże w domu.

Dorszak się śmiał.

— Już ja te litanie znam... do cerkwi z niemi! do
cerkwi! ja tego nie potrzebuję.

Skończył jeść, parę ochlapów rzucił psom, które
się o nie poczęły z sobą ujadać, kopnął nogą jednego,
i odszedłszy parę kroków, rzucił się też na siedzenie,
ale opodał od kobiety. Na niskim stoliku leżał szty
złotem worek i długi cybuch stał przy nim.

Nałożył fajkę i kurzyć począł, nogi założywszy po
turecku...

— Héj, babo, kawyl! zawołał—a żywo...

Słowa te stosowały się do kobiety siedzącej, która
ani ruszyła się, ani zdawała uważać na nie. Po chwili
dopiero zawołała na Tatianę...

Ta już wedle obyczaju niosła blaszany imbryk
i małe filiżaneczki, które postawiła na stolczku przed
panem. Dorszak nalał sobie czarnego płynu i chwycił
go pożądlwie.

Milczenie panowało przez chwilę—kobieta zdawała
się jakby uśpioną, a charty chrapały znużone na pod-
łodze. Dorszak, który patrzył z razu bezmyślnie przed
siebie, powoli oczy na kobietę obrócił i długo się przy-
patrywał siedzącą.

Brwi mu się coraz bardziej marszczyły.

— Słuchaj ty, Agafio! zawołał: długo my tak z so-
bą jak pies z kotem żyć będziemy?

— Dopóki pies albo kot nie zdechnie, rzekła po-
woli.

— Psu się nie chce zdychać—rozmiał się Dorszak,

dźwigając szerokie ramiona,—psu się jeszcze życie
śmiej, a kot też, chwała Bogu, zdrów... Czasby mieć
rozum.

— To prawda... rzekła kobieta.

— Nie mnie, ale wam, przerwał wybuchając męż-
czyzna. Co ci to źle? zbywa ci na czém?

— Wolałabym nędzę, odparła kobieta. Myślisz, że
mi ten twój chleb smakuje, co mi go codzień posypu-
jesz popiołem? Czy ja nie wiem, zkąd się twe mienie
bierze i jak na nie zarabiasz?

Dorszak się zerwał z siedzenia.

— Jak? jak? mów! krzyknął podnosząc cybuch.

— Nie trzeba mówić... spokojnie, oczu na niego nie
zwracając, odezwała się kobieta. Wiesz ty, co to twoje
mienie znaczy i zkąd płynie.

Mruczał coś niezrozumiałego, gryząc cybuch Dor-
szak, ale się pomiarkował i zmilezał.

— Chcesz mieć spokój? dodała kobieta: ja chętnie
do rodziców powrócę, ino puść.

— Żona z mężem żyć powinna—słyszysz?—zawołał
Dorszak.

— Dawnobyś się mnie pozbył—odrzucała kobieta—
gdyby nie to, że się po mnie spodziewasz posagu, na
któryś cheiwy.

— A pewnie, bo mi się należy za to, żem sobie
taką kwoką świat zawiązał, począł Dorszak. Dyabeł
cię wiedział, gdyś młodo i pięknie wyglądała, że mi
życie zatrujesz! Myślałem, że biorę potulne i posłusz-
ne stworzenie, a gałąź ostu dostałem. Jam nie takięj
potrzebował kobiety na żonę, a tyś była na mniszkę
stworzona.

Kobieta nie odpowiadała już; zanurzona w myślach,
cisnęła białe ręce, aż słyhać było jak w sta-

wach trzaskaly. Głowę opuściła na piersi, nie widać było łez, ale się ich łatwo mógł domyślić Dorszak, który dziko na nią spoglądał.

— Ot to moje śniadanie i obiad i wieszera! rzekł. Człek do domu powraca jak do piekła!

Twarz mu zapaliła się, podniósł cybuch, zdawało się, że uderzy siedzącą kobietę, która drgnęła tylko, ale wnet odwróciła się, zmierzyla go oczyma strasz-nemi, ręka jęj sięgnęła do pasa pod suknię.

Dorszak snadź zrozumiał ten ruch i cofnął się. Sy-czał przez zęby.

— Żmija—gadzina...

— Raz w życiu ściągnęłaś na mnie rękę, odezwa-ła się kobieta drżącym głosem: naówczas nie spo-dziewałam się, aby mężczyzna śmiał się targnąć na żonę... a i ten jeden raz odplaciłam ci jak byłeś go-dzien. Od tęg chwili bez noża nie stąpię: tknięj mnie a zginiesz. Wiesz, że silna, i że się ciebie nie boję.

Zmierzyli się oczyma. Dorszak po głowie potarł ręką drżącą.

— E! gdyby nie twój ojciec! gdyby nie matka!

— Gdyby nie posag! szydersko wtrąciła Agafia.

— Dałbym ci ja, siedziałabyś pod kluczem za-mknięta jak pies na łańcuchu.

— E, gdyby nie Bóg, nie sumienie, Pawle, daw-nobyś nie żył, a jabym była wolną, odpowiedziała kobieta, której oczy pały. Podeszedł rodziców, mia-nując się panem na Gródku; a kto wówczas wiedział, żeś rozbójnik.

— Milczę! krzyknął Dorszak—milczę, dosyć tego! Baby nikt nie przegada; a no, zobaczymy kto kogo zmoże.

Rozśmiała się Agafia.

Za progiem słyhać było ciężkie stąpanie. Dor-szak się odwrócił. Powoli odchyliły się drzwi, i po-słaniec mierzejewicki, rozglądając się ciekawie, stanął w progu.

— Niech będzie pochwalony!... rzekł.

Dorszak coś mruknął, kobieta podniosła się i od-powiedziała cicho:—Na wieki...

— Czego chcecie? spytał podstarości.

— A no, nie zawadziłoby pogadać, rzekł od-chrzakując dworak, który śmiało się rozglądał. Nasza jasna pani wysłali mnie przodem, aby tu wszystko by-ło w pogotowiu.

Chmura osłoniła twarz Dorszaka.

— Cóż ja tu im w pogotowiu mam stawić? zawo-łał gburowato. W pogotowiu! kukurydzę, „mamalygę” w tęg pustce, w tęg ruinie! Co im do głowy przyszło tu włazić, a biedy szukać!

— To nie moja rzecz, rzekł dworak: rozmówicie się o tęg z jaśnie panią jak przyjadą. Mnie kaza-no mieszkanie oczyścić, miejsce na konie opatrzyć, obro-ki i chleby dla ludzi nagotować.

Dorszak się śmiał szydersko.

— A ilu was tam jest? spytał.

Dworak się zamyślił.

— A no, do dwudziestki się zbierze.

Zdziwienie odmalowało się w twarzy podstaroś-ciego.

— Aż tyle!

— A jużci! rzekł dworak. Pani nasza, panna, pan Janusz, kapelan, dworscy, mastalerze, posługa, haj-duki, węgrynek.

— To się chyba samemu wynosić dla nich i ko-

czować pod namiotem, zawołał Dorszak, i począł przechadzać się zamyślony.

— Jasnie pani mówili mi, aby na drugim podwórku starą wieżę dla niej wyporządzili, odezwał się dworak.

— Pustka, sowy w niej mieszkają—rzekł podstarość.

— Toć sowy wypędzić się da, a choćby co więcej niż sowy, dodał naiwnie posłaniec.

W podstarościu zaszła snadź jakaś zmiana wewnętrzna: powoli opamiętywał się i łagodniał.

— Toć dziś noc—odezwał się,—idźcie spocząć na dole, pogadamy. Bywajcie zdrowi.

Posłaniec popatrzał na Dorszaka, na kobietę, i wyszedł.

Podstarości, gdy go z oczu stracił, mrucząc coś sam do siebie, chodząc począł szparko po izbie. Stawał, biegł, i ani spostrzegł, jak Agafia powstawszy z siedzenia, powolnym krokiem wysunęła się do drugiej izby. Kilka razy z flaszeczki sobie nalewał, pił i chodził myśląc. Świeca dogasła w mosiężnym lichtarzu... Zrzucił z siebie odzież, poprawił skórzane poduszki na sofie, i na pół rozebrany rzucił się spocząć. Wkrótce zagasło światło i fajka tylko, którą palił, chwilami czerwonym blaskiem rozjaśniała nieco kątek, gdzie Dorszak spoczywał.

W dziedzińcu słychać było stróżów grzechotki i charty chrapały na podłodze. Po nad bramą ukazał się księżyc z za chmur, i zajrzał bladym promieniem do izby...

Dworski z Mierzejewie, którego dobrze wybrano i opatrzone przestrogi na drogę, niebardzo ich potrzebował. Z całej czeladzi pana miecznika był to najroztwópniejszy i najprzebieglejszy, zimnej krwi, mężstwa spokojnego, siły wielkiej człowiek, do państwa przywiązany, bo w domu ich wzrosły sierota. Zwano go Nikitą Jedynakiem. Przydomek dostał mu się w dzieciństwie. Rodziców nie znał, a mało o nich co i we dworze wiedzano. Chował się na folwarku, potem przy panu, a że łatwo wszystko pojmował i uczył się każdej rzeczy, coraz go do ważniejszych posług używano. Niejeden raz samowtór po kilka tysięcy talarów woził w baryłkach, i listy takie, które chować było trzeba, a pilnować ich jak oka w głowie.

Z obozem miecznika i na wojnie bywał, a o ludzi się różnych ocierał.

Z pierwszych słów Dorszaka poznał, a choć wieczorem na zamek zajechał, już przechadzając się opatrzył cały, już z ludźmi potrosze i jakby niechęć się rozgadał. Wreszcie, gdy mu na dole ladażaki barłóg wskazano, juki sobie złożywszy w izbie, choć już noc nadchodziła, powłókł się na miasteczko do karczmy. Instynkt prostego człowieka uczył go, że się trzeba było o zamku nie na zamku dowiadywać. Kilka lichych karczem stało przy rynku pustym. Do jednej z nich poszedł Nikita.

Widzieli go już Żydzi, gdy na zamek jechał, a czegoś się domyślali, gość w tym kącie był rzadki. Gdy do izby wszedł, a zobaczono go, poczęli się do niego cisnąć Żydzi. Chciano go częstować wódką, ale tej Nikita nie pił; znalazło się wino kwaśne i, tego kazał sobie postawić, aby mieć przy czém siedzieć. W niz-

kiej izbie dosyć obszerniej, z małemi okienkami, niko-
go już z miasteczka nie było; rodzina tylko żydow-
ska, liczna bardzo, wychodziła krążąc około przybysza
i przypatrując mu się ciekawie. Z tym, który grał ro-
lę gospodarza, średniego wieku mężczyzną, rozmówić
się było trudno, takiego języka używał. Dopiero
w dobry kwadrans zwłókl się stary, z siwą brodą
o kiju Żyd w czapce wysoki, który aż do stołu pod-
szedłszy, milcząco począł się Nikicie przypatrywać.
Od słowa do słowa przyszło do rozmowy.

Cały rozum w tém był, aby niewiele mówić, a do-
wiedzieć się jak najwięcej. Z początku obaj pono za-
równo zamiar ten mieli, ale stary zgłodniał na ludzi
i dał się za język wyciągnąć.

Nikita nie tał z czém przybył.

Stary patrzył na niego z wielką uwagą. Zdawał
się badać rzucanemi słowy, z jakim człowiekiem miał
do czynienia i czy z nim mówić bezpiecznie? Z mo-
wy widać było, iż ludzi się obawiał i świata znał
dosyć, aby nie dowierzać nikomu.

Ażeby coś ze starego wyciągnąć, jął opisywać Ni-
kita wrażenie, jakie na nim zamek i okolica czyniła.

— Jeżeli tu jaśnie pani przyjadą—odezwał się Żyd—
a będzie czego potrzeba, przyszlęjcie do nas; co będzie
można, dostarczymy.

— A zkadże weźmiecie?

Żyd minę zrobił dziwną.

— Albo to i do Kamieńca dojechać nie można,
choć tam Turki siedzą! My zwyczajnie nadgraniczni
ludzie, od baszy mamy glejty, i z Tatarami się znać
musimy...

— Toć i pan Dorszak też? rzekł Nikita.

Stary mocno trząść głową począł, ale słowo jakby
mimowolnie się z niego dobyło.

— Wun! zawołał. On z nim fajkę pali, on z nim
kawę pije, on z nim je baraninę, on jemu najlepszy
przyjaciel.

I ręką w powietrzu znak zrobił osobliwy, a głowę
przechylił.

— Za to Pana Boga chwalić, odparł Nikita: bo
nasza pani będzie przynajmniej bezpieczna.

Staruszek milczał bardzo długo zamyślony, i nie-
rychło rzekł:

— A pewnie!

Ale ramionami ruszył dziwnie.

Z godzinę tak może Nikita się powoli dobywał do
zaufania starca, który w końcu usiadł przy nim. Py-
tał o miecznika, zamożność jego, stosunki i znaczenie,
a słuchając wzdychał. Nikita w najnaturalniejszy spo-
sób odmalował mu swego pana w najpochlebniejszych
barwach. Wysłuchawszy, stary mu na rękę położył
dłoń i szepnął:

— Bądź asan ostrożny.

Nikita płacąc za to zaufanie, rzekł mu do ucha:

— Dosyć na niego popatrzeć, aby sobie samemu
to powiedzieć.

— To jest niebezpieczny człowiek... dodał Żyd—
ale tst... i sza...

Znowu szło ciężko, a Nikita opowiedział o panu
i jego dobroci a wdzięczności dla tych, co mu pōcz-
ciwie służą. Żyd słuchał. Spytał go potém poufnie, jak
sobie ma poczynać?

Zamyślił się stary.

— Asan rozum masz, rzekł: nie nie trzeba się bać,
a trzeba pilnować. Ja wam jedno powiem słowo. On

tu już sobie panem być chce... jemu goście nie potrzebni. On może wszystko zrobić, aby się ich pozbyć, a jemu nie kosztuje nic cudze życie, bo sumienia u niego nie ma.... On gorszy od Tatara...

— Aż wstrząsał się stary mówiąc, i oglądał się bojaźliwie.

Ale my z sobą o tém nie gadali, a stary Abram nie wie.

I głowę zanurzył w ramiona.

— Każcie mi słomy posłać w kącie, ja tu prze nocuję, rzekł Nikita.

Pistolet, który za pasem miał zawsze z tyłu, pod ręką położywszy, otulony burką, w kącie izby późno zasnął Nikita. Długo sen go nie brał, ale znużenie przemogło. Że się między dwójgiem okien położył, świtanie go zbudziło. W karczmie też ruch się rozpoczął. Wstał co prędzej, pomodlił się, wódki na ranny chłód nie odmówił, chleba z czosnkiem zakąsił i na zamek szedł.

Słońce już było weszło, gdy w bramie stanął. Na przeciwko, w domu na schodkach stał właśnie Dorszak, i ludzi zwoławszy, hałasował, dopytując o niego. Zobaczywszy idącego, krzyknął z daleka:

— A coście to na zamku nie nocowali?

— Albow ja to się z tego rachować obowiązany? rzekł spokojnie Nikita.

— A jużeć! jam tu podstarości.

— Ino nie nademną, odparł Nikita. Z przeproszeniem jegomości, jam tu gość i mnie pod rozkazy wasze nie poddano.

— Więc ja mam was słuchać? wrzasnął Dorszak.

— Ja też rozkazywać nie myślę, mówił, zbliża-

jąc się Nikita,—a strachu nie znam i nie zlekne się nikogo.

Popatrzał na niego z góry podstarości i zmięknął nieco.

— Cóż, zły był nocleg na zamku? zapytał.

— Weselój mi się zdało w karczmie, rzekł Nikita,—i po wszystkiém.

— Tożecie chcieli komnaty dla państwa oglądać, wtrącił podstarości.

— I na tom gotów.

— A ja czekać na was nie mam czasu, podchwycił, brząkając pękiem kluczy, Dorszak,—ja muszę jechać.

— Aby klucze... ja sobie obejrzę sam, co potrzeba.

Słyszając to podstarości, z gniewem pęk kluczy na rzemieniu cisnął z ganku pod nogi stojącemu Nikicie który z razu skłoniwszy się, stał z czapką na głowie i rękami w kieszeniach.

Parobek i chłopak na uboczu przypatrywali się tej scenie z widocznym podziwieniem, jakby pojąć nie mogąc śmiałka, który się ich panu sprzeciwiał.

Wtém Dorszak o konia zawołał, i obaj rzucili się mu go podawać. Nikita też ustąpił nieco, ale nie śpieszył na drugie podwórze, aby zobaczyć co to będzie za koń i jazda. Wnet też przywiódł parobek deresza z długą grzywą i ogonem, konia widocznie z Turków rodem i z turecka osiodłanego. Charty wnet zbiegły i stały przy nim; zszedł też z wolna Dorszak, poklepał konia po szyi, na siodło skoczył, i słowa już nie mówiąc, pojechał ku bramie. Tu stanął i zawrócił się.

— Słysz, ty! odezwał się, ręką wskazując Nikicie: a kiedyż te wasze goście tu być mogą?

— Nie wiem, to w liście stać musi, mnie nie mówiono.

— A jak ci się zda?

Nikita ruszył ramionami.

— Nie wiem nic—powtórzył.

— Jakąż drogą jadą?

— Tego mi nie mówili.

— Stoś... zjadł... a cóż wiesz? krzyknął Dorszak.

Nikita spokojny zawsze, ziewnął, ręką się zasłaniając (grał umyślnie nieświadomego), i rzekł powoli:

— Ono to wiem, że mam mieszkanie, i stajnię, i co się patrzy gotować.

Dorszak spojrział na niego, konia zaciął gniewny i ruszył kłusem.

Parobek i chłopak słuchający rozmowy, uszom swym nie wierzyli, a ze strachu pod okap daszku stajennego poweiskali się.

Dopiero gdy już dosyć opodał był podstarość i na moście zatętniało, co znaczyło, że zamek minął, parobek się z wolna wydobył z kryjówki.

Nikita klucze trzymając w ręku, nie śpiesząc okrzykiem wielkie domowstwo, aby się dostać na drugie podwórze. Ciekawość i chęć posłuszenia może śmialemu Nikicie, poprowadziły za nim parobka, który obejrzawszy się ostrożnie, powlókł się w jego ślady.

Odechliwszy płot, wchodził na drugi dziedziniec dworski, gdy parobek przy nim się znalazł.

Był to chłop niezdarne, zahukany snadź za młodu, milejący, opalony na czerwono; włos na głowie miał krótko postrzyżony, czoło i twarz w faldach całe, brodę na cał odrosłą, oczy małe, nos splaszczony, wyraz wszystek zwierzęcy, ale pokorny, chytry razem i zobojętniały. Gruba koszula i spodnie go okrywały. Pas

zielony je trzymał. Na nogach miał skórnie rzemieniem ściągnięte. Z pod płótna widać było pierś opaloną jak tarz, włosom porosłą jak u zwierzęcia, zapadłą i pogarbioną dziwnie. Oczy ma bojaźliwymi ściagał przybysza, i zdawał się chcieć do niego przemówić.

— Jak wam na imię? spytał Nikita.

Namyślał się parobek z odpowiedzią, i do głowy poszedł ręką wprzód, nim się zdobył na nią.

— Hm! Parfen.

— Chcecie mi dopomódz do zamku, dam na wódkę!

Chłop głową kiwnął na znak zgody, i poszedł za nim. Pomoc w istocie była potrzebna: bo gdy do pierwszych drzwi przyszli i otwierać je, dobrawszy klucz, począł Nikita—zamka zardzewiałego zmódl o własnej sile nie mógł. Klucz był ogromny, a żelaza zaklesłe i przyrosłe do zamka. Nierychło siłą się i kręcąc, potrafili wreszcie nim rygle podźwignąć. Drzwi były otwarte już, a dwojga ramion nie nadto znowu, aby je popchnąć.

— Nikt tu widać nie chodził? zapytał Nikita.

— Po co? odparł Parfen. Tu dyabli nocą wyprawują wesele.

Gdy się stare dębowe drzwi rozwarły, można było w istocie sądzić, iż tam we wnętrzu nieczysta poruszyła się siła. Nietoperze i sowy mieszkające od dawna w sieniach, zatrzepotały skrzydłami; parobek odskoczył, zegnając się. Wstrzymał się i Nikita, ale do nóg mu potoczył się nietoperz, i poznał przyczynę tego ruchu, a śmiejąc się, wszedł do środka. Rozglądając się bacznie parobek, nieśmiało za nim kroczył.

Sień była kamieniem wyłożona; w lewo z niej izba

duża sklepiona z kominem ogromnym, pusta... złamaną ławę kawał leżał w kącie. Kraciaste dwa okna oświecały ją słabo. Na prawo drzwi odmykać musieli. I tu mniejszą znaleźli sklepioną izbę, ale pełną łomu, który leżąc długo zbutwiał, porozsypywał się i pyłem porósł grubo. Resztki kul, żelazta, dzid, siekier, pomieszane były z rozsypaną klepką, połamanymi stoły i tarczanami.

Powietrzem wilgotnym i zatęchłym ledwie odechnąć było można.

W głębi sieni wąskie wschody kamienne prowadziły na górę. Tu drzwi kute staranniejsze, lepszego się mieszkania kazały spodziewać. Gdy odemknęli, Nikita postrzegł znowu salę sklepioną, z kominem i piecem na wysokich nogach, z oknami w blonach, głęboko w mur wpuszczonemi. Podłoga była drewniana popróchniała. W pośrodku stół na nogach krzyżowych, kilka krzeseł skórą obitych. W sieniach półki i szafki jeszcze się trzymały, i u drzwi kąpielnica, a nad nią Chrystus na krzyżu. Po kilku wschodkach wchodziło się ztąd do mniejszej izdebki, gdzie łóżko upadłe na ziemię i odarte stało. Kije od kotary malowane sterczały dziwnie się powychylawszy. Stolicek, szafa pusta, zydeł... nie więcej. I znowu dwa wschodki w dół, izba wąska, cegłą wyłożona, pusta... W niej okna wiatr powybijał i powietrze przechodziło. Na prawo wąskie drzwiczki wiodły do małej kaplicy. Poznać ją było można po drewnianym ołtarzu nagim i dwóch prostych lichtarzach. Nad nim obraz z ram się wywiesił na polu. Po bokach szafeczki małe, kilka zbutwiałych ksiąg kościelnych. Z kapliczki wąskie drzwi wiodły w korytarz, w którym znowu wschody były niewygodne do drugiego piętra, opuszczonego,

z powybijanemi oknami. Stał tu tylko kufer próżny, a w nim podarte papierów odwiecznych szmaty.

Nikita obszedłszy wszystko, zadumał się. Byłe ściany a dach, wszędzie można znośnie znaleźć schronienie. Do wielkich wygod nikt naówczas nie rościł prawa. Ale smutno było na starą wieżycę... wiało pustkowiem i śmiercią. Okna zabrukane, wąskie, mało przepuszczały światła; sklepienia niskie ciążyły nad głowami. Kamienne to było więzienie. Do dworów drewnianych przywykłymu zamek się wydawał strasznym. Nic nie mówiąc, drzwi tylko zostawiając otworem wszędzie, Nikita z parobkiem, towarzyszącym mu wiernie, spuścił się napowrót do sieni. Tu rozglądając się po ciemnych kątach, znalazł pod wschodami drzwi, ale do tych klucza nie było. Napróżno próbowali wszystkich, żaden nie wchodził. Wzięli się więc oba silnemi ramionami i skoble wysadzili. O mało nie popadali, gdy się ruszyły drzwi, a pod niemi pokazały wschody w dół.

Nikita posłał parobka po światło, ale może rad był się go pozbyć, bo zaledwie odszedł, znalazł po-dróznego kawał stoczek przy sobie, miał krzesiwo i knot nasiarkowany, zapalił więc łatwo i puścił się wilgotnemi stopniami w głąb. Lochy stały otworem, od kortyny tylko małemi okienkami gdzie niegdzie oświecone; potłuczone butelki i różne okrucy wały się po kątach. W jednym z nich mało znaczna kłapa dębowa, którą za ucho do góry podniósł, okrywała wschody znowu, lecz głębiej już się Nikicie iść nie chciało; zakrył otwór i obchodził inne lochy, gdy z góry głos parobka posłyszał. Parfen sam w te głębiny iść się nie ważył. Wrócił do niego dworak, i wydobyli się nareszcie na światło i powietrze dzienne.

Nikita pierwsze drzwi zaryglował, Parfenowi tyńfa dał, za co parobek mu się do nóg pokłonił, — i pociągnął, klucze schowawszy, do pierwszego dworu, gdzie wczoraj juki zostawił. Obszerna ta budowla zdawała mu się dla miecznikowej dogodniejszą, lecz wyraźny miał rozkaz, choćby niewygodne w stariej wieży przygotować mieszkanie.

Ledwie się, dumając, do juk wziął swoich, gdy drzwi otwarto, i młode czternastoletnie dziewczątko weszło, niosąc mu śniadanie. Bosonoga służka w szarjej koszuli, z wyblakłym włosiem w kosy splecionym i nad czołem obwiniełym, miała smętny uśmieszek na ustach. Widać w niej było stworzenie, którem się wszyscy posługiwali. Młodość nie doszedłszy do niej, uciekla. Cere miała zwiędłą, oczy zapadłe, wychudłe ramiona, chude ręce a zapracowane dłonie. Niosąc miskę, chleb i flaszkę, patrzyła w oczy nieznajomemu jakby wylekła i zdziwiona.

Postawiła śniadanie na małym stolczku, przysunęła ławkę, obejrzała się w koło, rączkami chwyciła za koniec fartuszka, i odsunawszy się ku drzwiom, ze spuszczonej oczyma czekała.

Nikicie się niebardzo jeść chciało.

— E, co wy na mnie będziecie czekali! — rzekł — ja powoli jem.

Dziewczę spojrzało bystro, zarumieniło się, jak te istoty się rumienia, którym krwi nawet na rumieniec nie staje, machnęło ręką, ale stało.

Nikita patrzył na to biedactwo.

— Jak tobie na imię?

Zasłoniła się fartuszkem i z za niego szepnęła:

— Horpyna!

Raz otworzywszy usta, ośmieliła się widać, i ciągle mnąc w rękę końce fartucha, poczęła cichutecznie:

— Pani z wami chce mówić, ale... ale...

Nikita patrzył ciekawie.

— Jak Tatiana pójdzie na miasto... bo ona donosi... a nie trzeba, żeby kto wiedział.

Odprawiwszy to trudne poselstwo, pomyślała chwilę czy już wszystko? i pędem skoczywszy do drzwi, wybiegła. Słychać było jej bosc nogi na wschodach.

Nikita się zamyślił, głową kręcił: tajemnica ta wydała mu się bardzo dziwną.

Około południa, nie mając co robić, poszedł w dziedziniec; potrzebaż było stajnie dla koni obmyśleć. Nie tu do nich podobnego nie było, ale pod kortynami kawał dachu jako tako osłaniał połamane i pogryzione żłoby. Niektóre z nich na ziemi leżały. Z biedą można było konie pomieścić. Parfen się za nim włóczył i pokazał mu nieco lepszą stajenkę, ale w tej kilka koni Dorszaka stało, pookrywanych derkami, i nie można się było spodziewać, ażeby chciały ustąpić. Wśród tych oględzin, Nikita spostrzegł otyłą kobietę, z twarzą nabrzęklą, która z koszykiem szła ku bramie. Domyśliłby się był w niej Tatiany, choć Parfen nie zawołał jej po imieniu. Musiał więc iść rozmówić się z panią; a zdało mu się, że najłatwiej będzie czekać w izbie na dole na ową małą Horpynkę. Zaledwie za sobą drzwi zamknął, zjawiała się ona w istocie, nie mówiąc nic i dając tylko znak ręką.

Nikita poszedł za nią na górę.

W tej samej izbie co wczoraj na sofie, siedziała Dorszakowa, czekając widać na niego. Po dniu wydała mu się wychudłą i bladą. Czarne oczy świeciły

jakby łzami obmyte. Zwróciła się zaraz do stojącego we drzwiach, palec kładąc na ustach.

— Człowiecze — zawołała — nie darmo cię panowie wysłali... rozum... mieć musisz... Między go tu za dwóch, bo nie będzie i tego za wiele, bądź ostrożny... Kraj to zły... ludzie niedobrzy... obyczaje pogańskie. Kto tu pozna zbójcę? Kto tu wie, który pocziwy?... Po bożemu przestrzegam... a nie mów nic nikomu. Wszystkich się strzedz trzeba, wszystkich. Nocą nie spać... dniem czuwać.

Ruszyła ramionami.

— Dnia ani godziny nie ma bezpiecznej, ja ci mówię.

— Bóg zapłać za dobre słowo! odpowiedział Nikita. My naród wojskowy, do wszystkiego nawykli... będziemy sobie rady dawali; a Bóg... od czegoż opieka jego?

— Tak, tak, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże — żywić coraz poczęła mówić kobieta. — To nie u was tam w Polsce, gdzie wszyscy swoi; tu wszyscy cudzy. Góry pełne włóczęgów, szlaki zbójców pełne, domy zdrajców i szpiegów, a szarańczę wiatr przynosi.

Westchnęła.

— Jeszcze stokrotnie mówię „Bóg zapłać” — odezwał się Nikita.

— Podstarości, mój mąż — dodała, oczy spuszczaając — a no, człek srogi... okrutny... popędliwy... Na swojego mówić — grzech; a nie przestrzedz — wina... co robić? Jątrzyć nie trzeba, a pokornym być też źle. Człowiek rozumny wie jak mówić i co czynić. Idźcie z Bogiem... dosyć... dosyć...

Zakryła sobie oczy rękami.

Nikicie żal się jój zrobiło.

— Niech Bóg stokroć płacił powtórzył raz jeszcze. O mnie tam niewiele chodzi, ale o moją panią, za którąby czek życie dał, a jak będzie potrzeba, każdy z nas je da.

— Po cóż kobietom jechać tu było? po co? powtórzyła Dorszakowa.

Nikita ramionami ruszył.

— A toć to się nazywa ich majątek! Jejmość nasza bardzo skrzętna, chciało się choć zobaczyć to pustkowie. Nie powiem, żeby kraj był zakazany, boć jak u nas pięknie, a miejscami oczy razi. Co po tém, kiedy ludzie niedobrzy, i dzień cały wsi ani czleka nie ujrzeć.

— Za to jeszcze Bogu dziękować, dodała Dorszakowa. Gorzej takiego spotkać, od którego życia i mienia prosić trzeba.

Niespokojnie obejrzała się do koła.

— Idźcie z Bogiem, rzekła; a milczcie. Palec położyła na ustach.

Nikita wyszedł. Nieopodal na czatach stojącą zobaczył Horpynkę, która doczekawszy się go, szybko wbiegła do pani.

Biednemu posłańcowi nie chciało się do izby powracać, tak mu to wszystko co widział i słyszał po głowie chodziło. Czuł potrzebę sam z sobą się naradzić.

Z téj narady wyszło to, co prawie zawsze: zdawało mu się, iż lękać się tak bardzo nie ma czego. Nie zastał tu wprawdzie tak dobrze, jak pragnął i spodziewał się, ale źle też nad miarę nie było. Nawykły do wypraw wojskowych po gorszych jeszcze pust-

kowiach, do niebezpieczeństwa, które wesolo i ochotczy się zwyciężało, niemal był rad, że tu z założonymi rękoma siedzieć nie było można. „Dorszak zły, to prawda — mówił w duchu — a jeden zły człowiek może wiele; są za to dobrzy drudzy, a nawet własna jego żona. I człowiek przestrzeżony, co wiele znaczy. Łatwo się więc mieć na 'baczności; a przecież nie ja sam tu będę... dopilnujemy go i nie zlego nie damy zrobić...”

Tak sobie mężstwa dodając, poszedł Nikita do starego Żyda.

— A co? rzekł, przywitawszy się: podstarości znowu na polowanie się wybrał.

Abram ramionami ruszył.

— Na polowanie! rzekł; ale na jaką zwierzyńcę on poluje, tego nikt nie wie, ani dokąd jeździ. Dosyć, że go nigdy w domu nie ma. Szczęście jeszcze, jeżeli na noc powróci. Gdzie bywa w gościnie i jakich tu czasem ludzi sprowadza, a jak im wszystkim z oczu patrzy... nu!

I zamilkł Żyd.

Nikita sobie powiedział, że musi na wszystko mieć oko.

Dzięki pani miecznikowój, w Mierzejewicach było jak mało w którym dworze dostatnio i z ładem, a na wet dla oczu miło.

Mało bo na świecie takich kobiet jak ona i niedarmo ją swą „Handzią złotą” pan miecznik nazywał. Stworzona była do pracy wesolój, jak ptaszyna. Nigdy się jej lice nie zachmurzyło, nie wyszło z ust narzeka-

nie, ani skarga na znużenie. Ubolewała tylko, że jej życie tak szybko upływało. Mąż rzadko w domu prześiadywał, był tu prawie gościem, ona stała za niego i za siebie.

Dzień był zużytkowany cały, żadnej chwili straconej. Inni też ludzie we dworze, widząc panią tak czynną i ochotczą do pracy, próżnować nie mogli. Ruszało się tam wszystko jak w mrowisku. Dwór był liczny, ale krom starego Deliana, rezydenta, który dla podeszłego wieku od pracy będąc wolny, jeszcze ryby łowił lub w ogródku dozorował, każdy miał zajęcie i nikomu odpoczywać nie było wolno.

Miecznikowa, choć córkę miała w latach szesnastu, sama wyglądała świeżo i młodo. Słusznego wzrostu, zbudowana silnie, krew z mlekiem, zęby jak perły, usta rumiane, oczy patrzące śmiało i prosto, mówiące szczerze, uprzedzały na pierwszy rzut oka ujmująco. Ale przy tym wszystkiem powaga była wielka i zmuszająca do poszanowania. Coś rycerskiego w sobie miała córka żołnierza, a mimo to wdzięk kobiecy i czułość niewieścią. Nie lubiła się stroić, a nigdy jej nikt nie widział opuszczonej od rana. Znajdowała to i mówiła otwarcie, że kobieta powinna starać się, aby pięknie wyglądała, ale nie jak papuga. Najczęściej też czarno bywała ubrana, ale świeżo i ze smakiem. Nie zlekła się ani konia, ani strzelby, bo ją ojciec nieboszczyk, syna nie mając, dla zabawy do wszystkiego przyuczał. Mówiono, że strzelała celnie, lecz poszedłszy za męża, już się tym nie bawiła.

Jadzi też swój nie uczyła strzelać, ale jej wlała swe męstwo i otwartość, oraz ten charakter rycerski a umysł wesoly, który nie daje nigdy upaść na duchu.

Młode dziewczę podobne było do matki, tylko smuk-

lejsze jeszcze i piękniejsze nad nią, bo rysy miała wypieszczone, delikatne, więcej niewieściego uroku i blasku. We dworze tak panienkę kochali wszyscy, żeby się za nią pozabijać dali. Dość jej było westchnąć czego, choćby nie skinęła nawet, co żyło sililo się spełnić jej życzenia.

Wdzięczny jej uśmiezek stał za nagrodę. Najstarszy ze wszystkich, blisko ośmdziesiątletni Delian, nie zapierał się tego, że był w niej rozmiłowany.

Cóż dopiero powiedzieć o młodym Janaszu, który się z nią prawie wychował i był jej najpilniejszym sługą, a jakby bratem? Prawda, że poczciwy Korczak, od dzieciństwa w tym domu, kochał tak samo miecznikową i miecznika, i poślubiał wszystkie sprawy i uczucia ich obojga, lecz dla Jadwisi życiaby nie żałował.

Małą dzieciną osieroconą, wynędniałą, przywieziono go z rozkazania miecznika do Mierzejewic. Byli mu ci Korczakowie dalekimi powinowatymi. Ojciec Janaszka, niegdy zamożny, całą majątność puścił w świat przez swawolę. Nie było sejmikowicza straszniejszego na niego, pił jak gąbka, rąbał się codzień, twarz miał całą popisaną szablami, z czego chluby szukał. Byłe słowo, pluł w garść i brał się do karabeli. Wiosek dwie poszło na biesiady z dobrymi przyjaciółmi, z których ani jednego nie stało, gdy go objęli i opili. Matka ze zgryzoty zmarła; nareszcie staro-go Korczaka, lepszy od niego rębacz, dojechał po karku tak, że nie wymówiwszy „Jezus,” padł krwią oblany. Zostało dziecko sierota, którym się tak krewni opiekowali, że mu gęsi pasać dawano. Zmizerował się biedak i o mało nie zmarł, gdy go miecznik przygarnął. Przywieziono na furze do Mierzejewic

tylko cień dziecka w podartej koszulinie; bosa to było, brudne i ledwie dyszące. Miecznikowstwo oboje litość mając nad nim, szczerze się wzięli, aby to odchuchać. Jakoż wprędce dziecka poznać nie było można. Chłopak był rzadkiej piękności, a gdy na dostatniejszy chleb popadł, rosło to jak na drożdżach i wybujalo na panicza. W zarodku snadź miał tę naturę szlachetną, a że wpadł między dobrych ludzi, stał się z niego chłopak, którym pochwalić się mogli miecznikowstwo. Zrazu go w domu uczył przyjęty bakałarz, potem go dano do szkół do Lublina, gdzie cheiwie naukę łykał, wreszcie przy mieczniku się na żołnierza usposobił. Łatwo mu szło wszystko, bo umysł był bystry, i Zboiński mawiał:

— Nie ma to jak gdy człek za młodu biedy zażyje, potem buja jeszcze raźniej, i wszystko mu dobre, i wszystko łatwe.

Była to prawa ręka we dworze, do wszystkiego, choć sercem najwięcej miłował rycerską sprawę i życie. Koń, szabla, rusznica, łuk, najmiłszymi mu były zabawami. Ale z prawnikami o jurysprudencji nieczego umiał się rozprawić, z księdzem o rzeczach świętych, ze starymi o przeszłych.

We dworze niemal jak własne dziecko go utrzymywano. Ale Janasz dobrze pamiętał czém był i co był winien miecznikowstwu; więc im mu więcej było wolno, tém mniej z tego korzystał, bo dziwnie był skromny i pokorny.

Dosyć powiedzieć, iż mając szesnastoletnią córkę w domu, miecznikowstwo z powodu tego ślicznego chłopca dwudziestoletniego, najmniejszej troski nie miało. Kochało się to po bożemu, jak brat z siostrą, nie tając, nie kryjąc, ani pragnąc więcej nic nad to, że-

by z sobą codziennie mówić, uśmiechnąć się sobie mogli i jedno drugiemu usłużyć. Często bardzo przy Janaszu rozprawiano o przyszłych losach dziedziczki Mierzejewie, dla której się bodaj kogoś z senatorskiego domu spodziewać godziło. Janaszek tylko jedyne go pragnął i życzył: aby człek był jój godzien.

Jadzia żartowała z Korczaka, że się on kiedyś ożeni, i naiwnie prorokowała posażną pannę i piękną wioskę. Prawda, że tak zagadnięty Janasz czerwieniał mocno, i z zapalem wielkim zaręczał, że się nigdy nie ożeni, że rycersko chce służyć, a żołnierzowi żonatym być nie przystało, bo mu zawsze serca braknie, gdy rodzinę wspomni. Czasem aż do przysięgi się na to rwał, ale się z niego śmiano, a nie dopuszczano na lekko się kłąć, bo wówczas jurament w oczach Boga tak wiązał człowieka, iż go żadna siła w świecie z niego rozwiązać nie mogła...

Pomimo młodego wieku, miał Korczak tyle doświadczenia, zimnej krwi i wytrawności, iż mu miecznik rodziny powierzyć się nie wahał. Dwór też cały był dobrany tak, że nim ani miecznikowa, ani on kłopotu mieć nie mogli. Złego się sam w Mierzejewicach nie uchowało długo.

Ks. Żudra, kapelan, niegdyś także towarzysz z chorągwi hetmańskiej, choć ksiądz, mężny był i spokojnego ducha, a roztropności wielkiej. Często się go miecznik radził, i dla Janasza w drodze wielką mógł być pomocą; bo choć w krajach tamtych nie bywał, tyle z ludźmi różnymi przestawał, tyle się po świecie nasłuchał, iż więcej od drugich wiedział...

Sześciu ludzi czeladzi dobrano co najteższych i pewnych, chłop w chłop. Hajducy, Hołoba i Trakie-

wiecz, głową przerastali wszystkich, a byli też na taką wyprawę jakby stworzeni.

Obaj prawie w obozie się wychowali, a niełatwo ich było czym ustraszyc. Najslabszy ze wszystkich Węgrzynek Giczy, choć pono z Węgrów pochodził, wychowany z dziecka na dworze, przyswoił się zupełnie, a był zwinny, żwawy, trochę łotrowaty, ale odważny jak stary i gotów się porwać na olbrzyma.

Chociaż miecznikowa wcale się o tę podróż nie troszczyła, będąc pewna, że Turcy i Tatarowie co innego teraz mają do czynienia,—sam stary, nie trwając się, ludziom pojedynczo zalecił jak największą ostrożność w podróży. Konry, brat Nikity, miał zawsze poprzedzać na kilka godzin dwór, a dano mu najlepszego konia, aby w razie niebezpieczeństwa jakiego mógł zawrócić i w czas dopaść z oznajmieniem. Dwóch ludzi składało straż tylną, reszta się gromadziła około kolebki, wozu, na którym jechał ks. Żudra, i drugiego z obrokami zapaśnemi i kuchnią.

Jesień bardzo szczęśliwie trafiła się ciepła i pogodna. Noce bywały chłodne, ale dni gorące prawie... Jadzia, która niewiele podróżowała, dziwiła się i cieszyła wszystkiemu, miastom i kościołom, wsiom i lasom, i górcom zielonym, i różnemu ubiorowi, i rozmaitej mowie ludzi.

Pierwsze dni podróży szły bardzo pomyślnie: koń nie zakulał, koło się żadne nie popsulo, nie zgubiono nic, a mimo krzyżujących się dróg, nigdzie się nie zbłąkano. Miecznik na karcie wypisał cały szlak i niemal popasy a nocegi tak rozumnie, iż się jego drogowskazu trzymało, nie zmieniać nie potrzebując...

Janasz Korczak prawie cały czas przy kolebce je-

chał konno, pannie tłómacząc co rozumiał, i ukazując co mu w oczy wpadło.

Kawalkata była pańska, i ludzie jój z gościńca ustępowali chętnie, kłaniając się nisko...

Na popasach i noclegach, gdzie tylko kościół znalazł ksiądz Żudra, zachodził na plebanie lub do klasztoru, dostając języka, a często i serdeczne przyjęcie.

Tak znacznieszą część drogi odbyto, i Wołyn przejechała miecznikowa szczęśliwie. Zbliżano się do granic Podola i do Gródka. Konie trochę były znużone, więc w Starym Konstantynowie dzień spocząć zamierzano. Kraj okoliczny, żyzny i piękny podobał się wielce; mniej miejscina licha, w której tylko zamku reszty, dominikański i kapucyński klasztor całą były ozdobą. Dom zajęto w rynku i rozgościli się swobodnie oddychając, a też i deszcz jesienny, który długo wisiał nad nimi, lać zaczął... Ks. Żudra nie zważając nań, poszedł zaraz do kks. Dominikanów.

Było to nad wieczorem. Przeora znalazł w domu, i trafem dziwnym był nim dawny 'znajomy, niegdyś żołnierz także, którego potem w habicie spotykał ks. Żudra—ks. Jacek Zajac.

Zobaczywszy go, aż się przeor przeżegnał.

— A ty tu ojciec co robisz? Wszelki duch pana Boga chwali! Zkądś się wziął?

— Z deszczem spadłem, śmiejąc się odparł kapełan.

Posadziwszy go tedy i lampeczkę wina kazawszy przynieść, począł wypytywać ks. Zajac... Wszyscy naówczas ciekawi byli téj wyprawy króla Jana przeciwko niewiernym, o której sława się rozchodziła, że w lidze z innymi monarchami chrześciańskimi

zadać może cios śmiertelny potędzie Turków w Europie.

Tu na kresach niemal siedząc, daleko mniej wiadzano co się na drugiej granicy działo, więc pytań było bez końca. O ile mógł zaspakajał je ks. Żudra.

— Ojciec najprzewielebniejszy, rzekł w końcu: dajcież mi też dopytać się u was o to. czego potrzeba...

— Mów, księżuniu, odparł przeor weselo...

— Macie tedy wiedzieć, że ja tu nie sam przybył i nie *per pedes apostolorum*, ale z dworem mojej pani a dobrodziejki, pani miecznikowej Zboińskiej z Mierzejewic... Jedziemy, mogę powiedzieć, na kraj świata. Święta i zacna jest pani nasza, ale gdy czego zapragnie—rozstąpi się ziemia—musi to być. Mają miecznikowstwo z dawnych lat na samém Podolu pograniczu...

— Gródek— przerwał przeor—znam, wiem, bom tam bywał.

— Chwałaż Ci Panie! zawołał powstając Żudra. To mi przynajmniej powiedzieć możecie coś o nim, i jak tam dojechać, i jak tam poczynąć.

Przeor się zdawał namyslać chwilę, a Żudrze w oczy patrzył.

— Ze wszelkim respektem dla pani miecznikowej waszój—począł—powiem wam, że prawdziwie kobiecym rozumem sobie tę podróż osnuła. Dojechać możecie; ale żebyście mieli cało powrócić—za to nikt rozumny nie zaręczy...

— Dla czego? zawołał przestraszony Żudra, ręce łamiąc.

— Dla tego, że niebezpieczniejszego kąta nad ten w świecie nie ma. Tatarowie Lipki, włóczęgi, bandy najrozmaitszego tałalajstwa tam sobie na kraju obra-

ly siedlisko. Cóż wy im prosto w paszczę leżę chcecie?

Zatrzymał się ks. przeor i dodał po chwili:

— Nie macie nic lepszego do czynienia tylko wypocząwszy w Konstantynowie, w Imię Boże zawrócić do domu.

— Ale to nie może być! to być nie może! rzekł ks. Żudra. Trzeba znać miecznikową—*hic mulier*; córka też dziecko prawie, ale męznego ducha.

— Co? i z dzieckiem się wybrała? zakrzyknął przeor, dźwignąwszy ramionami. Głowyście potracili....

Niezmiernie się zmieszał ks. Żudra.

— Co tu począć?

— Co począć? zawracać! mówię wam, o podróży nie myśleć! Sądziecie, że wszyscy Tatarowie poszli na Wiedeń? Zostało tój szarańczy do zbytku po rubieżach... Nieprzebrana ćma na granicach czatuje, aby plondrowała...

Widząc, że Żudra, głowę w rękach ukrywając, mocno się zadumał, przeor mówił ciągle chodząc i czarnego pociągając pasa, bo był dosyć otyły i miał zwyczaj go zawsze poprawiać, żeby mu do góry nie zbiegał.

— Nie chcę wam próżnego czynić strachu; ale niedosyć, że Gródek ten w dziurze na samiutkiej granicy, a trzy zameczki też Turkami poosadzane—jeszcze tam mieszka istny dyabeł, któregoście sami zainstallowali... Wiecie dla czego nigdy na Gródek napaści nie było? bo ten łotr Dorszak z Tatarami się zna, na wioski ich naprowadza, łupami z nimi się dzieli. Znają go w okolicy, a wszyscy przed nim drżą. Udaając się za dziedzica Gródka, boć tём prawie jest, je-

śli nie *de jure*, to *de hajda*—ożenił się z córką bogatego Ormianina w Kamieńcu, której tam męczeńskie z nim życie... Wszyscy o tём wiedzą... Gdyby się udało królowi Janowi Turka wypędzić precz, niejednego rachunek z Dorszakiem przyszedł na stół do likwidacyi... Łotr z pod ciemnej gwiazdy! zakończył przeor, — ma w tём interes, aby mu tam nikt wody nie mącił, a miecznikowa sama mu się jedzie oddać w ręce.... — Co—chyba szaleństwo.

— Mój ojcze, myśmy o tём weale nie wiedzieli, to są rzeczy nowe — zawołał Żudra... Łaska boża i prawdziwa Opatrzność, żem jakimś instynktem wiedziony tu zaszedł i z wami się spotkał. To jedno ocalić nas może... Ale, mój ojcze, wy mi tego, dla miłości Zbawiciela, nie odmówicie, że pójdziecie ze mną do miecznikowej. Choć to wszystko jasne, choć rozum mówi: „Wracajcie pókiście cali,”—myślicie, że ja wierzę w to, iż się ta kobieta zleknie i wróci?

Ruszył ramionami. Przeor się uśmiechnął.

— Jużciż pani rozumna...

— Daj Boże każdemu...

— Dziecko kocha...

— Rozpada się za niém... ale, mój ojcze, to córka żołnierza i serce rycerskie... Ludzie, dwór, córka, wszyscy, choć dziś na koń i na Tatara... Któż ich wie? im to jeszcze pachnąć gotowo co nas trwogą przejmuje.

— A no, dobrze—pochwycił przeor—gdyby mieli z sobą choć z pięćset ludzi dobrze zbrojnych... a wieleż was jest?

— Wszystko wszystkiém do dwudziestu się ledwie dolieczy...

Przeor głośno śmiać się począł, lampkę swoją wychylił, i kładnąc rękę szeroką i pulchną na ramieniu ks. Żudry, rzekł:

— Uspokójcie się—nie damy jęj zrobić tego szaleństwa. Pójdę do niej jutro sam, albo lepiej zaprosicie ją do nas na mszę świętą. Odśpiewam sam wotywę na ich intencję do Ducha Świętego—potem na śniadańko do mnie... Rozmówimy się, a już ja będę wiedział jak mówić.

— Miecznik wam będzie wdzięczny, poparł Żudra. Okrutnie był markotny... bardzo się temu przeciwil... ale jejmości się zapragnęło, dziecku też... nie było sposobu...

— To tylko dowód, jak wy z dala kraju nie znacie—mówił przeor—kiedyście tam sobie mogli ten utrapiony kąt wyobrażać bezpiecznym...

Rozmawiali jeszcze długo. Kapelan wyszedł jak zwarzony. Msza była zamówiona na godzinę dziesiątą. Powrócił do gospody do miecznikowej, wspomniął o przeorze, o zaproszeniu, przebąknął coś o tém, że ludzie o okolicy, do której zmierzali, nie najlepiej mówią, ale szeroko się nie rozgadując, odłożył sprawę do jutra, na przeora ją zdawszy.

Szczęściem nazajutrz się wyjaśniło z rana, zostało tylko owo nieprzebrnione błoto wołyńskie, w którym ludzie częstokroć bóty gubią, tak dobrze za nogi chwytają... Zaprzężono kolebkę, bo od Rynku do Dominikanów kawał drogi był dobry, a po tarcicach i cegłach przejście niewygodne.

Kościół dziś stojący ruiną, naówczas wspaniale wyglądał. Ledwie weszli do niego miecznikowa z córką, kapelan, i Janasz, i służba, wnet zasygnowano na wotywę, i wystąpił przeor z asystencją przed ołtarz

Ś. Ducha... Zagrały organy, uradowały się dusze, bo nabożeństwo było piękne i wspaniałe... Zaledwie się skończyło, a ks. Zajac przyszedł z pateną do miecznikowej, kapelan, który już wszystkie drogi znał, poprowadził gości do celi przeora. Tam go nie zastali jeszcze, bo się modlił po mszy, ale śniadanie gotowe było, a niewiele poczekawszy i ks. Zajac z wesołą twarzą się zjawił, witając miłych gości i wyrażając radość, że ich w ubogim klasztorze przyjmować może.

Przyjęcie wszakże wcale ubóstwa nie oznajmowało, i owszem obfite było i okazałe... Poczęła się rozmowa wesoła...

— Mówił mi wezoraj mój stary przyjaciel ks. Żudra — rzekł przeor — że się pani miecznikowa do Gródka wybrała: uszom wierzyć nie chciałem.

— A to dla czego, ks. przeorze dobrodzieju?...

— Boć to sama turecka granica, i sam zbójceki kąt, osławiony, dokąd z dobrej woli niktby dziś się nie wybrał.

Spojrzał na panią miecznikową, która właśnie śliwki z rożenka zdejmowała, lecz na jęj twarzy najmniejszej alteracyi znaku nie dostrzegł.

— A! mój ojeze, odpowiedziała śmiejąc się—strachy na Lachy... Z daleka wszystko straszne; ale my jakos, choć kobiety, mężne serca mamy i nie trwożymy się, jak widzicie.

Przeor spojrzał na Żudrę, Żudra na niego...—Żle...

— Piękna to rzecz męztwo, odparł Dominikanin; ale napróżno się narażać...

— Cóż i kto nam uczynić może? zapytała miecznikowa...

— Najprzód i droga, dojeżdżając wawozami, niebardzo od napaści bezpieczna, mówił przeor. Powtó-

re—nie chcemi się mówić... ale podstarości Dorszak w zły jest renomie. Ludzie go posądzają, że z rabusiami Lipkami na jedno targuje...

— Toć dla nas bezpieczeństwo! odezwała się spokojnie miecznikowa: bo swoim panom nie da krzywdy uczynić...

— A myślisz pani, że im tam rad ów będzie? spytał ksiądz.

Miecznikowa trochę się zastanowiła.

— Może to być—rzekła—a no, boża pomoc i opieka nie dopuści złego. Tyle się już drogi odbyło, niewiele co pozostało; gdybyśmy stehórzywszy powróciły, śmiechby był niemały.

— Przyznam się jasnie wielmożnej miecznikowej—przerwał przeor—iż wolę śmiech niż płacz...

— Bóg nie dopuści, spokojnie odparła pani Zbońska. Jest nas kupka, ludzie dobrze zbrojni...

— Jeśli o stu Tatarów idzie—wtrącił się Janasz—ja z naszymi ludźmi stawię czoło śmiało, ani dbam; więcej zaś ich tam trudno pono teraz znaleźć, bo to się wszystko powlokło pod Wiedeń...

— Co asindziej mówisz! zakrzyknął gorąco Dominikanin. Wy tych krajów nie znacie. Mrówia tyle tam jest, że gdyby kilkadziesiąt tysięcy wyszło, dosyć na naszą klęskę zostanie. Niedawno dwie wsie w perzynę poszły, z dwóch dworów szlachtę poprowadzili w jassyr...

Miecznikowa patrzyła na mówiącego nie ulęknioma...

— Jest-ci tam zamek obronny... rzekła,—gdyby i napadli...

— E! tobyśmy się obroniły! zawołała Jadzia wesolo...

— Myśmy niedarmo żołnierskie córki i żony, dodała miecznikowa: dałybyśmy sobie rady! Al gdybyś ks. przeorze dobrodzieju, naszych ludzi znał i ich męztwo, mógłbyś być tak spokojny, jak ja jestem...

Ks. Zając tak był zdziwiony, iż mu na chwilę mowę odjęło. Patrzył na te kobiety nieulęknięte, słuchał ich spokojnych odpowiedzi, i żegnał się nieznaczenie, pojąć tego nie mogąc.

Nareszcie westchnął głęboko.

— Życzę się dobrze namyślić—dodał,—bo niebezpieczeństwo większe może niż się zdaje...

— I wdzięczni jesteśmy jegomości dobrodziejowi za przestrożę, odezwała się miecznikowa; bo go połowa ubywa, jak skoro o nim wiemy.

Spojrzała na Janasza, któremu się oczy zaiskrzyły.

— Nie prawdaż Janasz—rzekła—że nam przez to nie ubędzie serca?

— Urośnie go chyba! odparł żwawo Korczak.

— Z uwielbieniem na to patrzę—wtrącił przeor—ale proszę o jedno. Nie wierzycie mi, albo lekko bierzecie co mówię; raczcie ludzi spytać... niech powiedzą inni.

W tej chwili po czoło się uderzył.

— Za pozwoleniem! dodał: właśnie w kościele widział szlacheica, którego brat u nas w nowicyacie jest, Sieniuta się zowie... Z tamtych bodaj stron jedzie... Jeśli go zastanę, poproszę go, żeby przyszedł zdać sprawę.

Ruszył się przeor ku drzwiom, i braciszкови coś szepnąwszy do ucha, wysłał go zaraz po Sieniutę.

Kilkanaście minut upłynęło, nim się drzwi otwały znowu i szlacheica wprowadzono, który przede-

wszystkiem przeora w rękę pocałował i niedaleko od progu zajął miejsce.

Osobliwa to była figura, więcéj do siodła stworzona niż do piechoty... Mały, nogi miał od jazdy pokrzywione jak dwa kabłąki, ramiona niemal téj szerokości ile wzrost trzymał wyżyny, na nich głowa wielka, podgolona, z wąsem wiechciastym, czoło jakby trzema cięciami, trzema zmarszczkami grubemi przerzniete... Ręce spadały mu niemal do kolan, a bity do nich z drugiej strony dochodziły... Gruba kurtka pasem nabijanym ściągnięta, okrywała mu pierś szeroką... Stać był może nie nawykł, bo się niespokojnie z jedną na drugą nogę przechylał i deptał, a że jeszcze mówić nie miał co, więc chrząkał.

— Panie cześnikowiczu — odezwał się przeor — podobno od granicy jedziecie?

Tubalnym, nieco schrypłym głosem, rozśmiał się najprzód, gładząc czuprynę cześnikowicz Sieniuta.

— A no! a juścić, rzekł—co—bo to to... mosanie tego... (tu westchnął), rodzice kwaśne jabłka jedli, a dzieciom zęby cierpną... ale! mosanie... Mielśmy tam piękne dobra! a teraz na psy zesłiśmy! Ja ledwie na chutorze... a brat w klasztorze, i oba goli... mosanie—ale tego!

Pogladził się po czuprynie znowu, na drugą nogę przestąpił, chrząknął i dorzucił:

— A juścić...

— I cóż tam słyhać? spokojnie? pytał ks. Zając...

Sieniuta się śmiać począł i głowę trzeć a chrząkać... Chrząkanie mu snadź służyło do zebrania myśli...

— Kiedyż to, mosanie, tego... z pozwoleniem... w osiem gnieździe spokojnie? ale? ale?

— Ale Tatarów nie ma? zapytał ksiądz.

— Jak nie ma? Tego paskudztwa kiedyżby to nie było? Ich nie ma a są! Pochowają się—ale tego — w mysze dziury... a razem...

Tu szlachcic wrzasnął, naśladując wrzask dziczy, aż kobiety wezdrzęły:

— Razem... jak gradu! jak gradu!

Trudno się było z fantastycznym panem Sieniutą rozmówić; więc przeor wprost rzekł:

— Jaśnie wielmożna miecznikowa Zboińska własnie się oto wybrała do swoich dóbr... pewnie je cześnikowicz znasz... ten Gródek, co na granicy?

— A to Dorszaka Gródek? podchwycił Sieniuta.

— To nasz podstarości! rzekła miecznikowa.

Sieniuta oczy mocno rozwarł i usta oddał.

— Ale tego—bąknął — a on się tam dziedzicem i panem mieni... A co mnie do tego, niech będzie czyje chce!

I ręką zamachnął...

— A bezpiecznież tam jechać? spytał ksiądz...

Cześnikowicz stąpając z nogi na nogę, namyslał się i ochrzękiwał.

— Łgać przed j. w. panią i przed imé ks. przeorem najlaskawszym, u którego mój rodzony znalazł przytułek — niech mnie Matka Bozka broni... rzekł powoli. To się po Sieniucie nie okaże... Zesłiśmy na psy—nie ma słowa; aleśmy psu oczu nie sprzedali—ale tego... Więc powiem całą prawdę... Dorszak urwisz, a okolica—jak w pokrzywach...

Chrzęknął mocniéj jeszcze.

— A no, żeby dla wilka nie iść w las—to znowu,

mosanie—ale tego, nie wypada... Może być termeya—może ująć na sucho... Na dwoje babka wróżyła. Człowiek się raz rodzi i raz umiera...

Miecznikowa się uśmiechnęła.

— Masz waćpan zupełną słuszność, panie cześnikowiczu — zawołała. Ja dla tego jadę właśnie, że Dorszak urwisz... boć go ztamtąd wyprzeć raz trzeba. Dziesięć lat złamanego grosza nie daje.

Cześnikowicz oczyma błysnął.

— A kutwa — ale tego, pieniędzy ma jak Żyd... poczał — i zkąd? Bóg jeden wie, on drugi, dyabeł trzeci... a Tatar czwarty... Hm! hm!

Ruszył się bardzo żywo.

— Dokąd waćpan jedziesz panie Sieniuto? spytała miecznikowa.

— Niby to ja? wskazując na pierś palcem, odezwał się szlachcię.

— Tak, waćpan...

— Przyjechałem brata odwiedzić, bo mi się śniło, że jadł kwaśne mleko... myślałem, uchowaj Boże, czy mu się jakie nie trafiło nieszczęście... No! a złożywszy rewerencyę ks. przeorowi i uściskawszy brata — co mam robić? Na chutor mój powrócę.

— W tę samą stronę?

— Ono to w tę samą...

— Przyłączcie się waszmość do nas, zawołała miecznikowa: najprzód koń nie kosztować nie będzie; a potem, jak da Bóg do Gródka... jeszcze się coś znajdzie...

Sklonił się do samej ziemi cześnikowicz i odezwał:

— Na prowodyra zdam się — a gdyby przyszło

i ognia krzesać... przecież to Sieniutów krew... nie zawiedzie... Klnę się — ale tego — i sumbittuję...

Próżno już było i pracować nad panią miecznikową, która pożegnawszy przeora, zostawiając ofiarę na kościół, odjechała do gospody... dokąd Sieniuta się na wieczór stawić obiecał, oznajmiwszy, że ma samopał, pistolet i szablę...

Zaraz tedy nie czekając, broń kazano w Konstantynowie opatrzyć, ludziom ładunki pobrać... a że się pod noc jaskrawo wyjaśniło, nazajutrz w dalszą podróż do dnia wyruszyć miano.

Wedle zapowiedzi cześnikowicza Sieniuty, który z samopałem, węża nastrzępiwszy, jechał przodem, miała tylko już pozostawała do Gródka. Kraj coraz się stawał dzikszym, piękniejszym, górzystym, a droga coraz gorszą. Na tę jedną milę parę godzin dnia pozostałych nie było za wiele, gdyż wlec się musiano niemal noga za nogą. Powymywane ścieżyny, które mi tylko dwukółowe arby czasem się przewlokły, na kolebkę za ciasne, pełne kamieni i dołów, niezmiernie utrudniały drogę, tak, że powóz to z jednej to z drugiej strony ludzie podtrzymywać musieli i prawie na rękach unosić, aby się nie wywrócił... Zarośłami okryte wzgórza pustemi się zdawały i niemielami. Płactwa nawet, co je ożywiało latem, większa część odleciała. Kiedy niekiedy orzeł się majestatycznie podnosił do góry, płynął powoli, stawał w powietrzu i zdawał rozglądać po ziemi... W krzakach czasem za-

szeleściło, jakby zwierz pomknął spłoszony... i znowu cisza do koła... uroczysta... a smętna...

Miecznikowa i Jadzia ciekawie wyglądały z powozu obie... Po drodze żywój nie spotkano duszy. Z rana tego dnia jak przez brudne mrowisko przejechali obronną ręką przez obóz cygański. Rzuciła się ta dziec pod pozorem żebraniny, a w rzeczy samej dla kradzieży, na powozy i ludzi. Miecznikowa garść groszaków sypnęła, aby się pozbyć, a ludzie musieli do szabli się później brać, aby łapiących konie za uźdę przepłoszyć. Jednego luźnego, co się uląkłszy ode-rwał, już byli Cygani pochwycili i gnali z nim w las, gdy Sieniuta dopędził ich, dał ognia na wiatr, płazem kilku poczęstował i konia odzyskał.

Od tej pory człowieka, ani zwierza, ani mieszkania ludzkiego już nie spotkali. Kilka spalonych wę-głów i osmalonych kominów stało nad drogą. Na jed-ném takiem rumowisku popasać musieli, korzystając z tego, że w bliskości dobra dla koni była woda i pa-sza, bo o sianie już ani mowy nie było.

Kraj jednak dziwnie był piękny, jakby na ludzi czekał z bogactwy swojemi. Wszystko rosło bujnie, wysoko, gęsto. Ale dawniej uprawne pola leżały od-łogami, a wśród nich ledwie gdzie zdziczałe żyto co się samo siało, dawało świadectwo o przeszłości. Na wzgórzach widać było czasem nagie ściany zamków obalonych, które chwasty i zarośla na pół okrywały.

Ku wieczorowi droga, którą Sieniuta prowadził, weisnęła się między góry i wąwozy. Rzadko gdzie za-zieleniała dolina. Dębina krzywa pokrywała wzgórza i zarośla tak gęsto, że oko o krok nie dojrzeć nie mogło.

Janaszek jechał już teraz z Sieniutą, bo przy po-

wozie miejsca nie było. Czasami tylko dobiegł do drzewczek, aby coś powiedzieć, o coś spytać, w oczy spojrzeć Jadzi, i z nich odgadnąć, czy czego nie pra-gnie? Dziewczę ciągle główkę wychylało, dziwując się bożemu światu. Wieczór złościł się piękny, niebo jasne, a gdzie promień padł słoneczny, jakby złotogło-wiem wysłał drogę. Nad drogą — choć późna jesień była, gdzieniegdzie spóźniony kwiatek oczy i ręce nęcił. Stał jakby zdziwiony w pośród łądóg suchych, gość nieproszony a smutny. Niektóre drzewa jeszcze były zielone, inne żółte, inne rumiane, na niewielu wiatr wysuszył liście i otrząsł. Wśród tej ciszy, gdy powóz się zatrzymał, aby obmyślić jaką przeprawę, słychać było szmer strumieni, które z gór, bełkocząc płynęły spienione w dolinę.

Sieniuta jechał rozglądając się bacznie z powagą hetmańską, którą starój krwi swój przepisywał; za nim Janasz, oczyma biegając ciekawemi po górach. Ludzie nie śmieli się odzywać, ale wielce się im ten piękny kraj pustynny, z jego drogami piekielnymi kłąć chciało. Ksiądz Żudra na wozie, dobywszy bre-wiarz, pacierze odmawiał, a Boga wielbił. Na drugim Franka, jedyna niewiasta do posług wzięta, którą ciągle rozbójnikami straszono, z trwogi, błąda, ręce łamała.

Godzinę się już tak coraz ciemniejszymi wąwoza-mi wleczono, słońce skryło się za górami, choć jesz-cze nie było zaszło, zaczynało się robić ciemno, i Sie-niuta dla złych dróg radził pośpieszać.

Miecznikowa widząc się już niemal u portu, try-umfowała po trosze, że się próżnym strachom odwieść od swego zamiaru nie dała. Gródka tylko co nie by-ło widać.

Jadzię bawilo wszystko, a wiele rzeczy zdało się jej całkiem nowemi. Kraj w istocie cale różną przybierał postać; aż do skał i kamieni nieznane to były istoty.

Zmierzech padał, gdy Janaszek do drzwi przyskoczył, że wąż ostatni się kończy, i że zamek gródecki za chwilę zobaczą.

Nie było już sposobu miecznikowej i Jadzi utrzymać, w powozie którego firanki widok zasłaniały. Każały stanąć i wysiadły. W istocie wąż szeroko otwarty, dozwalał spojrzeć na ciasną dolinę, wśród której na cyplu, oświecony odbłaskiem luny zachodniej, szary zameczek się wznosił.

Miecznikowa odmawiała modlitewkę dziękczynną. Jadzia także. Oczy jej promieniały.

Snadź się po zamku jednak czegoś innego spodziewać musiała, wydał się jej ponurą ruiną, bo szepnęła matce:

— Dzikie to matuniu, i smutne...

Jeszcze nędzniej od zamku wydawało się miasteczko ze swemi domowstwami z chróstu i gliny, z karczmami, pozapadanemi w ziemię. Wszyscy ludzie też patrzali na zamek ciekawie, ale wesołemi oczyma. W istocie podobny był do niemieszkalnej ruiny. Z jednego kominu trochę się dymu wilo do góry.

Powozy i konie stały tak chwilę, wydobywając się z wąwozu, aż Sieniuta zakomenderował, że czas jechać, bo mrok potem nagle chwyci. W istocie, im niebo czyściejsze, a chmur mniej, które, jak zwierciadła, resztki światła dłużej ku ziemi odbijają, tym noc nadchodzi naglej. Ruszyli więc powoli, bo już nie było pół godziny drogi do zamku.

Miasteczko coraz wyraźniej się pokazywało. W nie-

których oknach czerwone zabłyskiwały światełka. Już się ku niemu zbliżali, gdy pędem na koniu nadbiegł jeździec. Zbliżył się ku powozowi, czapkę do góry uniósł i okrzykiem radosnym witał. Był to Nikita, który z dala u wężu dostrzegłszy kawalkatę, konia dosiadł i wybiegł panią powitać. Okrzykiem też go przywitała miecznikowa.

— Jest gdzie przenocować? zapytała.

Nikita ramionami ruszył.

— A jużcie—rzekł—ale nie na gody pani tu jesteście... ano, o tym potem—dobrze, że szczęśliwie i zdrowo. Pocałował w rękę.

— Jeszcze z p. Janaszem słówko mam do pogadania. I odbiegłszy, na konia siadł, aby przodem jadącego dognać.

Sieniuta z samopalem u siodła składał straż przednią; można więc było rozmówić się swobodnie. Janaszka lubili wszyscy.

— Panie—szepnął, doganiając go Nikita—dlugoby gadać, com ja tu zastał; powiem jednem słowem: źle się święci, trzeba się mieć dzień i noc na baczności i z oka nie spuszczać Dorszaka.

— Już nas po trosze uprzedzono, rzekł Janasz; ale ja serce przez to nie tracę... Zamek ty znasz dobrze?

Wszystkie kąty schodziłem, w każdą dziurę zajrzałem, rzekł Nikita.

— Ludzi on tam swoich dużo ma? — pytał Korczak.

— Tego tam nie ma co i liczyć; ale z kim on się wacha, Bóg jeden wie. Zamek dwójaki: dolny i górny. Oprócz kolebki i koni, które muszą bodaj zostać

na dolnym, nam ani popasać, tylko wszystek górny zając samym i nikogo tam więcej nie puszczać. Prawda, że się wrota nie zamykają, alem ja je opatrzył; jak my się weźmiemy do nich, muszą się zawrzeć.

— Nie odchodźże odemnie i bądź mi do pomocy, szepnął Janasz. Na ciebie liczę, jak na siebie samego.

— O! musimy się krzepko trzymać, chcemy-li wyjść cało... mruknął Nikita. Dorszak nie głupi, będzie pewno pani nadskakiwał i udawał wiernego sługę; ale panią ostrzedz należy.

— Och! och! rzekł Janasz: odgadnie ona go przez skórę.

Tak rozmawiając zbliżali się do miasteczka, a że z niego na dolinę był widok otwarty i ludzie powozy łatwo dojrzeli, wysypała się cała ludność na targowicę. Zbierana to była drużyna, po większej części osiedlone włóczęgi: Wołochy, Rusiny, Ormianie, niewiadomego pochodzenia ludzie, powierzchowności dziki i niewiele obiecującej. Stali w koszulach, w narzuconych na ramiona świtach, w kurtach, jedni z głowami podgolonemi, drudzy z włosami długimi na ramionach, jedni z odkrytymi, drudzy w czapkach baranich i krymkach tatarskich, dzikiemi patrząc oczyma, ponuro i groźnie. Przed karczmannami stali Żydzi, Żydówki i dzieci.

Miecznikowa i Jadzia spoglądały z ciekawością. Powóz z wolna sunął się ku mostowi zamkowemu. Tu dojechawszy, Nikita skoczył, radząc pani, aby wysiadła, bo most był niebardzo pewien, i życzył też konie przeprowadzić, a kolebkę przepchnąć. Z drugiej strony za mostem już widać było Dorszaka, który, choć mu się twarz od złości i gniewu krzywiła, stał ubra-

ny paradnie—żupanik jedwabny, kontusz czarny aksamitny, szabla u boku, żółte bóty, czapka pod pachą, a na rękę trzymał na półmisku chleb i sól.

Starał się widocznie przybrać jak najłagodniejszą twarz, jak najpokorniejszą postawę. Nie wiadomo czy sama z siebie, czy z jego rozkazu, wyszła też i stała po za nim pani Dorszakowa, w czarnej sukni i kaftaniku tureckim, z głową jedwabną piękną chustką zawiniętą. Twarz jej wschodniego typu, mimo wynędznienia uderzała dumnymi resztkami dawnego wdzięku. Po za nimi parobcy, Tatiana, dziewczę małe, cała nędzna załoga zamkowa.

Miecznikowa, która nigdy Dorszaka nie widziała, z dala już idąc, przypatrywać mu się zaczęła bacznie. Nie podobała się jej twarz, ale tego po sobie znać nie dała, owszem wesoły przybrała wyraz. Jadzia spoglądała na mury, ludzie przypatrywali się też ciekawie tej ruinie. Wszyscy zaraz z siodeł skoczyli i szli pieszo, konie prowadząc. Dorszak, choć najwięcej się wpatrywał w miecznikową, liczył też siły jej towarzyszące i ludziom się przypatrywał. Marsowe i spokojne oblicza, niezbyt mu się pewnie podobały. Piękny Janasz idący przodem, kilka razy zwrócił na siebie jego oko. Znać w nim było dowódcę.

Przestroga Nikity okazała się bardzo dobrą, gdyż most pod ciężarem kolebki uginać i chwiać się począł, konie i ludzi przeprowadzono też z osobna.

Gdy się pani Zboińska zbliżyła do podstarościęgo, ten postąpił kilka kroków na powitanie.

— Wielkie to i niespodziewane dla nas szczęście, że do nas jasna pani zawitać raczyła — rzekł z wymuszonym nśmiecchem. Daj Boże, abyśmy ją tylko dobrze przyjąć mogli!

— Aby dobrém sercem, na resztę zważać nie będzie, odezwała się miecznikowa. Nawykłam do wszystkiego. Prowadź nas, panie Dorszak, na górny zameczek.

Zdziwił się i aż zwrócił, posłyszawszy o górnym; pan Dorszak nie sądził, aby tak miecznikowa już oświadczenia była.

— A! proszę jaśnie pani, to pustka! Jabyśmy żył u nas na dolnym się rozłożyć. Tam będzie niewygodnie, bo to od wieków niezamieszkane i... to tam tylko szczury, nietoperze i puhać.

Janasz spojrział, oczyma dając znać, aby miecznikowa stała przy swoim, a ta wnet dodała:

— My sobie z niemi radę damy; ja waćpaństwu — rzekła, kłaniając się żonie Dorszaka, która ją pozdrowiła — ja waćpaństwu nie chcę być zawadą, i wolę tam być sama ze swoim dworem.

— Pani tego pożałuje, przerwał Dorszak: to ru-dera.

Nie było na to odpowiedzi. Weszli właśnie w pierwsze podwórze, które też niebardzo świeżo wyglądało. Budynek w głębi tak zakrywał wnijsie na górny zameczek, że aż Jadwisia spytała:

— A którądyż droga dalej?

— Otoż to, proszę jaśnie pani — rzekł Dorszak — że tu nawet dostać się na górny zamek trudno, a co dopiero tam żyć!

Nikita wyrwał się przodem, pokazując drogę; szli więc wszyscy za nim, szedł i Dorszak, ale widocznie gniewny, pod nosem mrucząc.

Kolebkę kazano wypakowywać na pierwszym dziedzińcu i rzeczy znosić na górę. Podstarości spróbował jeszcze nawrócić Janasza, w którym się domyślał do-

wódecy; lecz chłopak odparł mu od razu, że wola miecznikowej spełnić się musi.

— No, to ja za nic nie odpowiadam! krzyknął Dorszak. Jak mi Bóg miły, tam i dach na głowy się obalić gotów; ale co mnie do tego!

Ciasném przejściem po za budynkiem szły obie kobiety, po kamieniach i ostach, co w Jadzi podskakującej śmiech i wesołość obudzało. Doszli tak do wrot i spojrzeli na starą wieżę.

— A! odezwała się pani Zbońska jeszcze to nie tak bardzo źle wygląda.

Drzwi stały otworem. Nikita już tam się jak umiał zagospodarował. Pełniąc rozkazy pani, chciał koniecznie wieżę wyporządzić, do czego Dorszak, złościąc się, wszelkiej odmówił pomocy, a ze swęj strony przygotowywał obok siebie pokoje. Nikita, który klócić się nie chciał, najął sobie ludzi z miasteczka, sprzęt pozbierał u Żydów, wyszorować go kazał i jako tako wieżę zagospodarował. Smutnie to było, lecz z biedy, na krótki czas, za przytulisko służyć mogło.

Miecznikowa nie mówiła nic. Jadzia biegła przodem, dziwując się pięknemu widokowi z tój wyżyny. W istocie okryte lasami góry, zielone łąki, rzeczułka płynąca po skałach, szare gdzieś niegdyś ściany głazów, mimo wieczornego mroku, stanowiły krajobraz bardzo wdzięczny. Lecz rozpatrywać się w nim nie było czasu. Nikita już izby poprzeczynał w myśli dla dworu i czeladzi. Dół zajmować miały kuchnie i straż. Szli tedy na górę. Dorszak pochmurny nie mówił nic.

Pierwsze piętro jako tako obmyte, oczyszczone,

opatrzone w ławy i stoły, z ogniem na kominach, nie przeraziło bardzo przybyłych. Zaszły kobiety aż do kaplicy, gdzie Nikita też o ile umiał, trochę zrobił porządku. Nawet obraz rozdarty, który wisiał na pół, przybił, obmył i okazał się Chrystus na krzyżu, starego greckiego snadź malowania, a pod nim Jan Śty i Matka Boża. Nie było to pewnie areydzioło sztuki, lecz wielka idea ofiary biła z tego starego obrazu, i wszyscy przed nim na kolana poklękli. Ksiądz Żudra przesunawszy się naprzód, zajął swe miejsce na wschodku i litanię odmawiać począł głośno.

Mrok wdzierający się przez szyby wązkich okien, nadawał téj scenie nieprzygotowanej, dziwnej, charakter poważny i tajemniczy. Podróżni ci w ubraniach pyłem okrytych, w ubiorach zmiętych, z twarzami zmęczonemi, rozpoczynali życie na pustkowiu tém u kresów od modlitwy.

Dorszak nie wchodząc do kapliczki za nimi, bo ledwie kilka osób pomieścić mogła, z dala od progu, przypatrywał się z twarzą chmurną i posępną.

Dopiero po ukończeniu litanii, wstawszy, miecznikowa się odezwiała do podstarościego:

— Widzisz waszmość, nie jest tu tak źle, a jeszcze i kapliczka w dodatku. Jutro nam ksiądz Żudra będzie mógł mszę świętą odprawić, bo *portatył* z sobą mamy, jeśli go tu nie znajdziemy.

Wrócili więc znowu do wielkiej izby; gdzie już szybko, pod dozorem Nikity, znoszono rzeczy, tłomoki i kufry. Janasz pobiegł na dół zamek oglądać i ludźmi rozporządzać. Sieniuta też był czynny.

Dorszak jakiś czas stał na rozkazy wyczekując, bąkając ani to ani owo; wreszcie zobaczywszy, iż się

bez niego rozporządzają i obchodzą łatwo, wybiegł gniewny. Postrzegł już był wprzód Sieniutę między dworem, ale sobie tylko w oczy popatrzeni, i Dorszak brwi ściągnął strasznie. Teraz zbiegłszy na dół, znalazł go na krzywych nogach stojącego u drzwi jak na straży i kręcącego węża.

— A waszmości tu jakie lieho przyniosło i po co? żeby więcej gęb do żywienia na zamku było? krzyknął na pół żartobliwie.

— Ale tego—odchrząknął Sieniuta, wcale niezmiuszany przywitaniem,—nie czyni to ujmy honorowi szlacheckiemu i krwi, mosanie, Sieniutów, iż pod ten czas jestem we dworze jw. miecznikowój. Ot co!

Dorszak ramionami ruszając, zbliżył mu się niemal do ucha.

— Kat cię tu waiósł, stary wygo! rzekł sierzdisto. Pewnieś tam paplał.. a no... byleś tego nie żałował...

Pogroził mu na nosie.

— Mosanie, ten—rzekł nieulekniony Sieniuta—kto ma czyste sumienie, ten się języków nie lęka, a jam nie dziecko, aby mnie kto nauki dawał.

Dorszak słuchał jedném uchem, a drugie zdawał się niespokojnie nastawiać, bo Janasz już rozkazy wydawał co do koni i ludzi, a właśnie się do nich przybliżał.

Namarszczył brwi.

— Za pozwoleniem—wtrącił—ja tu nie wiem, co za rolę będę grał? Myślałem, że rozporządzenia należą do mnie, albo że się ze mną choć rozgadacie, a widzę, że ja tu na gracyalistę wyjdę. Kto tu z nas rządzi?

Janasz mu się lekko skłonił.

— Na teraz—rzekł,—dopóki pani miecznikowa na zamku, ja jestem z ręki miecznika dowódcą i ja sam rozkazuję.

Dorszak zecerwieniał cały.

— Dobrze wiedzieć....odparł krótko.

Wnet jakby się namysliwszy i spojrzawszy na mlokosa, zlagodniał znowu.

— No, nie ma tu tak dalece co robić, rzekł. Chodźcie do mojej żonki, wypoczniecie u nas, dereniak mam sławny. Ludzie sobie rady dadzą, jest tu ten wszechdobyłski Nikita, to i dosyć.

— Bardzo panu za gościnność dziękuję, wesoło odczuwał się Janasz; ale dziś nie ma czasu. Muszę sam dopilnować wszystkiego, ludziom stanowiska oznaczyć, konie pomieścić, broń opatrzyć.

— Oj! oj! a cóż to, wojna! rozśmiał się Dorszak; po co tak wielkie ostrożności? Cha! cha!

— A no, nie zawadzi ludzi czujnymi trzymać, rzekł Janasz. U nas w drodze taki zwyczaj. Darujesz waszmość.

Sklonił się i odszedł, bo Nikita mu znaki dawał.

Dorszak stał jak wkuty; chciał zda się odejść i nie mógł, patrzył za odchodzącym, a po chwili zwrócił się do Sieniuty.

— Co to za jeden? spytał.

— To, slysze wychowanek i faworyt miecznika, tęgi,—ale tego, mosanie,—chłop, i palka zdrowa i ręka silna.

Pokiwał głową, poprawił czapki.

— A waszmość, panie Sieniuta, na dereniaczek do mojej baby?

— Bóg zapłać, ja też mam swoje funkeye, dziękuję.

Dorszak się zakręcił, niespokojny. Mrok coraz silniejszy padał. Zapalono w zacisznych przymurkach pochodnie, a służba się ciągle krzątała. Podstarości zdawał się ich oczami liczyć, a usta mu się skrzywiły jakby na śmiech, gdy postrzegł broń i amunicję, które z wozów znoszono na dół do wieży. Kiwał głową, potem krokiem powolnym, pociągnął na pierwsze podwórze. Miał już bramę przechodzić, gdy trafił właśnie na to, jak się z nią i ze staremi zawiasami mocowali ludzie, usiłując ją zamknąć. Nikita i Janasz stali przy tym. Dorszak się śmiać począł mocno i stanął.

— Cóż to jest? po co? na co? Pół wieku się te wrota nie zamykały; jeszcze komu na kark się obala i przybiją. Wrota są w pierwszym dziedzińcu, po cóż te?

Nikita nie odpowiedział nie, Janasz także, ludzie dalej swoje robili.

— Ale to boki zrywać! mówił Dorszak, co wam się śni? Tu żadnego niebezpieczeństwa nie ma; po co śmiech z siebie robicie?

— A co wam to szkodzi? odparł Janasz spokojnie.

Widząc, że już tu ich nie przemoże, podstarości rzucił jakieś przekleństwo pół cicho i poszedł do mieszkania. Wszedł do izby, drzwiami rzucając. Żonę już zastał na sofie jak zawsze. Niechętnie z nią rozmawiał; tym razem jednak ze ścianami by się był wdał w rozmowę, tak w piersi miał pełno.

— Poszaleli ci ludzie! krzyknął. To ten Sieniuta musiał im nagadać. Ledwie mi głowę miecznikowa kiwnęła, a gadać prawie nie chce, i sami tu się rozporządzają, jak we własnym domu. Ale ja tego nie ścierpię.

— Milczałbyś, odezwala się Agafia: dosyć było twojego panowania.

— Jeszcze to nie koniec! syknął Dorszak: zobaczymy, niech się sztyftują jak chcą... kanalie...

Żona śmiać się zaczęła, co go jeszcze większym gniewem napelniło. Nie mówił nie tak, aby go zrozumieć było można, mruczał i chrapał jak zwierz rozłoszczony, niekiedy pięść wyciągając ku górze. To znów oknem wyglądając na krzątających się ludzi, którzy nie pytając go, przedstawiali, nosili, zabierali, lamali jedno, ustawiali drugie.

Parobek przyszedł mrucząc i w głowę się drapiąc.

— Oni nas tu wygonią... co tu robić? oni tu gospodarują jak w domu.

— Niech ich czarci rwał! rzekł Dorszak; niech wszystko do góry nogami wywracają co zechcą: nie długo tu będzie ich panowania. Milczeć... rozumiesz...

Parobek wyszedł.

Janasz tymczasem niezmiernie był czynny, obchodził z Nikitą wszystkie kąty i zakątki. Gdy dla miecznikowej podróżną gotowano wieszczkę, a dla dworu krupnik z półgasków, on z Nikitą, jakby na obozowisku, stał przed nieprzyjacielem, opatrywał się, i nie tracąc chwili, ład zaprowadzał wojskowy.

Zameczek górny, pomimo opuszczenia, samém położeniem swém dosyć był obronny. Przeciwną ścianę od wnijsia, na urwisku wzniesioną, oblewał staw, tak, że przystęp ztąd był prawie niepodobieństwem; w prawo i w lewo woda nie dochodziła do góry, a szczególniej z jednej strony dosyć suchego było gruntu. Z małą garścią jednak bronić się tu było można i odeprzeć napaść wszelką.

Najslabszą była ściana dzieląca zameczek od dol-

nego. Mur ten niewysoki, porozbijany, na który wdrapać się było łatwo, zamykała brama stara, słabo trzymająca się na zawiasach, którą ledwie zatrzasnąć zdolano. Ale żelazto z niej pospadało, drzewo było popróchniałe, zgniłe, dziur wiele. Fórty nawet niegdyś należącej tu i uzupełniającej ją, brakło.—Tę miano w nocy zbić z desek, które Nikita w pierwszym podwórzu napatrzył wcześniej. Tam na dole jak najmniej checiano zostawić rzeczy, a ludzi ściągnąć na górę do jednego. Nikita się ofiarował straż po drugiej stronie wrot odbywać. Janasz był już na obu basztach, a Nikita mu odkrył po za jedną z nich tajemną wycieczkę. Pod murami szły zarzucone na pół gruzem lochy, które dawniej cały snadź zamek otaczały i miały różne wyjścia i rozgałęzienia. Miecznikowa z Jadzią i kapelanem posilały się na górze i rozmawiały cicho, a Janasza doczekać się nie mogły. Czynił swoją powinność. Dopiero postawiwszy straż, dawszy rozkazy ludziom, zbierał się iść sobie kąta szukać na drugie piętro, gdy na schodach zobaczył miecznikównę..

Dziewczę ze świecą w ręku patrzyło w głąb, szukając go oczyma. Nie spostrzegłszy z razu, Jadzia wołała:

— Wołać pana Korczaka.

— Panno miecznikówno! jam tu! odparł śmiejąc się chłopak.

— A! dobrze, chodź waszmość burę wziąć od jejmości. Gdzież się dziewczasz? Poszedł i przepadł.

Minęła zrobiła groźną, ale się śmiała do niego.

Janasz zbliżył się, i za rękę ją wzięwszy całował z uszanowaniem.

— Jaka panna Jadwiga dziś straszna! zawołał; a cóż kiedy ja się nie boję!

— Chodźże waszmość jeść, a to nam dowódca armii z głodu umrze! przerwała Jadzia.

— Wolne żarty, rzekł Janasz ocierając pot z czoła: a tu, doprawdy, nie ma z czego przedrwiwać. Kraj jak stworzony dla rozbójników... (zniżył głos), a Dorszak jakby na dowódcę urodzony.

— Ale kraj na dziwo piękny! zawołała miecznikówna podnosząc oczy do góry: pusto, cicho, zdaje się, że od niebios głos aniołów dopłynie. W duszy się robi dziwnie słodko, patrząc na tę opuszczoną ziemię, czekającą na rękę człowieka, aby żyć—coś tak, jakby się na kolebkę patrzyło, w której uśmiechająca się spoczywa dziecina.

Stali na schodach, ona o kilka stopni wyżej, on przed nią zapatrzony na zarumienioną jej twarzyczkę.

— Tak! tak! zawołał: wszystko to dziś piękne, bo nowe i świeże; ale mieszkać tu bez ludzi w wiekui—stój trwodze?

— Jakić? czego? podchwyciła Jadzia, ramionami ruszając. Całą drogę nas straszili nadaremnie, i nic się przecie nie stało! E! wszyscyście tehrze, nie wyjmując was nawet, mości hetmanie.

— Prawda, że się boimy, panno miecznikówno, ale wierzcie mi, nie o siebie.

— O kogoż?

— O was, o skarb nam powierzony! W drodze szczęśliwie się udało ująć niebezpieczeństwa; tu—Bóg wie, co da. Patrząc na podstarościego, rozumiem dla czego nas straszono.

Jadzia pokiwała główką.

— Niepiękny, prawda, ale...

— Co to niepiękny? przerwał Janasz. Szkoda mówić, żeby i Sieniuta był do malowania, ale mu

poczeiwie z oczu patrzy, a temu... I—rudy! szepnął Korczak.

— Dosyć tej rozmowy na schodach... matka musi być niespokojną... zrywając się biedz poczęła Jadzia. Waćpan mnie bałamucisz! chodź, ja za niego burę dostanę.

Wyprzedzając go, wbiegła na górę wesoło.

— Prowadzę jeńca! zawołała.

Miecznikowa siedziała za stołem.

— Gdzieżeś się waszmość dziewał? zapytała.

— Musiałem najprzód obozowisko obejrzeć,—rozmiał się Janasz,—straże postawić, rzeczy poumieszczać.

— A teraz siadaj i jedz co Bóg dał.

Podsunięto mu miski, Jadzia gospodarowała.

— Jeszcze nie wiem co tu można dostać i czém będziemy żyli; jutro pójdziemy na wzwiady—rzekła miecznikowa.

— Z przeproszeniem pani, odezwał się Janasz: na wzwiady nikt bezemnie nie pójdzie.

— Ani ja? spytała miecznikowa.

— Pani najmnieć.

— Dla czego?

— Bo... bo... jesteśmy na skraju, od nieprzyjaciela, a ja szyję moją odpowiem za drogie ich osoby.

— U stracha wielkie oczy! ruszając ramionami, poczęła miecznikowa.

Miała się rozmowa wytoczyć, gdy do drzwi zbliżyły się kroki; wszedł Dorszak, czerwony na twarzy i widocznie wzburzony. U progu ledwie głową kiwnął, jedną rękę miał założoną za pas, fantazyę podnieconą. Stał czas jakiś sapiąc w milezeniu, a nikt też go zaczepiać nie śpieszył.

Wpatrując się w twarz, łatwo było dostrzedz, jak

się mieniła, gwoli myślom, które się w nim ucierały. Można było sądzić, że wybuchnie... potem chłódł, stygnął, rozważył, pomiarkował się, rękę od pasa odjął i spuścił, twarz potarł nią, jakby z niej ślady wzburzenia chciał zetrzeć.

— Przyszedłem—rzekł ochrypłym nieco głosem—czy jaśnie pani co nie rozkaże?

— Dziękuję waszmości, panie podstarości, z powagą podnosząc się z krzesła i podchodząc ku niemu, mówiła miecznikowa. Rozkazów dziś jeszcze żadnych do dania nie mam, ale pytałbym go o wiele mogła, nie tu jeszcze nie znam.

Dorszak stał niby pokorny, ale z oczu mu błyskały jak iskry gniewu. Pan samowładny przez czas tak długi, schodził na służbę...

— Do granicy tureckiej daleko? spytała miecznikowa.

Namyślał się z odpowiedzią.

— Turcy tu mają w sąsiedztwie kilka zamków zajętych, rzekł,—ot i Bar... ale my z nimi jako tako żyjemy. Baszowie są ludzcy.

— A Tatarzy?

— Tatarzy—oczy błysnęły Dorszakowi—zwyczajnie dziez, to tam nikogo nie słucha. Ale teraz o żadnych napaściach nie wiemy. Siedzą spokojnie. Czasem trzodę jaką porwą nad granicą, albo chłopów parę, ale to tam nie.

— Bóg da, że się my z tego sąsiedztwa uwolnimy. Poszedł król nasz pod Wiedeń, pociągnęły wojska wielkie; jak ich tam zbijają, to i Podole się oswobodzi.

Uśmiechnął się Dorszak złośliwie.

— Ale jak ich nie zbijają, to się na nas mścić będą, mruknął.

— Ja, dodała zmieniając rozmowę miecznikowa, gdy nieco spocznię i rozpatrzę się tutaj, radabym po włościach i ziemiach się przejechać, granice zobaczyć, osady, jakie są.

— Pustka to jaśnie wielmożna pani,—rzekł po chwili namysłu Dorszak, któremu oczy zajaśniały jakąś radością niedobrze ukrytą,—ale zawsze obejrzeć warto. Ziemi niezasadzonej szmat. Byłoby na czem *de cruda radice* wsie i miasta zakładać, gdyby się ludzie znaleźli. A kto tu zechce pod strachem bożym mieszkać i z samopalem na pole jeździć!

Namyślił się i dodał ciszej:

— Gdyby jasna pani tylko raczyła za wezasu dzień oznaczyć, posłałoby się trochę zarośla przetrząść i drogi naprzód opatrzyć. Ja muszę koniecznie, choć dwa razy na dwadzieścia cztery godziny wprzód wiedzieć, kiedy to nastąpi.

— Słusznie, panie Dorszak, ja to waćpanu oznajmię; a teraz, spocząć pora. Dobranoc waćpanu.

Już miał odchodzić, gdy miecznikowa, jakby coś sobie przypomniała, zatrzymała go.

— Poczekaj waszmość, rzekła,—i szepnęła coś Jądzi, która do drugiego pokoju wybiegła.

Po chwili wyniosła pudełko, które miecznikowa otworzyła, dobywając z niego coś skrzętnie.

— Mąż mój nie chciał, abym tu z próżnemi rękami przybyła. Starym obyczajem, gościniec się przywozi. Przyjm waszmość dobrém sercem tę drobnostkę, rzekła, podając mu złoty pektoralik w dwóch koperkach, rzecz naówczas cenioną i piękną.

Potem dobyła złotego łańcuszka.

— A to dla jego żony, dodała.

Dorszak rad nie rad, zmieszany trochę, do kolan się schylił, mruczając jakieś podziękowanie. Zaczęł skłonić się raz jeszcze i wyszedł.

Milczenie panowało chwilę. Janasz też wstał, poszedł w rękę pocałować miecznikową, Jadzi się pokłonił, księdzu Żudrze także i zniknął.

Na górze Nikita mu posłanie przysposobił, wprawdzie bez łóżka, bo tych nie stało, a nawet tapezana nie było z czego zbić, lecz słomy miano podostatkiem. Janasz wprzód się jednak spuścił na dół, ludzi zobaczyć, czy w miejscu byli i czujni, chociaż Sieniuta, który się też na podhetmana wyswatał, uczynił to przed nim jeszcze. Niektórzy spali już po podróży, inni czuwali mając się mieniać godzinami. Noc była chłodna, spokojna i dosyć jasna; za górami luna biała zwiastowała księżyc. Białe obłoczki przebiegały po niebiosach. Z okna sypialnego pokoju, gdy obchodził do kola wieżę, wyjrzała główka z rozpuszczonymi na ramiona włosami w ciemnościach snadź domysliła się Janasza, i po nad nim jak szmer wietrzyka... jak liść spadający na ziemię... zaszeleściło słówko:

— Dobranoc.

Janasz podniósł oczy, w górze nikogo nie było.

Nieopodal od pasma wzgórz, które opasywały Gródek, ciągnęła się znacznej rozległości płaszczyna, kilku tylko bałkami czyli wąwozami przecięta. Step to był dosyć szeroki, w oddaleniu już tysemy pagórkami tylko opasany, spalony od słońca, wyschły, żół-

ty, dziki. Resztki bujnych na wiosnę traw sterczały lodygami wyschłymi. Gdzie niegdzie widać było kurhan okrągły, a na niektórych z tych mogił odwiecznych, sterczały na pół w ziemię zapadłe, dziwne, nieforemne, z kamienia wyciosane posążki, jakby niewiast na kolanach trzymających naczynia...

W stepie mało było śladów życia, gdzie niegdzie niezatarte jeszcze koczowiska tatarskie, pokopane na ogniska jamy, powybijane kołami dziury i ziemia końskimi kopytami zbita. Po nad łożyskami wyschłych strumieni, trochę krzaków, stepową okrytych kurzawą, a w krzakach trochę życia, zwierz dziki, ptaków stado...

Jak okiem zajrzeć tyse wzgórz, poryte strumieniami i rozbiegające się w różne strony. W bałkach musiało się kryć, jeśli było, jakie życie. W prawo można też dostrzedz było w oddali jakby tabun koni pasący się w cieniu wzgórz i poruszający się czasami.

O ranniej godzinie od strony Gródka zjawił się jeździec na stepie i parą chartów za nim; jechał wyciągniętym klusem, koniowi puściwszy cugle, bez drogi. Koń snadź wiedział dokąd ma iść, i zmierzał czując tabun ku swoim. Dzień był ciepły jesienny, a na stepie przypiekało. Coraz bliżej i wyraźniej ukazywało się stado, aż konie poczęły od niego rzeć ku jeźdźcowi, i koń im odpowiadał. Charty poparły przodem, jeździec parę razy konia uderzył i w czwał zbliżył się ku tabunowi.

Tabun sobą zakrywał obozowisko u wniścia bałki nad strumieniem. Nędznie ono wyglądało, kilka namiotów z ciemnych wojłoków, ciemnych i małych kilka szatr gałęzmi pokrytych. Gdzie niegdzie kamieniami otoczone kurzyły się małe ogniska. Kilkunastu

ludzi odartych włóczyło się do koła. Po opalonych twarzach, płaskich nosach, oczach wklęsłych, wystających kościach policzków, poznać było łatwo Tata-rów, w odzieży brudnej, ze wzrokiem dzikim, przechadzających się jakby koni dozierali. Z namiotu wyjrzał jeden, i jakby na żart dobywszy luk i z łuba strzałę zmierzył do jadącego śmiejąc się zębami białymi. Wycelowal, strzałę puścił, około uszu świsnęła. Nie uląkł się jój przecię jadący; konia ścisnął, dopadł namiotów i z kulbaki zeskoczył. Tatarskie psy włochate, z najeżonym włosem, poczęły bureczeń, witając się z chartami.

Po za namiotami, które z przodu widać było, stał nieco opodal obszerniejszy i czystszy. Ku niemu zmierzał z konia zsiadłszy podróżny. Puszczone go bez przeszkody jak dobrego znajomego.

Gdy gość, swém cieniem wnijsie zasłonił ze środka chrapliwy głos się odezwał. Odpowiedziano pozdrowieniem. Schylając się wszedł gość, rękę do ust przyłożywszy. Koń niepotrzebujący stróża sam pozostał, głowę tylko ku tabunowi ciekawie zwracając.

Wnętrze namiotu było podzielone. W pierwszej jego części, na poduszkach skórzanych, z nogami pod siebie założonemi, siedział mężczyzna czarny, opalony, z głową obwinietą rodzajem zawoju, ubrany w kaftan czerwony zbrukany.

— Dorszak! odezwał się, oczyma wesołemi rzucałszy.

— No—ja, Murzo Szejtanie, rzekł, siadając na przeciw niego podstarości. Przybyłem w gościnę.

— My dobrym gościom radzi, a ty dobry gość, poczał Murza Szejtan. Co u was słyhać?

— Hm... hm... byloby co posłuchać, mówił Dorszak; ale... ale trzeba do tego iść powoli.

— Idźmy powoli, rozśmiał się Tatar—aby iść.

— Wam tak nudno w stepie siedzieć!

— Śmierć! odparł Szejtan: dwóch ludzi zabiłem z nudów, a jeden.. jednego mi żal nawet... nikt tak barana nie piekł jak on.—Machnął ręką.—Ludzie gnuśnieją. Żałuję, że nie poszedł na wojnę. Tu nie ma co robić. Po zamkach się pilnują, wioski puste, daleko w kraj puszczać się niebezpiecznie.

— Pewnie, pewnie.

Popatrzeni sobie w oczy, uśmiechając się.

— Ty, ty nie darmo przybyłeś, odezwał się Murza: ty coś wiesz za nadrą, mów.

— Za nadrą nie, ale tu—wskazał na głowę.

— Gadajże...

— A gdyby co dobrego się trafiło, co mi dacie? Na Alkoran przysiegając....

Murza oczyma go zmierzył.

— Ty chciwy, tybys rodzonego brata sprzedał, odezwał się Tatar.

— Jakby mi dobrze zapłaconol rozśmiał się Dorszak. Wam wiadoma umowa: czwarta część czy łupu czy okupu—moja.

— Byle ludzi nie tracić, bo ja ich mało mam; dwóch zabiłem, i niewielu zostało.

— A nie możecie wziąć pomocy z innego kotła?

— I z innymi się dzielić, i z tobą! potrząsł głową Tatarzyn.

— Bylby połów dobry i łatwy...

— Mów, zgodzimy się... zaczął Murza. Kiedy? gdzie? na kogo polowanie?

Dorszak przechylił mu się do ucha.

— U mnie są goście.

— U was? kto?

— Baby: żona i córka wielkiego urzędnika polskiego, bogatego pana, kobiety piękne i okup być może dobry.

— Na co okup kiedy piękne! zaśmiał się Tatar. Ja sprzedam je do seraju sultana. Gdzież one?

— Gdzie? poczekajcie! Ja wam je na granicę od Czarnej bałki mogę przyprowadzić. Tam zrobicie zasadzkę. Weźmiecie jak swoje. Stu ludzi, pięćdziesięciu starczy; bronić ich nie będzie komu.

Murza słuchał zdziwiony.

— Ty chyba sam na mnie chcesz uczynić zasadzkę, rzekł. To nie prawda, ty niewierny psie kłamiesz.

— Zdradziłem was kiedy? spytał Dorszak. Żyjemy z sobą jak dobrzy przyjaciele, po sąsiedzku. A zdradziłem was, nasławszy na osadę, z której nabraliście i baranów, i chłopców, i kobiet, i koni? A co się mnie dostało?

— Wszakżem ci twoją część zapłacił.

— Tak, jaką chcieliście, takąście mi wydzielili... ale ja spokojny człowiek.

— O! rozśmiał się Tatar: ty dobry człowiek! o! ty człowiek spokojny. Kiedyż w Czarnej bałce zasiąść?... mów.

Dorszak zdawał się namyślać.

— Jeśli dzień będzie pogodny, za trzy dni; jeśli ślota, w pierwszy dzień pogody.

Tatarowi oczy zaświeciły, w ręce zaczął klaskać. Nadbiegło chłopię. Kazał podać kumysu. Siedzieli w milezeniu i pili rogowymi kubkami. Murza się namyślał. Dorszak dumał.

— Być może, odezwał się, że jaki dzień posiedziacie nadaremnie; a no, warto czatować na polów taki!

— A z mężczyzn?

— Być może kilku.

— Będą się bronili?

— Muszą; ale co zrobią we czterech na pięćdziesięciu lub stu?

— A ty? zapytał Murza.

— Ja będę, niech twoi do mnie nie strzelają, dam znak świnięciem, a sam ucieknę, mrucał Dorszak, który po tatarsku mówił dobrze.

Podali sobie ręce.

— Po zapłatę przyjedziesz na drugi dzień; ja zobaczę kobiety, wiem co która u nas warta.

— Ja wiem co okupu dać mogą.

Zamilkli. Dorszak zadumany posiedział chwilę. Murza mu fajkę dał i karmić go chciał; ale ten spojrzał ku słońcu i wstał. Jeszcze raz ręce sobie na znak dali. Koń stał u namiotu, psy leżały u nóg jego. Dorszak poskoczył na siodło i ku zielonym górcom w oddale niu klusem się puścił. Słońce dopiekało. Nierychło dobił się do cienia i wawozu, i tu dopiero on i koń odetchnąć mogli. Znajomymi sobie ścieżynami, skracając ile możności drogi, podstarości nad wieczorem dostał się do Gródka. Nie dojeżdżając do zameczku, mierzył go ciekawymi oczyma. Na moście właśnie stała miecznikowa, Jadzia, ksiądz Żudra i Janasz. Rozglądali się ztąd po okolicy. Zobaczywszy Dorszaka jadącego na uznojonym koniu, miecznikowa się odezwała:

— Prawda, że twarz niemila, głos dziki, wejrzenie ostre, ale człowiek temu nie winien, a daleko lepszy jest niż wygląda. Ogadano go. Cały dziś dzień

widzę okolicę sam, narażając się na niebezpieczeństwo, przetrząsał, aby się przekonać, czy bezpiecznie oglądać ją mogę. Jestem mu za to wdzięczna.

— A ja mam taką odrazę do niego... przerwało dziewczę.

— Ale cichoż! zbliża się... zgromiła matka.

Dorszak zsiadł z konia i czapkę zdjął witając.

— Objechałem—rzekł—nie tylko naszą ziemię, alem się puścił trochę na step i w różne znane mi zakąty. Nigdzie żywej duszy. Tatarów wyciągnęli, włóczągów ani śladu, spokojnie; mogę powiedzieć, że od dawna nigdyśmy takiej ciszy i spokoju nie mieli.

— Bóg zapłać za dobrą wieść, odpowiedziała pani Zboińska. Idźże waszmość odpocząć, proszę, a później pomówimy, kiedyby się wybrać można i jak?

— Ja mam wózek lekki i konia do niego nawykłego, którym wszędzie prawie przejechać można. Wózek nie trzęsie, koń spokojny, drogi przez te dni nawet po lasach powysychały.

Janasz patrzył nie mówiąc. Na uboczu stał Nikita i słuchał tego opowiadania ciekawie. Miecznikowa wzięła rzecz do namysłu—a Dorszak widząc ją milczącą, poszedł na zamek.

— Aż mi się serce śmieje do tej przejażdżki po lasach i górach! poczęła szczebiotać Jadzia. Co to będzie za śliczna rzecz! Co my tam za drzewa, kwiaty, zwierzęta, ptaki zobaczymy! Już i tak wiele z tych, którem widziała tu, gdybym opisała u nas, toby mi nie uwierzono. A tenże krzaczek co piórami i puchem różowym kwitnie? *) a te lilie!

*) Scopia (Perrückenbaum).

I wręce klasnęła.

Janasz patrzył jakoś smutnie, a Nikita chmurno i z niecierpliwością źle tłumioną. Można go było posądzić, że gdyby na odwadze nie zbywało, do rozmowyby się wmieszał.

— Tak, śliczna to rzecz—rzekł Janasz—nowe kraje i nowe cuda wszechmości bożej; ale ja zawsze swoje, że na przejażdżkę pozwolić nie mogę, póki lepiej nie zbadam, którędy ona poprowadzi... i... to moja rzecz.

Rozśmiała się pani miecznikowa.

— Tyran waszmość jesteś z tą swoją troskliwością o nas. Poskarżę się jegomości, gdy powrócimy. Słyszysz!

— Słyszę i na karę choćby o chlebie i wodzie gotów jestem, byłem obowiązku dopełnić.

Jadzia zbliżyła mu się do ucha i szepnęła:

— Tehórz! tehórz! tehórz!

Janasz się zarumienił.

— Zającą wam skórę daruję, gdy do Mierzejowic wrócimy...

— Od pani przyjmę ją z wdzięcznością, rzekł Janasz: będzie mi przypominała dopełnione *officium*.

A ksiądz Żudra, który mileżał dotąd, dolożył:

— Choć to młokos, ale my go słuchać musimy. Wotuję za hetmanem.

— Piękny mi hetman, co odwagi nie ma! wtrąciła Jadzia.

— Ale ja gotowem choć dziś, i sam bez towarzysza, gdzie każecie—odparł Janasz wesoło,—tylko nie z paniami memi, za które gardłem odpowiadam.

Miecznikowa milczała, patrząc i przysłuchując się sporom.

— No, dosyć—rzekła—dosyć. Hetman niech wysła, aby języka dostał; a ja od swojego nie ustępuję, i Jadzia też; trochę świata zobaczyć musimy.

Zatém zamilkli wszyscy.

Nazajutrz mgła rozwiesiła się od rana po górach i deszcz prószyć zaczął, a ku południowi lał na dobre i wszystkie plany wycieczki pomieszał i zawiesił.

Wszedł Korczak, ubrany po codziennemu w szarym żupaniku i długich bótach, z wesołą jak zawsze twarzą... Miecznikowa nim mówić zaczęła, skinęła nań, aby za drzwi wyrzwał czy są sami.

— Choć nie złego z czémbyśmy się kryć potrzebowali nie przedsięwierzemy, rzekła z uśmiechem,— jednakże lepiej ludzi nie kusić i unikać gadaniny niepotrzebnój. Dziś nikt z nas nie wybierze się na przejażdżkę... deszcz leje... miałabym co robić na zamku, ale radabym się do tego wziąć ostrożnie.

Janasz jeszcze o niczem nie wiedział. Dała mu miecznikowa notatkę czytać starą; poszedł z nią do okna...

Pismo było blade i żółtkłe, dzień chmurny, nie rychło więc sobie z niem dał radę; ale w miarę jak czytał, lice mu się rozjaśniało.

— Cóż waćpan na to? zapytała miecznikowa, w boki się biorąc.

— Historia ciekawa i osobliwa! wykrzyknął Janasz. Ale pani a dobrodziejko najlaskawsza, jeśli mam cokolwiek wiary i zaufania, na miłość bożą ostrożnymi być musimy! Wszyscy się na to godzą, że Dorczak jest zły człowiek, że chciwy; cóżby to dopie-

ro było, gdyby się dowiedział, że mu tu jakie skarby na zamku dobywamy?... Dziś niebardzośmy bezpieczni; cóż gdyby łakomstwo jego podżęgnięte zostało?...

Samo szukanie już mu da do myślenia.

— Aleć on tu przecież bez méj wiedzy nie wnijdzie... rzekła pani.

— Zapewne, lecz niedobrze, żeby i ludzie o tém wiedzieli oprócz Nikity... nie żebym im wiary nie dawał—mówił Janasz—ale po kieliszku wódki, mimowoli się języki rozwiązują...

— Masz słuszość—roztropny jesteś... śmiejąc się dorzuciła miecznikowa.

Jadzia z daleka spojrziała nań, słysząc tę pochwałę, i jakby na przekorę główką potrząsała.

— Cóż radzisz? spytała starsza pani.

— Najprzód trzeba spenetrować czy jeszcze co jest, bo od tylu lat jak ludzie obcy tu gospodarowali, kto wie, czy już dawno miodu nie podebrano... odezwał się Janasz. W notatce wyraźnie nie stoi nawet, gdzie tego loszku zamurowanego szukać mamy.

— Wezytaj-no się lepiej... odezwała się miecznikowa:—u dołu wskazówka osobna...

— A! tak! rzekł Janasz cichō decyfrując pismo stare: „Wszedłszy do lochu przed wieżą, po prawej ręce szyja prowadząca do głębszej piwnicy. Na ścianach jój trzy krzyże wydrapane... Z prawej strony, w środku między dwoma cegła polewana, zyndrówka, którą wyjąć należy.” Nie mogę—dodał Janasz, niko-go do téj roboty użyć oprócz Nikity... Zawiniemy się tak, aby nas nikt nie widział.

Miecznikowa wskazała ręką na znak zgody, a ks. Żudra przeżegnał odchodzącego.

W sieniach we drzwiach stał znudzony Nikita, z założonemi rękami na piersiach, i ziewał. Korezak go po ramieniu poklepał, i dał mu znak, aby z nim szedł...

— Słuchaj Nikita, mamy we dwóch co do roboty, a no tak, aby ludzie nie widzieli. Weźmię tępą siekierę, młot, kawał żelaza jakiego... i chodź ze mną.

Nikicie oczy zaświeciły i rzucił się ochotczy; mężczyźni go bezczynność. Aby nie dawać pozorów, że w lochu czego szukać mają, kazał Janasz butelki, jakie z sobą przywieźli, znieść do niego Nikicie, a w narzędzia się opatrzyć pokryjomu. Ludziom na dole stojącym dano hasło, ażeby Dorszaka, jeśliby przyszedł, odpawili pod jakim bądź pozorem i nie wpuszczali do środka...

Zapaliwszy więc światło i pobrawszy kosze, zeszli z wolna do lochu. Drzwi na wszelki przypadek zamknięto za sobą...

Znalazła się zaraz na prawo szyja i piwnica, zarzucona potłuczonym szkłem i gruzem...

Podniosłszy światło, acz z trudnością, doszedł na ścianie Janasz krzyżów i pomiędzy dwoma owę cegłę polewaną, zyndrówki, która się zdała wyszczerbioną. Mur wszakże pod nią i nad nią był nienaruszony i pyłem starym okryty...

— W murze zamurowana skrzynka z papierami i rzeczami, szepnął Janasz. Kawał muru wyjąć trzeba nie czyniąc hałasu...

Nikita ledwie dosłyszawszy, że żwawością człowieka chciwego do roboty, porwał się i żelazem cegłę podważał. Zdało się, że nawet na wapnie umocowana nie była, bo zaraz wyszła i ukazał się otwór za nią. Janasz rękę wsunął i namacał skrzynkę.

— Jest! zawołał z radością; a więc nie ma co, musimy tyle cegieł wyjąć, ile trzeba, aby skrzynię dobyć.

Nikita tylko głową poruszył, i już się brał do roboty... Ale dalej szło trudniej daleko, cegły siedziały jak wkute i bić je trzeba było i łamać, aby otwór powiększyć... Nie obeszło się więc bez głuchego w mur pukania.

W piwnicy u góry, czego z razu nie uważali, było małe okno kraciaste, wychodzące na podwórze od kortyny...

Janasz podniósł głowę, i ujrzał przylepioną do krat twarz czerwona Dorszaka... Trącił Nikitę, który zaraz roboty zaprzestał...

Dorszak złapany na szpiegowstwie, nie ustępował.

— Co waszmość tam robicie? zawołał z góry.

— Mamy tu coś do schowania, rzekł Janasz; trzeba półkę do muru przybić.

— Che? che? rozśmiał się podstarość: do schowania! chyba szukacie, czegoście nie zgubili...

I znikł z okna...

Była to przygoda nieszczęśliwa wielce. Nikitę zostawiwszy na dole, Janasz pobiegł sam, zmieszany wielce, do miecznikowej.

— Stało się — rzekł wchodząc — czego przewidzieć nie było podobna...

— Co? skrzynka zabrana? rozśmiała się tém nie zmieszana jejmość.

— Ledwie nie gorzej — zaczął Janasz. Skrzynka jest na swém miejscu, pełna czy pusta tego nie wiem jeszcze; lecz Dorszak nas z góry przez okno podpatrzył, snadź stukanie posłyszał.

— Jakbyśmy to u siebie w domu nie byli i swój

własności nie odzyskiwali! zawołała pani Zboińska. Więc cóż? nie ma się co tać...

— Dobywać? spytał Janaszek.

— To się rozumie. Teraz już czynić tajemnicę, stokroć byłoby gorzej...

Wrócił więc Korczak do lochu. Zbiegając na dół, we drzwiach dolnych ujrzał stojącego Dorszaka, którego nie wpuszczono...

— Panie Korczak! krzyknął zagniewany podstarości: czy to ja już za obcego i nieprzyjaciela jestem miany, że mi przystęp wzbroniony?

— A czegoż pan życzy sobie?

— To piękne pytanie? jam gospodarz... chcę wnijść...

— Ale miecznikowa w tej chwili widzieć się nie może...

— Ja też nie chcę...

— Z kimże pan się widzieć pragniesz? pytał Korczak.

— Z tém, co panowie na dole dobywacie—z uśmiechem wtrącił Dorszak.

Janasz ruszył ramionami.

— Nie ma tam nic ciekawego.

— Ja myślę przeciwnie, kiedy miecznikowa aż tu jechała umyślnie, ażeby się temu z bliska przypatrzeć. Bo teraz przyjazd jej rozumiem.

Natrętny Dorszak stał we drzwiach.

— Nie rozumiem nic, odparł Janasz; a że czasu nie mam, przebacysz mi waszmość.

To rzekłszy, począł wschodkami na dół się spuszczać, a podstarości widząc, że nie nie utarguje, odszedł gniewny. Janasz zastał Nikitę uznojonego, włókom w murze znaczny, a przez otwór widną już dosyć skrzynkę, a raczej kufer okuty, pyłem, pleśnią

i pajęczynami okryty, którego żelaztwo rudą rdzą było osute. Nie zważając już na to, czy ich kto podpatruje czy nie, podstawivszy cegły pod nogi, przystąpili obaj do dźwignięcia skrzyni, lecz na dwóch była za ciężka, a przytém od stania długiego jakby do muru przyrosła. Musieli więc różnych używać środków do podważenia jej i ściągnięcia na dół powoli.

Nierychło, namęczywszy się i upociwszy, mogli ją wreszcie na ziemi postawić. Antaby pokruszone, drzewo spróchniałe, sypało się wszystko. Na wschody ją dźwigać nie było sposobu, poszedł więc Janasz po panią i na dół ją z Jadwisią sprowadził. Sam zarządził wypróżnienie pary kufrów podróжных, mając w myśli wydobyć tego, co się w skrzyni znajdowało i przeniesienie na górę.

Kluczów nie było, zamki więc musiano odbijać, ale to łatwo przyszło. Skrzynia wewnątrz okazała się nietknięta, pełna, a choć wiele rzeczy popsutych było długim leżeniem, złoto, klejnoty i oręż kosztowny nie ucierpiały wcale.

Miecznikowa rada była niezmiernie. Jadzia ciekawa chwytala wszystko. Przywłaszczyła sobie różnec stary i pas równie dawny, który jej matka chętnie oddała. Resztę rzeczy Nikita z Janaszem przenieśli na górę, a pustą skrzynię oczyściwszy do dna, zestawiono w loszku.

W Dorszaku ta myśl, że się tam w lochu mogło coś ukrywać, o czém on przez lat tyle nie wiedział, że on tu strzegł cudzego skarbu, który tak łatwo sobie mógł przywłaszczyć, czyniła wrażenie niewysłowione. Na samą tę myśl burzył się z gniewu i zębami zgrzytał. Rozumiał teraz w istocie, dla cze-

go tu miecznikowa przybyła, i nie mógł sobie przebaczyć, że nigdy po zamku ani w lochach nie szperał.

Gdy pod wrażeniem tego nieszczęścia wszedł do izby, w której żona jego coś dla rozrywki siedząc w oknie wyszywała, ta poznała zaraz, iż mu się coś stać musiało. Zęby miał obnażone z pod warg podniesionych, oczy jakby z powiek wyskakiwały, ręce drżały.

— Złodzieje! zawołał w progu—zbójcy!

I stanął.

— Kto? gdzie? zapytała żona.

— A ta baba i ze swoim dworem przeklętym! Ho! niegłupia i niedarmo się tu wlekła. Teraz już rozumiem wszystko.

Choć nie zwykł się nigdy przed żoną wynurzać, tym razem tak był poruszony, że się wstrzymać nie mógł. Chodził po izbie i mówił jakby sam do siebie:

— Doszli, że tu skarb zamurowany na zamku! Któż się tego mógł domyślać. Przyszli jak po swoje i wydarli mi go. Tam, w lochu...

Żona podniosłszy oczy, słuchała ciekawie.

— Gdzie? jak?

— Słyszę—mówił Dorszak—coś bije pod ziemią, wali, jakby mury tłukło. Chodziłem właśnie oglądać baszty i kurtyny. Zazieram do lochu z kąda stukanie dochodzi, a tam Nikita z tym młokosem mur łamie i dziurę wybijają...

— A z kąda wiesz, na co oni to robili?

— Z kąda! hm! Jam tu dawno o skarbie przez starostę zamurowanym słyszał, alem się śmiać jak z babskiej bajki, kat mógł się domyślać... Miałem tyle lat czasu, mogłem wszystkie mury powybić...

ale kiedy komu nie szczęści się, to się już nie wie gdzie w niczym...

Zaśmiał się dziko.

— Z przed nosa mi moją własność wydzierają!

— Twoją? szydersko spytała żona.

— Tak moją, moją, bo tu wszystko moje! zakrzyczał Dorszak. Słyszysz ty, babo! milez... Moje! jam tu pan, nie oni. Ich królowanie krótkie... nie dam im ztąd wywieźć nic.

Opamiętawszy się, skończył mruczeniem, kilka razy spotkał wejrzenie kobiety i zamilkł. Złość całą w sobie stłumił.

Począł wołać Tatiany. Weszła owa otyła kobieta, ocierając się fartuchem.

— Słyszysz! rzekł: odzież mi się zaraz, weź owoców, miodu na talerz i nieś do miecznikowej na górę. Ale żebyś mi oko miała na wszystko co robią, co na stole leży? Jeśli podsłuchasz co gadają, tём lepiej... rozumiesz? Powracaj mi zaraz.

Tatiana znikła, bo jej poselstwo, za które mogła otrzymać podarek, było pożądane. Dorszak wziął się do cybucha i fajki. Żona szła w mileczeniu. Nie spojrział już nawet na nią.

Dobre pół godziny upłynęło, nim Tatiana, odziana od święta, w spódnicy z galonami, w chustce na głowie, w fartuchu białym, w koralach, stanęła znowu w progu. Dorszak się podniósł.

— A co? zawołał.

Tatiana głową kiwać poczęła.

— Co ja tam widziałam! rzekła, ręką biorąc się za twarz—co ja tam widziałam! Oni mnie się nie spodziewali, drzwi były odemknięte, aż się wezdrnęli, gdy weszłam. Zaraz pani dała mi dwa tyńfy i odprawila,

ale mnie dosyć było rzucić okiem. A, panie! paneczku! oni z sobą skarby świata tu przywieźli... pełne skrzynie złota...

— A co? krzyknął Dorszak—a co? nie mówiłem... kroć sto tysięcy!

— Cicho! podchwyciła żona.

— Ty milcz! zawrzasz pięść podnosząc podstarość. Mów Tatiano.

— Albo ja potrafię! jęknęła kobieta, ciągle głową kołysząc i trzymając się ręką pod brodę. Tyle wiem, że klejnotów i złota stoły pełne i skrzynki. Jejmość, jój panna, ksiądz i ten młody, grzebali się w tém. Jakem weszła, to gdyby złodzieje na uczynku schwytani się mieszała; to też mnie odprawili wnet, żem i dobrze widzieć nie mogła.

— A no, dosyć! zawołał Dorszak—ja już wiem swoje i będę teraz myślał co począć.

Agafia nagle przestała szyć, chustka jój i ręce na kolana opadły, piękna twarz przybrała wyraz głębokiego zamyślenia, w okno zwróciła oczy, i jak martwa, bez drgnienia pozostała czas jakiś zatopiona w zadumie.

Dorszak chodził po izbie, posłyszał szelest jój sukni, gdy nareszcie wstać chciała, i stanął.

— Słuchaj ty, babo! zawołał: my między sobą mamy rachunki. Ty mnie zdradzasz. Dwa razy cię złapałem na rozmowie z tym młokosem; ty ich ostrzegasz, ty ich straszysz, ty...

— Tak, tak—głosem śmiałym poczęła Agafia—i jeśli będę mogła, to ich obronię, bo ci nie dam popelnąć ani jednej zbrodni więcej, i twoją szyję od szubienicy ocalę, na którą zasłużyła.

Dorszak podbiegł ku niej; ona rękę włożyła za pas i dobyła nóż, który nosiła zawsze przy sobie.

— Nie dotykaj mnie! bo zabiję! krzyknęła—zabiję i nie będę miała na sumieniu! bo lepiej, ażebyś nie żył, bo wolałabym cię widzieć na marach, niż...

Dorszak błądzący z gniewu, podniósł cybuch, który znalazł pod ręką i zamierzał uderzyć ją po głowie, gdy Agafia odskoczyła, nóż trzymając ciągle w ręku.

— Myślisz, że nie wiem gdzieś był wczoraj? U Szejtana... u druha! Myślisz, że nie zgaduję po co?

Dorszak cały drżał, ale walczył z sobą, nie chciał ani bójkę w zamku przy obcych, ani do ostatka rozdrażniać żony. Jak człowiek, który nie ma na czém wyrzucić swęj złości, cybuch potrzaskał w kawałki i rzucił je w kąt, a sam upadł na poduszki, rwąc włosy na głowie. Usta jego rzucały stłumionemi przekleństwami, głowę opuścił, myślał długo i snadź coś postanowił, bo nagle uspokoił się i podparł na łokciu, jakby już nie zważając na Agafię.

Ta popatrzała nań i wyszła.

Wkrótce potem zbiegł ze wschodów Dorszak. W dolnej sieni parę razy się przeszedł i Horpynę przechodzącą posłał po Tatianę.

Na wpół ze swych szat uroczystych rozebrana, zeszła na dół.

— Ta wilczyca mnie zabija! rzekł stłumionym głosem Dorszak—ta kobieta mnie zgubi! trzeba się ratować.

Kobieta, której rysy wyrażały głupowatą obojętność zwierzęcą, jak wierny pies, spojrzała mu tylko w oczy i kiwnęła głową.

Dorszak odprowadził ją do kąta, i gwałtownie, szybko szeptać zaczął. Z razu kobieta kołysała głową, niepewna będąc co ma czynić; nareszcie, gdy począł nastawać, zdawali się godzić z sobą. Spuściła

oczy ku ziemi i poszła powoli. Raz i drugi odwołał ją, dodając jakieś ciche przestrogi.

Dorszak mimo deszczu wybiegł z domu na miasteczko.

W murowanym gmachu po wyjściu jego eicho było długo jak w grobie... potem słychać było otwierające się jedne i drugie drzwi, i chód szybki, i mileczenie znowu.

Gdy Dorszak z miasteczka wrócił, czekała nań na wschodach Tatiana, blada i zamysłona. Poszeptali coś z sobą. Czoło mu się rozjaśniło; śmiało wszedł do izby. Agafii już tu nie było; nie było jej też w jej izbie, ani w żadnej na górze, a Horpyna, której nazajutrz o panią spytał Nikita, powiedziała mu, że nie wie dokąd pojechała...

Jakoż na zamku od tej chwili jej nie widziano. Miecznikowój oświadczył podstarości, że żona jego do chorego ojca nocą wyruszyć musiała, i westchnął nad tem, że jej nie mógł towarzyszyć.

Dzień dżdżysty ku wieczorowi się nieco rozjaśnił; wiatr spędził resztę chmur z nieba. Zielonawy lazur ukazał się na zachodzie i ludzie na jutro obiecywali pogodę. Janasz rozpytał dokładnie Dorszaka, jakimi drogami miał oprowadzać miecznikową, aby nazajutrz je przetrząść. Podstarości z razu sam mu się za przewodnika ofiarował, potem po namyśle niejakiem nie upierał się przy tem, i rozpowszechniając drogi, chciał dać konnego parobka. Janasz i tego nie przyjął.

— Powiesz mi pan jak mam jechać, myśmy ludzie wojskowi, łatwo się na manowcach i w górach orientujemy... rzekł Janasz. Wstydyby nas było przewodników z sobą ciągnąć na taką objażdżkę...

Dorszak miał snadź powody, dla których na tę wyprawę niekoniecznie się napraszał; zamilkł i nie nalegał. Posłyszawszy tylko, że czterech ludzi wybiera się razem z Janaszem, rozśmiał się.

— Do zbytku! rzekł: wielka kawalkata—samowtór najwygodniej.

Nie było na to odpowiedzi.

Granice gródeckich posiadłości z dawna były kamiennymi krzyżami oznaczone na rubieżach, na dębach też były znaki, a zewsząd wodociecze same i strumieni łóżyska stanowiły szlak łatwy do poznania. Janasz i Nikita, nie spuszczać się na opowiadanie Dorszaka, w mieście dostali języka, i nazajutrz do dnia, korzystając z pięknego ranka, ruszyli.

Oprócz Nikity, wziął dwóch hajduków Janasz, a pozostałym pilną straż polecił na zamku. Spuszczali się od bramy ku mostowi, gdy ich Dorszak, ranniej niż od nich ptaszek, spotkał, już powracając z miasteczka.

— No! szczęśliwej drogi! rzekł szydersko: abyście tylko przed nocą byli z powrotem, bo szmat jest do obejżenia okolicy.

Janasz jechał nie nie odpowiadając. Zaraz miasteczko pominawszy, wzięli się w góry i wjechali w wąwozy, którymi do granicy dostać się mieli... Ranek był ciepły i niemal wiosenny, słońce na niebie bez chmur wyiskrzane wesoło. Nikita obeznany przez ludzi miejscowych z okolicą, prowadził... Lecz zaledwie wjechali w cienisty parów, nad którym zwiesza-

ły się drzewa i gałęzie poplątane.—Janasz się rozpytuje o różne szczegóły, zagadał z Nikitą, hajducy dopomogli do rozmowy, i ani się spostrzegli, jak zamiast w lewo parowem, pojechali nim wprost... przed siebie.

Nie pomału się też zdziwili, gdy po przeszło godzinie drogi, gdzie mieli trafić na polany i stare szopy, a potem na mogiły, nie znaleźli ani jednych, ani drugich, a miasto tego kręty wodomyj, coraz węższy, zaprowadził ich w gąszcze, kędy się już niemal bez śladu drogi przeciskać było potrzeba.

I Janasz i Nikita poznali błąd, a nawracać im się nie chciało. W śmiech to puscili. Młodemu chłopakowi tak rażno było na koniu, w lesie, na wolnym powietrzu, w tej pustyni, że się wcale za obłąd nie gniewał. Towarzysze też śmieli się z przygody.

Godzina druga upłynęła. Drapali się ku górze, potem jechali grzbietami, aż wreszcie poczęli się spuszczać ku dołowi przeciwnym temu stokiem, którym w tę dziką przybyli okolicę.

Krzaki zaczęły rzednąć, a z za gałęzi przeglądał jakby step. Nikita poparł konia przodem, drudzy za nim, lecz o kilkanaście kroków stanął, w milczeniu nawołując ręką swoich.

Czuąc już, że się cicho zachować należy, Janasz i dwaj hajducy precisnęli się przez krzaki ostatnie nad urwiskiem i stanęli.

Przed nimi była szeroka dolina, ale tak samo jak gródecka wzgórzami, po większej części zarosłemi, otoczona... W drugim jej końcu... pasł się tabun koni... kurzyły się ogniska... i widać było parę stożkowatych namiotów.

Nikita, niewielki bywalec, nie mógł dobrze zrozumieć co miało znaczyć to obozowisko. Janaszowi

dosyć było wspiawszy się nieco na strzemiona spojrzeć, ażeby poznać Tatarów. Nie widać ich tam było, ale namioty i konie zdradzały. W milczeniu, cofnąwszy się nieco w zarośla, patrzali tak zdumieni, gdy Janasz dał znak do odwrotu, i natychmiast znowu schowali się w gęstwinę.

Z dala dolatywało ich rzenie koni; lękali się, aby własne ich nie odpowiedziały tamtym, co by było zdradziło. A choć w gąszczu ukryć się i uciec mogli od pogoni, Janasz wołał być niepostrzeżonym.

Nie mówiąc słowa, odjechali napowrót kawał drogi, nim skupiwszy się, znowu rozmawiać zaczęli.

— Tatarzy nieochybnie, rzekł Janasz; jam się już z nimi widywał, a dużom słyszał o nich. Miarując z liczby koni, niewiele ich tam być musi, bo zawsze we czwórność tyle u nich stadniny co ludzi; a no, zawsze we czterech, choćby na czterdziestu naszkoczyć, niezdrowo...

— Musieliśmy się odbić dużo od naszej granicy, dodał Nikita. Trzeba już tą samą drogą, po własnych śladach powracać, a drugi raz przewodnikiem nie gardzić.

Na Janaszku nie uczyniło to tak wielkiego wrażenia; przyrzekł sobie tylko miecznikowej nie puścić. Zdawało się, że rychło powinni do Gródka powrócić; lecz konie w lesie popaść musieli, a potem drogi szukać, i ledwie pod wieczór, wyjechawszy z wąwozów, ujrzeli zameczek przed sobą. Wstyd było trochę Korczakowi, że tak jak z niczym powracał; przecież starczyło za skutek, że do Tatarów dotarli.

Słońce zachodziło, gdy do mostu zamkowego się zbliżyli. Tu stał Dorszak jakby oczekujący na nich. Janasz z konia zsiadł.

— Czołem.

— Czołem.

— A kędyż to pan bywał? jeżeli się zapytać wolno? uragliwie zapytał Dorszak.

— Wstyd mi powiedzieć, ale klamać nie lubię, rzekł Janasz: ani wiem kędym był.

Podstarości śmiać się począł.

— Ja oto wiem, żem się z Tatarami spotkał.

Dorszak minę zrobił zdziwioną i osobliwszą.

— Gdybyś się pan miłościwy z nimi spotkał — rzekł — tobyś tu na wieczór nie był.

— Jeśli chcesz prawdy szczerzej, nie przyszło do spotkania, aleśmy obóz, konie i namioty doskonale widzieli.

— Gdzie? marszcząc się spytał Dorszak: to imagynacya!

— Nie; czterech nas jest — pytajże waszmość.

— Gdzie? u nas? po nad granicą Tatarzy? to nie może być!

Wszyscy razem gwarnie i wyprzedzając się zaczęli mu potwierdzać. Dorszak się marszczył coraz bardziej.

— Bajka! jako żywo! To nie był obóz tatarski. Śniło się waszmościom! U stracha wielkie oczy. To była straż pograniczna.

Janasz zakrzyknął.

— Tak jest! powtórzył podstarości: ja się waszmościom klnę, że to byli nasi. A że oni po tatarsku obozują, to prawda, i że obyczaje tutejsze przejęli, to też pewna. Niech pan z siebie śmiechu nie robi — rzekł zwracając się do Janasza — mówiąc o Tatarach.

Korczak zamilkł.

— Gdybym był mógł to przewidzieć — odezwał się — bylibyśmy podjechali.

— Ale dokądże pan zabrnął? tamtędy nie wasza była droga.

— To prawda, odezwał się Janasz.

Pewność, z jaką to mówił Dorszak, oddalenie obozu, który zaledwie z dala dostrzedz mogli, pomimo niewielkiej ufności w podstarościęgo słowa, wpłynęły na to, że uwierzył mu i zamilkł Janasz.

Bolał go dzień stracony.

— Jutro ja z wami pojedę, dorzucił Dorszak: przekonacie się jakeście dziś błędzili.

Ze spuszczoną głową powrócił Janasz do wieży, szukając z dala Jadzi, która pono, może z nudów w tej samotności, wyglądała go także od dawna. Spotkali się na górze w sali, gdzie pod ten czas miecznikowej nie było. Jadzia podbiegła aż do progu, podając rękę staremu przyjacielowi.

— Pan wiesz? zawołała Jadzia: Dorszak żonę swoją nocą nie wiem dokąd wyprawił; nie ma jej na zamku.

— Straże całą noc stoją, nikt nie wyjeżdżał.

— Ale jej nie ma.

— Dziwna rzecz! odparł Janasz.

Miecznikowa wyszedłszy, niewiele się dowiedziała od Korczaka. Unikał on sam dłuższej rozmowy, i wyszedł zaraz. Na dole czekał na niego Nikita.

— Paneczku, Dorszak kłamie, szepnął mu: to byli Tatarzy! Pytałem ludzi. Ale dla czego on kryje to? na co jemu potrzeba, żebyśmy my o Tatarach nie wiedzieli. Niech no pan wymiarkuje! To zły człowiek.

— Cichoż! do jutra! Jutro nas czterech, on jeden, zobaczymy... musi się to wyjaśnić.

— E! mruknął Nikita: co to długo myśleć i mówić. To jawny zdrajca; jabym go w kij związał za-

raz... a inaczejby się wszystko wyjaśniło. Póki on nas tumanić będzie, nigdy się prawdy nie dowiemy.

Korczak dał mu znak, aby milczał, i na tym się skończyło.

Na noc jak zwykle rozstawiono straż, Nikita je obchodził. Ostrożność była może zbyt duża, ale Janasz widział jej potrzebę. Lepiej było nadto niż za mało się pilnować. Na zaraniu wyjeżdżać mieli. Nikita jeszcze przededniem błady zbudził Janasza.

— A co? czas? zawołał zrywając się.

— Dostęć będzie czasu, odparł Nikita; a no—co innego jest.

— Cóż? co?

Chłopak postął chwilę milczący. Machnął ręką.

— Tu źle, tu wszystko źle, westchnął—tu dusze pokutują.

Wiara w te dusze jęczące, pokutujące i dopominające się modlitw u żyjących, naówczas było powszechna. Janasz tak dobrze wierzył w nie jak Nikita.

— Niech-no pan posłucha, mówił dworak zniżając głos i żegnając się. Wiadomo panu, że ja nocką straż obchodzę, i dziś też trzy razy wstawałem, bo Halaburda, aby siadł to śpi, a jak śpi, to można mu i bóty pozdejmować, nie posłyszysz. Właśnie byłem na straży... obchodzę po pod murami zamek dycht, jak się należy. Kiedy się zbliżam po pod mur do dziedzińca, w rogu—cicho było jak mak siał—słyszę jakby pod moimi nogami jęczenie. Przeżegnałem się i plunąłem na marę. Mówię Zdrowaśkę. Słucham. Jęczy, ale tak jak z pod ziemi, i tak jakby ludzki płaczliwy głos, a potem stukanie, niby podemną. Wszelki duch Boga chwalił włosy mi na głowie stały kołem. Mówię drugą Zdrowaśkę—jęczy. Nie wytrzymałem i uciekłem.

— Tchórz jesteś, wiatr wiał kędyś i wył, rzekł Janasz. Prowadź mnie tam.

Nikita choć wahając się, wstał i poszedł przodem. W dziedzińcu pusto było, ludzie nad rankiem pozasypiali na posterunkach, na niebie ledwo szarzało. W powietrzu cisza. Ostrożnie zbliżyli się do rogu muru. Janasz szedł w ślad za przewodnikiem. Stanęli. Nikita grubemi okutymi bótami ledwie na bruk stąpił, gdy w istocie krzyk stłumiony, jakby wołanie odległe słyszeć się dało. Nie można było rozpoznać dobrze z kąd wychodziło; zdawało się dobywać z pod ziemi.

Obu im włosy na głowie się jeżyły, poczęli się modlić po cichu.

Dniało z wolna i szare światło coraz wyraźniej dawało rozeznac przedmioty. Janasz usłyszał zarazem, że w pierwszym podwórzu ludzie już wstawali i brali się do koni; kazał więc Nikicie przygotowywać je dla siebie i ludzi. Snu przerwanego nie czas już było sobie nagradzać.

Ze smutnym jakimś wrażeniem, Korczak odziewać się począł. Gdy potem na znak, że konie gotowe, zszedł na dół, znalazł Dorszaka już na siodle z fantazją wielką, charty wyciągające się po śnie, przy nim... ludzi w gotowości, —i pochmurnym rankiem, który jednak obiecywał pogodę, ruszyli na objazd granic.

Zostawione niemal po całych dniach samym sobie lub zabawiane staremi opowiadaniem, dobrze im zna-

nemi przez księdza Żudrę, miecznikowa i Jadzia nie nudziły się wcale. Przybyło im teraz zajęcie z uporządkowaniem tego zdobytego skarbczyka, który się w całości znalazł takim, jakim go właściciel opisał. Czyszczono klejnoty, zbutwiałe worki zastąpić musiało nowemi. Miecznikowa cieszyła się, że mężowi, który pod Wiedeń idąc, wiele grosza na ekwipowanie się wydać musiał—przywiezie łup zdobyty tak szczęśliwie na przeszłości.

Jadzia tego dnia trochę była niespokojna. Dla czego? nie wiedziała sama. Prześladowała Janasza skórką zajęczą, ale się lękała za niego. Znała jego mężstwo i zapał, a tyle mówiono o niebezpieczeństwach, że wreszcie gotowa była w nie uwierzyć. Ten brat jój i przyjaciel więcej ją obchodził, niż się przyznawała. Nawykli byli do siebie; trudno jój było pomyśleć o rozstaniu, drżała na samo przypuszczenie niebezpieczeństwa. Czasem się trochę na niego gniewała, a potem pilno jój było się pogodzić; gdy go miała przy sobie, czuła się spokojną; gdy na dłużej się oddalił, wszystko wydawało się smutnem. W rozbiór natury tego uczucia nie wchodziła wcale Jadzia; było ono naturalnem, spokojnem, uświęconem jawnością i w myśli jój równało się braterskiemu. Nie inaczej, jak się zdało, kochałaby była brata.

Teraz z baszty spoglądając w dal, chciała odgadnąć, gdzie się on też mógł znajdować? Widziała jak z Dorszakiem wjechał klusem w wąwóz i zniknął. Z dala jeszcze odwrócił się kilka razy ku niej, poznał ją widać, bo czapkę podniósł do góry, a Jadzia białą chustką wiała długo na znak, że go zobaczyła. Aż do chwili gdy znikli w wąwozie, ciągle widziała

tę rękę podniesioną i ciągle sama odpowiadała jój wzruszona: „Szczęść Boże!”

Potem usiadła na kamieniach i pozostała tak z oczyma wlepionemi w dal.

Matka wiedziała już gdzie jój szukać w porze obiadowej. Siedli do stołu z księdzem Żudrą, który bawić się starał jak mógł, ale czuł, że i jemu bez Janasza było smutno i czegoś nie dostawało, jakby jednej nóty w chórze.

— Już to prawda—odezwał się kapelan—że bez tego chłopca nieraźno i niewesoło. Życie z sobą przynosi, dalipan.

— W oczy mu tego nie powiem—roześmiała się miecznikowa—aby go nie popsuć; ale w istocie Pan Bóg nas pobłogosławił tym sierotą... i mąż mój dobrze został wynagrodzony za swój dobry uczynek. Do niego się wszystko przyjęło: i nauka z książki, i rycerska sprawa, i każda rada zbawienna.

Jadzia się zarumieniła z radości, słysząc te pochwały, ale do nich nie nie dodała, w duchu tylko powiedziała sobie, że o tém kiedyś Janaszkowi wspomni.

— A przywiązany do nas—mówiła dalej miecznikowa—że mnie nieraz rozczuła troskliwością swoją.

— I pobożne chłopię—dodał ksiądz,—a taką jak jego pobożność lubię, bo z serca płynie i nie dla popisu jest robiona. Nie szuka z niej chwały.

— Dorszak—poczęła po chwili miecznikowa—jak się ze wszystkiego okazuje, niepewny człowiek, i za długośmy go tu trzymali, że się w końcu panem sądził. Gdyby mnie jegomość posłuchał, powinienby tu Janasza posadzić. Na kresach to tu dla niego miejsce właśnie.

Jadzia nie mogła się powstrzymać.

— Ale, kochana matuniu—rzekła—toćby nam bardzo go żal było. Tak daleko! On nam w Mierzejewicach potrzebny. Zobaczylibyście, jakby tam bez niego było pusto.

— Ale dla niego tudy lepiej było; cóż on u nas wysiedzi? a tu—mówiła matka—tudy się czegoś mógł dorobić.

Spuściła głowę Jadzia na serwetę i zamyśliła się.

Dzień ten płynął powoli. Po obiedzie wyszła Jadzia znowu na drugą basztę karmić wróble szczątkami chleba od obiadu i wypatrywać powrotu brata.

Słońce zachodziło za góry z wolna, gdy z wąwozów ukazali się powracający. Przodem jechał Janasz z Dorszakiem, ludzie za nimi. W lesie znaleźli jeszcze zielone gałęzie ze świeżymi liśćmi i umaili sobie niemi kapelusze. Janasz spostrzegłszy znowu Jadzię, podniósł czapkę do góry, ona go ochoczo chustką białą witała. Popędzili klusem ku mostowi i zamkowi. Zrazu myślała Jadzia wyjść ku niemu, ale jej wstyd było Dorszaka, i zatrzymała się na baszcie, mówiąc sobie: „On tu przyjedzie!” Nie omyliła się, gdyż Janasz ledwie konia oddawszy, pobiegł najprzód ku baszcie, od której mu biała chustka wiała.

— A! wróciliście przecie! zawołała zobaczywszy go w dole Jadzia. No, mówcież, mówcie, coście widzieli?

— Lasy i wąwozy, wąwozy i lasy, skały i drzewa, drzewa i skały, i więcej nic.

— A ludzi?

— Nikogo, pustynia!—odezwał się wchodząc kilka stopni w górę, aby się zbliżyć do Jadzi, która siedziała na parapecie. Bardzo to ładne być musi na wiosnę; ale teraz... nie ma tak dalece co oglądać.

— Otoż masz! zawołała Jadzia—i powiesz to pan matce, aby popsuć nam przejażdżkę.

— Gdybyście mnie panie posłuchać chciały...

— Ja wolę, żebyś pan nas słuchał—przerwało dziewczę. Proszę się nie sprzeciwiać.

— Nie śmiałym.

— Ale bo pan mi psujesz wszystko! Ja potrzebuję widzieć dużo, dużo, a pan ciągle roisz o jakichś niebezpieczeństwach.

— Nie lękam się ich dla siebie.

— To już słyszałam, ale nas trzymasz w kuratelli.

— Trudno się nam zrozumieć panno Jadwigo: to kraj, w którym nigdy nikt bardzo bezpiecznym nie był.

Janasz westchnął. Wtém nadeszła miecznikowa od dziedzińca.

— Patrzenie, rzekła śmiejąc się i wskazując palcem na Korczaka: powrócił, ja czekam, czekam, a on poszedł pierwszy raport zdawać pannie Jadzi, o mnie zapomniawszy.

— Niech się matusia nie gniewa, on nie nie winien, szybko wtrąciła Jadzia: ja go zawołałam.

Trochę skłamała Jadwisia, aby go uniewinnić.

— Ale mówże, mości Korczak: co tam?

— Objechaliśmy część znaczniejszą granic; oprócz nich nie widzieliśmy nic więcej.

— A więc i mybyśmy pojechać mogły.

— Ale tak! tak! w ręce klaszcząc i wstając zawołała Jadzia, z baszty biegnąc ku matce: jedziemy, jedziemy!

— Więc jutro, odezwała się stanowczo miecznikowa. Dorszak da wózek dla nas. On i Janasz będą nam towarzyszyli.

— Przepraszam panią miecznikową, wtrącił Ja-

nasz: nie mogę pozwolić na to. Najmnień dziesięciu ludzi dobrze zbrojnych wezmę.

— Po co? na co? co waści w głowie? rozśmiała się jejmość. Dalbyś pokój, abyśmy do śmiechu nie nastroczali powodu.

— Ja śmiech biorę na mój rachunek, jeśli potrzeba, odezwał się Janasz seryo; ale inaczej nie będzie.

Wyrazy te wymówił poważnie i tak śmiało, że pani Zbońska już się nie sprzeciwiała. Właśnie i Dorszak, który może z za muru część rozmowy słyszał, wsunął się przez bramę.

— Zatem na jutro jaśnie pani dysponuje? spytał. Wózek, konie... ja i pan Korczak.

— I dziesięciu ludzi zbrojnych w konwoju, dodał Janasz.

— Hm, hm! bąknął eicho podstarość. Dziesięciu ludzi, to już kupka. Czasem tętent tylu koni gotów istotnie na nas licha naprowadzić jakiego. Po co ich brać?...

— Jak to? zapytała miecznikowa: więc byłoby się czego obawiać?

— No—nie... ale włóczęgi są.

Dorszak, markotny, ręką machnął i stał milczący. Jakoś mu to widocznie nie smakowało.

— Niech jaśnie pani każe... ozwał się pomileczawszy. Cóż tu ten jegomość ma dysponować.

— Ten jegomość — żywo wtrąciła Jadzia, której twarz się zarumieniła—przez ojca został do tego przeznaczony, aby komenderował; to trudno.

Twarc Dorszaka przekrzywiła się, złośliwie spojrzał na dziewczę, lecz Jadzia oburzona odeszła.

Janasz już w dolnej izbie wydawał rozkazy ludziom i dobierał co najtęższych, rozporządzając jaką

broń wziąć z sobą mieli na jutro. Ksiądz Żudra wpraszał się także. Dorszak, który parę razy usiłował się wtrącić, widząc, że ładunki robią, rusznice i pistolety nabijają i szable opatrują, musiał pójść z kwitkiem. Janasz udał, że go ani widzi ani słyszy.

Nazajutrz do dnia na zamku ruszać się wszystko poczęło. Wyprowadzano konie, ludzie się przybierali, Janasz jeszcze opatrywał każdego z osobna i wózek dla kobiet przeznaczony. Nikita miał jechać na szpicy, bo już był z okolicą obeznany, za nim Janasz konno i ksiądz Żudra, który też chętnie dosiadał stępaka; reszta ludzi po bokach i z tyłu rozdzielona była... Zdawało się, że dzień jakby umyślnie wybrano dziwnie piękny, jasny i ciepły. Nim wyruszyli jeszcze, Dorszak zapowiedział, iż dla ukazania piękniejszych miejsc, cokolwiek inną poprowadzi drogą. Nie uderzyło to nikogo.

Ze wschodem słońca w gotowości było wszystko. Miecznikowa przeżegnawszy się, siadała na wózek z Jadzią, Dorszak na koniu się już zwiżał, ludzie swoich dosiadali, Janasz rozstawiał—i tak cała ta kalwarska przebywszy most i miasteczko, z którego chat i domowstw wybiegło ludzi mnóstwo, dla przypatrzenia się jadącym, ruszyła przez dolinę w wąwozy. Jadzia więc stąla niż siedziała na wózku, unosząc się od pierwszych kroków w wąwozach, nad pięknosć drzew i gór otaczających.

W szczególnym humorze był Dorszak. Jak gdyby zwykle swe milczenie i kwasy chciał wynagrodzić, ożywiony opowiadał różne podania o dawnych napadach, bitwach staczanych, porwanych jeńcach i t. p. Każdy kątek miał tu jakieś krwawe wspomnienie.

Im głębiej wjeżdżali w góry, tćm ścian y ich wy-

żej się podnosiły i las starszy był a poważniejszy. Strumienie przebiegały drożynę, skały szare gdzieś gdzie piętrzyły się nad nią, lub z pod darni wybijały się okryte grubym mchów pokładem, zieleniejących teraz właśnie barwami najwyższymi. Miecznikowej wskazywał Dorszak zapadłe w ziemię krzyże graniczne i zaciósy rubieżne na dębach.

Jechali tak spokojnie aż do południa prawie. Słońce podniosłszy się rzuciło z góry promienie w te zakąty leśne, resztę dnia stojące w cieniach. Niekiedy w wąwozach obwiewał ich chłód dolin, to znowu wpadał prąd ciepły rozgrzanego powietrza. Konie dobrze już były zmęczone, gdy wjechali w dolinę między górami, na której u skraju lasu widać było dwie mogiły. Jedna z nich odmienna od tych, które dotąd widywali, opasana była jakby pierścieniem zielonym do koła, usypanym niegdyś wałem, wklęsłym teraz w ziemię.

— Możeby tu jaśnie pani kazała koniom wypocząć? odezwał się Dorszak.

— A dobrze! dobrze! przerwała Jadzia — u mogiły... ale jakże się ona zowie?

— Han-Kurhan! rzekł Dorszak...

Drzewa, które snadź po usypaniu oba kurhanów porosły, do pół osłaniały je gałęzmi. Po za pałami ich była gąszcz krzewów, głógów, dereniów, skompij, róż poplecionych z jeżynami dzikimi.

Do koła zieloną równinę, którą przerzynał strumień, otaczały piękne wzgórza. Nie widać ztąd nawet było, aby do niej inna wiodła droga nad tę, którą wjechali podróżni. Cisza panowała do koła. Miecznikowa i Jadzia zsiadły z wózka, ksiądz z konia, ludzie zaczęli też z kulbak złazić. Janasz jeszcze siedział

i rozglądał się, zapewne dla wyboru miejsca na spoczynek, gdy wśród milezenia głuchego ucho jego chwyciło w dali rzenie koni.

Gdyby był w tej chwili spojrział na Dorszaka, dostrzegłby był jak pobladł nagle.

Zaledwie się to oddalone rzenie słyszeć dało, gdy stojącemu przy sobie Nikicie Korczak rzucił w ucho:

— Wszysey do koni i do bron! nie zsiadać, kołem stanąć!

Dorszak więcej się domyślił rozkazu niż go posłyszał.

— Niech ludzie spoczną — odezwał się, — niech bron złoży, bo się nadźwigali darmo przez drogę. Konieby trzeba napoić.

Janasz skinął na Nikitę:

— Ani mi się ważyć.

Miecznikowa i Jadzia z podziwieniem spoglądały na niego, i nie umiały sobie wytłómaczyć tego niepokoju.

Chwilę jakąś trwało oczekiwanie, gdy ziemia tętnieć z dala zaczęła nagle, coraz gwałtowniej, coraz bliżej, i z prawej strony ukazał się niedaleko jakby tabun koni, które prosto gnały na obóz.

Miecznikowa miała się czas przeżegnać i pochwycić córkę w ramiona, gdy już Janasz i ludzie stanęli zastępem między nią a tym widokiem dla niej niepojętym. Obejrzała się na Dorszaka — i ujrzała go, co koń wyskoczyć mógł, uciekającego w stronę przeciwną. Zdało się jój tylko, że ręką jakieś znaki dawał — komu? ludziom co ją otaczali, czy też napastnikom? rozeznac było niepodobna. W téjże chwili świst strzał, które się posypały gradem, były w gałęzie i padały, chwiejąc się, w pnie drzew wbite, dał

się słyszeć dokoła... Janasz z ludźmi już gotowymi ku obronie, stał osłaniając sobą miecznikową.

Nie stracił on ani męstwa, ani przytomności; oczyma starał się obliczyć siłę, przeważającą ogromnie nieprzyjaciela. Pisk i krzyk Tatarów, tętent koni, ukazujące się twarze czarne z zębami białymi, padające strzały, nie strwożyły też garści tej ludzi, którą Janasz dowodził. Dopuściwszy tłuszczę na strzał, dali ognia... Ten niespodziany snadź opór nieco powstrzymał napastników, ale obiegać poczęli w lewo i osaczać dokoła garść napadniętą, którą tylko las osłaniał z drugiej strony. Janasz krzyczał nakazując, aby miecznikowa z córką nie odstępowała szyku bojowego, i zakomenderował powolne cofanie się ku wawozowi. Boki jego okryte były gęstemi zarostami i na górę nieprędko się Tatarzy wdrzeć mogli. Parów więc stanowił rodzaj naturalnej twierdzy, w której się jakkolwiek z małym tym poczem trzymać było można. Zrozumieli to wszyscy. Książd Żudra pochwycił za rękę miecznikową, i stanął z nią za wozem, który usiłowano też wciągnąć do bałki. Konie tylko wystraszone wrzaskiem i strzałami, z razu się nie dały pokierować. Rozpaczliwa to była obrona. Tatarzy obiegali coraz ciasniejszym kołem i wciąż puszczali strzały.

W pierwszej chwili przelekła miecznikowa, powoli odzyskała cokolwiek przytomności i męstwa. Zaczęła wołać, aby ję i Jadzi podawano rusznice do nabijania. Jadzia też była jakby owiana jakimś duchem rycerskim. Żaden z ludzi nie padł jeszcze, dwóch było rannych. Janasz miał w czapce dwie strzały i rękę ranną, ale ani wiedział o tém, ani tego czuł. Cofając się z wolna do wyjścia wawozu, potrafil kobiety

osłonić, a że wążka była szyja, którą wychodził na dolinę, dziesięciu ludzi mogło się na dwa rozdzielić szeregi, — jeden z nich mógł dawać ogień, gdy drugi gotował się do niego. Janasz stał na przedzie, rozgorączkowany, zapalony, wściekły, czując, że tu życiem przypłacić przyjdzie, a myśląc tylko o tém, jak miecznikową i Jadzię ocalić. Jedna ucieczka na ślepo, w gąszcz lasów, mogła je albo cudem uratować, lub też, jako nieświadome miejscowości, napędzić właśnie w sidła. W tej zaś chwili nawet ucieczka była niepodobieństwem, bo wawóz się ciągnął daleko a dwie ściany obejmujące go, prostopadłe niemal były jak urwiska.

Miecznikowa tuląc córkę, w modlitwie, cofała się zakryta wózkami i końmi. Jadzia woła: „Dawajcie rusznice!” Janasz rachował czas, jak długo się będą mogli utrzymać, myślał czy cofać się dalej, czy stać w miejscu.

Cofanie się ściśnioną garścią nie było też dobrém, gdyż stawiało ich na cel strzałom. Tatarska dzicz ogromnym kołem objęła ich z przodu. Kilka koni i ludzi rannych od strzałów padło; rozjuszyło to więcej jeszcze napastników, którzy coraz bliżej nacierali.

Z rozpaczą prawie ujrzał Janasz, że część Tatarów z końmi, część odbiegłszy koni, na prawo i w lewo puściła się gąszczami, widocznie dla osaczenia obu ścian wawozu, z których wierzchołków strzałami wygodnie schowanych tam ścigać mogli i zmusić w końcu do poddania się. Na czoło nawet mniej nacierano. Książd Żudra posłyszał drapanie się przez krzaki i mimowolnie wydał okrzyk:

— Teraz jesteśmy zgubieni!

Pisma Kraszewskiego. Tom XII.

Matka pociągnęła ku sobie gwałtownie córkę, objęła ją ramionami, i obie tak stały, czekając co Bóg przeznaczył, i chcąc już tylko ginąć razem.

Lecz pierwsze lby i krymki tatarskie, co się góra w wąwozie ukazały, ledwie miały czas wyjść z gąszczy. Jednego kulą obalił Nikita, drugiego Janasz. Z lewej strony rażony Tatar, próżno się chciał chwycić za krzaki: potoczył się po stromej ścianie, brocząc ją krwią, i zawisł niemal nad miecznikową, w splecionych korzeniach drzewa, w które się uplątał. Lecz w miejsce ich już cisnęli się drudzy. Obrona ze wszech stron stawała się niepodobieństwem: rusznice nabijać było potrzeba, a znosić sypiące się strzały. Janasz już ran miał kilkanaście. Szczeniakiem gruby kaftan, który wdział dnia tego, znaczniejszej ich części nie przepuścił głęboko. Tkwiły w nim i opadały.

Jednego z ludzi strzała razila w oko, i utkwivszy aż w mózgu, ubila w miejscu; potoczył się z konia, chwytając go rękami, jęcząc i konając. Ksiądz Żudra pochwycił za cugle konia, głową pożegnał miecznikową, i dosiadł go, biorąc po zabitym rusznice.

W prawo i w lewo z gąszczy cisnęła się tłuszcza z wrzaskiem dzikim. Tak byli pewni jeńców, że już strzelać zaniechali; co prędzej tylko spuszczały się w dół, aby kobiety pochwycić. Znać było, iż im szło o nie i o to, kto je pierwszy porwie, aby do okupu miał prawo.

Miecznikowa i córka stały chwilę osłupiałe, głowami przytulone do siebie; lecz nagle Jadzia się porwała. Twarz jęj pałała.

— Janasz — krzyknęła — pistolet! dawaj broń!

— Dawajcie broń! zawołała miecznikowa — broń! broń!

Korczak, który się cały w tę stronę obrócił, chwycił istotnie pistolet, który co prędzej nabił, wziął drugi od człowieka i podał obu kobietom. Tatarzy zsuwali się po ścianach wąwozu w dół. Chwila była straszna.

Ze dwudziestu ich naliczył Janasz, już niemal dosięgających dna wąwozu. Od doliny nie broniąc się nawet, dawał ognia na tych, którzy już w środku parowu grozili. Szło nie o to, aby się ocalić, gdyż ocalenie było niepodobieństwem; ale by umrzeć rycersko i walcząc do ostatka.

Dwóch Tatarów na pół wyżyny wąwozu ugodzonych śmiertelnie, stoczyło się konać na dno, i wilo się o kilka kroków od miecznikowej. Janasz celował do najbliższych. Coraz to wśród wrzasku tego krzyk rażonego slyszec się dawał, a za nim mściwe odgłosy napastników, coraz bardziej rozjuszonych.

Jak zwity kłab węzów na wiosnę, kilkunastu razem Tatarów puściło się wreszcie z góry wprost ku kobietom. Jednego z nich trafiła kula i posoką obluzgał wszystkich; spuścili się, ciągnąc z sobą już trupa na dół, a zaledwie oparłszy się o ziemię skoczyli ku wozowi i wprost do miecznikowej.

Najpierwszemu, który się zbliżył, dopuściwszy go niemal do siebie, gdy już ręką sięgał, aby ją pochwycić, pani Zboińska roztrzaskała głowę strzałem z pistoletu; padł — a dwóch innych rwało ją już za ramiona. Jadzia strzelila, nie wiedząc sama jak, spostrzegłszy dziką, zwierzęcą twarz nad sobą. Janasz był tuż i dobytą szablą płał co napadł.

Ksiądz Żudra, który nie miał broni, wylamał wysiłkiem gwałtownym łusznę od wozu, i bił nią po łbach cisnących się napastników.

Chwila to była straszliwa.

Wśród tej wrzawy krzyk i tętent głośniejszy niż dotąd zawrzał od doliny. Janasz odwrócił się, spodziewając się ujrzeć za sobą Tatarów, którzy mogli teraz siać już na kark prawie bezbronnym—gdy ze zdumieniem postrzegł, że ta tłuszcza, co opasywała dokola, zaczynała się rozpierzchać szybko. Niektórzy popuszczali nawet konie, które samopas rozbiegały się po dolinie. Z prawej strony sypnęły się z niewidzialnego miejsca, osłoniętego drzewami, strzały broni ognistej; w ostatku z małego działka polowego huknęła kula. Tatarowie pierzchali!

Ci, którzy byli w wąwozie, usłyszeli nad sobą krzyki i nawoływania, stanęli niepewni co to znaczy, a ciągle ostrzeliwani, zaczęli się mieszać i jedni na powrót na górę usiłowali się wydostać, drudzy wąwozem zbiegali.

Niewidzialna siła jakaś przyszła w pomoc. Jeszcze chwila, a z Tatarów zostali tylko pozabijani i dogorywający.

Miecznikowa dopiero teraz czując się ocaloną, osłabła i oprzeć się musiała na córce, której lice pałało. Słowa jeszcze przemówić nie mogły obie, ścisnęły się ze łzami. Ludzie opatrywali sobie wzajemnie rany, bo wszyscy niemal byli ranni; ale uszedłszy śmierci i jassyru, śmieli się już i wykrzykiwali.

Ks. Żudra zsiadł z konia.

— Na kolana—co należy Bogu za ocalenie! Stal się cud!

Janasz chciał się z konia zsunąć, ale zaledwie nogą dotknąwszy ziemi, uczuł mrok jakiś na oczach, chwycił się za piersi i upadł. Nikita ranny także, podchwycił omdlałego.

W chwili, gdy klęcząc się modlili, a ks. Żudra głośno odmawiał: „Cześć Ci i chwała, Boże Zastępów!” naprzeciw wąwozu ukazał się na koniu mężczyzna.

Podniósł czapkę, czekał, aż się skończy modlitwa.

Wszystkich oczy zwróciły się ku niemu. Człek był niepowszedni i nie z tych, co się każdego dnia spotykają. Statury ogromnej, lecz jakby z samych kości zbudowany, chudy, coś miał bohatera i wiele Don-Kichota w sobie. Łeb śpiczasty, twarz długa a żółta, wąs siwy ogromny, szyja żylasta ogorzała, nogi długie, ręce niedźwiedzie, w pasie wązki, w piersiach szeroki, na koniu silnym i roslym, wydawał się, jakby z teatru wyjechał na pobojowisko. Strój też miał na sobie osobiwy. Kaftan łosiowy pikowany spodem, na nim kontusz wytarty z grubego sukna ponsowego, na piersi kawał zbroi i ryngraf złocisty z Matką Bożką, na głowie misiurkę złoconą z czepcem dróciannym, a w nią u góry wpięte pióro czaple. Szarawary jedwabne karmazynowe, bóty do kolan, za pasem pistolety, szabla u boku, rusznica u siodła. Wszystko to niewytworne było, zużyte, stare, ale mocne, a sam człek krzepki i zawiedły.

Popatrzał na kobiety, na omdlałego Janasza, na ludzi postrzelanych i leżące trupy i... przeżegnał się.

— Submittuję się—rzekł kłaniając się z wolna i rękę przysuwając do misiurki. Jeśli się nie mylę—jaśnie wielmożna miecznikowa Zboińska.

Podniosła się z ziemi pani miecznikowa, wpatrując się w dziwne to zjawisko.

— Przypominam się... miałem ci ja honor i szczęście, lat temu prawda dziesięć, przez półtóry godziny gościć w Mierzejowicach—półkownik cudzoziemskiego

autoramentu, straży nateraz granicznej, Jan Gracyan Duleba... tak, mościu dobrodziejko, z tych starych Dulebów, karmazynów.

— Winniśmy ci pułkowniku życie i wolność! Lecz jakimże sposobem?

— Ale, ba! Opatrzność Boża — rzekł Duleba. Ja tych psich synów, z pozwoleniem pani, tępię, ścigam i jak mogę nekam. Otoż Bóg mi dał, że ich zwąchawszy, w Czarniej balce na zasadzce schwytałem.

Spojrzał na Janasza. Jadzia cała we łzach, przyklekła była przy leżącym i płakała, ocierając mu twarz ze krwi.

— Nie mu nie będzie — temu młodzieńcowi... trochę krwi stracił... a no, wody! rzekł Duleba. W wózku była szczęściem i woda w baryłce, i wino. Jadzia już cała rannym zajęta, pobiegła po jedno i drugie.

Półkownik spojrzał znowu na leżące trupy Tatarów, z których jednego zabiła miecznikowa, drugi ranny był strzałem Jadzi i oderwaną miał szczękę.

— I myśmy dziś wyszły na żołnierzy, odezwiała się miecznikowa; jednego, zdaje mi się, zabić ja musiałam, drugiego postrzeliła Jadzia.

— Tak jest niezawodnie! rzekł ksiądz Żudra: bom na to własnymi oczyma patrzył...

— Heroiny! heroiny! zawołał Duleba. A jam dziś szczęśliwszy niż w całym życiu mojem, żem tak w porę przybył, ażeby ocalić drogie życie wasze.

— Jeden z naszych zabity, odezwiała się miecznikowa.

— W dobrej sprawie zginął... rzekł Duleba; piękna śmierć, nie ma go co żałować. Umrzeć trzeba, a jużci

lepszego zgonu nie ma niż w polu, bodaj od téj paskudnej strzały tatarskiej.

Gdy Duleba spokojnie, wyprostowany, rozprawia z miecznikową, Jadzia ciągle klęcząc nad Janaszem, cuci go i ociera. Własną ręką musiała, przemagając obawę i wstręt, wyjąć kilka strzał, które jeszcze tkwiły w nim. Rany nie były niebezpieczne, lecz było ich wiele i krew płynęła obficie. Janasz poczał się ocucić, oczy otworzył, zobaczył twarz Jadzi, i prędko je zamknął... Dopiero po chwili głos jój usłyszawszy, przyszedł do siebie i podnieść się usiłował.

— Panno Jadwigo, proszę iść do matki, rzekł — proszę... i oczyma wskazał ku niej.

Jadzia się nie ruszała. Wyciągnął ku niej rękę, nie czując, że krwi była pełna. Jadzia ścisnęła ją, zaczerwieniwszy się gdy ciepłą tę krew uczuła. Nikita szepnął, aby odeszła, i dała się nareszcie zgnalić do tego. Spojrzała na rączkę swą zakrwawioną, i wzdrygnęła się.

Półkownik naglił do powrotu...

— Jeżeli pani miecznikowa pozwoli, przeprowadzę do Gródka — rzekł — choć w drodze nie ma się czego obawiać. Tałalajstwo to, gdy raz pierzchnie, bierze nogi za pas i nie oprze się aż na stepie.

Ksiądz Żudra się zajmował rozporządzeniem powrotu. Janasza trzeba było położyć na wózku, bo zdało się, że konno jechać nie mógł. Na luźnego konia musiano ciało zabitego przywiązać, aby go nie zostawiać tak na pastwę nocną dzikiemu zwierzu... Duleba samowtór ofiarował się do konwoju, rozporządzający swoim oddziałem. Nim jednak przyszło do wyruszenia z miejsca, Nikita rany Janaszka pozawiazywał, obmył, i Korezak napiwszy się trochę wody

i wina, wstał o swój sile. Blady był wprawdzie, nogi miał niebardzo pewne, lecz zaklinał się, że z pomocą Nikity na koniu dojedzie.

— A! westchnęła miecznikowa, patrząc na Janasza: za mnie to ty nieboraku pokutujesz, boś mnie od wycieczki odwodził—a jam się uparla, a Dorszak ten...

— Gdzież Dorszak? spytał Duleba. Był on tu? Zabili go może?

— *Ni fallor*, rzekł ksiądz: *fugam dedit...* drapnął.

— E! to kawał franta, żeby nie rzec gorzej! mruknął pólkownik—ja go znam i z dała nań mam oko. Jeżeli nie *infamis*, niewiele do tego braknie... O! ja go z dawna znam—dodał—ja tu na Podolu od lat wielu. Ten człowiek mi Ormiankę, z którą się żenić miałem, pochwycił, obalamuciwszy rodziców, z pod nosa i z serca. Jeśli przypadkiem zginął—no—to powinien tylko, że tak delikatnej śmierci nie wart był. Winien umierać na gnoju.

Ruszano w drogę. Panie jechały milcząc obie, przytuliwszy się do siebie. Pólkownik, chociaż go nikt nie słuchał, rozprawiał głośno, niekiedy zwracając się do Janasza i księdza i wywołując ich approbacyę.

Gdy z wąwozów, które się im wydały teraz nieskończenie dłuższymi, wydobyli się na dolinę, w której zameczysko na jaśniejszém niebie czarne stało i ponure, był już wieczór późny, noc prawie. W miasteczku ledwie parę okien świeciło.

Po odjeździe miecznikowej, kilkunastu ludzi jęj dworu, pozostałych pod dowództwem prostego hajduka Hołoby, zabawiało się przy dzbanach, i poroziadali swobodnie na murach. Nakazał im być Janasz pil-

no strzedz wewnętrznego zamku i dwóch we drzwiach umieścić się na progu, lecz reszta używała wczasu i zawodziła tęskne pieśni. Nudno im było w tym obcym kraju; wśród ludzi nieskorych do towarzystwa, milczących i niedowierzających, radziby byli powracać co rychlój. Kraj piękny nie podobał się im wcale, wzdychali do równin i pagórków śmiejących się a ludnych około Mierzejowie.

Rozmowy rozlegały się po murach, gdy z górnej baszty Waśko zawołał podnosząc rękę:

— Hej! hej! co koń wyskoczy, ktoś leci na zamek! Co to jest? Koń Dorszaka! To Dorszak, ale sam! Poskoczyli niektórzy na mur patrzeć, inni ku wrotom.

Popędził i Hołoba. Spojrzał i zawołał:

— Na miejsca! Każdy na swoje!

Sam ku bramie pobiegł.

A tu już na moście tętent się rozległ i w pierwszym dziedzińcu krzyk. Hołoba skoczył z kąd go głos dolatywał, i nadszedł, gdy Dorszak okrwawiony, w odzieniu poszarpaném z konia się staczał. Parobcy jego nadbiegli także. Dorszak pomazany krwią, opylony, z niezmierném wzruszeniem krzyczał:

— Tatarzy! Tatarzy!

Hołoba stał przed nim drżący.

— Pani nasza! gdzie pani!

— Albo zabita, lub w niewoli! zaryczał Dorszak, udając przerażenie i rozpacz, i łamiąc ręce.

— A wy! wysłicieście cało! odezwał się z gniewem Hołoba. A jakże to może być!

Spojrzał nań ponuro Dorszak.

— Milczeć! co ty mnie tu sądzić będziesz, chamie

jakiś! Bronilem póki mogłem; dobrze, żem z życiem uszedł.

Hołoba stał blady i oniemiały.

Biegli i inni ludzie z górnego zameczku.

Dorszak kazał sobie przynieść wody i wódki, i nie wchodząc do domu, napił się w dziedzińcu. Twarz jego zamazana krwią i pyłem, wyglądała nielepiej od tatarskiej—jakaś niecierpliwość i niepokój go opanowały. Chodził jakby niepewien co pocnie, narażając się sam z sobą...

Parobcy niemi patrzali nań, w ganku Horpyńka przestraszona i Tatiana z rękami w tył założonemi.

Chwila upłynęła. Hołoba nieco do siebie przychodzić zaczął.

— Ale jakże się to stało? odezwał się.

Dorszak, gdyby rażony, odwrócił się wściekły.

— Kroć sto! co tobie mnie pytać? jak ty śmiesz? Ja tu pan, ja tu teraz pan.

Hajduk podniósł głowę, nie odpowiedział nic i cofnął się. Skinął na swoich, którzy stali osłupieli—i pociągnął ich z sobą na górny zamek.

Dorszak oczyma poszedł za nimi.

Ważył jeszcze co pocnie—aż ręką machnął i szybkim krokiem udał się na górny zamek.

W bramie stał Hołoba z ludźmi, z rusznicą w ręku, palaszem u boku. Dorszak postrzegłszy go, mruknął:

— Ja tu teraz odpowiadam za wszystko; i wy, i co jest, należycie do mnie. Tu ja rozkazuję.

Hajduk dał mu mówić, patrzył nań z podelbą.

— Paneczku—rzekł drwiąco—mnie tu postawili na straży, i póki ja żyję, ani wasza, ani nieczyja noga tu nie stąpi.

Podniósł rusznicę do pól.

Dorszakowi zatrząsły się ręce, odstąpił krok.

— Coście wy poszaleli? zaryczał. Pani zabita, z tamtych nie wiem czy noga ujdzie. Ja odpowiadam za wszystko przed miecznikiem.

— Pewnie! najprzód za życie jejmości i jedynego pańskiego dziecięcia! przerwał oburzony Hołoba. Siebie toście uratowali przecię.

Zmierzyli się oczyma, lecz Hołoba się nie zląkł wcale.

— Ja was wszystkich tu, zwoławszy ludzi z miasteczka, powiązać każę i do lochu wrzucę.

— A no! abo my co lepszego od pani! wrzasnął hajduk. Paniąście wydali Tatarom, możecie i nas im sprzedać.

Słowa te natchnęło Hołobie snadź to, co na miasteczku słyszeć mógł między ludźmi.

Z niewypowiedzianą złością rzucił się ku niemu Dorszak, ale zmiarkowawszy, że za słaby jest, odstąpił. Krzyknął na parobka. Ten ukazał się z za muru.

— Na miasteczko, ludzi zwołać na zamek!

— Dzieci! krzyknął Hołoba do swoich: rusznice sposobić do bramy! do mnie!

Ruszyli się wszyscy. Podstarości, któremu się zdawało, że zastraszy, począł chodzić przed wrotami cały w passyi, pięści podnosząc.

Milczenie trwało kilka minut. Zbliżył się do hajduka łagodniejąc.

— Nieszcześnie się stało! zawołał jęczącym głosem: cożem ja temu winien! Któż tu mógł przewidzieć szajkę Szajtana? Nie bądźcież bezrozumni... trzeba to ocalić co zostało. Puśćcie mnie, pozamykać muszę i spisać.

— Pozamykano—rzekł hajduk krótko.

— Ale cóż wy poszaleliście czy co? jutro lub pojutrze głodem was wezmę.

— A no! jak się uda—odparł Hołoba—ja i jutra czekać może nie będę: wozy spakuję i pojedę z nimi do domu.

— Ja nie puszczał ja przed panem za to stoję! krzyczał Dorszak.

— Albo ja, bom-ci tak dobry przed panem jak i wy, wtrącił Hołoba.

— A to, piekło z tą hołotą! zaśmiał się dziko, tupiąc nogami i zgrzytając zębami Dorszak.

Hołoba tymczasem wrota i farty złożyć kazał drągami i znikł. Podstarości pochodził jeszcze, rwąc się za włosy, i skoczył do domu. W ganku stała jak wprzód Tatiana.

Dla czego mu tak pilno było dostać się na górny zamek, to się tém chyba tłómaczyć może, iż się skarbu domyślał i co prędzej go w ręce swe chciał pochwycić. Pomiarkował jednak, wysławszy na miasteczko zwoływać gromadę, że zbyt ni rozgłos natychmiast po wypadku nie był dobry. Kazał Horpynie odwołać nazad posłanych, aby wracali.

Tatiana patrzała mu w oczy, tak, że jój natrętne go wzroku znieść nie mógł.

— No, może teraz jejmość wypuścić? szepnęła.

— Jeszcze nie czas—niechaj siedzi ta jędza, nie się jój nie stanie.

Wskazał ręką ku górnemu zamkowi.

— Mnie tam trzeba! Ludzie poszaleli, puszczać nie chcą. Idź ty do nich, powiedz im, że ich zły los spotkać może. Ty się z nimi rozmówisz lepiej.

Tatiana pokręciła głową—krótko go zbyła słowem: „Nie chcę!”

I powróciła do domu uchylając się od dalszej rozmowy. Na przymurku od wschodów stała faszka z wódką; Dorszak się napił, namyslał się widocznie co robić. W chwili upojenia jakiegoś osnuł tę zdradę; teraz mimo hartownego sumienia, pomimo że mu się zdrada powiodła, czuł ten niepokój bezprzyczynny, który zawsze opanowywa po dopełnionej zbrodni. Tłómaczył się przed sobą i gniewał na siebie, strach go ogarniał niewysłowiony, choć niespowodowany niczem. Każdy szelest go przerażał. Uczynił co chciał, i radby był odwołać co zrobił.

Rozrachowywał, czy się to w jakikolwiek sposób wydać nie może. Dalej nie wiedział co począć.

Wieczór nadechodzić zaczynał, na drugim dziedzińcu zatarasowali się ludzie, postavili straż, i słychać było jakby już znosili i zrzucali rzeczy a zabierali się do drogi.

Dorszak stał i słuchał.—„Żeby ja im dał skarby wywieźć ztąd! Niedoczekanie! To nie może być... Nie zechcą po dobrej woli, muszę gromadę gorzalką spoić i kazać ich powiązać. Bronić się długo nie mogą... nie...”

Zbiegł ze wschodków, i bez myśli kołując tak, gnany niepokojem, zszedł aż do mostku. Chciał widać do miasteczka sam iść, aby ze starszyzną pomówić. Gęsty mrok padał, noc się zbliżała. Wahał się: iść czy odłożyć na jutro?

Wtém bystre ucho jego pochwyciło jakby tętent koni w dolinie. Stanął... Wieczór był cichy, milczenie grobowe, po spadłej rosie wieczornej głos się rozchodził z dala. Dorszak pojąć nie mógł co tętniało. Stado z paszy idące inaczej bieży, Różnawwał konie

kute i regularny powolny chód ich ciężki. Zdało mu się, że słyszy szezęk broni. Oczy otworzył, chcąc coś ujrzeć w dali; lecz mrok na dolinie pochłaniał wszystko.

Jak błyskawicą przeszła mu po głowie myśl, że się ocalić mogli; ale się z niej rozśmiał jak z dzieciniego strachu.

Tymczasem tętent się coraz przybliżał, słycać było skrzypienie wózka, a nawet donośny głos rozprawiającego niezmordowanie Dulęby. Włosy Dorszako wi najeżyły się na głowie; drzeć zaczął.

— „Duchy?” Nie wierzył w duchy. Strach coraz większy go ogarniał; tętent się już przybliżał do mostu. Nie licząc nic, nie wiedząc nawet dobrze co czyni, Dorszak spuścił się w parów, na którym stał most, z takim pędem, że gdyby za gałęzie krzaków nie chwycił, potoczyłby się był na dno. Wkrótce potem na most wjeżdżał Dulęba i na pół omdlały Janasz, i wózek, z którego miecznikowa z córką wysiadła. Wszystko to ciągnęło w milezeniu żalobnym; ludzie tylko szeptali pomiędzy sobą, a Dulęba głośnie coś rozprawał o Alsan-Ghiraju.

Dorszak poznał go po mowie. Nie mógł dojrzeć, kto jechał, kto ocalał, kto zginął; lecz jasne suknie kobiet mignęły mu przez szczeliny mostu, i dłonią uderzył się po czole. Zdało mu się, że widma wracają z drugiego świata. Dulęby przytomność tłómaczyła cud. Zgrzytnął zębami... Nadrabiać zuchwalstwem i pokazać się na zamku, czy uciekać? Nie ruszając się ze swój kryjówek, myślał tylko o tém.

Na zamku o powrocie jego powiedzieć musiano. Jak się tłómaczyć? Uchodzić? Wahał się, a pot zimny spływał mu po skroni. Słyszał, jak z dala na zamku okrzyki się słyszeć dawały i wrzawa, jak ludzie

witali ocalonych. Położenie jego na zamku przy Dulębie stawało się niebezpiecznym. Miecznikowa mogła mu go oddać pod straż, a byli z sobą od dawna na noże.

Westchnął.

— Nie, uciekać trzeba... uciekać... Jak?...

Parobków swoich był prawie pewien... Wysunął się po cichu na brzeg, drapiąc się rękami i nogami, podsluchywał... Cała wrzawa i tłum wszystkich, ciekawi nawet parobcy i dworzanie, cisnęli się na zamek górny. Noc już była ciemna. Z bijącym sercem przekradł się niepostrzeżony do pierwszej bramy, pod której sklepieniami i we dnie postrzedz było trudno co się w kątach kryło. Ztąd mógł wygodnie zajrzeć na podwórze: stało puste. Przemknął się biegiem po podszopami, kryjąc się do murowanej budowy, wbiegł na wschodki: wszędzie było pusto. W izbach mieszkalnych i po ciemku mógł znaleźć co chciał. Dopadł szafy, którą otworzył, dobył z niej skórzany trzos, którym się opasał, zarzucił burkę na ramiona, posłuchał, i nazad puścił się wschodami. Szczęściem nie spotkał nikogo. Wyjrzał z ganku: podwórze stało puste i ciemne; z przeciwniej strony dochodził gwar i wrzawa ludzi miecznikowej. Jednym skokiem stanął na dole, a do szop, w których były konie, miał dwa kroki. Gdy raz się tu dostanie, nikt go nie dojrzy, będzie bezpieczny. Co żyło zajęte było miecznikową, cisnęło się na zamek górny. Dorszak miał czas konia znaleźć, kulbakę z kolka zdjąć i drżącymi rękami rzucić ją na grzbiet najlepszego ze swoich wierzchowców. Uzda i popręgi nie zabrały wiele czasu. Konia wyprowadził po cichu, i korzystając z ciemności, wywiódł go powoli przez most, wybierając tak miejsca znane sobie, aby jak najmniej tętniało. Zaledwie mi-

nał most, rzucił się na siodło, cugle zebrał, nahałką ściągając konia co siły i popędził w czarną noc nie pytając o drogę.

Zatętniało chwilę i... uciekło... Na górnym zamku jak w ulu szumiało. Wszyscy byli na nogach około rannych. Miecznikowa zaledwie przysiadłszy, wstawiała, rozporządzając co czynić należało. Jadzia ani pomyślała o spoczynku. Nie było naówczas zwyczajniejszej rzeczy nad rany; w powszednim życiu niemal codziennie rąbali się przyjaciele i wrogowie, strzelali przy lada waśni. Nie było też domu szlacheckiego i rycerskiego, gdzieby kobiety około ran chodzić nie umiały, a i mężczyźni bez plastra, bez kawałka płótna nie ruszali się o krok z domu. Nikita był na pół felcerem, ksiądz Żudra pół doktorem. Miecznikowa jeszcze za ojca czasów wprawiała się w opatrywanie skaleczonych. Janasza więc opatrzone natychmiast, inni sami o sobie pamiętali. W sklepionej izbie pod basztą tymczasowo złożono zabitego.

Janasz miał ran wiele od strzał tatarskich; trzy tylko głębsze i niebezpieczniejsze... Nie zdawało się jednak, by strzały być mogły jakim zaprawne. Krwi utracił dużo, gorączka się już objawiała, więcćj może ze wzruszenia niż od postrzałów. Jadzia chciała być przy nim nieodstępna.

— On za nas życie stawiał, wołała z zapalem; jesteśmy winne, że nas wprzód Tatarowie nie porwali nim odsiecz nadeszła: nie godzi się, byśmy mu nie odplacili staraniem za krew przelaną.

Miecznikowa się nie sprzeciwiała wcale. Sama też ciągle zaglądała do chorego.

Dulęba z księdzem Żudrą poszli się rozpatrzywszy posilić, i siedli w izbie księdza na gawędkę, której

półkownik tém radniejszy był, że ję u siebie w obozie nie miał tak pokornę, a nowy człowiek lepięj zawsze słucha.

Znalazła się flaszcza wina, chleb, wędlina i arbuz podolski.

Wiedzieli już, że Dorszak uciekł i był na zamku.

— Ciekawym go też widzieć, rzekł Dulęba, posłaćby po tego patra, a zajrzeć mu w oczy.

Wyprawił ksiądz zaraz, lecz sługa obiezał zamek dolny, izby mieszkalne, szopy, huknął, pytał, i nigdzie ani śladu nie znalazł. Dorszak już się był cichaczem wyprowadził.

Gdy dano znać, że go nie mogą dopytać, Dulęba się rozśmiał.

— Byłem tego pewien, rzekł; drapnął, nie czekając reszty porachunków. Albo to lepięj, albo gorzję, dodał. To pewna, że jeśli Dorszak uszedł, o czém się przekonać łatwo, spokoju mieć nie będziemy.

— A cóż może być? spytał ksiądz Żudra.

— Co? napaść mogą Tatarowie na zamek, jak nie.

— Ale gdzież zaś!

— Kobiet straszyć nie trzeba, ale to tak pewna jak dwa a dwa cztery.

Ksiądz załamał ręce i głowę spuścił.

— Wielu macie ludzi? zapytał półkownik.

— Jest nas z rannymi i niedołęgami jak ja, około dwudziestu.

— A broni?

— Dosyć na dwudziestu.

— Amunicyi?

— No, nie wiem dokładnie, zawołał ksiądz Żudra.

Gdyby Janaszek pozdrowiał nieco, wiedzielibyśmy najlepięj i co robić, i co jest.

— On rychło odejdzie, zdrowa krew, wtrącił pocieszając Dulebą. Tatarskie strzały, jeśli nie zabijają, to po nich rany tyle tylko, że nudne. Dorszak ani dziś, ani jutro nie może ich tu sprowadzić. No, jutro...

Zafrasował się ksiądz Żudra tak, że stanawszy zamysłony, nie wiedział co począć.

— Półkownik! na miłość bożą, ty nas nie opuszczaj! krzyknął, za ręce go chwytając.

Duleba wesa kręcił.

— Co ja wam tu jeden pomogę?

— Poszlemy po waszych?

— Ale ja mam ordynanse, na milego Boga, ozwał się półkownik; ja około zamku stać obozem, ani w zamku siedzieć nie mogę. Moja rzecz krążyć po nad granicą, a mam dosyć do czynienia z tém tałajstwem.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia ksiądz, niewiedząc co począć, wylekły dzisiejszemi wypadkami, pomyślał, że w niedostatku Janasza, który majaczył trochę pod noc i z którym naradzić się nie było sposobu, należało choć Nikitę sprowadzić do rady. Po Korczaku był to najzdolniejszy z ludzi, a choć ranny, nie stękał na kalectwo i krzątał się jak zdrowi.

Wybiegł więc sam wołać Nikity. Dworak stanął natychmiast. Zawiazaną miał prawda głowę, obandażowaną rękę, na jedną nogę trochę kulął, bo mu ją konie ścisnęły aż zsiniała, ale na twarzy śmiało się mu zwycięstwo i przygoda, której teraz, gdy się szczęśliwie skończyła, niemal był rad. Napił się już parę razy wódki, zjadł chleba ze słoniną i uczuł się po-krzepionym.

— Nikita! zawołał ksiądz, widząc go ukazującego się w progu: na tobie teraz wszystko! Ja w tém, że ci pan da swobodę i grunt... ale...

Nikita ramionami ruszył, rozśmiał się głośno i nie dał dokończyć.

— A! dobrodzieju! co tam o tém mówić! mówcie co pilniejsze...

— Dorszak zdrajca umknął z zamku, kończył Żudra. Półkownik ręczy, że na zamek Tatarów cme naprowadzi.

— A pewnie! zawołał Nikita.

— Nie wiemy ani dnia, ani godziny; trzeba się do obrony sposobieć.

— Ja jutro co świt do moich pojedę, wtrącił Duleba, — i przyszlę wam na załogę z dziesięciu.

— No, to i dobrze, zaśmiał się Nikita; obronimy się tej szarańczy, choćby ich było i...

— A no, powoli... oto! rzekł podnosząc się Duleba; powoli, a nie tak butno. Dorszak lepiej od was zna wszystkie dziury tego sowiego gniazda. Obronimy się albo nie.

Nikita się zamyślił, oczy wlepiwszy w podłogę.

— Jak on ich na dolny zamek przyprowadzi, rzekł Duleba, — toście zginęli, a dolnego zamku bronić ani myśleć.

— Ta! syknął Nikita, namysławiając się: albo, albo... My sobie chodząc po zamkach pozawczoraj z panem Janaszem, baraszkowali i żartowali, jakby tu przyszło bronić się od nieprzyjaciela. Nasz Janaszek to głowa generalska, on na hetmana stworzony, dodał Nikita; a wiecie co mówił?

— Tom ciekawy! uśmiechnął się Duleba: cóż ta generalska głowa tak mądrego znalazła?

— Bardzo prosta rzecz, panie półkowniku. Spalimy most... na dolny zamek nie dostaną się.

Półkownik stał zdziwiony.

— Al jak mi Bóg miły, rozumnie. Tylko wprzódy mnie dajcie się ztąd wydobyć. Dziś na noc posłać dwóch ludzi, niech pale u dołu poobwiązują słomą i dziegciem osmarują. w godzinę mostu nie będzie.

— My tu z głodu poginiemy! zawołał ksiądz.

— Trzeba z miasteczka nocą ściągnąć, nie prosząc, co się znajdzie, dodał Duleba. Na to, mości Nikita, masz całą noc i kawał dnia jutrzejszego. Ja, pod wieczór, przyszlę wam załogę, więc z paleniem mostu się nie śpieszcie, ale tak, aby nikt nie wiedział, przygotować wszystko. Na górny zamek się nie dobiorą, chybaby jaka wycieczka była tajemnemi lochami, które-miby Dorszak mógł ich wprowadzić.

Ksiądz Żudra załamał ręce...

Nikita głową kręcił...

— Ale czy to, proszę półkownika, ozwał się po chwili, — czy to istotnie może być, żeby ten łotr?... Czy to może być?

— To nietylko może być, ale niezawodnie będzie, poczał Duleba. Trzeba znać Dorszaka i Tatarów.

— A nie lepiejby było, zabrawszy się, uchodzić? spytał Nikita.

— Z chorymi? w dziesięciu czy piętnastu zdrowych, żeby was na drodze napadli? mówił półkownik. Myślicie, że on tu, na zamku i w miasteczku szpiegów nie ma? że mu nie doniosą?

— Wyrzucić baby i parobków jego, rzekł Nikita, — i to nie czekając.

— Baby strzedz, a parobków wygnać dziś, czy nie, to nie nie pomoże. Na dziś pilniejsza rzecz, żywność na zamek sprowadzić i most przygotować.

Duleba kończył, gdy miecznikowa weszła powolnym krokiem. Przed kilku chwilami już stała u progu, słuchając rozmowy. Na twarzy jej nie widać byłocale obawy, ale smutek i powagę wielką.

— Wszystkom słyszała, odezwała się wchodząc. Mój Nikito, póki Janaszek nie wyzdrowieje, ty nas broń.

Dworski z uniesieniem rękę pani pochwycił i do ust poniósł.

— Niech jasna pani będzie spokojna. Bóg łaskaw, rzekł głosem wzruszonym. Kiedy on nas dziś wyrwał z takiego niebezpieczeństwa, nie da nam zginać mar-nie. Ja póki starzę rozumem, pociągnę... a zabraknie, przyjdę po radę.

— Ja spać nie myślę się kłaść, odezwał się Duleba, bywaj z raportem, będziemy radzili.

— Bóg cię nam zesłał, półkowniku! rzekła miecznikowa.

— Niech pani spocznie spokojna, proszę bardzo, trzeba sił i na jutro, mówił Duleba. E! jakoś to będzie...

I zbliżył się, aby miecznikową w rękę pocałować. Miecznikowa westchnęła.

— Mój półkowniku, odezwała się nieśmiało: nie gniewajcie się na mnie.

— Ale? za co?

— Coś pragnę uczynić, coście powinni dobrém sercem przyjąć, dokończyła. Winnam wam życie moje i córki jedynaczki, i moich wszystkich. My o was pókiśmy żywe nie zapomnimy; ale—dodała prędko—chcę wam ofiarować pamiątkę.

Wzdrygnął się Duleba.

— Mościa dobrodziejko, wyjąknął: ja zasuszony

żołnierz stary... ja... tego... żadnych pamiątek nie potrzebuje, żeby szczęścia nie zapomnieć. A toż było istne błogosławieństwo boże. Ale pfe! ale pfe! rękami obiema, jakby odpędzał coś natrętnego, machając rzekł Duleba.

Miecznikowa stała, i z pod chustki drżącą ręką dobywała karabele. Oczy półkownika padły na nią, i przestał się opędyć.

Karabela była stara; z pozoru można się było domyślać, że klingę miała turecką. Oprawa była złocista czy złota, ale prosta i niewytworna.

— Jak mi Bóg miły! karabela! ale zkądże?

— Umyślnie dla was się tu znalazła.

— Ale nie, nie przyjmę, nie... poczał oczyma ją ścigać Duleba, — tylko proszę pokazać.

Była to stara szabla znaleziona w skrzyni na zamku. Ten, co ją składał tam, dobrze wymaścił oliwą, tak, że nie nie zardzewiała, a odczyszczona świeciła jak srebrna. Dobyta klingę oparł Duleba o podłogę, zgięła się w kabłąk i wyprostowała drżąc; świeciły mu mu oczy do niej.

— Musisz ją wziąć półkowniku! nalegała gospodyni.

Duleba w milczeniu schował do pochwy i westchnął.

— Nie mogę.

— Czemu?

— Czemu? przesądny jestem: żelazo przyjaźń rozcina. Karabela doskonała, apetyt do niej niemniejszy, ale, nie mogę.

— Daj mi pół tynfa za nią! rozśmiała się miecznikowa.

— A no, zgoda, rumieniąc się, rzekł Duleba, i zrobił ruch jakby sakwy szukał, chociaż wiedział dobrze, iż próżną znajdzie. Nie miał i pół tynfa w kieszeni. Wstyd mu było. Wymówił się, że kieskę snadź zgubił po drodze.

— Dam na kredyt, śmiejąc się, prędko dorzuciła miecznikowa.

Pocałował znów piękną rączkę Duleba; ale przypomniawszy sobie obowiązek, schwycił za czapkę, którą miał w kieszeni, bo misiurkę dawno zdjął, i poszedł po zamku szukać Nikity. Chcąc nazajutrz odjechać rano, aby ludzi przysłać na posiłek, musiał z nocy korzystać.

Pomimo znużenia, nikt na dole nie spał. Część czeładzi gwarzyła o wypadkach dnia dzisiejszego w sklepionej izbie u wnijscia, reszta się uwijała po pod murami, koło koni, opatrując otwory, obwarowując bramę. Nikita był w podwórzu. Duleba go znalazł w rogu nastawiającego ucha.

— Co to jest? zapytał.

— Kto jego wie! cicho rzekł Nikita, albo tu dusza pokutuje, albo ja już nie rozumiem nic.

— Gdzie?

— Tu, aby stąpić, słyhać jęczenie i stuk.

Półkownik nie był zbyt łatwowiernym; wierzył w duchy, ale gorzej się obawiał zdrady i Dorszaka. Stanęli słuchać. Jęk się z pod ziemi dobywał głuchy. Duleba położył się na kamieniach i ucho przycisnął do nich. Wstał po chwili i rzekł:

— Coś siedzi. Musi to być loch, a w lochu, bodaj, czy kto niezamknięty.

Gdy tak gwarzą pomieszani, spojrzeli, aż pod murem

gryząc fartuszek w zębach stała mała Horpynka. Dziewczę miało twarz przestraszona jakąś i całe było drżące.

Na półkownika rzuciło przestraszony wzrok, to znowu na Nikitę. Dopatrzwszy chwili, gdy na nią Dulęba nie spoglądał, Hoprynka skinęła na Nikitę. Ten się zbliżył. Musiał się aż pochylić do jej ust, bo chłop był jak dąb, a dziewczę małe i drobne.

— To ona tam jęczy! to ona! Jak Bóg miły!

— Kto? zapytał Nikita.

Dziewczę oczy spuściło, zamilkło i gryzło fartuszek znowu.

— E! toż wiecie! szepnęła i obejrzała się. Pan uciekł, to wy ją powinni uwolnić.

— Ale kogo?

Dziewczę znowu milczało. Dulęba zdziwiony czekał, aż się skończą te szept.

— Co ty się tam durzysz z tém dzieckiem! przerwał: szkoda czasu.

Nikita nie słuchał.

— Mów, kogo?

— Panią! panią wrzucili do lochu! Tatiana! On kazał! Tatiana! Tatiana! powtórzyła kilka razy, zakryła sobie oczy i chyłkiem pod murem, jakby się zlekła tego, co powiedziała, biedz poczęła ku bramie, przychyliła się, podpełzła pod nią jak kot i znikła.

— Dziewczyzna powiada, odezwał się Nikita do półkownika: że Dorszak tam żonę trzyma zamkniętą.

Dulęba zaledwie to usłyszawszy, za rękę go konwulsyjnie pochwycił.

— Gdzie? jak? człowiecze! Gdybym miał karku nadkręcić, ja ją uwolnić muszę! Prowadź! którądy?

Nikita nie już nie mówiąc, rzucił się do bramy. Półkownik za nim. Trząsł się cały.

— Infamist! rozbójnik! łotr! powtarzał. Dajcie mi go w ręce: na moją odpowiedzialność, na gałąź! na gałąź!

Obiegłszy dom za bramą dokola, bo Dulęba nie szedł, ale leciał gniewny, wpadli na ganek i po wschodach na górę.

Drzwi były ze środka zamknięte. Poczęli stukać i dobijać się mocno. Zrazu grobowa im cisza odpowiadała; dopiero gdy we dwóch poczęli drzwi wysadzać, kroki się słyszeć dały.

— Kto tam?

— Otwierać! krzyknął Dulęba.

W zamku odezwał się klucz, i na progu pokazała się tłusta owa Tatiana z ogarkiem w rękę. Dziakiem wejściem zmierzyla wchodzących. Twarz jej zwierzęco obojętna, a razem chytra, oświecona blaskiem światła, które ręka zasłaniała, pełna była gniewu hamowanego i trwogi.

— Gdzie twoja pani? krzyknął Dulęba przystępując.

— Albo ja wiem? Pojechała! z pozorną obojętnością poczęła kobieta. Co ja wiedzieć mogę!

— Kłamiesz, wtrącił Nikita.

Kobieta zbłądła i chciała odchodzić. Dulęba żelazną dłoń położył jej na ramieniu.

— Mów! zawołał—lub z życiem nie wyjdiesz. Bierz klucze i prowadź.

— Zamknęłaś ją do lochu z rozkazu pana, rzekł Nikita.

Kobiecie drgnął ogarek w rękę; krzyknęła, z za ramienia odwróciła się ku Dulebie.

— Co wam do jego żony! co wam do niej! Ona się z nożem do niego rzuciła, ona wściekła, ona szalona. To ich sprawa nie wasza, a on się pomści. Jój puszczać nie można!

— Prowadź, nie gadaj, zawołał Duleba,—natychmiast.

Tatiana chciała się im wyrwać z rąk, ale z drugiej strony schwycił ją Nikita i wyrwała się napróżno... Ogarek potoczył się na ziemię, ale nie zgasł szczęściem, i Duleba go jedną ręką podjął zręcznie. Obląkanemi oczyma rzucając napróżno do koła, jakby ratunku szukała, Tatiana płakać zaczęła ze złości.

— Puście mnie! zawołała w końcu, jakby z rozpaczą.

Półkownikowi tak szło o uwolnienie nieszczęśliwej kobiety, iż natychmiast wykrzyknął:

— Puszczyć, gdy ją znajdziemy.

— Kłnij się na Boga! zawołała Tatiana.

— Klnę się na Boga.

— Na Tróję.

To naleganie byłoby powinno zrodzić podejrzenie w półkowniku, lecz się tak zapalił losem uwięzionej, że na nic nie zważał i przysięgał.

Kazała mu powtórzyć przysięgę Tatiana, i dopiero się wtedy ruszyła.

Nie puszczaając jój z rąk, szli niemi przez izbę naprzód, w której jeszcze szafa stała otworem od ucieczki Dorszaka, a u okna leżała robota jego żony i jedwabie rzucone bezładnie,—potem przez sypialnię pustą, przez sień, z której wschody wiodły w dół, do zamkniętego

lochu. Loch był pusty. Tatiana spodziewała się może wyrwać, uciec i drzwi za sobą zatrzasnąć, bo ich milcząc obwiodła po pustych lochach. Tu śladu nie było, ani głosu żadnego nie słychać. Półkownik zaczynał żelaznemi rękami cisnąć ją tak, że Tatiana z bólu syknęła. Zaczęła jęczeć i płakać. Stali w lochu, którego środek zajmował kamień z uchem żelaznym: wskazała go nogą...

W chwili, gdy Nikita się schylał, aby go podnieść, Tatiana szarpnęła się chcąc uciekać, ale Duleba oburącz ją porwawszy, zgniótł tak, że na ziemię upadła.

Wiek podniosło się lekko... małe wschodki w dół się kręciły.

— Krzyknij! wołaj! odezwał się Duleba.

Nikita pochylił się nad czarnym otworem, i począł huknąć jak w lesie... Chwila upłynęła w milczeniu. Zdało im się, że posłyszeli szelest. Tatiana drżała cała... Głos bolesny odezwał się z głębi.

Nikita wołał ciągle. Czekali. Błada, wynędzniała, zmieniona twarz, z obląkanemi oczyma, pokazała się nad otworem; włosy poplątane spadały jój na ramiona, okryte chustką zbrukaną. Na widok tego widma, Duleba krzyknął, a Tatiana zakryła sobie oczy, jakby się skryć chciała...

Nikita rękę podawał.

— Niech pani wychodzi—rzekł—i nie boi się... Dorszaka nie ma... uciekł...

Jakby nie rozumiejąc jeszcze i nie poznając nikogo, wodziła ciągle oczyma po nich kobieta, podniosła rękę wychudłą, przetarła powieki. Stała, nie śmiała iść dalej. Czy sił jój brakło?... Nikita niemal gwałtem chwycił ją za rękę, wyciągnął milczącą, osłupiałą do górnego lochu... Stała tu, wpatrując się w Dulebę

jakby go rozpoznać chciała, a nie mogła. Dostrzegła Tatianę i cofnęła się z trwogą.

— To ona! to mój kat! zawołała.

— Jam niewinna... jęczała Tatiana,—ja służa.

Mileząc, wydobyli się z lochu na wschody. Kobieta próbowała się wyrwać pólkownikowi razy kilka, na próżno. Dopiero gdy stanęli w izbach mieszkalnych, a Dorszakowa padła na poduszki, Duleba zapomniał o Tatianie i puścił ją. Nim się spostrzegli, rzuciła się ku drzwiom i znikła.

Duleba z politowaniem niewysłowioném wpatrywał się w tę piękność, która go niegdyś zachwycała.

— Pani mnie nie poznałaś, rzekł; a jam to ten nie-szczęśliwy Duleba...

— Gdzież ten człowiek? gdzie ta kobieta? dla czego wy tu jesteście?

Trudno było razem na wszystkie odpowiedzieć pytania. Uspokojono ją najprzód, że męża się nie ma co obawiać, a Tatiana, jego powiernica i prawa ręka, pewnie uciec musiała. Zaczęła płakać. Siadł przy niej pólkownik, i chwilę tak na lzy jej patrzył, nie mówiąc nic. Nikita zawołał tymczasem do posługi Horpynkę, która pani do nóg płacząc upadła, i zostawił ich, sam śpiesząc do mostu i do miasta.

Nie było chwili do stracenia.

Noc to była bezsenna cała i niepokoju pełna. Z przestachu, wzruszenia, ran i wysiłku nadzwyczajnego w obronie mieczników i Jadzi, Janaszek dostał gorączki. Chociaż Duleba ręczył, że rany od strzał tatarskich nie są niebezpieczniejsze nad ukąszenie komara, jednakże kilka z nich wbiło się w ciało głęboko, a wyjmowanie ich rozdarło rany. Korezak stracił wiele krwi, nim ją zatamować zdołano. Trudno go

było uspokoić i na łożu utrzymać; zrywał się ciągle z krzykiem wielkim, chcąc biedz na ratunek.

Słyszając ciągle z ust jego imię swoje i matki, Jadzia nie mogła się od łez powstrzymać. Głos jej uspakajał go na chwilę; jak muzyką poił się nim. Spoglądał w tę stronę, z której go dochodził; potem zamykały się mimowolnie powieki... usypiał i zrywał się pod wrażeniem strasznych snów, w których powtarzała się scena poranna.

Ksiądz Żudra przyszedł do izby, w której Jadzia ze służącą czuwała nad chorym. Znalazł ją w krześle obok łóżka, z rękami załamanymi na kolanach, z oczyma wlepionymi w chorego, zapłakaną. Kobieta, która jej towarzyszyła, siedziała obok, ale dawno uspiona.

Ksiądz szepnął, aby Jadzia szła do matki; ale Jadzia głową tylko poruszyła.

— Ja tu muszę siedzieć, bo mu z tém spokojniej i lepiej, odezwała się cicho.

— Ale on usnie i lepiej mu będzie z tém daleko bo sił nabierze.

Jadzia główką potrząsała, ksiądz nalegał, wstała więc po cichu i ruszyła się kroków kilka,—gdy, jakby przeczuwszy jej oddalenie, Janasz się porwał z krzykiem i zawołał:

— Tatarzy! Tatarzy! Nikita! stawaj, zasłońmy pania, pal!

Gorączkowy, dziki głos Janasza i rwanie się jego jakby szukał oręża, natychmiast Jadzię zwróciły. Przystąpiła znowu do łóżka i odezwała się:

— Proszę leżeć cicho. Jesteśmy na zamku!

Chory zamilkł, obejrzał się, posłuchał; ona powtórzyła raz jeszcze co mówiła; zamruczał coś, i posłuszny legł na poduszki. Jadzia mu rękę przyłożyła do czoła,

pottrzymała ją tak chwilę, i znowu usypiać zaczął. Ksiądz Żndra patrzył trochę zdziwiony i zakłopotany. Dał jej nie mówiąc znak, aby odeszła. Posłuszne dziewczę odjęło rączkę, i wnet chory jęczeć i poruszać się zaczął; spojrzano na księdza, przyłożyło ją, i ucihl.

— Panno miecznikówno, odezwał się ksiądz Żndra: już tylko idźcie, ja na niego też sposób znajduję...

Choć z widoczną przykrością i odwracając się ciągle ku niemu, Jadzia wreszcie odeszła. Janasz się ruszył i zaczął jęczeć; ksiądz schylił się ku niemu i przemówił słodko. Reszty już dziewczę nie widziało, bo musiało iść do matki. Zeszło więc ze spuszczoną głową, powoli, zamyśłone. W progu miecznikowa ją uściśkiem powitała.

— Jadziu moja, rzekła cicho matka: niedobrze, byś tam zbyt długo przesiadywała przy nim.

— Dla czego? spytała zdziwiona Jadzia.

— Nie pora ci tego tłómaczyć, dziecko moje, dla czego nie chciałabym, aby pocziwy Janasz ciągle cię miał na oczach. Już i tak aż nadtoście do siebie przywykli.

Jadzia tak była tą mową zdziwiona, iż chwilę stała, jakby jej zrozumieć nie mogła.

— Ależ moja matuniu!

— Jadziu droga, on młody, jemu się w głowie łatwo przewrócić może.

Jeszcze miecznikówna nie zdawała się rozumieć, ale rumieniec na twarzy jej wytrysnął.

— Dla czego mu się ma zawracać głowa? odparła powoli. Myśmy z sobą od dzieciństwa jak siostra z bratem. Cóż w tém złego? A wczoraj, czy dziś, bo

już nie wiem kiedy, krwią jego nasza družba się zapieczętowała.

— Ale ja wam tej braterskiej przyjaźni nie bronię, odezwała się matka zmieszana nieco,—tylko...

— Niechże matunia mówi wszystko, wtrąciła Jadzia. Proszę, proszę...

— Niepodobna się tak przywiązywać zbytnio choćby do brata, dodała miecznikowa. Żyć z sobą nie będziecie zawsze.

— Jak to? dla czego?

— Przecież i jego los gdzieindziej powoła... i ty—i ty opuścisz nas, a pojedziesz z kim innym.

Jadzia westchnęła.

— Ja o tém pomyśleć nie umiem! rzekła. Bez was, bez ojca, bez ciebie, bez niego, a! jakżebym ja żyć mogła! Nie mówmy o tém.

— Nas, moje dziecko—mówiła matka poważnie—nas mieć będziesz zawsze, my cię nie opuścimy i nie damy cię nikomu, coby me jedyne dziecko gdzieś uprowadził daleko... ale Janasz! Z niego będzie albo żołnierz, albo gospodarz; on musi gdzieś pójść szukać szczęścia, dorabiać się doli o własnej sile. Z nim zawsze nie będziemy.

Jadzia stała zamyślona głęboko, jeszcze nie chcąc słów matki zrozumieć i wziąć za prawdę. Miała to za groźbę tylko, groźbę niebardzo jasną.

— Przyznam się matuni, że ja... jabym, gdziekolwiek będę, Janaszka wzięła sobie. Ja nie mogę pomyśleć nawet o tém, żeby bez niego żyć, tak do niego przywykłam.

— Ale to właśnie źle! zawołała miecznikowa.

— Źle? powtórzyła pytając Jadzia.

Niewinne dziecko matka pocałowała w czoło, przy-

cisnęła do siebie i chciała je odprawić, aby spoczęło, lecz dziewczę zwróciło się do niej jeszcze.

— Po co Janasz ma gdzieś między obcymi szukać szczęścia i doli? Czyż my mu jęj zapewnić nie możemy? Jabyśmy się z nim jak z bratem podzieliła—a! najchętniej!

— Zostawmy to ojeu, dziecko moje, zakończyła matka; to do niego należy. A teraz zaśnij, proszę cię. Idź; jeśli nie chcesz, powiem ci, że przykazuję.

Pocałowała w rękę matkę Jadwigę, uczuła krzyż, który jęj matka zakresliła nad czołem, i wyszła. Miecznikowej nie do snu było. Pierwszy raz miała taką znaczącą rozmowę z córką, i czuła się niespokojną wielce. Dotąd to przywiązanie weale jęj nie trwożyło; teraz głębsze w wyrazach Jadzi wyczytała znaczenie. Należało więc co rychlej ich rozdzielić pod jakimkolwiek pozorem, aby niebezpiecznemu przywiązaniu nie dać się rozrosnąć zbyt znacznie. Miecznikowa miała nadzieję, że dokona tego zręcznie i jak najmniej dla obojga boleśnie.

Była pewna, że Janasz ani mógł śnić o miecznikównie, i to ją pocieszało; chłopak był nadto skromny, pokorny i pamiętny tęg nędzy, z jakieg go wyrwano. Jemu też nie przypisywała weale, żeby zbytnią poufalością wywołał to uczucie, ale, rozmarzonej główce córki i bujnej młodości, która ma zawsze serce pełne, a zbytek jego wylewa na świat i ludzi, nie patrząc kto miłości godzien.

Ile razy na myśl przyszedł jęj mąż, drżała. Pocziwy i zacny pan miecznik powolnym był w wielu rzeczach, ale dla córki marzył losy świetne, może daleko świetniejsze niż matka... Cóżby powiedział, gdyby mu choć w żarcie wspomniano Janaszka? Kochał go jak

dziecię, to prawda — ale społeczne warstwy w jego sercu i głowie układały się w pewnym porządku, którego nie, nawet największa miłość naruszyć nie mogła.

Tak myśląc, miecznikowa przyszła jednak do przekonania, że obawy jęj były próżne, że dziecka nie zrozumiała i że zgrzeszyła zbytciem troskliwości. Przeżegnała się, pomodliła, uspokoiła... i znużona, gdy dzień już szary do okien zaglądał, padła w krzesło snem złamana.

Na zamku ruch był wielki.

Nikita sam pobiegł na miasteczko do znajomego Abrama, po radę i zapasy żywności.

Nad spodziewanie całą rodzinę zastał na nogach.

Tu już wiadano o wszystkim, co się stało, i o ucieczce Dorszaka, a stary wnosł także, iż orda na zamek napadnie. Właśnie jeden z rodziny zbierał się prosić, aby ich przyjęto do zamku, bo najazd musiał najprzód nawiedzić bezbronne miasteczko.

— Zabierajcie co najwięcej żywności z sobą, zawołał Nikita—i nie opóźniajcie się ze schronieniem na zamek, bo (tu szepnął mu w ucho) most spalimy.

— Ja to chciał mówić, rzekł Abram: inaczej się opierać trudno.

To mówiąc, stary odeiagnął go na stronę.

— Dorszak uciekł?

Nikita poczał z zapalem opowiadać o losach zdrajcy i jego żony. Stary głową trząsł i niepokoił się coraz mocniej.

— No—Dulęba to cała nadzieja; on nas może uratować, jego się Tatarowie boją—on jeden im straszy; a no...

Nie dokończył Abram i nachylił się do ucha Niki-

cie, lecz jakby namyśliwszy się i nie nie powiedziałszy, odstąpił, dając znak ręką, że się to na nie nie zdało.

— Mów, podechwylił Nikita.

— Jest lepsza u nas kryjówka niż na zamku— a no, już może do niej późno. W miasteczku o niej nie wie osób więcej nad dwie lub trzy. Dorszak napróżno zawsze starał się ją odkryć. Tajono ją przed nim. Kilkaset lat temu już, jak się ludzie w niej od napadów dziezy téj kryli.

— Gdzie?

— W górach niedaleko jest pieczara, do której trafić, kto nie wie, jest niepodobna. Wielu już ona tysiącom ocaliła życie; ale—za późno do niej, a w biały dzień nie można.

Nikita wyjrzał przez okno: na niebie zaledwie szarzało.

— Gdyby to pewne było, niechby pani i panienka się skryły, mybyśmy się na zamku bronili.

Abram też do okna poszedł.

— Późno, rzekł: nim się wybiorą, nim wyjdą, dzień się robi, nie niegotowe.

— Zatem na zamek— dodał Nikita—możecie się schronić i wy, i kto z wami będzie, ale żywność zabierajcie... Jeżeli Tatarzy do nocy nie nadejdą... no— a pani zechce—przyszłej nocy możemy się schronić do pieczary.

Wyszedł Nikita, a choć jeszcze dzień zaledwie się obiecywał, na miasteczku spotkało go dużo ludzi... Wszyscy chodzili niespokojni... Spędzano bydło, ładowano wozy, niektórzy prosili się na zamek, inni milcząc wybierali się w góry i parowy. Wszyscy niemal pewni byli, że Tatarzy przyjdą. Znali Dorszaka.

Nikita pobiegł na zamek z nowiną o pieczarze, wprost do pólkownika, który w izdebce księdza Żudry dnia oczekiwał, weale kłaść się nie myśląc. Popijał co mu dawano, przekąsywał co się znalazło, ziewał i gadał nieustannie, a oknem wyglądał, czy nie czas do swoich, aby zaraz posilek dać zamkowi i w porę ludzi przysłać.

Gdy Nikita ze swą obwiązaną głową zjawił się we drzwiach, Dulęba właśnie opowiadał ze szczegółami księdzu, jak się kochał w Agafii i jak ona naówczas wyglądała. Kłął, wzdychał i pił, cały rozogniony tém, że mu los zdarzył ją dziś z tego okropnego wyzwolić lochu.

— Do pierwszego spotkania z Dorszakiem! mówił. Za to obejście się okrutne z kobietą—będzie wisiał, jakem żyw. A cóż ty powiesz? odezwał się obracając do Nikity.

— Wszystko co było zrobić można, to się już zrobiło. Most do podpalenia gotów. Z miasteczka ludzi dużo na zamek dolny ciągnie, by się schronić, i co mają żywności to zabiorą z sobą. Ale—rzekł—gdybyśmy się wcześniej opatrzyli, byłby może lepszy sposób niż na zamku ich czekać.

Poskrobał się w głowę.

— Cóż takiego? zapytał pólkownik.

— Ludzie tu wiedzą o pieczarze, do której się nie jeden raz kryli przed Tatarami.

— Myślisz, że Dorszak i Tatarzy o niej nie wiedzą?

— Tak mówią.

— Alboż nie było już tu takich historyj, gdy po kilkuset ludzi dymem duszono w tych jaskiniach? rzekł Dulęba. Tam, gdy wyszpiegują, nie ma ratunku; tu przynajmniej bronić się można, a choćby poledz ucziwie.

Tymczasem już Żydzi, Rusini, Ormianie, Wołochy, koczowali po pod murami przy kupach rzeczy swych, węzłkach i worach, które tu pościągali. Widok był osobliwy tego spłoszonego ludu obojęd plei, leżącego i siedzącego na ziemi, kobiet z dziećmi u piersi i na kolanach, wozów, na których dziatwa drzemala ponakrywana świtami, beczących owiec, bydła, powiązanych ladajako koni i snujących się wśród ciżby starców.

Stary Abram ze spokojem człowieka, który depelił co mógł, przywdział śmiertelną koszulę, obwiązał rękę i odprawiał modlitwy, nie zważając na to, co go otaczało. Zamek już był pełen, a z miasteczka jeszcze ciągnęli opóźnieni przez most i rozkładali się w bramie i na wałach. Na moście stała straż od świtu. Duleba już miał na konia siąść, gdy mu Agafia na myśl przyszła, i ochota go wzięła ją pożegnać. ▽

Poszedł więc do murowanego domu, i jak się spodziewał, znalazł ją w tém samym miejscu, gdzie zostawił, na poduszkach, wtuloną w kąt i jakby zdrętwiałą. Horpyńka na ziemi siedząc u nóg jej, drzemala.

— Jedziecie półkowniku i opuszczacie nas? zawołała zrywając się Agafia, — to my tu przepadniemy! a ja dostanę się znowu w ręce tego zbója!

— Jest komu zamku bronić, rzekł Duleba; nie ma się czego lękać. Ja do komendy rad nierad jechać muszę, dla tego, że i tu ludzi trzeba przysłać w pomoc. A dla czego macie przepadać?

— Któż lepij zna zamek nad niego? przerwała Dorszakowa. Ileż to my lat tu mieszkamy! Każdy kąt on opatrzył sto razy. Samam słyszała od niego, że wie o takiej wycieczce, którą, prawda, z zamku

można się wydobyć, ale i do zamku dostać. Czyż on z tego teraz nie skorzysta?

Zastanowił się nieco Duleba.

— No! choćby tam jaka dziura była—rzekł—nie może nią więcej wchodzić ludzi niż po dwóch, to ich tu ci miecznikowscy, determinowane chłopcy, jak szczurów wytłuką.

Agafia podniosła czarne oczy na Dulebę i uśmiechnęła się gorzko.

— Oni pewnie cisnąć się nie będą... rzekła—dosyć, by baryłkę prochu podłożyli, to kawał muru wysadzą i ludzi wybiją.

Schwycił się za głowę półkownik...

— Nie może to być! nie może! nie mówcie nawet o tém! Bóg łaskaw, nie dopuści. Nim się oni zbiorą—moi ludzie tu będą, mury osadzimy i z oka ich nie spuścimy... Rusznice mają dobre, do zamku się zbliżyć nie dadzą.

— Daj to Boże! zawoła Agafia. A jeśli żyć będziemy, półkownik! zaklinam cię, odeszlęj mnie do rodziców... ja tu zginę, oni mnie strują lub umorzą.

Nie chciał słuchać dłużej Duleba, nie mogąc nie poradzić; pocałował ją w rękę i wyrwał się jak oszalały. W podwórzu konia dosiadł, odwrócił się głową żegnając Nikitę i księdza, i zatętniało tylko po nim na moście.

Na zamku kto mógł się wdrapać na mur, spogładał z góry. Niektórzy na dachach siedzieli. Na wypadek szturm, starsi ludzie nagotowali kamieni, kupami je kładąc, bo starym obyczajem niemi się tylko bronić było można, dział nie mając dostatkami ani prochu. Z pierwszego podwórca bruk prawie cały wydarto, i co gdzie było gruzu pościągano wszystek.

W miarę jak czas upływał spokojnie—otucha wchodziła w serce.

— Nie ważą się—mówiono.

Lecz nikt napowrót do miasteczka nie odchodził. Nadeszło południe, mglista dolina leżała cichą i pustą.

Na górze już ze dniem, ledwie przespawszy się, powstawali wszyscy. Ksiądz porzuciwszy Janasza, który głębokim snem usnął nareszcie, przygotowywał się do odprawienia mszy świętej, choć noc całą prawie spędził na czuwaniu. W małej kapliczce zebrało się kilka osób, klękała miecznikowa z córką, modlili się wszyscy gorąco, było za co dziękować i o co prosić. Dziwny gwar ludu, który się tam zgromadził, dochodził z dolnego zamku aż tutaj—przerywając modlitwę.

Tak się rozpoczął ten dzień niepewności i trwogi.

Jadzia natychmiast chciała biec na górę, ale ją miecznikowa zatrzymała łagodnie:

— Poczekaj, moje dziecko, rzekła: nie przerywajmy mu snu, potrzebuje go wiele. Ksiądz Żudra da nam znać, pójdziemy razem.

Jadwisia się zarumieniła. Spojrzała na matkę, nie odpowiedziała nic i usiadła smutna.

Ksiądz zastał na górze Janasza uśpionego głęboko, i pilnującą go kobietę, także snem zmożoną. Usiadł z brewiarzem około łóżka, oczekując przebudzenia.

Tak upłynęła godzina może—westchnienie słyszeć się dało, potem krzyk, i Janasz się zerwał, oczyma przestraszonymi wodząc do koła.

— Co to za gwar? spytał nastawiając ucha.

Wtém wszedł Nikita.

— Co to za gwar? powtórzył Janasz.

— A no, ludzie z miasteczka, co ich tu pełne po-

dwórza—odparł Nikita nie rozumiejąc, aby co taić było potrzeba. Wszystko to się ściągnęło ze strachu.

Janasz spojrział.

— A o cóż obawa?

— A Tatary! zawołał Nikita: toć wszyscy mówią na pewnika, że ich tu Dorszak naprowadzi...

Dopieroż Janaszowi wszystko powoli wytłumaczyć musiano, a Nikita mu wyśpiewał nawet historię Agafii. Janasz słuchał z uwagą.

— Cożście zrobili dla obrony zamku?

Dworak z chlubą opowiadał, jak się doskonale urządził.

— Chwała Bogu—rzekł Korczak—nie czuję się dziś źle, muszę wstać, aby się też na coś przydać.

Ksiądz chciał go wstrzymać.

— Ani myśl dobrodzieju! odparł. Żadna siła ludzka mnie w łóżku nie uwięzi, kiedy jest niebezpieczeństwo. Gorączka przeszła, rany nie znaczą nic, a robić jest co!

— Zaczekaj tylko chwilę, proszę cię—rzekł ksiądz, póki ja nie wrócę.

Nikita zabawiał go rozmową, gdy ksiądz Żudra się wymknął i poszedł o wszystkim uwiadomić miecznikową, która się zaraz sama iść wybrała. Jadzi radziła zostać, lecz dziewczę spojrzało tak smutnie i błagając na matkę, że mu wreszcie iść pozwoliła z sobą.

Wśród rozmowy z Nikitą, weszły obie. Janasz poruszył się i zarumienił.

— A, pan! zawołał—przebaczenie, jam już dawno na nogach być powinien, wstyd mi, że leżę.

— Zakazuję waćpanu się ruszać, pod posłuszeństwem, odezwiała się miecznikowa. Nie ma żadnej ani potrzeby, ani obawy. Ludzie sobie uroili, że nas i tu mo-

gą napaść Tatarowie, że ich ma Dorszak naprowadzić, ale to czyste sny są i strachy.

Jeszcze mówiła miecznikowa, gdy ogromny krzyk dał się słyszeć od dolnego zamku. Zadrżeli wszyscy. Nikita się rzucił zaraz...

Cisza trwała chwilę, potem gwar. Wszyscy pobiegli do okien, ale ztąd nic widać nie było.

Już miał się ksiądz Żudra wybrać na wzwiady, gdy Nikita zdyszany powrócił.

Miał kawał żółtego papieru w ręku i minę trochę skłopotaną.

— Kto ich wie co to jest! odezwał się, papier podając. Jakiś człek od gór czwałem świszcząc przyleciał do mostu, na moście papier rzucił i wnet nazad w las uciekł. Niepodobna było za nim puścić się konno.

Miecznikowa, Jadzia, przychodzący właśnie ksiądz Żudra zebrawi się nad tym tajemniczym papierem, usiłując go przeczytać.

Nie była to rzecz łatwa, bo pismo nieczytelne, pomyłone, blade, nie wiedzieć w jakim języku pisane, było do zrozumienia trudne. Rodzaj pieczęci z liter jakichś splecionych wybity był u spodu. Musiał to być znak Szejtana.

Tatar groził na zamek napaścią, zniszczeniem, mieczem i ogniem, lub żądał okupu, który na wagę oszacowany, a oprócz tego wydania całego mienia Dorszaka, jego sług i żony w lochu zamkniętej.

— Ale jakaż pewność, że okupiwszy się, jutro nie będziemy napadnięci? odezwała się miecznikowa.

Ksiądz milczał. Spojrzeli na Janasza, który drżał cały. Nikita pokornie u drzwi stojąc, czekał, nie śmiejąc się odezwać.

— Proszę jaśnie pani, rzekł w końcu, nie mogąc

się powstrzymać—ja jestem głupi chłop, ale ja tak sobie myślę, że gdyby oni mieli siłę i moc nad nami, po co by się prosić potrzebowali i tak nad nami litować?

— Masz słuszość! dodał Janasz: z rozbójnikami w targi wchodzić nie godzi się. Pani miecznikowa dobrodziejko, pozwólcie mi wstać, idę obejrzyć obronę, nie może to być, ażebyśmy się ich tu mogli lękać. Półkownik Duleba obiecał posiłki.

— Żonę i mienie Dorszaka wydać mu—odezwał się ksiądz,—ale więcej nie.

Miecznikowa nad papierem zadumała się. Skinęła na Nikitę, szepnąwszy mu, ażeby szedł po Dorszakową, a sama z córką zeszła do swego mieszkania. Jadzia ociągała się trochę z wyjściem, popatrzała na Janaszka, który się do niej uśmiechnął, skinęła mu ręką, ale matka już ją z sobą ciągnęła.

Janaszowi sił niecierpliwość dodała; począł się zaraz z łóżka dźwigać i odziewać.

Pani Zboińska jeszcze stała nad tą kartą, z którą nie wiedziała co począć, gdy weszła Agafia.

Widok jej mógł przestraszyć, tak wybladła była, zbrukana i jakby nieprzytomna. Od wyjścia ze swego więzienia nie poprawiła nic na sobie—zapomniała o wszystkiém. Włos rozpuszczony splotał na ramiona, oczy pałały jakimś ogniem rozpacz i przerażenia, podarta suknia szmatami wlokła się po ziemi.

Weszła, stanęła, ale z powagą odbijającą dziwnie od tego wynędznienia i opuszczenia, nieulekniona ani upokorzona widokiem miecznikowej, która ciekawe na nią skierowała wejrzenie.

— Co ludzie mówią? co ten człowiek mi powiedział? odezwała się nagle, nie skłoniwszy nawet głowy. Mnie mają wydać? czy ja jestem czyjśm bydłem?

— Mąż się o was upomina! odpowiedziała miecznikowa—tak sądzę. Zlego mieliście męża, to prawda, lecz jesteście jego żoną.

— Ja? jego żoną? tego co mnie więził [w lochu? tego zbójcy i złoceńcy? poczęła gwałtownie, podnosząc ręce Agafia. Ja go znać nie chcę! ja go przeklinam! Pani — poczęła rzucając się wśród izby na kolana i załamując dłonie—ulituj się nad nieszczęśliwą. Broń mnie, weź mnie z sobą—ja ci służyć będę, ja się wykupię, ja...

Tu lkanie jej przerwało.

— Uspokój się—rzekła zbliżając się do niej miecznikowa,—gwałtem nikty cię nie wydał.

Agafia wstała powoli, przysła [do ręki stojącej miecznikowej, chwyciła ją gwałtem prawie, i gorąco całować zaczęła.

— Wy nie znacie tego człowieka! wy nie wiecie co ja z nim wycierpiałam! Któż to wypowie?!

I lzy się jej rzuciły z oczu.

Kobiety popłakały się wszystkie, zbliżyły do niej i pocieszać zaczęły.

Ksiądz Żudra stał zadumany.

— Cóż zrobić z tym papierem? rzekł cicho.

— Wyrzucić go precz, zawołała Agafia.

— Idź i bądź spokojna, odezwiała się miecznikowa. A jeśli czujesz się tu bezpieczniejszą, przychodź do nas, nie zostawimy cię samą.

Gdy się ta scena odbywała w izbie miecznikowej, Janasz już był wstał, i choć się czuł słabym, zszedł na dół. Zbladła miał twarz, rozognione oczy, ale siły wyrabiała w nim wola. Nim otworzył drzwi, powiedział sobie, iż nie da poznać, że cierpi, że zdrowym być musi. Wszedł z uśmiechem na ustach. Nic nie

mogło powstrzymać Jadzi, aby nie pośpieszyła przeciwko niemu. Patrzała mu w oczy, usiłując w nich wyczytać boleść, ale jej tam nie znalazła. Widok dziewczęcia resztę jej rozpędził...

Agafia odeszła—zaczęto na nowo rozczytywać się w papierze. Dwanaście godzin czasu dawał w nich Tatarzyn do złożenia okupu, a snadź gdzieś w pobliskich górach czaty mieć musieli, gdyż nakazywali białą na baszcie wywiesić chorągiew, albo—jeśliby żadnej nie było do wieczora, grozili napadem.

— Na tatarską wiarę się zdać niepodobna, rzekł Janasz—na zamku bronić się można, choć z garścią małą. Tatarowie dział nie mają, mury wysokie są i mocne, a staw, a broń przecię, której dosyć na nas jest, a ciżba ludu, w obronie własnej także czynną być musi! Dzień się wola boża!

Słowa te powtórzyła miecznikowa.

— Dzień się wola boża!

Nikita podsłuchiwał podedrzwiemi, obawiał się, ażeby dla spokoju okupu nie dano. Odszedł prawie uradowany i świszcząc siadł pod murem, z chlebem i ogórkiem w ręku.

W drugim dziedzińcu obcych nie było, bu tu ich nie wpuszczano. Większa część ludzi obiadowała i gwarzyła w dolnej izbie, reszta na basztach i przy murach czatowała. Zdziwił się podniosłszy oczy Nikita, gdy w tém samym miejscu co wczora zobaczył znowu Horpynkę, stojącą z fartuchem w zębach. Wyglądała tak jakby i teraz chciała coś powiedzieć.

Nikita, któremu wynędzniałego dziewczęcia żal było, podniósł chleb swój do góry, pokazał go jej i zapytał: czy chce jeść?

Potrząsa głową.

— Cóż ty tak stoisz pod murem? zapytał.

— Ja coś mam powiedzieć — szepnęła — ale się bardzo boję.

Nikita skinął, aby podeszła; zawahała się, obejrzała lekliwie, i kolując powoli, przybliżyła się ku niemu i wsparła o mur, bosa wyciągając nogi pokaleczone, poobwiązywane liśćmi i szmatkami.

Fartuch jój pomagał, bo go gryzła ciągle, nim się na słowo zebrała. Pochyliła się ku Nikicie.

— Ona już powróciła! — szepnęła szybko i podniosła się, jakby nie mówiła nic.

— Któż ona?

Znowu chwila upłynęła.

— Ona, Tatiana.

— A! zawołał Nikita, to cóż?

— Ona już tu nie darmo.

Dziewczę ramionami ruszyło.

— Albo to kto może wiedzieć?

— Przecież powiadasz, że wróciła?

— Bom widziała jak się wkrađała, a potem, oho! ona tu zna kryjówki wszystkie, mysze dziury — ona tu pani, jój tu nikt nie znajdzie.

Schyliła się ku Nikicie.

— Siedziałam pod szopą, gdy weszła przelewała. Śliznęła się gdyby wał, zobaczyła mnie, podbiegła. „A ty tu? żmijol!” Ona mnie nazywa żmiją! Ona sama gorsza od żmii! I w ucho mi krzyknęła: „Jak słowo powiesz komu, żeś mnie widziała—zaduszę.”

Zamilkła chwilę...

— Albo to ona zadusić nie może? Może, ale ja nie mogę milczeć. Tyle dusz chrześcijańskich — ona wszystkich zgubić gotowa. Ona może, ona może.

Dokończyła poruszeniem głowy i rękami.

Nikita słuchał zdziwiony i niespokojny razem.

— Mówże gdzie jój szukać? jak ci się zdaje?

Horpynka mocno podniosła ramiona, i wyciągnęła ręce, mnąc w nich fartuszek.

— Albo ja wiem, poczęła—tu lochy a lochy i pod lochami lochy, het—wszędzie, w murach nawet jakieś chodniki. Kto tu co znajdzie! Tu strach mieszkąć i duchy złe i ludzie źli mogą się skryć! Podstarości tu wie jeden, a Tatiana druga, bo ona dawno u niego, ona tu i panią była.

Zamilkła nagle. Spojrzała na zamyślonego Nikitę i poczęła się odsuwać po pod murem. Zabierała się do ucieczki. Powoli skradała się do wrot, obejrzała w około i umknęła.

Nikita nie wziął tego tak bardzo do serca, co mu oznajmiła Horpyna. Zdawało mu się, że jedna kobieta nieczem grozić im nie może, i że to nawet wspomnienia nie było warte. Wstał więc, aby czaty obejrzyć i gwar niecznośny na pierszym dziedzińcu uspokoić, potem wyjrzeć na most, gdyż tam najpilniej trzeba było strzedz się, aby w porę podpalić. Wieczorem spodziewano się posiłków od Dulęby. Czas poobiedni szedł prędko i mrok padać zaczął, a obiecanych żołnierzy nie było. Zdawało się nawet, iż przybyć już nie mogą. Obawiając się, aby na moście nie zaniedbali się ludzie, gdyż tu ciągle zwijało się dosyć gminu z miasteczka i w rozmowę ich wciągał, Nikita sam noc tu przebyć postanowił.

Janasz wcale się do snu nie sposobił: potrzeba było czuwać. Wieczorem przyszła gorączka, ale ta raczej pomogła niż zaszkodziła, dawała siłę choć kosztem życia i chwilowo. Któż się z godzinami jego ra-

chuje, gdy o spełnienie świętego obowiązku chodzi?

Obwinięty płaszczem, Korczak postanowił od jednej do drugiej chodzić straży i czuwać nad ludźmi, których łatwo mógł uśpić pozór bezpieczeństwa.

Ludzie stali nastawiając ucha. Na zamku nakazano milczenie i czaty się tylko odzywać miały prawo.

Kilka razy wychodził Janasz na jedną i drugą basztę, usiłując przejrzeć gęste ciemności, lecz noc pokryła świat tak grubą zasłoną, że zaledwie niebo od ziemi rozróżnić było można.

Miecznikowa świadoma niebezpieczeństwa, dzielić je chciała z innymi, nie kładła się więc i z różańcem chodziła po izbie, zamyślona o domu, o mężu, i o dziecieniu, i o powrocie do Mierzejewic. Niepokoilo ją to, że Dulęba słowa dotrzymać nie mógł, a ludzi było niewielu, Janasz słaby i nikt, oprócz Nikity, zastąpić go nie mógł. Posyłała kilka razy dowiadywać się o niego, czy poszedł odpocząć — odpowiadano jej, że nie wraca do mieszkania i czuwa z innymi.

Ksiądz Żudra, choć ochotny wielce, sprawy rycerskiej zapomniał był, i małą mógł być pomocą.

Miecznikowa rozmawiała z nim, gdy Jadzia, która długo od okna do okna chodziła, wyrwała się niepostrzeżona.

Pocichu zbiegła ze wschodów, na których teraz ciągle palono lampę i posunęła się ku głównym drzwiom, spodziewając się może znaleźć Janasza. Tu nie było nikogo, ludzie tylko spoczywający przy ognisku w wielkiej izbie, która za kuchnię czeladnią i odwach służyła, gwarzyli głośno.

Wyjrzała drzwiami na podwórze, tu było ciemno, cicho — i deszcz ściekał kroplami z dachów.

Wśród milczenia głuchego, jak stłumione mruczenie dochodziły głosy z dolnego zamku.

Smutkiem i trwogą zadrgało serce dziewczęcia. Cień jej zapewne spostrzegłszy we drzwiach, Janasz zbliżył się powoli; poznała go po chodzie.

— Co słychać? szepnęła.

— Ciszę — rzekł Janasz, — nie; nastawiamy ucha, przykładamy je do ziemi. Wracam od mostu, ludzie przy nim stoją w gotowości, nikt nie śpi, pilność największa. Panie się przynajmniej połóżcie możecie i spocząć ufając we mnie.

— Spocząć! zasnąć! aby się zbudzić na krzyk dzicy i wrzawę — nie! nie! odezwała się Jadzia — wołę niebezpieczeństwo widzieć przechodzące, niż uczuć je gdy na nas spadnie. Ale z którejże strony?

— Nikt tego odgadnąć nie może — mówił Janasz, ludzie się spierają; Tatarzy jak pamięć zasięga nie napadali już na Gródek. Mówią, że ich tu niegdyś zaskoczono i pobito, nim uciec zdołali, że kośćmi ich usłane uroczysko, które się do dziś dnia Tatarskiem zowie, i że nie radzi puszczać się od stepu między góry. Ale mają dobrego przewodnika w Dorszaku.

Jadzia zamyśliła się i wzdrygnęła.

— Bardzo wam dolegają rany? spytała.

— A! nie a nie! rzekł Janasz. Tyle tylko, bym pamiętał, że gdy się najbezpieczniej czuję, ostrożnym być powinien... i — nikomu nie wierzyć.

— Jak to nikomu? zapytała Jadzia.

— Nieznajomemu — wytłómaczył, śmiejąc się Janasz.

— Alebyś dobrze zrobił, gdybyś poszedł spocząć, panie Janasz, odezwała się.

— Nie mogą, wy spoczywajcie. Któż wie gdzie

teraz miecznik i czy ma chwilę spoczynku? Ws tydby mi było zmrużyć oczy na chwilę.

— A mnie was żal! żal...

— Panno Jadwigo, ale ja jestem najszczęśliwszy z ludzi! Może być większe szczęście jak dobrodziejom swym służyć? Ja pamiętam dobrze, że wam winien wszystko.

— Zapłaciłeś nam już dług z nawiązką — rzekła Jadzia — i myśmy wam obowiązani.

— Godzi się to mówić?...

— Jaby wam daleko więcej powiedzieć chciała, ale — mi niewolno — szepnęła Jadzia. Matunia mi dała bure, gdy chciała iść was pilnować... nie wiem prawdziwie dla czego?

Spuściła oczy. Janasz drgnął i zarumienił się, ale po nocy niemożna było dostrzedz wyrazu jego twarzy. Zbliżył się z uszanowaniem do Jadzi i całując ją w rękę, rzekł głosem wzruszonym pocichu:

— Noc taka słotna i wilgotna — proszę was wrócić na górę....

I szybko zszedł parę wschodków na dół, tak, że nim Jadzia główkę podniosła, już go nie było.

Stała jeszcze chwilę we drzwiach, patrząc w ciemności, i powoli wróciła na wschody wdychając.

Janasz odszedłszy kilka kroków, stanął jak wryty. Biło mu serce, nie myślał teraz o niebezpieczeństwie, ani o Tatarach, rozważał tych słów kilka, które się dziewczęciu wysliznęły z ust mimowoli — i rachował się z sumieniem.

Jadzia była tak młoda i tak dziecinna jeszcze — do niego należało trzymać się od niej z dala i nie rozbudzać uczuć, które w nim dawno mieszkaly, ale wyjść na świat nie miały prawa. Miecznikowa więc

spostrzegła zbytne spoufalenie i zbliżenie? Może posądziła go... Myśl ta paliła Janasza. Czuł się niewdzięcznym i zdrajcą, uznawał za winnego. Nie widział w tym nic złego, co już oku matki niebezpieczeństwem się wydawało!

Był im może ciężarem!

Szlachetne serce sieroty wzdrygało się na samo posądzenie go o tak czarną niewdzięczność.

Nigdy nie podniósł oczu na miecznikównę z myślą jakąś zuchwałą; była ona dla niego istotą świętą — część więcej niż siostrą; a dziecię to tak było anielsko dobre, iż go swą zbytnią poufałością zbliżało, ośmielało, zmuszało zapominać jaka ich niezmierzona przepaść dzieli.

Nigdy dotąd nie miał zamiaru sam dobrowólnie opuścić dom u miecznikowstwa, teraz widział, iż powinien to być uczynić, aby im przykrości wyprawiania go oszczędzić. Na cóż miał sobą obudzać niepokój i sam się przywiązywać do tego dziewczęcia, które musiało dla niego pozostać czystym obrazkiem zawieszonym w obłokach? Przypomniawszy sobie młodość sierocą, niedolę, ubóstwo, opuszczenie, opiekuńcze skrzydła, które go przytuliły i ogrzały, — i wzdrygnął się znowu, widząc, że mógł mimowolnie opłacić dobrodziejstwo troską i niepokojem.

— Dosyć już tego, rzekł w duchu. Miecznikową trzeba odprowadzić do domu, a potem ich pożegnać; muszę sam poprosić miecznika, aby mi odejść pozwolił — zaciągnę się choć bez pocztu pod czyjąkolwiek chorągiew. Tak zawsze trwać nie może.

I myśl mu uprzytomniła rozstanie, odjazd, pożegnanie na wieki, puszczenie się w świat obcy, tęsk-

notę po tym domu, który dla niego był rodzicielskim. Gdyby się nie wstydził, zapłakałby był może.

— Nie trzeba dać sercu przyrastać, aby się nie krwawiło, gdy oderwać je przyjdzie. Im prędzej tém lepiej—w świat! w świat!

Poruszył się z miejsca, w którym stał, i począł po ciemnym podwórzu przechadzać. Potrzebował gwałtownego ruchu i zajęcia, aby o tym bólu jedném słówkiem wywołanym zapomnieć.

Żywym krokiem pobiegł na zamek dolny, do bramy i mostu znowu. Ludzie stali na miejscu. Najmniejszego szelestu, żadnego znaku niebezpieczeństwa.

Nikita pilnował także i wesołą rozmową ludzimi dōdawał otuchy.... Koguty piał już na północ. W powietrzu nie się nie zmieniło; chmury ciemne ciągnęły nisko nad ziemią i deszcz zwiększał się jeszcze. Na dolnym zamku gromada ludzi, poosłaniana rozpiętymi radnami, poprzytulana do daszków i szop, tuląc się pod wozy, zasypiała. Czasem tylko rzenie koni lub beczenie owiec zbitych w kupę, przerywało tę ciszę straszną oczekiwania. Godziny wydawały się długimi jak wieczność. Janasz powrócił na górny zamek, wszedł na jedną z baszt, popatrzał w ciemności, powrócił na dół i trawiony myślami i gorączką, błądził tak z miejsca na miejsce ze wzrastającym w duszy niepokojem.

Koguty zapiały raz wtóry, sił na tę przechadzkę brakło, obwinął się więc w płaszcz, siadł w progu, oparł się o drzwi i pozostał tu na straży. Czaty się obwolywały.

Nareszcie ta nieprzebyta noc zbliżała się ku końcowi, na wschodzie niebo cokolwiek się stało jaśniejszém, z pod chmur pas błydy światła wystąpił i z wol-

na rozszerzać się zaczął ku górze, deszcz się zmniejszył, obłoki zbily w gromady, wiatr zerwał — chmury pędziły po niebie...

Ta chwila brzasku, zdaniem ludzi, miała być najniebezpieczniejszą, bo napady często nad ranem, gdy sen bywa najcieńszy, zdarzać się zwykły. Wstał więc Janasz obchodzić straże i rozbudzać je, bo wielu po-usypiało. Zmieniono ludzi i postawiono nowych. Nikita poszedł sam opatrzyć pale, czy słoma nie zamokła od deszczu.

Wtém, gdy u mostu obaj stali, zatętniało w dali.

Nikita drgnął pierwszy i dał znak Korczakowi.

— Baczność — baczność! rozległo się ciche nawoływanie. Janasz skoczył do bramy, aby z górnego piętra spojrzeć zkąd tętent pochodził. Stawał się on coraz wyraźniejszym. Zdało się jednak, że nie tabun szedł, ale niewielka ilość koni—i to z wolna. Może jaka straż przednia.

Z bramy, której wyższe piętro stało pustkami, okna otwarte na cztery strony dozwalały sięgnąć daleko wzrokiem. Janasz spostrzegł od zachodu z wąwozu wyjeżdżającą gromadę ludzi. Mrok ranny nie dawał ich rozpoznać. Sporym kłusem zbliżali się do miasteczka, bez okrzyku i w porządku... Ludzie się już na dolnym zamku budzić zaczęli i nie wiedzieć zkąd rozszedł się okrzyk: „Tatarzy!” ale Janasz zbiegłszy co rychléj, nakazał milczenie. Straże czuwały, a kobiet przestraszać nie chciał... Jedni budzili drugich, w chwili wszystko na nogi się przerażone porwało.

Konni znikli za dachami miasteczka. Liczba ich najmniejszej nie sprawiała obawy. Zdawało się Janaszowi, że nie było ich więcej nad kilkunastu; przypuszczał, że Dorszak się puścił na wzwiady.

Nikita na wszelki przypadek już był ognia naniecił, aby pale podżegnać, gdyby się nieprzyjaciół ukazał,—gdy za mostem ukazała się gromada jadąca powoli. Tu ją już dobrze rozpoznać było można. Przodem jechał w lekkiej zbroi młody i piękny mężczyzna, okryty burką podszytą szkarlatem, na koniu strojnym w rządy złociste. Za nim kilkunastu ludzi w porządku postępowało, na dzielnych wierzchowcach, jednako ubranych. Podjechałszy pod most i postrzegłszy straż, stanęli. Janasz naprzeciw wyszedł.

Przodem jadący zsiadł zaraz z konia i postąpił ku niemu.

— Czołem.

— Czołem.

— Dowiedziałem się od pólkownika Duleby—ozwał się przybywający—że tu może być ludzi potrzeba pań miecznikowej Zbońskiej. Mnie tu los skazał na nieczynność, a raczej król jegomość, bo mi przy półkach na pograniczu zostać polecił i swoich a cudzych majątności pilnować. Z obowiązku więc pośpieszam z odsieczą.

Janasz się skłonił.

— Jestem Jabłonowski, kasztelan bracławski, rzekł młodzieniec.

— Bardzośmy waszej miłości wdzięczni za pomoc w złym razie, bo nam tu Tatarowie grożą.

— Słyszałem o wszystki — odezwał się przybywający. Tatarzy, rozzuchwaleni, a raczej rozjuszeni, być może, iż się pokuszą, ale nie damy się im! śmiejąc się dodał kasztelan i uderzył po szabli.

— Więc na zamek proszę, rzekł Janasz.

— Któż wy jesteście? zapytał Jabłonowski.

— Jestem Janasz Korezak, sługa p. miecznika —

rzekł z pokorą chłopak kłaniając się — zastępuję tu dowódcę, gdy lepszego pod ten czas niema. Na zamku wygodę mieć nie będziecie, ale uczynimy co można, aby konie i ludzie głodni nie byli. Ponieważ na dolnym zamku siła ludu się schroniła, na górny, do nas, proszę.

Miał czas zbliżywszy się przypatrzeć kasztelanowi Korezak. Była to tak piękna a pańska postać, tak szlachetne oblicze, razem męskiej za wczasu powagi pełne i dobroci, że się w nim na pierwsze wejrzanie pokochać było można. Rycersko wyglądał Jabłonowski i imieniowi już dobrze zasłużonemu zaszczyt czynił postawą, która wodza w przyszłości dzielnego obiecywała. Niebieskie oczy wypukłe, śmiejące się trochę duże usta, wąsik złocisty podkręcony do góry, twarz biała i zarumieniona świeżo, młodość niemal dziewiczego wdzięku — mimowoli nęciły wejrzanie. Na widok wchodzącego, lud w pierwszym dziedzińcu, poczuwszy jakąś w nim starszyznę, podniósł się z ziemi i pozdrowił go szmerem nie wyraźnym. Widok ludzi i koni przybywających rodził otuchę.

W porządku przeszli podwórzec pierwszy i zawrócili do drugiego, gdzie ich straż wesołym powitała okrzykiem. Dzień się robił coraz jaśniejszy. Ksiądz Żudra tylko co był wstał, wyszedł na ganek i zdziwił się z uradował widząc posiłki. Zaraz tedy obmyślono miejsce na konie przy murach, ludzi do izby na dole wproszono, a Janasz kasztelanica przepraszając za to, że go nie przyjmuje jakby należało w imieniu miecznika, na górę z sobą prowadził.

Jabłonowski, choć pańsko patrzył, ale ludzkim był i wielkim kortexanem. Janasz mu się jako sługa przedstawił, ale to w owe czasy nie szkodziło znacze-

— Bardzo słusznie! odparł młody kasztelan, jeżeli zechcą popróbować swych zębów na murach, to je pewnie połamią; czekajmy, zobaczymy czy się ważą.

Mówił a oczyma piękny chłopak ścigał Jadzię, i ile razy wejrzenie jego trochę natrętnie spotkało się z jej oczyma, dziewczę zaniepokojone nim, rumienilo się i spuszczało żrenice.

Nadszedł ksiądz Żudra przystrojony na cześć kasztelanica w sutannę nową, która jako świeżo wyjęta z tłomoka, jeszcze na sobie podróży nosiła ślady. Rozmowa się wszczęła ogólniejsza. Janasz nie śmiejąc się mieszać do niej, po cichu ku drzwiom kroczył. Skutkiem utraty krwi, znużenia nocnego, czy towarzyszących im wzruszeń, właśnie gdy miał wyjść, ucał nagle szum w głowie, zaćmiło mu się w oczach, ręce wyciągnął usiłując się za coś chwycić — i padł na podłogę omdlały.

Miecznikowa krzyknęła, Jadzia łamiąc ręce przypadła, zapomniawszy o wszystkiem, nadbiegł ksiądz Żudra, zawołano ludzi. Zaczęto trzeźwić biednego Janasza, który nierychło oczy otworzył, z wysiłkiem wielkim rzucił się zawstydzony chcąc się podnieść, i opadł powtórnie omdlały. Wzięli go więc Nikita z Hołobą pod ręce i wynieśli na górę. Jadzia podbiegła z razu, ale wzrok matki ją powstrzymał, musiała zostać, ksiądz Żudra podjął się pilnować Janaszka i zmusić go, aby spoczął, dopóki sił nie nabierze.

Kasztelanic zaś z wielką uprzejmością podjął się zaraz zamek opatrzyć i zarządzić czujność ku obronie. Jadzia z zapłakanemi oczyma nie spostrzegła już nawet, jak ją ścigał wejrzeniami i żegnał...

Tak się ten nowy dzień rozpoczął, z lepszą nadzieją. Po słońcu wczorajszej, choć chmury pozostały,

deszcz ustał i wicher tylko obłoki pędził, obiecując, że się ku wieczorowi wyjaśnić może. O Tatarach słychać wcale nie było, lecz niemniej na baczności się mieć musiano, można bowiem przypuszczać było, że rachować będą na znużenie długiem oczekiwaniem, które zawsze karność rozprzęga i niespodziewanie napasć dozwala.

Kasztelanic, chociaż na dworaka wyglądał, żołnierzem był świadomym rzemiosła, przezornym i baczynym. Poszedł natychmiast oglądać mury, obliczyć ludzi, broń i zapasy, i Nikicie się wszędzie prowadzić kazał. Nie było kąta, do którego by nie zajrzał, więc i do budynku w pierwszym podwórzu, gdzie go Agafia przyjęła pokłonem. A że tu wiele izb pustych stało, wybrał sobie parę dla spoczynku, aby Janaszowi nie być ciężarem.

Dorszakowa rada, że obrońcę znajdzie, sama się ofiarowała je wyporządzić, bo się o siebie lękała, gdyby sama z Horpyną miała pozostać. Cienie Tatiany i męża chodziły za nią.

Janasza tymczasem znowu objęła gorączka, której się bronił napróżno. Ksiądz mu w łóżku kazał pozostać. Miecznikowa sama poszła zobaczyć co się z nim dzieje, lecz Jadzi nie puściła już pod pozorem, że się tam z Jabłonowskim spotkać może.

Zaprzątniono się około obiadu, który wytwornym być nie mógł, bo wielu do niego rzeczy brakło, a najprzód chleba, który podplomykiem zastąpić musiano. Piec go nie było ani gdzie, ani komu.

Gdy około południa zjawił się znowu kasztelanic na ów obiad obleżonych, stół już był nakryty, a miecznikowa wdychając przepraszała, że głodem morzyć gości musi.

— Ale cóż dalej pocniemy? odezwała się, gdy zasiedli. Tatarowie się nie śpieszą, a nas głodem wziąć mogą, bo zapasów wielkich nie mamy. Jam tu niepotrzebna, radabym dziecko i siebie cało ztąd uprowadzić, ale jak?

— Nie wiem jak lepiej radzić, rzekł kasztelaniec: zamek bodajby przyszło porzucić na mieszczan, nie się tu tak bardzo zlego stać nie może. Lecz teraz, gdy się szarańcza poruszyła i łakomstwo jej rozbudzone, gorsza napaść na drodze, niż na zamku, a któż wie czy szpiegów tu nie mają? Śpieszyć się więc z odwrotem nie można—i gdyby się do nich uciekać przyszło, tak go trzeba wykonać, aby był jak największą tajemnicą osłoniiony.

— Rada zdrowa, odparł ksiądz Żudra; nie innego do czynienia nie ma. Zbierać się po cichu do odwrotu, a pierwszą burzę przeczekać. Ordeę trzeba znać, ruchawa jest, lecz niewytrzymała. Zobaczymy co będzie.

— Najpewniej, da Bóg, nie—odezwała się cicho Jadzia,—a ztąd się wyrwać co najrychlej, to najlepiej.

— Ludzi kilku postrzelanych mamy, i dla tych trzeba wstrzymać się z odwrotem... mówiła miecznikowa.

— Żywności i na tydzień starczy, rzekł Jabłonowski: spokojnie więc można czekać, a potem ja i moi ludzie służymy w konwoju aż do bezpiecznego miejsca.

Skloniła się miecznikowa. Mówiono o czem inném; obiad się skończył. Jabłonowski poszedł z dobrej woli Janasza odwiedzić. Chory, choć z silną gorączką, miał całą przytomność i usiłował nie pokazywać po sobie, że cierpiał. Z żywój tylko mowy, ze wzroku

i oddechu poznać było można, że nie w zwykłym znajduje się stanie.

Kasztelaniec rad, że rówieśnika znalazł i mógł pogwarzyć wesoło, przysiadł się u jego łóża. Począł opowiadać przygody swe podrózne, pobyt na królewskim dworze we Francyi, wysmienite figle i zabawy w Jaworowie i Żółkwi, i tęsknice swe po tym życiu, od którego był oderwany. Wolalby był stokroć pójść pod Wiedeń z hetmanem i królem, ale go żelazna wola Sobieskiego skępowała tu na pograniczu. Z mowy domyślać się było nawet można, iż piękne chłopię coś zgrzeszyć musiało, za co mu pokutować kazano.

Janasz pierwszy też raz w życiu młodzieńca tego rodzaju widział z bliska, i lekkości a swobodzie jego umysłu wydziwić się nie mógł. Czasem go raził, niekiedy pociągał, bo w nim było tyle szlachetności co pustoty. Dotknęło tylko boleśnie Korczaka, gdy się za troskliwie o Jadzię dopytywać zaczął i niezmiernie jej piękność wychwalać, którą wyznawał się być zachwyconym.

Na pytania natrętne ledwie pół słowy odpowiadał Janasz, z wielkiem poszanowaniem dla pań swoich.

— Nie wiem czemu—ozwał się Jabłonowski—pana miecznikówna na mnie większe czyni wrażenie urokiem niewinności i prostoty, niż nasze dworki wyuczzone kunsztownego szczebiotania i krygów. Niebezpieczna zaprawdę, bo się w niej do szaleństwa rozkochać można.

— Ale pan kasztelaniec raz ją tylko widział—zamurował Janasz smutnie.

— Alboż to waszmość nie wiesz, że miłość inaczej przychodzić nie zwykła, tylko od pierwszego wejrzenia! zawołał Jabłonowski. Inna niewiele warta.

Płocha ta mowa zmusiła zamilknąć Janasza; niewysłowienie go bolało uwielbienie dla Jadzi, której zdawało się, w jego przekonaniu uwłaczać. Kasztelaniec zaś z człowiekiem, którego za dworaka tych pań uważał, nie myślał zbytnio słów swych rachować: mówił, co mu przyszło do głowy. Chodził po izdebce, czasem do zwierciadła zaglądając, podśpiewując i ciągle wracając do badania o stosunki, majątności i położenie miecznika, o którym słyszał i wiedział mało. Janasz zmuszony do odpowiadania, starał się w jak najświetniejszych barwach odmalować dom i pana, usiłując natchnąć dla nich większym poszanowaniem.

Ale dworak, który się o senatorów poufałe ocierał, słuchał tego dosyć obojętnie i wszystkiego mu snadź było mało, bo z tonu swojego nie spuszczał.

— Panna jak malinka! wołał: jak różyczka — *une beauté accomplie! incomparable!*

Mieszkał kasztelaniec dużo francuzechy od pobytu swojego w Paryżu. Naówczas już ona, jak w listach Jana III i innych panów, w części łacinę zastępowała do szpikowania chudniejącej polszczyzny. Z milczenia Janasza mógłby być Jabłonowski wniesć, że mu ta rozmowa przykra być musiała, ale się nie chciał tego domyślić. Nagradzał to wielką troskliwością o chorego, któremu z dobrego serca sam poduszki poprawiał, bandażę zawiązywał i wody podawał.

Tak dzień spłynął do wieczoru. Nareszcie o mroku poczuł się Jabłonowski do obowiązku obejścia zamku, a Janasz sam pozostał. Odetchnął swobodniej. Czy mu się powoli przymykały do snu; był sam na sam, czuł potrzebę spoczynku, gdy drzwi uchyliły się z wolna, i na palcach weszła Jadzia.

Korczak w mroku poczuł ją raczej, niż zobaczył i zerwał się z poduszek.

— Panno Jadwigo, zawołał—królowo! pani! co czynisz! co powie pani miecznikowa!—pani tu!

Jadzia się zmieszała.

— Mama nie powie, rzekła zbliżając się; a jeśli mnie polaje, zniosę. Chciałam widzieć was na oczy moje; tęskno mi, niespokojna byłam, wytrwać nie mogłam. Myśmy ci tyle winne! Czyż grzech, że cię Kocham jak brata, mój Janaszu!

Korczak oczy sobie zakrył.

Jak pieśń anielska brzmiały mu te słowa.

— Panno Jadwigo, jam sługa, jam niewart. Pani miecznikowa gniewać się będzie nie na was, ale na mnie, bo pomyśli, że... że... zapomniał kto ja jestem, kto wy, panno Jadwigo.

— Jak to? brat, siostra? któż inny?

— Pani—i—sługa, sierota.

Zamilkła Jadzia.

— Niedobry jesteś dla mnie.

— A! panno Jadwigo, życie moje weź, będę szczęśliwy, lecz nie czyni mnie niewdzięcznym.

I powtórzył jakby przerażony:

— Co powie pani miecznikowa?

Nie odpowiadając na te słowa, Jadzia zbliżyła się do niego, dłoń drżącą położyła mu na czole spieczonym gorączką.

— Idę już, rzekła smutnie—bądź spokojny, Janaszu! Ty jesteś dla mnie niedobry. Ale nie... nie—żał mi cię. Jam dziecko nieroztropne i nieposłuszne. Dobranoc ci—idę.

Janasz nie słyszał, bo zemdlał...

W godzinę dopiero ksiądz Żudra przyszedłszy zna-

laż go walczącym jeszcze z mdłościami. Krew się rzuciła z rany. Musiano go cucić, zawiązywać, otrzeźwiać. Dano po ciebu znać miecznikowej i posadzono kobietę na straży.

Noc już nadchodziła i mrok gęsty padał na dolinę, gdy ludzie przerażeni usłyszeli daleki tętent z końca drugiego wąwozu płynący i po nad rzeczką postrzeżono mrowie czarne zwijające się kłębami. Z drugiej strony pędził także oddział na miasteczko. Ze wszystkich parowów razem wysuwała się dziec, jakby na jedno skinienie i z wrzaskiem już biegła ku zamkowi. Lud w dolnym podwórzu cały ruszył się, i mury rozległy krzykiem:

— Tatarzy! Orda! Tatarzy!

W tej chwili Nikita z dwoma hajdukami podpalił most na przekopie dzielącym zamek od miasteczka. Płomienie buchnęły do góry i rozświeciły bramę, w której oknach widać było głów mnóstwo, a w przeciwną stronę tłum dziec, która dobiegłszy do na wpół rozrzuconego, palącego się mostu, stanęła jak wryta. Była chwila milczenia, a potem ze wszystkich stron zaczęli krzyczeć Tatarowie: Allah! Allah... i w pisku ich pomieszanych głosów nie już, oprócz groźby i zajądłości rozeznąć nie było można.

Na górnym zamku panowało milczenie.

Janasz chciał się zerwać z łóżka, krzyknął: „Tatarowie!” i padł bezprzytomny.

W zamku co żyło zerwało się na nogi na odgłos: „Orda idzie! orda! Tatarzy!” Miecznikowa usłyszała wrzawę, otworzyła okno, doszły ją te wyrazy, ale mężna niewiasta zamiast się zwrócić tam, gdzie pano-

wała trwoga, poszła tam, gdzie pokój znaleźć zawsze mogła, do ołtarza. Uklękła w kapliczce z Jadzią na krótką modlitwę. Jedna lampka oświecała ją słabym światłem, które drgało na zwieszonę konającego Chrystusa głowie. Po cichu odmówiły obie *Kto się w opiekę...* i *Pod twoją obronę...*

Miecznikowa wstała pokrzepiona i wyszła do pierwszej izby, ku oknu, rozmyślając czy tu ma czekać na jakieś wieści, czy wniknąć do ludzi. Most palący się jeszcze łuną czerwoną rozświecał okolicę, na tle jej czarne mury stały groźne i posępne. Widać było przy blasku pożaru ludzi biegnących zewsząd ku murom i basztom, spinających się na dachy, i Jabłonowskiego, który ze swymi porządek starał się utrzymać.

Największy gwar, jęki płynęły od dolnego zamku, gdzie się znacznie większa część ludności schroniła. Przestraszeni byli wielki i wyrażał się szlochaniem a zawozeniem kobiet, płaczem dzieci, wykrzykami gromady. Stary Abraham chodził w śmiertelnej koszuli i modlił się, inni jego wyznawcy kulili się po kątach.

Większa część ludu wysypała się przed wrota ku palącemu się mostowi; w pewnym oddaleniu widać było kupkę jezdnych i kręcące się gromady niszczącej dziec. Nie śmiała ona przypaść bliżej, snadź obawiając się strzałów. Niektórzy jakby dla postrachu tylko wypuszczali z luków pociski, które padały na bramę i między ludzi, ale bezsilne.

Tatarzy dosyć gwałtownie przypadli pod zamek, snadź się nie spodziewali, aby miano czas most podpalić, lub nawet przygotować się do tego. Myśleli, że wprost przypadną do pierwszej bramy bez przeszkody, podłożą ogień i opanują podwórze, które zająw-

szy, łatwo górny zamek do poddania się zmuszą. Pożar, który ich przywitał, zdumił razem i złość pobudził. O ile widzieć było można przy łunie pożarnej, znaczna część skoczyła zaraz na bezbronne miasteczko, gdzie w domu już żywej nie było duszy. Najśmielsi pozakopywali się w lochach, dołach i pokopanych pod domami pieczarach.

Miasteczko z chat i domów, lepiących z gliny i chróstu, złożone, z dachami słomą i trziną krytymi, łatwo było podpalić. Była to pierwsza zemsta za most, który wstrzymał najeźdźców. Tu dogasały głównie dymiące w przekopie, gdy nieopodal płomień buchnęło po rogach miejsciny. Lud, który zbiegł z domostwa, odpowiedział jękiem ogromnym. Nędzne te chaty były jedynym jego przytułkiem. Wspinano się na mury, aby dojrzeć z kąda szło płomień i czy się co cudem nie da ocalić. Miasteczko położone w dolinie widać było jak na dłoni. Dym buchał z kilku zażęgniętych ognisk stłumiony jeszcze, z wolna dobywając się gęstymi kłęby czerwonymi z pod dachów. Wśród rynku, płotów i po ogródkach uwijały się kupy dzieci plondrując, przetrząsając kryjówki i szukając tych co się tam schronić mogli. Kiedy niekiedy jęk bolesny i krzyk radosny dolatywały razem. Dopiero przy wielkiej łunie pożogi można było całe niebezpieczeństwo i siły tatarskie rozmierzyć. Zalegali całą dolinę, podzieleni na różne kupy, które niespokojnie kręciły się do koła. Po kilkudziesięciu puszczało się pod zamek, stawiali wrzeszcząc, jak najbliżej murów, potrzaskali łukami, puszczały strzały na lud, który po blankach się ukazywał, i biegli dalej, szukając kędyby przystęp był łatwiejszy.

Tymczasem kasztelan, który z dworaka nagle

stał się żołnierzem, z zapalem rzucił się ku obronie. Przemówiła krew i rycerskie tradycje, zapomniał o pięknej twarzy, o stroju i o wszystkim. Biegał, zagrzewał i śmiejąc się dodawał otuchy. Tak zwiedzając wszystkie kąty, napadł na obalone w kącie dwie stare śmigownice, znalazł się i moździerz dawny, niewiele wart, ale mogący nastraszyć nieprzyjaciela. Ze swoimi ludźmi, z których jeden był, jak mówił, kawalkiem puszkarza, zajął się opatrzaniem tej od Boga zesłanej artylerii. Jedna ze śmigownic z dawnych czasów snadź zagwożdżona była, druga cała. Moździerz też z biedy mógł służyć. Kule acz kamienne jakieś stare, do kalibru się znalazły... a gdyby ich nie było, siekańcamiby strzelać można. Z jednej strony staw zamku bronił, tak, iż się do niego dostać nie było podobna. Śmigownicę więc na boczny mur wciągnięto jedną, a po drugiej stronie ustawiono moździerz. Ponieważ w nocy podkradzenia się lękać było można, po rogach rozpalono ognie, aby mury w ciemnościach strzedz od drabin i cichej jakiej próby, którą Dorszak mógł pokierować.

Tatarzy jawnie ani się kusić nawet zdawali nocą, i poczęli się kłaść obozem w dolinie, podzieleni na różne kotły i kupy. Tu i owdzie zaświeciły ich ogniska, a przy nich naprędce postawione namioty. Tuż naprzeciwko mostu, w niewielkiem oddaleniu, położył się snadź Murza Szejtan, bo tam był namiot największy, a przed nim na kiju zatknięty powiewał buńczuk z ogona końskiego.

Przy świetle płonącego miasta, można było widzieć przed buńczukiem, na trzech pikach, dla postrachu wetknięte, trzy ludzkie głowy — mieszczan, których z lochów wydobyto i poćcinano. Tłum, który

stał w bramie, poznawał te twarze i głowy ze zgrozą i spierał się o nie. Kobiety płacząc ręce łamały, starsi stali w ponurém milezeniu.

— Lepszy jassy! mówili jedni.

— Lepsza śmierć! odpowiadali drudzy.

Niektórym zdało się, że przy namiocie Szejtana rozpoznawali Dorszaka, chodzącego w krymce tatarskiej na głowie i przyodziewku, jakiego ani Nogajcy, ani Budżaki, ani Lipki nie nosili.

Wprawno oko tych, co kupy tatarskie widywali, rozliczało tabór Tatarów na tysiące, chociaż w ciemnościach dojrzeć było trudno, ale z rozległości obozu wnoszono. Jabłonowski ledwie na tysiąc głów go rachował. Na zamku tych, co bronić się mogli i umieli, ani stu nie było, ale mury i woda, brzeg stromy i męztwo wielkie. Widziano też, że Tatarowie nigdy długo nie stoją i nie trwają w jednym miejscu, a ten rój, zebrany z różnych band rozpierzchłych, prędko rozstroić się musiał.

Od miejscowych ludzi dowiedział się Jabłonowski, że Dorszak pewnie na noc rachuje, mając kogoś ze swoich na zamku i zdradliwą jakąś gotując niespodziankę. Żona jego, jak tylko pierwsza wrzawa powstała, zabrać kazawszy co miała swego, schroniła się z Horpynką na wieżę pod opiekę miecznikowej. Chociaż tylko jedno dziewczę mówiło, że postrzegło Tatianę, wierzono, iż ona musiała się na zamku ukrywać i przybyła tu niedaremnie. Ludzie suche dachy i kawałki drzewa zbierali, koląc na drzazgi, aby ogień przez noc dla oświecenia bliższych części zamku utrzymać.

Tak zbiegł czas do północy.

Pierwszy popłoch przeszedł powoli, niektórzy kład-

li się pod wozami znękani, nie dbając już co się z nimi stanie. Powoli gwar ustawał, cisza się rozciągała po nad popieliskami dogorywającej miejsciny i na zamku; ostatnie głównie dogasały. Dolina pełna była duszącego dymu, który wilgotne powietrze przyciskało do ziemi. Kiedy niekiedy odzywały się czaty. Jabłonowski z dziedzińca nie schodził. Był w swoim żywiole, i piękna twarz pałała mu rycerskim ogniem; zapomniał o wszystkiém oprócz boju, którego był żądny.

Kobiety patrząc nań z dala z okien, nie mogły się powstrzymać od wdzięczności, a miecznikowa szczególnie bohatera w nim widziała. Córką żołnierza, nie mogła się nacieszyć młodzieńcem, który i rycerskie przymioty, i ogładę dworaka łączył w sobie. W jej oczach był to ideał, o jakim marzyła, żywego [nigdy nie spotkawszy w życiu. Bolała, że jój Bóg nie dał takiego syna, a po cichu, wzdychała może, żeby takiego mogła mieć zięcia. Daleko chłodniej patrzała nań Jadzia, ale i jój się podobał. Smutno jój tylko było, że chory Janasz nie mógł stanąć obok niego i niepośledniejszej odegrać roli. Widziała przed sobą kasztelanica, ale myślała więcej o tym, którego nie było...

Jabłonowski, który się często po górnym zamku przesuwał, zobaczywszy w oknie kobiety, podnosił ku nim piękną swą głowę, witał je, otuchy dodawał i zawiązywał krótką z miecznikową rozmowę. Pani Zbońska nie mogła się owego kawalera tak męznego, przytomnego i tak zręcznego odechwalić.

Z północy się wszystko uspokoiło. Pożar, który zniszczył miasteczko, znikł był zupełnie, a głównie pozostałe ze spalonego mostu dymiły w parowie. Spuszczono się na nie z razu, nie oświecając tej strony zamku. Teraz prawie była ciemna. Dosyć głęboki

przekop zdawał się z téj strony ² zabezpieczać. Straże stały u bramy w pewném oddaleniu.

Nikicie, który tu objął stanowisko i ucho miał czujne, zdało się, że posłyszał szelest najprzód ze strony przeciwnéj parowu, potem w saméj jego głębinie.

Ciemno już było, rzucił się na ziemię i podpełznął na sam brzeg, gdzie para osmalonych palów stała. Chwycił się za jeden z nich ręką i pochylił przysłuchując w głębinie. Z początku cicho było, leżał nieruchomy, szmer i szeptanie usłyszał po chwili.

Odgadnąć było łatwo, że się musiano podkradać z wolna, korzystając z ciemności, i że tylko Dorszak znający doskonale miejscowość, mógł tedy ludzi prowadzić. Co prędzój podpełznął Nikita ku bramie, cicho się ze swoimi kilku rozmówił, i wszyscy pobrawszy rusznice, znowu tuląc się do ziemi, unikając najmniejszego szelestu, zbliżyli się nad samo urwisko, rozłożyli rzędem i legli.

Po chwili mogli już rozeznąć drapanie się przez krzaki, brnięcie ostrożne przez wodę, ciche nawoływania i chód ku brzegowi, którego pilnowali.

Nikita posłał uwiadomić Jabłonowskiego, ale zażądał, aby nie czyniono najmniejszego hałasu. Ciemność nie dozwalała widzieć, ilu Dorszak mógł mieć z sobą ludzi. Zdawało się, że coraz nowi spuszczały się z przeciwnego brzegu i zalegali parów. Wprawném uchem Nikita rozmierzał odległość od siebie tych, którzy torowali drogę. Ciche szepty ich zbliżały się.

Jabłonowski nadbiegł z ludźmi i kazał się im na ziemi położyć, jak pierwsi, tak, aby na dany znak ognia dać mogli. Na bramie przygotowano suche drzewo na sklepieniu drugiego piętra, i kasztelanica poleciwszy je w stożek ułożyć na grubym murze okna,

smołą podlane, nagle kazał zapalić. Błysnęło w górze jasne płomień, a światło padając na część parowu, odkryło całą jego ścianę jakby usłaną głowami tatarskimi. Jedni stali na dnie, drudzy się ku niemu spuszczały. Kilkunastu już pięło się do góry. Na znak: dać ognia, Nikita i z nim będący ludzie wypalili z rusznice do parowu. Za nimi skoczyli kasztelanica ludzie i strzelili po raz drugi.

Jak w poruszoném mrowisku zawrzało wszystko w głębi przekopu, krzyk powstał dziki, którym Tatarzy nawykli byli straszyć równie jak strzałami. Ci, co stali na spadzistości, sypnęli niemi. Tymczasem kasztelanica sam jako tako wycelowawszy śmigownicę, podpalił ją. Huk się rozległ ogromny. Kłęb dymu okrył na chwilę głębię parowu, i Tatarzy z popłochem wielkim uciekać zaczęli. Nikita już miał czas rusznice ponabijać, dano z nich ognia raz jeszcze do pierchających, a ludzie kasztelanica poprawili wkrótce. W głębi widać było i słyhać pluszczących się w wodzie ranionych i ciała zabitych. Kula ze śmigownicy padła szczęśliwie w samą gąszcz, i stłukła kupę na miazgę. Niewysłowna trwoga i złość razem objęła dzicz, której wrzaski powtórzył łobóz rozbudzony... Wtém nagromadzone łuczywo w oknie bramy dogasało i ciemność znowu zaległa przed chwilą krwawą scenę... Słyhać było kupy uchodzące, niezrozumiałą wrzawę i przekłętwa. W pewném oddaleniu zatrzymało się to wszystko. Na zamku znowu cisza była. Ludzie w dolném podwórzu wylekli i ściśnięci w kupę, zaczynały się uspakajać. Jabłonowski pod karą nakazywał milczenie, i wrócił na górny zamek, a spostrzegłszy miecznikową w oknie z Jadzią, poszedł je uspokoić.

Zboińska powitała go we drzwiach, twarzą jasną i wyrazami wdzięczności.

— Mój kasztelanie, jakże my się wam wywdzięczymy, za wasze dla nas poświęcenie!

— Ale to szczęście prawdziwe trafić na tak wyśmienitą grę, jaką mam z łaski pani miecznikowej, odezwał się śmiejąc kasztelan. Dwadzieścia lat czekać potrzeba, nim się co podobnego trafi! To prawdziwa gratka dla młodego jak ja wojskowego. Na dzisiejszą noc spokojni być możemy, i przyszedłem prosić pani miecznikowej, aby raczyła spocząć bezpiecznie.

— A! mnie się wcale na sen nie zbiera! westchnęła Zboińska.

— Ale pannie Jadwidze pewnie piękne oczka się kleją.

Nazwanie pięknymi jęj oczu zdało się oburzać Jadzię, która zdziwioną i dumną minę zrobiła.

— O! mnie się wcale spać nie chce, gdy drudzy dla nas czuwać muszą, rzekła spokojnie. Prędzejby na basztę poszła gdzie się przyglądać.

— Na nieszczęście nie widać nic a nie, oprócz ciemnej jak piekło nocy, odezwał się kasztelan nieco zbliżając się do Jadzi, która powoli oddalała się w miarę jak ku niej postępował.

Spostrzegłszy to Jabłonowski, stanął, pokręcił wąsika, nie nawykł snadź był do tak surowego obejścia. Matka też znajdowała go niewłaściwem w Jadzi, gdyż chętniejby zbliżeniu się pomogła niżeli zaskodziła.

Kazano przynieść wina, którego był jeszcze zapas, znalazł się piernik toruński, i miecznikowa rada była, że gościa czém przyjąć miała. Wtém nadszedł i ksiądz Żudra, pot ocierając z czoła.

— Cóż Janasz? spytała Jadzia, podchodząc, z widoczną niespokojnością.

— No, teraz już nie, odpowiedział ksiądz Żudra. Jakoś mi się udało go uspokoić. Na pierwszy okrzyk, który się dał słyszeć, zerwał się był, ubrał i wyskoczył na wschody, opaski mu z ran pospadały, krew zaczęła uchodzić, i ledwie go zmógł, że na pół omdlały, dał się do łóżka położyć. Przez cały czas, gdy trwała wrzawa, jak szalony się wyrwał; dopiero gdy ucichło, mogłem go gwałtem do łóżka zmusić i usnął osłabiony. Kara boża z tą młodością! dodał kapłan.

Jabłonowski się rozśmiał.

— Przecież się i ona na coś w świecie przydać może! zawołał patrząc na Jadzię, którą surowy wzrok matki trzymał jak przykutą. Młodość, dodał kasztelan, i na to się jeszcze zda, że tam, gdzie staryby nie wytrwał, młody się wyliże. Goi młodość rany — choć niewszystkie, rzekł ciszżej, z rycerza przechodząc w uśmiechu na dworaka. Serdeczne za to rany dla nas niebezpieczniejsze.

Miecznikowa odpowiedziała mu uśmiechem. Znajdowała ten ton młodzika, *du dernier galant*. Bardzo się jęj to podobało. Spojrzała na Jadzię: ta ze spuszczonego oczyma stała, nie zdając się smakować w zagajonej rozprawie o medycynie serca.

Matce się dziwnem wydawało, że Jabłonowski tak na dziewczęciu mało czynił wrażenia. Pomyślała znowu, iż Janasza należało oddalić koniecznie. Czula, że ta braterska miłość bez wiedzy niewinnej Jadwisi na inną wcale zmienić się w jęj sercu musiała.

Kasztelanie pił za zdrowie miecznikowej i panny Jadwigi razem, szukając jęj oczyma, gdy kieliszek mu o mało nie wypadł z ręki.

W pierwszym podwórzu, jakby jednym głosem i z jednej piersi zaryczał krzyk dziki. W téjże chwili w okna wieży uderzyła luna światła.

Jabłonowski nie żegnając się, wybiegł po wscho-dach. Ludzie na dole biegali jak oszaleli, pokazując palcami do góry, potraciwszy głowy. Z dolnego zamku ciągly ryk i jęk płynął. Gdzieś w dali odpowiadał mu pisk tatarski. Kasztelan nie mógł co się stało. Biegł przez podwórze sądząc, że Tatarzy po-wrótnie od parowu napadli, gdy ludzie własni zatrzy-mali go, pokazując mu dach na murowanym domu, w którym niegdyś mieszkał Dorszak, płonący w dwóch rogach, już rozżarzonym płomieniem.

Zkąd się tam ogień mógł wziąć na strychach? Nikt inny tylko zbrodnica ręka podłożyć go mogła. Przerazenie ogarnęło wszystkich. Łatwo było Tatarom korzystając z niego i z luny, która bila do koła, na-paść z której bądź strony zamczysko. Jabłonowski roz-rachował łatwo ogrom niebezpieczeństwa...

W progu wieży Agafia stała z Horpynką, a dziew-czę, łamiąc ręce, wołało płaczliwie:

— Tatiana! Tatiana!

W téj pierwszej chwili wszystko zależało na utrzy-maniu porządku, na rozdzieleniu sił...

Wody do ratunku nie było... wiatr niósł płomień co-raz rosnące, na inne dachy stare, cały zamek łatwo mógł spłonąć i w gruzach zasypać wszystkich... Zdaje się, że dziec tatarska musiała to przewidywać i cze-kać tylko na ogień, bo po nad parowem zjawil się tłum, który strzałami sypał i wrzaskiem popłoch wzbudził usiłował. Chwila była nad wyraz straszna, stanow-cza. Z początku wszyscy stracili przytomność, ratunek

zdawał się niepodobieństwem, lecz wnet przytomniejsi się znaleźli.

Nikita krzyczał, że należałoby dach rozrywać, aby się nie dać szerzyć ogniovi. Siekiery znalazły się w wozach u ludzi, drabin kilka było pod murem, śmielszych garstka ofiarowała się na dach.

Nikita chwyciwszy topór, który mu podano, chciał dać przykład i wpadł do murowanego domu, aby pró-bować ratunku ze wnętrza. Wylamano drzwi, dymu już było pełno... W progu jakieś ciało leżało zapiera-jące drogę. Nikita schylił się i poznał uduszoną od dymu Tatianę, która jeszcze w konwulsyjnie ściśniętej ręce trzymała drzazgi i siarkowane nici. Nie próbując jęć cucić, po ciele jęć wpadł dalej, inni poszli za nim. Środek dachu zdawał się jeszcze niezajęty od ognia, ale dla gęstego dymu, który oczy wyjadał, trudno było postąpić dalej. Musiano się zwrócić ku drabinom, i po nich wlaższy, dach rąbać.

Pożar tymczasem coraz się powiększał, ogromne płomieni snopy, chylone od wiatru rzucały się ku da-chom jeszcze nietkniętym, których nie było czém ani oblać, ani komu w czas rozerwać. Wprawdzie gromadę z dolnego zamku popędzono do ognia, ale starcy, ko-biety, wyrostki, mało co pomódz mogli. Część dachu zawalila się na pulapy... belki gorzeć zaczynały.

Miecznikowa z Jadwigą, obie blade i strwożone, zeszły milcząc, czekając co Bóg zeszele. Wtém z gór-nego piętra usłyszały biegnącego człowieka.

Jadzi uderzyło serce. Był to Janasz, który burkę narzuciwszy na siebie, leciał na ratunek. Dziewczę chciało go wstrzymać, lecz jak obłąkany wysliznął się jęć z rąk i pobiegł na pierwsze podwórze. Kilka kro-

ków za nim zrobiła Jadzia, matka mileząc chwyciła ją za rękę i wstrzymała.

Janasz pierwszemu, którego spotkał, wyrwał z rąk siekierę i rzucił się na drabinę. Miał gorączkę i odzyskał siły. Nikita i on dostali się na dach budynku i w płomieniach rąbali co napadli, gorejące głównie strącając w podwórze, gdzie je ludzie gasić mogli.

Za nimi dwoma poszli inni. Przerąbano w środku dach, aby przerwać drogę płomieniom. Gruba nalepa gliny na górze nie dała belkom rozgorzeć. Weiagano wiadra z wodą i polewano głównie. Pożar się zmniejszał.

W kilku miejscach zapalone dachy zdolano natychmiast ugasić. Nikicie i Janaszowi winien był zamek ocalenie swoje... Tatarzy widzieli czujność wszędzie i z chwili trwogi skorzystać nie mogli.

Gdy ostatnią gorejącą platew nogą na dół stracił Janasz, zachwiał się sam, głową upadłby na rozżarzone resztki krokwi, gdyby Nikita go nie pochwycił. Korczak znowu zasłabł był z wysiłku, a krwią płynął cały. Silniejszy od niego wziął go na barki dworak, i z pomocą ludzi zsunął na dół po wątlej drabinie. Tu go znalazł ksiądz Żudra, który w milczeniu ręce zalał.

— Ten chłopiec bo szuka śmierci! zawołał. Byłoby się bez niego obeszło.

— Przepraszam jęgoomości dobrodzieja, rzekł Nikita: gdyby nie on, a troszkę ja, tobyśmy się byli wszyscy na piecyste dla Tatarów upieklili. Jam tylko patrzył i dziwował się, jak on rąbał i z kąd on brał tę siłę. A te belki, którychby człek pod spokojny czas nie dźwignął, rzucił jak słomę.

Gaszone resztki pożaru, gdy Janasza ponieśli ludzie

na górę. Na drodze stała miecznikowa, zbliżyła się do niego, popatrzała na bladą twarz, zalała rękę. Jadzia podeszła za nim aż do drzwi wieży, ale matka ją odwołała, tak żałośliwym głosem żądając, by została przy niej, że posłuchać musiała. Agafia, która była też w podwórzu, choć niebardzo przytomna, ofiarowała się pójść dozorować chorego. Był też ksiądz Żudra i stara sługa miecznikowej, tak, że mu na opiece zbywać nie mogło.

Zdawało się na dzień zanosić, gdy naostatek niepokój ten ustał i ludzie pousiadali, pot ocierając z czoła.

Po jaskrawej lunie pożaru, nastąpił mrok znowu. Niebo okrywały gęste chmury, czas był jesienny, przykry i smutny.

Jabłonowski okrywszy się płaszczem, obchodził ziewając mury i strażę. Jemu i wszystkim zdawało się, że do rana przynajmniej wytchnąć będą mogli... Nie zaniedbano jednak ostrożności i ludzi część czuwała. Nikita nieznudzony, choć z ranami, opalony i zmęczony, krzątał się ciągle.

Zdało mu się teraz rozejrzeć dokoła. Choć od stawu nie groziło, wszedł powoli na basztę z tamtej strony i nie dochodząc do wierzchołka, przez jedną ze starych strzelnic spojrzął na staw. Wiatru szum głuszył słabsze głosy i wrzawę; zdało mu się jednak, iż plusk niezwykle dochodzi od wody. Staw nie był tu bardzo głęboki. Wlepiwszy weń oczy, dostrzegł Nikita na nim poruszające się postaci jakieś, których z razu zrozumieć nie mógł; wdrapał się więc wyżej na mur, i z wierzchołka zaczął się przyglądać wodzie. Jakkolwiek ciemno było, rozeznał na niej płynących z końmi

w znacznej liczbie Tatarów. Dorszak zapewne musiał kierować nimi, wiedząc, iż ta część zamku, którą staw otaczał, najsłabszą była i najmniej obrońną, i że się ztąd wcale nieprzyjaciela nie spodziewano. Odkrycie to raziło go jak piorunem, zbiegł co najrychlej po kasztelanica, gdyż chwili nie było do stracenia.

Jabłonowski tylko co miał iść na górę, gdy Nikita nadbiegł i szepnął mu, że Tatarzy przez staw idą.

Nie czyniąc popłochu, trzeba było co rychlej się z tej strony obwarować. Jedna śmigownica i moździerz ustawione były ze strony przeciwniej, nakazał Jabłonowski moździerz co rychlej dźwignąć na jedną z baszt i posłał z tém Nikitę, sam zaś pobiegł niespokojny przekonać się oczyma własnymi, że rzecz, o której mu doniesiono, możebną była.

Z pierwszej strzelnicy, do której oko przyłożył, przy szarém światełku przedświtu łatwo mógł dostrzedz, iż ogromną przestrzeń stawu zajmowali Tatarowie, płynąc swoim obyczajem ze związanymi ogromnymi pękami sitowia i trzciny, które ich po nad wodą unosiły nieco. Zachowywali jak największe milczenie, rachując na to pewnie, iż nie będą postrzeżeni i nagłym najściem przerażają. Nikita wprzód jeszcze opowiadał, że obchodząc zamek ścieżką od stawu, w tej stronie spostrzegł znaki dwóch wycieczek, które zarówno z zamku jak do zamku prowadzić mogły, ale od podwórca nigdzie do nich wniknięcia nie znaleziono. Dorszak mógł wiedzieć drogę i dostać się do wnętrza, nimby się opatrzone.

Posłał Jabłonowski w cichości po ludzi, po kamienie, które imby razić można z góry, tych bowiem przygotowanych nie było. Zwrócono uwagę i pilność ca-

łą na inne strony, tę poczytując za najlepiej ubezpieczoną.

Nie można też było ogłodzić z ludzi parowu i zostawić go bezbronnym. Tatarowie mogli z jednej strony uderzając na trwogę, na drugą rzucić się tém pewniej, jako na opuszczoną. Ze wszystkich chwil tej nocy niepokoju, ta się zdawała najgroźniejszą. Niebezpieczeństwo ze wszech stron było wielkie, a ludzi do odparcia go mało. Na niebie coraz widoczniej jaśniał pierwszy brzask dzienny. Dymy pożaru zalegały dolinę, nie dając dobrze widzieć poruszeń ordy.

Pierwszy raz kasztelan na chwilę uczuł się niepewnym co pocznie i zwątpił o sobie i losie zamku. Lecz trwało to mgnienie oka. Zbiegł w dolne podwórze i lud rozłożony w niém posłał na boczne ściany, swoich i miecznikowej ludzi zostawił tylko kilku do kierowania obroną, jeśliby się Tatarowie i ztamtąd pokusili, najrzęczniejszych zabrał z sobą na ścianę od stawu.

Moździerz już z pomocą drągów i desek wsuwano na basztę po cichu. Nie szło i to łatwo, a choć puszkarz kasztelanica kierował ustawieniem, miejsce samo, znużenie i noc, nierychło dozwoliły dokończyć roboty. Kobiet musiano użyć do noszenia kamieni; wszystkie kotły zabrano do grzania wody, aby mieć wrzątek także w niedostatku innej broni.

Gdy się to działo, pierwsze konie tatarskie dosięgały wąskiego brzegu nad zamczyskiem. Nie obrachowali się z tém napastnicy, że się nie będą mieli gdzie pomieścić, gdyż stroma góra prawie tonęła w wodzie. Konie więc rzucić trzeba było, a pieszo co rychlej drapać się na górę, aby innym miejsce zrobić. Znaczniejsza część przesunęła się na prawą stronę

zamku, gdzie brzeg od stawu był szerszy. Szmer było słyhać mimo nakazanego milczenia, i pierwsi wyładowujący nie wiedzieli co uczynić z sobą, wahali się, czekali, gdy już drudzy ze stawu parli się na wybrzeże. Motłoch ten stanął gęstą kupą coraz się powiększającą. Można było dostrzedz kogoś, co się zdawało dowodzić i wskazywać. Lecz wdzieranie się na opokę stromą nie było łatwe. Rozstawieni na murach ludzie, którym nakazano czekać hasła, z rusznicami w strzelnicach, wyglądali tylko rychło im znak dadzą. Jabłonowski czepiał się po murach, zaglądał, niebardzo wiedząc co począć i czy rozpoczynać.

Bądź co bądź nie było już nie do stracenia. Sam kasztelanie wziął rusznicę, zmierzył w ciemności ku tej kupie, w której dowódcy się domyślał, i... wypalił. Za jego strzałem buchnęły całym rzędem wszystkie, a po chwili puszkarcz na los szczęścia moździerz podpałił i posłał kulę, która padła na płynących stawem.

Razem z hukiem strzałów dał się słyszeć krzyk dziczy zaskoczonej niespodzianie. Przez otwory w murach słabe ręce pchały bryły kamieni i gruzu, wprost padające na głowy napastników. Zwinęli się Tatarzy chcąc cofnąć, i wielu słyhać było wpadających do stawu. Puszczane z luków strzały, zakrytym murami wcale szkodzić nie mogły.

Kilku z ordy stoczyło się rażonych na dół. Zdawało się, że między sobą zaczęli zwadę, a znaczniejsza część pierzchnęła ku prawej stronie. Tu także toczono na nich kamienie. Gromada spędzona z pierwszego dziedzińca rozbierała budynki, wyjmowała bruk, chwytala co było pod ręką. Orda, która płynęła jeszcze, po strzale z moździerza rażona zaczęła się cofać na powrót, zostawiając tych, co byli pod zamkiem, sa-

mych. Dano powtórnie ognia. Dziez nie śmiała już drapać się na górę, ale oblegała wybrzeże szarpiąc się bezsilnie. Dzień, który wstawał, czynił jej położenie coraz niebezpieczniejszém. Moździerz nabity na nowo, wystrzelono raz jeszcze. Popłoch się zwiększał, lecz z innych stron Tatarzy opasywali także zameczysko, mianowicie od przekopu, który widocznie przejść chcieli, aby się dostać do pierwszej bramy. Ta już była wprawdzie jakokolwiek zatarasowana i obronna, ale zdobycie jej łatwiejsze niż wdrapanie się na mury. Kilku ludzi z piętra strzelało do pełznących przez wąwóz, prawie nadaremnie, liczba ich coraz się zwiększała. Wreszcie i ci, którzy przez staw się dostali, a z przeciwniej strony stracili nadzieję wdarcia się na mury niepostrzeżeni, teraz biegli prawym brzegiem, aby zająć bramę, nie było sposobu obronienia jej. Jabłonowski z przerażeniem, ledwie uspokoiwszy się o jedną polać, wpadł na górne piętro pierwszej bramy i tuż pod nią zobaczył tłum Tatarów; ze wszystkimi siły trzeba było teraz przenosić się tu, gdzie niebezpieczeństwo było najbliższe. Śmigownica wczoraj na dalszą wymierzona metę posłużyć tu nie mogła, bo Tatarowie byli u stop samych wrot i bili w nie kamieniami, siekierami, drągami. Z okien zaczęto strzelać i rzucać cegłę, gruz, bruk, głównie pozostałe od wczorajszego pożaru.

Niewiele to wszakże pomagało, bo rozwścieczona obroną dziez, po trupach poległych parła się i cisnęła ku wrotom, które niedługo wytrzymać mogły. Jabłonowski obrachował już, że dolnego zamku obronić nie będzie w stanie. Zdało mu się koniecznością ograniczyć na górny, a gromadzie nieszczęśliwych chronić się za drugie wrota. Pierwsze tymczasem ludzie za-

murowywali kamieniem, który ze spalonego noszono budynku.

Dniało już jasno. Cały tłum Tatarów obrócił się na pierwsze wrota do góry zawalone kamieniami. Strzelano jeszcze, gdy podłożono ogień wielki pod nie, suche drzewo zaczęło się palić. Kamienie, któremi je przywalono, zagradały jeszcze wnijście. Jabłonowski po ostatnim wystrzale ludziom się cofnąć kazał. Musiano uchodzić. Łatwo przewidzieć było, że gdy wrota przetleją, cała kupa kamieni runie na Tatarów, ale ich nie powstrzyma... Kasztelaniec dobiegał ze swymi ludźmi do drugich wrot, gdy z ogromnym hukiem ściana tu obaliła się, wrzask dał się słyszeć, milezenia chwila i z nową wrzawą dziec, jak strumień błotnisty z gór, wlała się w pierwsze puste podwórze.

Chociaż ponieśli stratę znaczną, Tatarowie tryumfowali: zdało im się, że zamek był już zdobyty. Orda natychmiast rozpostarła się w podwórzu i poczęła pędzić na górny zamek. Mówiliśmy już, że wnijście do niego było osłonięte budynkiem murowanym, w którym mieszkali Dorszakowie. Wązkie przejście dzieliło mur drugi od niego. Na gmachu tym w nocy dach splonął. Ściany jego okrywały bramę nieco, nie dopuszczały przybliżyć się Tatarom, ale z wierzeholka ich mogli razić strzałami znajdujących się w podwórzu ludzi, ściśniętych tak, iż przejść między nimi było trudno.

Zaledwie Jabłonowski dopadł bramy i ludzie za nim się schronili na górny zamek, wzięto się do zamurowywania wrot w inny sposób, tak, aby spalenie ich nie zagrażało tej na prędce wzniesionej ścianie.

Kasztelaniec był tak znużony i upokorzony tém, iż

obronić się na dolnym zamku nie umiał, że padł we drzwiach targając włosy z rozpacz.

Nie spostrzegł nawet miecznikowej, która stała nad nim, blada, ale spokojna i zrezygnowana.

— Kasztelanicu, rzekła, trącąc go w ramię: to, co się stało, złém nie jest; jesteśmy w ciasniejszym obrębie ograniczeni, ale daleko bronić się nam w nim łatwiej, i tu, Bóg łaskaw—obronimy się.

Te słowa niespodzianie poruszyły Jabłonowskiego, który powstał na nogi z otuchą nową.

— Tak jest, zawołał: i ja mam nadzieję; lecz wszystko zależy od ludzi, i od tego, by im sił starczyło.

— Ludziom kazałam rozdać jedzenie, wódkę, wodę; ludzie są dobrej otuchy. Proch i kule są jeszcze.

— Mamy ich tyle, ile potrzeba na odstrzelowanie się do wieczoru, a szcędząc—do jutra.

— Tatarowie nie pozostaną tu dłużej, rzekła miecznikowa; mam tę mocną nadzieję.

— A więc na mury! krzyknął Jabłonowski, rzucając się ku bramie.

Śmigownicę ustawiano właśnie tak, aby na obronę wrot służyć mogła.

Wśród tego huku i zamętu, Janasz, którego złożyło w izdebce na górze, przebudził się po śnie pokrępiającym. Siedziała na straży przy nim Agafia, którą Jadzia uprosiła po cichu, aby go nie odstępowała. Myśli jej musiały być gdzieindziej, bo każdy wybuch i krzyk konwulsyjny w nią wywoływał drżenie. Biegała do okien, łamała ręce, siadała znowu przy chorym, wpatrywała się weń z politowaniem, a potem znowu zaczynała rzucać się po izdebce jak szalona. Z ok-

na widać było twarze—wszystko co się w podwórzach działo. Agafia padła na kolana, postrzegłszy, że dolny zamek był zdobyty; twarz ukryła w dłoniach. Potém z za pasa dobyła nóż, który jęj nigdy nie opuszczał, popróbowwała jego ostrza i uspokojona nieco zatknęła go znowu.

Janasz wreszcie przebudził się, podniósł o swęj sile, obejrzał, i zebrawszy myśli, zapytał Dorszakowęj: co się działo?

Agafia nie śmiała mu powiedzieć czego była świadkiem. Poruszyła głową, rozwarła ręce i milczała.

— Dosyć już tego odpoczywania, odezwał się Janasz. Słyszę, że się bronią. Tatarowie są, trzeba iść w pomoc.

— Ale waćpan do progu nie dojdiesz! rzekła Agafia.

— O nie! czuję, że mi lepij, rany się pozasklepiały, krew nie płynie. Nie wyleżę w łóżku. Bądź pani tak miłosierna, daj mi się napić czego, co by mnie trochę pokrzepiło. Ja muszę, muszę iść, bądź co bądź.

To mówiąc postrzegł Korczak stojącą buteleczkę i kubek, sięgnął po nie sam, wychylił i skinał głową prosząc Dorszakowęj, aby do sąsiedniej izby wyszła. Nie mogąc mu się oprzeć, posłuchała. Janasz przeżegnał się i ubierać począł. Gorączka zupełnie była ustala właśnie, gdy się zwiększenia jęj spodziewać było można. Czuł się silniejszym. Pozbierał broń, zatknął pistolet za pas, przypasał szablę, pościskał bandaż na ranach, wypił jeszcze pół kubka, przeżegnał się znowu, i stał w progu. Miał drzwi otworzyć, gdy te się uchyliły, i krzyk dał się słyszeć. Stała przed nim Jadzia, blada i drżąca. Patrzając nań łzawemi

oczyma, podała mu rączkę. Sobą chciała wyjście zasionić.

— Panno Jadwigo, odezwał się spokojnie Korczak: Pan Bóg mi na to siły powrócił, abym ich użył w waszj obronie. Nie ma tu już czego szcędzić, bo zginie my wszyscy. Nie mówił mi nikt, ale wiem, widziałem we śnie—zamek dolny wzięty!

— Ach! tak! tak! Tatarzy cisną się zewsząd, ludzie nasi cudów dokazują, ale godzina, dwie i wszystko się skończy, i—umierać potrzeba.

— Wszystko się skończy—zawołał Janasz—ale wcale inaczej niż panna miecznikówna sądzi. Daj mi pani błogosławieństwo... ja iść muszę.

Jadzia obejrzała się trwożliwie na wszystkie strony. Z szyi zdjęła prędko medalik z Matką Bożką, i pocałowawszy go, włożyła na niego... Janasz ukląkł, do ręki jęj usta przyłożył i zbiegł.

Olśnił go blask dnia, ogłuszyła wrzawa. Naprzeciwno na dachu spalonego domu stali już kupą Tatarzy i sypali strzałami. Na murze naprzeciw nich Jabłonowski ze swoimi ludźmi odstrzeliwał się. Słychać było głuche bicie we wrota.

Kiedy niekiedy odezwała się śmigownica. Lud znosił kamienie i ciskał je z bocznych murów, które także oblegali Tatarowie. Walka rozżarta była z obu stron. Z ciężkością ludzie się z sobą rozmówić mogli, taki szum i krzyk nieustanny wiał się w powietrzu. Pomagał mu wiatr silny, który niebo oczyścił z chmur. Słońce wschodziło krwawo i jaskrawo. Dymy osiadły w dolinie poroziągane jak zasłony pół przejryste.

Na górze w oknie, ksiądz Żudra w komży i stule, z krzyżem w jednej ręce, z brewiarzem w drugiej, kończył ranne modlitwy... Wizerunkiem Zbawiciela żegnał męż-

nych obrońców i kreślił krzyż w powietrzu, jakby chciał nieczyste rozpędzić siły... Za nim stojąca miecznikowa różaniec przebierała w palcach, ale na stole przed nią nabitą broń widać było.

Jadzia wchodziła do izby, gdy miecznikowa ujrzała Janasza, który biegł ku wrotom, prowadząc za sobą Nikitę.

— Jak to? zawołała: Janasz wstał?

Nikt jój nie odpowiedział.

Widać było ztąd jak z rusznicą stanął, podniósł ją i wypalił, potem ludzi począł rozstawiać i przebiegł na inne miejsce.

Jabłonowski stracił był już znowu nadzieję i przytomność, chodził wzburzony po pod murem, ręce łamiąc i ludzi swych popychając. Wnet go w dowództwie zastąpił Janasz i objął je. Z murów można było dojrzeć tatarskie obroty. Zalegali oni dolny zamek cały, budynek przed bramą i rojem leżeli od wąwozu. Część ich wiązała drabiny, aby się wdrapać na mur dzielący dwa podwórza.

Ale ta obrona była dzielna i trupami już podesłany wązki przesmyk dowodził, że oblężeni nie stracili otuchy. Nikita skradał się na pnących ku górze, i więcej ich obalił kamieniami niż drudzy strzałami.

Lecz liczba oblegających była tak wielka, iż w końcu zdobycie stawała się nieuchronną... bo środki obrony wyczerpać się musiały. Strzelano już oszczędzając prochu i kul. Kamienie, które spychano, mogły w końcu wał pod murem usypać, któryby wdarć się nań ułatwił.

Tatarzy zdołali podłożyć pod bramę ogień, pomimo strzałów, i kłęb dymu już się koło niej podnosił powoli...

Udało się Janaszowi śmigownicę tak wykierować, iż zmiotła z dachu przyległego budynku część Tataków. Kula przebiła nadpalony wczoraj pułap, i reszta dzieciny stojącej na nim zawałiła się z trzaskiem i krzykiem w głąb budowy. W ten sposób obroniono się od dokuczliwych strzałów, które sięgały do wnętrza, a ściana budynku stawała się zasłoną.

W chwili, gdy się to stało, dziec oblegająca wydała pisk mściwy i zajadły, od którego wszyscy zadrżeli.

Był to pierwszy prawdziwie szczęśliwy wypadek od rana. Ludzie miecznikowej powitali go radosnym okrzykiem. Jabłonowski usłyszawszy to, pobiegł do Janasza, który już znowu śmigownicę ładował.

Słońce wschodziło po nad otaczające wzgórza, wiatr poczynął ustawać; tatarska orda skupiona zdawała się rozważać co czynić, i czekała na rozkazy... gdy z lasu ukazało się wypadających jeźdźców kilku. Miotali rękami i krzyczeli coś z dala. Krzyk ten podawany z ust do ust poszedł aż pod zamek i po nim nastąpiła chwila milczenia. Tłum stał wryty.

Nagle co żyło z zamku się wysypywać zaczęło, przeganiając, tłocząc, arkanami łapiąc rozbiegające się konie. Opóźnieni jakby z trwogą zaczynali uchodzić, a już na przeciwnym brzegu wydrapywali się z niego inni i biegli ku tabunom i obozowisku.

Nie można było zrozumieć co zrodziło ten popłoch nagły i ucieczkę. Na zamku stali wszyscy jakby cudem zdumieni, niedowierzający oczom swoim...

Z górnego piętra wieży stojąca w oknie Agafia dostrzegła człowieka, którego z obnażoną głową prowadzono ze związanymi w tył rękami, na arkanie na szyję zarzuconym.

Nie można było poznać ani domyślić się twarzy, ani ubioru... a jednak oczy kobiety przylgnęły do téj postaci, w której czuła Dorszaka.

Tatarzy w pośpiechu siadali na konie, jeden tylko czekał, aż przyprowadzono przed niego chwyconego na arkan człowieka.

Stali przed sobą ci dwaj chwilę. Jakby zawołany podbiegł trzeci... mignęła mu w ręku szabla i głowa stojącego potoczyła się na ziemię, kadłub zachwiał się i padł. Tatar przypadł do głowy, chwycił ją za włosy, podniósł do góry i przywiązał do konia. Wszyscy dosiadali koni, niektórzy biegli już ku lasom, inni zbijali się w kupki. Agafia patrzała stojąc jak wryta, twarz jój jakby płomieniem oblała się krwią i zbladła jak marmur, oczyma wiodła za Tatarem, który głowę unosił, obłąkany jój wzrok ścigał go, szukał, ginał w tłumie i znajdował go znowu... tak szła za nim aż do podnoża gór, aż do wąwozu, w którym znikł...

Westchnienie dobyło się z jój piersi, ręką potarła po czole, oczy zwróciły się w ten punkt, gdzie jak czarna plama leżało ciało w kałuży krwi, patrzała teraz na nie i wzroku od niego oderwać nie mogła. Posągami się stała bezmyślnym... skamieniałym... Lecz ani jedna lez kropelka nie pociekła z jój oczu.

Gdy Tatarzy zapędzali się po białkach uchodząc, z wąwozu naprzeciw ukazała się biała chorągiew i głucho odezwały się dwa kotły. Za niemi jechało kilkadziesiąt koni i sunęła się zbrojna piechota. Przodem w swój czerwonej opończy, w misiurce na głowie, jechał pólkownik Dulęba. On i jego konnica puścili się zaraz za uciekającymi Tatarami pogonią ku górom, ale ich doścignąć nie mogli.

Janasz ujrzawszy chorągiew i usłyszawszy kotły, krzyknął zwracając się ku pani miecznikowej:

— Górą nasi! górą nasi!

Na całym zamku okrzyk ten echem się odbił. Lud przed chwilą na pół umarły ze strachu, zrywał się na nogi, inni klękali na modlitwę. Korczak kamieniem zawałoną bramę oczyszczać kazał.

Agafia stała jeszcze w oknie.

Ku temu miejscu, w którym leżało we krwi ciało, zbliżał się oddział Dulęby. Chorągiew przystanęła. Kołem okrażono trupa. Ludzie z koni patrzali na niego długo... potem nadeszli piesi i otoczyli go kołem. Agafia drgnęła, poruszyła się, i szybkim krokiem wyszła z izby. Nie patrząc przed siebie, puściła się ze wschodów, przez tłum przebijając się przeszła podwórze. W bramie wdrapała się na kamienie i spuściła z nich do fôrty... Potem widać ją było wychodzącą z zamku, brnącą przez parów i ciągle z oczyma wlepionymi w jeden punkt, idącą wprost ku trupowi... Jakaś siła nadprzyrodzona zdawała się ją ciągnąć i prowadzić.

W miejscu ubitým kopytami tatarskich koni na tokowisko, leżało ciało Dorszaka bez głowy. Krew po części w ziemię wsiąkła, w części zgęstniała stała czarną prawie kałużą. Ręce miał jeszcze sznurem związane... Agafia siadła naprzeciw niego, podparła się dwiema dłońmi, patrzała znowu, jakby nasycić się chciała tym widokiem.

Wrażenie téj pierwszej chwili po oswobodzeniu od niebezpieczeństwa, które się zdawało nieuniknioném, od groźby śmierci, którą wszyscy mieli przed oczyma—porównać chyba można do przebudzenia się człowieka po śnie i duszącej zmurze, gdy nagle otwo-

rzywszy oczy ujrzy światło, zobaczy błękit niebios, posłyszysz ptactwo śpiewające pieśni poranne, gdy mrok grobowy, co mu ugniał powieki, rozpierzchnie się jak-by cudem.

W kaplicy zapalono świece... Ks. Żudra prowadził swoich przed obraz Chrystusa, wołając: „Na kolana! na kolana!” Za nim cisnęli się wszyscy. Przodem szła miecznikowa z córką, za nią kasztelanica, Janasz, Nikita, hajducy, ludzie kasztelanica. A że kapliczka była szczupła, napelnili pokoje, sienie i wtórowali pieśni gdzie kto stał. Przeszła ona w podwórcę i podwórzec rozlegał się dziękczynieniem.

Ludzie, którym było pilno na swe zgłiszczą, wysypywali się już z zamku, biegnąc ku miasteczku. Z drugiej strony wąwozu nadbiegający ludzie witali zbawców okrzykami. Dulęba niewiele myśląc, konia porzuciwszy, ważył się brnąć do kolan prawie w wodzie, aby prędkiej na zamek się dostać.

Ksiądz Żudra wyszedł naprzeciwko niemu.

— Witajże nam, witaj półkowniku, zawołał: w samąście porę przybyli, aby nam życie ocalić.

— Ani kwadranssem wprzódy, Bóg świadek, przybyć nie mogłem, rzekł półkownik wydobywając się z parowu. Nimem siłę moją rozproszoną zgromadził, nim tyle zebrał, żeby móżdż tej szarańczy stawić czoło, upłynęło czasu dosyć. Dowiedziałem się od szpiegów, że się ta dziez tu ze wszech stron złała. Z lada czem się porwać nie było można.

— Cośmy tu doznali od wczorajszego wieczoru, język ludzki nie wypowie, zawołał ksiądz Żudra. Ni-gdyby napaść tak upartą i obrachowaną nie była, gdy-by ich Dorszak nie prowadził.

— Ostatnia to jego wyprawa, rzekł Dulęba.

— Zginał? spytał ks. Żudra.

— Tatar go ściał, trup leży na dolinie.

— Mściwa ręka boża! westchnął ksiądz.

— A Dorszakowa? spytał Dulęba.

— Mówiono mi, że oto niedawno z zamku wyszła.

— Dokąd?

— Nie wiem.

Półkownik uganiał się właśnie za Tatarami, gdy przebywała dolinę, aby się dostać do trupa; dla tego nie spotkał jej i nie wiedział o niej.

Szedł tedy prowadzony przez ks. Żudrę na zamek półkownik, gdzie zasiadano do stołu.

Przyjęto go okrzykiem. Dulęba stanął w progu, misiurkę zdejmując z przywitaniem starém:

— Niechże będzie pochwalony...

— Na wieki! odpowiedziała miecznikowa zbliżając się. Niech będzie pochwalony na wieki Ten, który cuda sprawia i niegodnych dłonią swą wszechmogącą ratuje.

Sklonił głowę Dulęba.

— Trochem się spóźnił miecznikowo dobrodziejko, poczał stękając; alem to już ks. Żudrze tłómaczył—nie sposób było iść z małą garścią na tę szarańczę, a ludzi musiałem zbierać po nad granicą. Chwilim nie stracił—a tu slysze było gorąco.

Ksiądz Żudra przystępował z lampeczką.

— Półkowniku, za wasze zdrowie!

Kasztelanica, który był zupełnie przyszedł do siebie i już dworował wesolo, przystąpił też do półkownika. Podali sobie ręce.

— Najpiękniejszą chwilę mojego życia winienem wam, rzekł. Gdybyście wy mi nie powiedzieli, nie

przybyłbym tu, i nie miałbym szczęścia stanąć do usług pani miecznikowej.

Mówił o matce, a spojrział na córkę. Jadwisia, jakkolwiek szczerze wdzięczna, nie odpłaciła mu wejrzeniem. Spuściła powieki, i powoli je podnosząc, podniosła na Janasza, który stał w kątku skromnie, oparłszy się nieco o ścianę, bo znowu po przebytym niebezpieczeństwie czuł, że mu na siłach zbywa.

Byłby odszedł może, urok go tu trzymał jakiś, nie mógł się ruszyć. Jadzia spoglądała na niego.

— Kiedyście tu wszyscy panowie razem—prosząc siedzieć, poczęła pani Zboińska,—dajcie mi radę, powiedzcie, co czynić mam? Chciałabym te strony opuścić, potrzebuję odetchnąć, a sama na nie się tu nie przydam. Ale jakże wyruszyć ztąd? czy bezpieczne drogi? czy?...

— Pani miecznikowa pozwoli, wtrącił kasztelaniec, ażeby ja jój z ludźmi moimi służył, jako straż i osłona. W tej stronie ku Konstantynowu nie możemy się obawiać napaści. Dostyć będzie kilkunastu koni, a do pierwszej stannicy i półkownik przecięć doda nam od siebie ludzi.

— Sam jeśli trzeba służę, odparł Duleba.

— Lecz niech ludzie wypoczną — odezwał się ks. Żudra; kilka dni musimy przynajmniej po tych kilkunastu godzinach dychać, aby siły odzyskać. Janasz ranny i zmęczony. Nikita już się położył, znajdują się i inni.

— A któż zaręczy, że Dorszak nie przyprowadzi ich tu znowu? odpowiedziała Miecznikowa.

— Za Dorszaka to ja ręczę, mościa dobrodziejo, odezwał się Duleba. Wątpię, żeby go z tamtego świata puścili ci, którym się *legitime* dusza jego należy.

— Jaktó? zawołała miecznikowa—ja nie nie wiem.

— Tatarzy są ludzie prędko ekspedujący—mówił Duleba. Naprowadził ich tu, pościagał, zaręczył snadź za znaczną zdobycz i jeńców. Nie udało się. Sąd do-
rażny *stante pede*, arkan na szyję, i nim ztąd odjechali, ścięli go, ot tam w dolinie. Gdzie wina, tam i kara. Łaska to boża dla nas wszystkich, bośmy się od lotra uwolnili, a i żona jego odetchnie.

— Ale Tatarzy!

Duleba głową potrząsł.

— Nie przyjdą, a przynajmniej nie tak rychło. Zameczek trzebaby oprawić, zda się...

— I kogoż w nim zostawić? komu powierzyć? za-
pytała jakby sama siebie miecznikowa.

Był moment milezenia.

Janasz ze spuszczeniem stał oczyma, podniósł się z wolna i cichym głosem się odezwał:

— Jeśli pani miecznikowa rozkaże, byłem jaką taką siłą miał, ja na Gródku zostanę.

Jadzia drgnęła cała, zaczerwieniła się mocno, groźno spojrziała na Janasza... on oczy spuścił. Zboińska nie odpowiedziała nic.

— Jabył za tém wotował, dodał Duleba: dał ję-
gomość pan Korczak i męztwa i roztropności dowody. Dla młodego tu miejsce; a gdy, Bóg da, król ję-
mość nam powróci, rozprawiwszy się tam z Turkami, możemy mieć z nimi harc, co się zowie! Pole do po-
pisu nie może być lepsze...

Miecznikówna, którą wejrzenia kasztelanica prze-
śladowały, ustąpiła nieco zarumieniona i niespokojna...
Janasz wysunął się powoli i powłókł na górę.

W izdebce swój nie znalazł już Agafii, ale nato-
miast Nikitę, który posławszy sobie wiązkę słomy,

wyciągnął się na nią na dobrze zasłużony odpoczynek. Zobaczywszy Janasza, zerwał się wprawdzie, lecz go uprosił przybywający, aby się dla niego nie podnosił.

— To prawda—rzekł Nikita—że kości bolą strasznie, bośmy tych kilkanaście godzin nie próżnowali. Dopiero teraz człek czuje, że go i belka niejedna przytłukła, i rany swędzą, i ręczyska bolą. Przyznam się panu, ciężka była sprawa, a no, teraz gdy przeszła, aż się dusza raduje, na całe życie będzie co wspominać i mówić o czém. I mnie to jeszcze nie, ale co to będzie z paniezem?

— Jak z tobą, mój Nikita... nie—przejdzie i pogoi się a zapomni.

— Nie, nie zapomni, mruknął dworak. Straszna to dziez, ślepie jak u kotów błyszcza, zęby, a! a!

Nikita oczy zatulił.

— Terazby co rychlej panią i panienkę ztąd ratować, dodał. A co będzie z zamkiem, kiedy, słyszę, Dorszakowi łeb ucieli?

— Może ja tu zostanę, szepnął Janasz.

Dworak się porwał.

— To nie może być! a! nigdy w świecie. Jejmość i jegomość kochają was jak syna, panienka jak brata. Gdzieby zaś was mieli na tej pustyni zostawiać na pastwę tej dziezy!

— Żołnierz jestem, rzekł Korczak—wojować muszę, a w Mierzejewicach zgnuśnięję.

Nikita potrząsnął głową. Drzwi się otworzyły; weszła Agafia z włosiem rozpuszczonym jak oblakana. Stała w środku izby i obejrzała się.

— Pochować go trzeba! rzekła.

Janasz i Nikita słuchali w milczeniu.

— Pochować go muszę—dodała i zwróciła się do Nikity.

Dworak zwlókl się, choć stękając.

— Weźmiemy ludzi i przyniesiemy ciało.

Agafia potrząsała głową i zwróciła się ku drzwiom.

— Chodźcie, rzekła—ja zapłacę.

Otworzyła drzwi i oglądając się wyszła. Janasz, którego litość brała, wstał także. Poszli za nią, a z dziedzińca zabrali jeszcze dwóch ludzi.

Z okna zaś zobaczywszy Agafię, Duleba zbiegł także i przyłączył się do nich.

— Trzeba wziąć księdza—odezwał się.

Kobieta jakby nie słyszała, nie zwróciła się ku niemu; potem tylko potrząsała głową. Szli więc dalej. Ponieważ przez parów przebrnąć było trudno, Nikita w lewo zobaczywszy czółno, które Tatarzy tu zostawili, odwiązał je i siedli do niego wszyscy. Agafia ciągle milcząca, zamyślona, patrzyła w miejsce, gdzie ciało leżało. Około trupa stały głodne psy z miasteczka; zakryła sobie oczy.

Gdy wysiedli na ląd, poczęła iść znowu na prost. Na widok ludzi psy szczekając poodbiegały, ale kałuża krwi była wypita i na szyi nieszczęśliwego znać było zęby głodnych zwierząt.

— Tu! rzekła krótko Agafia, siadając i wskazując palcem. Tu!

Ludzie, którzy mieli rydle z sobą, kopać poczęli w milczeniu. Duleba stał nie już nie mówiąc i patrząc z politowaniem na kobietę.

Gdy grób wybrany był głęboko, Agafia obejrzała się do koła, jakby szukając całuna, którego nie było. Duleba, który czuł jej boleść i zrozumiał wejrzenie, zrzucił burkę z ramion i podał ją ludziom.

Obwinięto w nią ciało. Agafia wstała... zbliżyła się nad brzeg dołu. Trup okryty burką spuszczał się do grobu, gdy brzek jakiś zwrócił uwagę kopaczy. Jeden z nich włożył rękę pod burkę, namacał trzos, i odpiawszy go rzucił z wolna pod nogi kobiety, która go nie podniosła.

Spuszczono ciało na dno... Pierwsza Agafia wzięła oburącz ziemi i rzuciła ją na nie. Siadła potem na dawne miejsce. Trzos podniósł Dulebą, widząc, że nikt o nim nie myśli. Zaczęto sypać mogiłę, każdy się przyłożył do niej. Milezeli wszyscy... Gdy się dół zrównał, zdawało się ludziom, że było dosyć, Agafia żądała, aby sypali jeszcze i rzuciła garść pieniędzy z kieszeni.

Otaczający ją patrzali na siebie i na nią—nie poruszyła się. Kurhan był już niemały, Duleba skinał, by przestali. Jakby przebudzoną ze snu wziął Agafię za rękę.

— Gdzież? dokąd? spytała.

— Wróćmy.

— Do rodziców! tak! odwieziesz mnie do matki! tam! wskazała ręką.

— Dokąd zechcecie.

Odwróciła się raz jeszcze do mogiły, okiem potoczyła do koła.

Duleba przestraszył się, słysząc ją nagle śmiejącą się dziko, ale po chwilce śmiech ustał.

— Tak—skończyło się... rzekła.

Zwróciła się do mogiły.

— I to już niepotrzebne, odezwała się wyjmując nóż z zapasa, który w świeżą wbila ziemię... Spuściła głowę, dając się prowadzić bezwładnie.

Wszyscy powoli szli za nią.

Straszny wyraz jęj twarzy, czarne rozpuszczone włosy, zapadłe a błyszczące oczy, dziwnie ściśnięte usta, pomarszczone czoło, obwisłe ręce, suknia oszarpana, obudzały litość w patrzących. W milczeniu odprowadzono ją na zamek i oddano pod straż Horpynce.

Półk p. Duleby, a raczej oddział piechoty i trochę konnicy, którą dowodził, położył się obozem pod zamkiem, obwarowując się stawem z jednej strony, z innych wozami i ostrokołem na przódce zarzuconym. Miecznikowa czuła się w obowiązku wybawicieli swych nakarmić i напоić, a w zamku wszystkiego brakło. Musiano więc prosić Duleby, aby kilku ludzi wysłał po potrzebne zapasy, na które znaczną sumę wyznaczyła p. Zboińska. Oprócz tego szeregowi dostali wszyscy podarek pieniężny. Ludziom z miasteczka dopomódz było potrzeba. Krzątano się około wszystkiego, a na wieżycze w salce pełno było ciągle wchodzących i wychodzących. Gospodarowała sama pani, po części też córka, pomagał Janasz i Nikita.

Tak upłynął czas do wieczoru. Zmierzchało się, a ruch na zamku nie ustawał; ludzie wchodzili i wychodzili; ci, co brali udział w obronie, dopiero teraz dziwy o niej mieli do opowiadania. Janasz właśnie wybiegł był z poselstwem jakimś na dół, gdy posłyszał kroki za sobą. Jadzia szła za nim i zawołała nań głośno:

— Czekał—proszę.

Stał Korczak, chcąc ją przepuścić przez wschody, ale się zatrzymała.

— Mam do was wielki żal! zawołała: jakżeście mogli pomyśleć tu zostać?

— Panno miecznikówna, tu, czy gdzieindziej, wszak trzeba raz opuścić Mierzejewice.

— Dla czego?

— Aby mnie nie wypędzono!

— Co się wam śni? co się wam stało? ręce łamiąc poczęła Jadzia. Któżby śmiał to uczynić!

Janasz milczał.

— Ja to przeczuwam... odezwał się po chwili.

— A ja wam powiadam, że nie dopuszczę, abyście tu zostali. Padnę dziś jeszcze do nóg matkę. Ale to nie może być!

— Zrobię co mi każą, odpowiedział Janasz wstrzymując się.

Oczy Jadzi iskrzyły się. Podala mu rękę.

— Jesteś mi bratem, pamiętaj! nie zdradź mnie, ja potrzebuję cię mieć przy sobie. Proszę ani myśleć o tém i być posłusznym.

Dokończyła szybko, ścisnęła mu rękę i powróciła na górę. Korezak potarł czoło, zacisnął usta, poszedł do swych ludzi.

Gdy się ściemniło, wszyscy powoli rozechodzić się poczęli. Pożegnał kasztelan miecznikową, Dulęba także, a że w budynku, którego dach był spalony, na dole niektóre izby zostały nietknięte zawałonym dachem i sprzętu w nich było dosyć, oba się tam na nocleg udali. Agafia także zajęła część dawnego swego mieszkania.

Tytuń i cybuchy nawet po dawnym gospodarzu znaleźli tu jeszcze goście, a sofy za wygodne służyły posłanie. Dulęba chodził zamysłony i daleko uparcić mileżący niż kiedykolwiekbydł; kasztelan za to był

gadatliwy i wesół jak nigdy. Dobrali się więc bardzo dobrze.

— Półkowniku! wołał wyciągając się z rozkoszą Jabłonowski: winienem ci więcej niż sądzisz, winienem dozgonną wdzięczność.

Dulęba stanął.

— Za co? za guzy?

— Ale, gdzież zaś! Zakochałem się! krzyknął Jabłonowski. Półkowniku, od zmysłów odchodzę! Dziewczyna...

— Jaka dziewczyna? gdzie? odparł Dulęba oziębło.

— Miecznikówna!

— Dziecko!

— Piękne mi dziecko! lat ośmnaście. Dyana! mówię ci, posąg! piękność! bogini! cud! anioł! Wyrządów nie mam! Oczy! widziałeś oczy? Usta! chyba ust jej nie uważałeś.

— Ale, patrzałem na nią, rzekł Dulęba, — i nie widzi mi się, aby to coś było osobliwszego nad inne niewiasty! Gdybyś był kasztelanem widział tę kobietę... p. Dorszakową, gdy była młodą — dopiero piękność była... a dziś! przy tym grobie! Co to za postać! Co to za wejście! Mrówki po mnie chodziły. Królowa jeszcze dziś! królowa!

Jabłonowski się rozśmiał, półkownik oburzył.

— Ze wszelkim respektem dla kasztelaniewskiej waszej mości, odezwał się sucho — nie macie smaku!

— Ale ja ją widzę jak ona jest dziś w tej odartej sukni, z rozpuszczonymi włosami, a pan półkownik jak niegdyś była.

— Ale dla mnie, z respektem, miecznikówna dziecko, i po wszystkiém.

— Bo się nie znasz pólkowniku! odparł Jabłonowski, i począł żywo: Jak mi Bóg miły, rodzina dobra, majątność znaczna, panna urodziwa, sama Opatrzność mi ją zaswatała, gotowem się żenić.

— Tak! tak! jeśli p. kasztelan i p. kasztelanowa i cała rodzina pozwoli... a w dodatku jeśli się miecznik zgodzi.

— A toż co? Miecznikby miał mi jęj odmówić? mnie? Jabłonowskiemu?

— *Ex ducibus Prussiae*, dołożył Dulęba, kłaniając się—a no, powoli. Z respektem, miecznik córkę kocha, jedyne dziecko; bardzo mu to pochlebiać będzie, gdy się z nią Jabłonowski ożeni; lecz szlachcianka w pańskim domu! los nie do zazdrości. Będą na nią zawsze krzywo patrzali. Ojciec o tém myśleć musi.

— Matkę będę miał za sobą, już to widzę, zawołał kasztelan: dobra, miła kobieta i *hic mulier*. Gdy ona zechce...

Dulęba głową pokiwał, stanął naprzeciw Jabłonowskiego i rzekł, długą swą wyciągając rękę:

— Z respektem, życzyłbym najprzód wypróbować affekt, bo to być może ogień słomiany, a przytém co też panna powie na to!

— Tu sęk! rozśmiał się młody. A! pólkowniku, nie chwalcę się, gdzież tak łatwo drugiego, coby ze mną poszedł o lepszą, znajdzie?

— A! z respektem! co powiedzieć na to przysłowie: *de gustibus non est disputandum*?

Jabłonowski poświstywać zaczął, a Dulęba chodził wielkimi krokami.

— Cobyś kasztelanie powiedział na to, gdybym ja się z nią ożenił? zapytał.

Jabłonowski się porwał.

— Z kim? co waszmości?

— A no, z wdową; to moja pierwsza, to jest, tak jak pierwsza miłość... prawie pierwsza, bo tamtych kilka głupstw młodzieńczych leczyć się nie powinno.

— Ale lysina i szron! zawołał kasztelan.

— Pod helmem, to wiadoma rzecz, lysieje się i siwieje prędko, ona też ma lata stateczne, i ja kocham ją, jak mi Bóg miły.

— A ona was, panie pólkowniku? spytał mszcząc się kasztelan.

— No, nie wiem; ale dalipan nie ma nic lepszego do roboty, rzekł Dulęba. Jest tam gdzieś kawał ziemi, znajdzie się trochę grosza, czasby już dostać *panem bene merentium*, i żyłoby się.

Kasztelanie nieznacznie ramionami ruszył.

— W tém sęk, że rodzice jęj w Kamieńcu, a Kamieniec w ręku Turków i koniecznie go wprzód odbić potrzeba!

Westchnął.

— Ja odprowadzić jęj do rodziców, jak sobie życzy, nie mogę, kończył Dulęba. Turcyby mi łeb ścięli jak makówkę; znają mnie i nazywają Mirza Dulbi, a oprócz tego paskudne dodatki czepiają. No! pogany zwyczajnie.

Kasztelanie, który weale się nie zdawał słuchać co tamten mrucał, wtrącił nagle:

— Ja gotowem odprowadzić je, choćby za Konstantynów. W podróży będę miał sposobność się zbliżyć, a kto wie, może matce przyznać się do affektu.

— Co nagle, to po dyable! mruknął Dulęba. Affekt, affekt, a on dopiero wczoraj się urodził.

— Waćpan, panie pólkowniku, na tych sprawach się nie znasz.

— Tak, tak, z respektem, łysy i siwy, żebym nie miał doświadczenia!

Nie mogli się porozumieć.

W ciągu rozmowy wreszcie leżący na sofie kasztelanie zdrzemnął się, a Duleba siadł fajkę palić, w szerokiej dłoni tuląc czoło, i zasnął... Cybuch mu się wysunął, głowa pochyliła w tył, chrapać począł.

W sąsiednim pokoju słychać było ciche kroki: Agafia chodziła po nim noc całą.

Na wieży, gdy się rozeszli wszyscy, i miecznikowa także odpawiwszy modlitwy, siadła spocząć. Jadzia w kątku przez ciemne okno patrzyła na noc czarną. Smutna była. Parę razy wejrzenie matki padło na nią.

— Jadziu! zawołała: czasby ci pójść odpocząć, biedne dziecko, o czémżeś się tak zamyśliła? chyba o pięknym kasztelanu?...

Zerwało się dziewczę piorunem.

— A! krzyknęła: ja, o nim!

— Przecież kawaler co się zowie! galant i męzny, dworak i żołnierz, imię piękne, prozapia znakomita, a jabym, przyznaję się, niczego nie życzyła więcej nad takiego męża dla ciebie.

— Na to, matuniu, dość będzie czasu. Samiście mnie mówili, że nie radziłyście młodo wypędzać z domu, po cóż?

Miecznikowa zatamowała dalszą mowę uściskiem, ale szepnęła:

— Jak to? nie podobał ci się?

— Nie, nadto wesoly i taki natrętny!

— Wiesz dla czego? bo tyś mu się podobała! o! bardzo! widzę jak cię ściga oczyma. Nie bądźże dla niego tak surową.

Jadzi się na płacz zbierało... Miecznikowa spo-

chmurniała, założyła ręce na piersiach, poczęła chodzić żywo.

— Dla ciebie, moje dziecko, trudny, widzę, wybór. Już to nie od dziś postrzegam, że u ciebie jak nie Janasz, to nikt—to źle, to bardzo źle.

Jadzia oczy podniosła.

— Janaszek, dobre chłopię, nie przeczę, ale sierota, biedak i nieokrzesany, a doprawdy aż drzę, żeby ci głowy nie zawrócił. Coś ty się natroskała o niego! To źle! doprawdy, to źle.

Zdawało się, że Jadzi te słowa własne serce otwarte, i że w nie dopiero zajrzała. Zapłonila się mocno.

— To braterskie kochanie, ciągnęła dalej miecznikowa, już jakoś mi nie do smaku. Pókiście byli dziećmi, ale dziś!

Wejrzenie na córkę zmusiło miecznikową do milczenia. Pomyślała w duchu, że przeciw temu przywiązaniu innych środków użyć należy, pocałowała Jadzię i dokończyła:

— Idź spać, nie mówmy o tém, idź spać.

Wysunęła się Jadzia, a p. Zboińska zadumała. Zamknęła potem drzwi od sypialni i kaplicy, i wyrostkowi kazała zawołać Janasza.

Żywego temperamentu, nie umiała nie w sobie długo powstrzymać. Gdy Janasz powoli wszedł, usunęła się z nim w przeciwny kąt izby.

— Wspomniałeś mi, rzekła, że chciałbyś na Gródku zostać?

Janasz się zaczerwienił.

— Nie pragnę tego, ale jeśli będzie potrzeba i rozkaz...

— Tak, tak, jest tego potrzeba, poczęła miecznikowa. Pieniędzy na zwerbowanie ludzi i na opatrze-

nie zamku dostarczę. Tak go zostawiać na łasce bożej nie można.

Janasz milczał.

— Młody jesteś, ale daleś dowody, że masz odwagę i mężstwo potrzebne. Czemubys nie miał zostać na zamku?

— Gdy rozkażecie.

Miecznikowa stanęła naprzeciw i wlepila w niego oczy.

— Z tobą mogę mówić otwarcie, bom pewna, że ty temu nie winieneś, dodała. Jadzia się bałamuci. Przywiązała się do was jak siostra, a to już nie wiek do tych dzieciństw. Affekt się w jej sercu zmieni przecież, asindziej miarkujesz sam, że tak wysoko sięgnąć nie możesz i pomyśleć...

Janasz się cofnął przerażony.

— Ale jakżebym ja śmiał!

Miecznikowa za rękę go chwyciła.

— Ja cię znam, tyś poeciwe dobre chłopię, powinienes mieć rozum za siebie i za nią. Musisz się oddalić. Ot i teraz, Jabłonowski się nią widocznie zajął, tożby to było błogosławieństwo boże! a ona na was patrzy... za tobą lata...

— Pani dobrodziejko! przerwał Janasz: Bóg świadkiem duszy mojej, nie miałem grzesznej myśli.

Uderzył się w piersi.

— Nie, zawołał nagle, nie; na Gródku ja nie mogę zostać. Odpowiedzialność za wielką; ja głowy na to nie mam. Jeśli łaska wasza, odpuścić mnie, a ja choć jutro sobie znajdę gdzie się podziać.

Mówił to z takim wzruszeniem, że miecznikowej macierzyńskie serce zadrżało.

— Ale nie potrzeba znowu tak... tak się gorąco-

wać. Ja waćpanu mówię co obowiązek matki nakazuje, a nie tak pilnego nie ma. Pomyślimy.

— Przepraszam p. miecznikową, zawołał Janasz, schylając się do jej kolan: dla mnie pilno, to sprawa sumienia i honoru, ja o uwolnienie proszę.

Zawahała się p. Zboińska, schwyciła za głowę.

— Czekaj, nie rwić się, z wami młodymi nie wie-dzieć jak gadać, zaraz was opanowuje gorączka.

Janasz w istocie drżał.

— Jesteś ranny, życie stawileś za nas, a jabym cię miała teraz odprawić! Cóżby ludzie pomyśleli? Zlituj się.

— Niech mnie pani jutro wyszle do jegomości, samowtór pojedę, rzekł Janasz, — tam się biją.... Rozejdzie się po świecie o tym napadzie; p. miecznikowi Bóg tam wie co donieść mogą... rzecz prosta, że pani mnie z pismem poszle.

Głos mu drżał, i jakby tłumione przerywało go łkanie.

— Ale rany twoje?

— Co tam rany! nie boli mnie nic! westchnął.

I jakby nie chciał już słyszeć tłumaczenia żadnego, dodał, żegnając się:

— Jutro będę gotów do drogi; niech pani pismo raczy tylko przysposobić, ja jadę, ja muszę jechać.

Wyszedł, nim się miecznikowa na odpowiedź zebrała. Stała długo zamyślona, łza się jej zakręciła w oku.

— Tak będzie lepiej, tak lepiej. Gródek oddam Dulebie w opiekę, niech jedzie. Co z oczu, to z myśli. Jadzia potęskni i zapomni.

To mówiąc, przypomniała sobie p. miecznikowa chorążego, który się o nią starał, który jej był mi-

łym, po którym płakała i o którym... zapomniła także. Chciała drzwi sypialni otworzyć; coś się im stało, że nie dawały się odsunąć. Z wolna je cisnąc, wejrziała wewnątrz. U drzwi w jednej koszulce i spódniczce, z rękami na piersi złożonemi leżała omdlała Jadzia...

Skoro świt, zbudzony starym nałogiem pan półkownik Duleba wstał z sofy, na której się wyspał wygodnie. Naprzeciw niego, kasztelanie twardym jeszcze snem po trudach spoczywał. Nie budząc go, wstał półkownik, odział się i wyszedł.

W tym kraju, gdzie zawsze groziło niebezpieczeństwo, potrzeba było trzymać cinrów w ryzie... Wyszedłszy za bramę, przekonał się zaraz Duleba, iż niedaremnie był niespokojny: w obozie panował nieład wielki.

Chorąży krzyczał i pohamować nie mógł ludzi, którzy się z sobą zjadali. Co rychlej więc po kładce, którą na parowie położono, poszedł ku obozowi, z dala już grzmiącym gromiąc głosem i ręką a pięścią grożąc rebellizantom.

— Dam ja wam! ciury jakieś przekłete! dam ja wam! czekajcie-no!

Wtém tętent konia posłyszał za sobą; odwrócił się: Janasz jechał samowtór z hajdukiem Hołobą.

— O! tak do świtu? a toż dokąd? zapytał.

— Z listami do p. miecznika, odezwał się Janasz wstając.

— Z respektem—odezwał się Duleba—ale wyglądasz waszmość jak z krzyża zdjęty i wybierasz się w taką drogę? blady, ranny?...

— Tak się zdaje, nie mi nie jest!

— Gadaj zdrów, ależ oczy mam! wołał Duleba.

Nie miała p. miecznikowa kogo innego do posłania? Niechbyś się choć wylizał.

— Nie ma już o czém mówić, na koniu siedzę. Ale mój półkownik, ozwał się pochylając ku niemu Korczak—na rany Chrystusowe, nie pozwalajecie miecznikowej wyrwać się ztąd bez przyzwolonej osłony i bez konwoju, zaklinam was.

— Po co zaklinać! ruszył ramionami Duleba — to się samo z siebie rozumie. Nie masz się o co troszczyć. Gdybym ja się zaniedbał — szepnął śmiejąc się pod wąsem—toć jest kasztelanie. Zakochany jak kot w pannie miecznikównie, opętany, z respektem, młokos, choć kasztelanie. Ten ją będzie przeprowadzał choćby do Chin, mości dobrodziej, i nie da pewnie jój narazić się na żadne niebezpieczeństwo.

Splonął Janasz jak wiśnia—zdjął czapkę, ścisnął rękę Duleby i puścił konia klusem. Stary długo patrzył za nim zadumany, aż w ostatku zawrócił do obozu, w którym na jego przybycie już się nieco było uciszyło...

Tymczasem w zamku miecznikowa do salki wyszła sama, i z westchnieniem oświadczyła księdzu Żudrze, że Jadzia z przestachu i wzruszenia zachorowała nieco i że jój kazano pozostać w łóżku. Na twarzy matki smutek i strapienie było widoczne. Ta jedna noc więcej ją znękała niż wszystkie dni poprzednie; modląc się w kapliczce, płakała.

Gdy się na śniadanie zeszli wszyscy, zdziwił się Duleba nie widząc miecznikówny, a kasztelanie przestraszył się i natychmiast zapytał o nią.

— Trochę mi słaba—odpowiedziała matka, spuszczać oczy—ale to przejdzie. Cóż dziwnego? W tych dniach przebyłyśmy więcej niż słabe siły nasze dźwig-

nać mogą. Ja sama czuję się niedobrze. Musimy już wracać do domu.

To mówiąc zwróciła się do Dulęby.

— Mój pólkowniku—rzekła—ja do twój łaski się uciekam. Myślę, że dla obu stron to będzie dogodnym. Chcę mu Gródek zdać. Będziesz miał przyporządko dla ludzi, a mnie tę rudę zachowasz do lepszego, da Bóg, czasu. Z zamku i z ziemi nie mieliśmy nic, z miasteczka też. Są czynszownicy, mogłoby być gospodarstwo. Jeśli chcecie, zajmijcie się tym. Co Bóg da, tym się podzielimy, bośmy nigdy grosza nie widzieli. Co nam dacie, to będzie jak znalezione.

Dulęba aż wstał. Na myśl mu przyszło, że i Agafia mu zostawała przy tym gospodarstwie.

— Ale, miecznikowo dobrodziejko! zawołał: choć perspektywa dla mnie starego nader uśmiechająca się, nie wiem czy podolał, *et haec facienda, et alia non omittenda*. Muszę się z sumieniem obrachować. Jeśli ramiona dźwigną, do usług waszych jestem.

— El ramiona silne! odparła miecznikowa — rady sobie dacie; na oprawę zamku zostawię ile potrzeba i na pierwsze gospodarstwo. Proszę was o to.

— Z duszy i serca, byłem podolał—rzekł Dulęba—ale ci to ja niby pólkownik nad tymi nieszczęsnymi ciurami. Choraży im poręcznik im rady nie dadzą. Z posterunku, na którym mnie Rzeczpospolita postawiła, dezertować nie mogę.

— Ale to się doskonale godzi: macie stolicę, z niej będziecie robili wycieczki, macie schronienie.

Dulęba pomyślał:

— I pani Dorszakowa pod moją opieką!

Tego jednak nie powiedział—skłonił się.

— Pozwoli pani, wezmę to *ad deliberandum*.

— A ja już jak na Zawiszy na panu polegam.

Kasztelaniec chodził jak nieswój od drzwi do okna, od okna do komina i napowrót — wdychał. Rozmowa mu nie szła, humor stracił. Wyszli po śniadaniu, siadł na stopniach domu i przesiedział tak do południa. Na obiad jeszcze Jadzia się nie pokazała. Spytał o nią Jabłonowski, matka coś niewyraźnego odpowiedziała. Twarze wszystkich były posępne.

Dulęba, który o niczym nie wiedział, wyrwał się po obiedzie z niepotrzebnym westchnieniem.

— Z respektem należnym, powiem miecznikowej dobrodziejce, że wyprawienie tego posła dzisiaj rano trochę mnie zdumiło. Nie wiem jak on dojedzie, i nie ręczyłbym, że się gdzie w drodze nie położy. Aż mi go żal było nieboraka.

Zarumieniła się i zakłopotowała miecznikowa.

— Wierz mi pólkowniku, sam chciałem, zawołała — sam się wyrwał... jam była przeciwna.

— Trzeba mu było *auctoritate* zabronić — bo w takiej drodze, o takiej porze, z ranami, trudno, by wyszedł cało; a chłopak, mało takich.

Westchnieniem odpowiedziała miecznikowa.

— Co się stało, to się stało — mówił Dulęba — z respektem, ja żołnierz i zahartowany, alebym go nie puścił.

Na tym się skończyło. W oku miecznikowej zaświeciła łza, kochała go jak syna, lecz córkę więcej jeszcze. Wieczorem Jadzia nie wyszła, ani nazajutrz z rana. Kasztelaniec na sofie w swym mieszkaniu leżał i wdychał. Dulęba — z respektem, podżartowywał z suspirów. Tegoż dnia usiłował złożyć uszanowanie wdowie Dorszakowej, i uczynił o to staranie meldując się przez Horpynkę. Dziewczkę biegło dwa

razy, nie mogąc się z panią rozmówić, wreszcie Duleba nie opowiadając się wszedł. Zastał Agafię jeszcze na poły osłupiałą, siedzącą na poduszkach niby z robotą w ręku. Wzięła ją była snadź z nalogu, ale igła, którą szyła bardzo pilnie, nie miała zawleczonęj nitki; większą część ściągów robiła w powietrzu. Gdy Duleba wszedł, obróciła ku niemu oczy, patrzyła długo i zdawała się go nie poznawać.

— Jak się pani ma? przyszedłem się dowiedzieć.

— Jak ja się mam? prawdziwie, nie wiem—odpowiedziała Agafia. Prawda, że jeszcze na grobie nie porosła trawa? A! to pólkownik Duleba!

— Tak, to ja—odparł pólkownik.

— Pan nie wie? te psy? psy—one go odkopać nie mogły?

— Ale na żaden sposób.

— Pochowali go bez głowy? Proszę cię pólkowniku, głowę u Tatarów można wykupić? Prawda? Zły był to człowiek! ale być pochowanym bez głowy?

— Niech już pani o tém nie myśli—rzekł Duleba.

— Radabym, a no, nie mogę, stoi mi w oczach. Same trupy.... Ta niepocziwa Tatiana udusiła się. Jak Tatarzy wpadli tam, uszy jej poobcinali. Nie wiem czy ją kto pochował. Nie godzi się, by psy jadły chrześcijańskie ciała.

— Pochowano wszystkich, przerwał nagle Duleba: kazalem kurhany posypać i Tatarów nawet porzucić... A no, dosyć tego, mówmy o sobie.

Agafia spojrziała na niego, i szyć zaczęła pilnie bez nitki.

— Mnie tu pani miecznikowa oddaje Gródek do rządu i opieki.

— A! a to dobrze! Ja do rodziców pojadę.

— Ale rodzice w Kamieńcu...

— W Kamieńcu.

— I Turcy tam—rzekł Duleba.

— A! prawda! Turcy.

— Nikt was tam odprowadzić nie będzie śmiał.

— Więc cóż? mam i ja się dać pogrzebać? spytała chłodno.

— Pani moja — odezwał się Duleba zbliżając do niej, chociaż się odsuwała — pani zostaniesz na zamku także pod opieką moją, aż dopóki się coś nie rozwiąże.

Uśmiechnęła się Agafia.

— Gdyby nie to, że Dorszak pani dojadł za życia i że nie ma co po nim płakać, nie śmiałybym tego jej powiedzieć tak świeżo po jego zgonie.

— Piękny zgon, psy go jadły! mruknęła Agafia—i pochowany bez głowy. Ale cóż mi chcesz powiedzieć?

— Jabym się z panią ożenił, Bóg widzi, rzekł nagle Duleba.

Agafia zaczęła się śmiać.

— Ja jestem stara kobieta — rzekła — uboga, chora, daj ty mi pokój.

— Ale ja cię kochałem i kocham...

— Nie — nie — nie! dosyć miałam jednego męża! dosyć! dosyć!

Wstrząsnęła się.

— I on mnie niby kochał, dopóki się nie ożenił, a potem bił mnie cybuchem i zamykał w lochu, choć mu bylam wierną jak pies. Nie nie chcę.

— Ale to był zły człowiek! — zawołał Duleba.

— A któż może przed ślubem powiedzieć, jaki

będzie po ślubie? O! nie! nie! i potem broń Boże śmierci, znowu bez głowy! Mówiła jakby na pół obłąkana.

— Nie będę nalegał — kończył Duleba — lecz zostań pani... zobaczmy... Jeśli powrót do rodziców będzie możliwy... Żal się ukoi, pani mnie lepiej poznasz.

Agafia szyła bardzo pilnie, zdawała się patrzeć na chustkę i nie widziała nic. Potrzasała głową zamysłona.

— Ja jestem stara kobieta, mruzczała. Nie wiem kiedy się zestarzałam, bo mi się zdaje, że wczoraj byłam młodą, ale to jakoś przeszło. Obudziłam się obita: sińce, krew i siwizna.

To mówiąc rękami chwyciła rozrzucone długie włosy i zaczęła je rozbierać.

— Ja ci pokażę — mam siwe włosy, mam kwiatki mogilne. Któż się żeni z siwymi włosami?

Potem jakby coś przypominając sobie, puściła warokocze i pochyliła się ku Dulebie, szepejąc cicho:

— Zapomniałam zdjąć mu pierścionka, pochowali go z nim, jakże ja mogę iść za mąż raz drugi? ja jestem zaręczona z mogiłą! Któż wie? Psy, może psy pogryzły ręce.

Wstrząsnęła się.

— Pani potrzebujesz spocząć.

— Tak, w mogile... dodała. Wprzód to trudno! Któż to może spać! Tylko szczęśliwi śpią, a my? nigdy. Mnie sen męczy, ja się budzę jak po różgach, mnie on we śnie bije. Ja spać nie chcę. Na jawie go nie widzę, we śnie ciągle, nie chcę spać, o! nie...

Dulebie przykro się zrobiło.

— Czas to uspokoi i zatrze.

— Pewnie, pewnie! szyjąc znowu, odezwała się Agafia.

Sądząc, że jej jest natrętny, Duleba wstał. Podniosła oczy ku niemu.

— Siedź — rzekła — będziemy gadali... myśmy starzy przyjaciele. Waćpan byleś zawsze dobrym człowiekiem i nie biłeś mnie nigdy cybuchem. Raz nawet pamiętam, przywiozłeś mi wianuszek bławatków, trzymałam go w wodzie. Wiesz! do trzeciego dnia opadły!

Dulebę wspomnienie to rozezuliło; wziął ją za rękę i chciał pocałować. Z lekka uklóła go igłą.

— Dajże pokój! daj! To już nie ręce; ja dawniej miałam piękne i białe, a te, to kości i skóra — i brudne — nie do całowania.

Westchnęła. Chustkę szytą niby położyła na kolanach, zaczęła ją przeciągać, lzy spadały na nią.

— Pan jeszcze nie wiesz nic! nie! panie pólkowniku: jaką ja miałam śliczną dziecinę! To była córeczka; oczy czarne, duże, usta malusie. Gdybyś widział te pulchne rączki, a! zjeść je się chciało pocałunkami. Karmiłam ją sama. Przyszedł pijany, od słowa do słowa, poczał mnie bić. Opanował mnie gniew, pokarm żółé zatrula, i dziecina umarła.

Zakryła oczy.

— Znajdę tam Marynię na drugim świecie, bo już ci jest świat drugi? Ale jego tam nie będzie, bo musi być i świat trzeci.

Duleba słuchał i czuł, że mu się chwilowo zbierało na lzy, opuścił głowę.

— Nieszczęśliwa kobieta! rzekł w duchu.

Jakby zapomniawszy o dziecku, Agafia nagle spytała:

— Powiedźże mi, kiedy mogiła porośnie?

— Prędko, prędko, na wiosnę... rzekł pólkownik; ale nie myślmy o tém. Jeśli to dla waszego spokoju potrzebne, ja ją odarniować każę.

— Tak! tak! odarniować, oszukamy czas i serce, powiemy sobie, że to już bardzo stara mogiła. Ale w niej pierścionek...

Dulęba znowu wstał... Agafia wydawała się jakoś przytomniejszą. Zawołała Horpynki, która była w drugiej izbie.

— Sorbet przynieś pólkownikowi, wody, co chce, kawy, niech nie odchodzi. Samój mi straszno... Tylko cybucha nie! nie! Mógłby mnie nim bić! Nie mogę znieść jego widoku.

— Zlituj się pani! któż rękę na kobietę podnieść może?

Agafia poczęła mu się przypatrywać.

— Nie wierzysz?... rozśmiała się — a! boś żony nie miał! Żony bywają złe, a mężowie bywają pijani!

Musiano aż odwołać pólkownika, tak się u wdowy zasiedziało; wychodząc pot kroplisty otarł z czoła.

— *Dulcis recordatio praeteritorum*, mruknął — tyle tego!

Na drugi dzień wyszła z matką razem Jadzia, blada, z oczyma trochę zaczerwienionemi, ale spokojna. Kasztelanie ją przywitał bardzo troskliwie, dopytując się o zdrowie: popatrzała na niego trochę, podziękowała mu cicho i odeszła. Nawet ksiądz Żudra znajdował, że się czegoś zmieniła bardzo; przypisywał to wrażeniom, wśród których najmniej się czuje bólu, ale on po nich dopiero przychodzi, gdy się zmierzy nie-

bezpieczeństwo. Miecznikowa mocno była ciągle zajęta, nie dziw więc, że zostawiła Jabłonowskiego i księdza Żudrę, a na gospodarstwie w zastępstwie swoim Jadzię. Kasztelanie próbował z nią na rozmaite sposoby rozmowę prowadzić ożywioną, — a była zimną, przerywaną i ceremonialną. Z różnego tonu starał się ją rozpoczynać, nie szła z żadnego. Jadzia słuchała roztargniona, odpowiadała półsłówkami, często zdawała się nie słyszeć i nie rozumieć. Kto inny byłby zrozpaczył — kasztelanie miał tę szczęśliwą ufność w siebie, która nie daje się przełamać; zresztą dosyć mu było patrzeć w piękne oczy Jadzi.

Raz jakimś przypadkiem potrafił Jabłonowski o imię Korczaka: twarz Jadzi się ożywiła, oczy błysły, usta otwarły.

— Jak się panu zdaje? zapytała — czy też Janasz zajedzie do Mierzejewic? a potem, a potem, czy się do ojca dostać potrafi?

— O ilem ja tu Janasza widział, odparł kasztelanie, który się nie domyślał żadnych dla niego szczególnych względów — zdaje mi się, że sobie da rady wszędzie.

— Ale ranny był! westchnęła Jadzia.

— Młodość szybko leczy rany, zwłaszcza gdy się pieścić nie ma czasu.

— Gdzie on teraz może być? odezwano się dziewczę zamyślonę.

— O! co to, odgadnąć trudno! odparł śmiejąc się kasztelanie.

— A my kiedy wyruszymy? zapytała Jadzia.

— No, tego nie wiem — rzekł Jabłonowski, — zdaje mi się, że posłano po Sieniutę, który się ma przyłączyć do naszego orszaku, a on jako tutejszy i naj-

pięć wiedzący gdzie się obracają Tatarowie, które szlaki bezpieczne, zawyrokuję, kiedy jechać mamy.

— A! Sieniuta! ten co nas tu od Konstantynowa prowadził! — westchnęła Jadzia...

— Jabym rad, żebyśmy na Sieniutę jak najdłużej czekali, grzecznie dodał Jabłonowski; żeby on nas tu jak najdłużej trzymał, i żeby droga była powolna, bardzo powolna.

— A toż dla czego? spytała Jadzia.

— Bobym dłużej mógł z milego towarzystwa korzystać.

— Księdza Żudry? przebaknęło dziewczę.

Kasztelanie się rozśmiał.

— O! wysoko je szacuję, kłaniając się mówił kasztelan — ale — ale jednak pani towarzystwo...

— Moje? ze zdziwieniem mówiła Jadzia. Przepaszam kasztelanica — ale go nie rozumiem. Moje towarzystwo mało zabawić go może. Jestem prostym wsi dzieckiem, pan nawykł do dworu.

— Ale pani mogłabyś być jego ozdoba! mówił kasztelan.

— Niech mnie Bóg od tego broni — odezwała się Jadzia — ażebym kiedy zmuszoną być miała [na nim występować. Boję się go i... wolę to życie, do którego nawykłam.

W tym rodzaju i niedłuższe bywały rozmowy kasztelanica z Jadzią, która zdawała się dosiadywać przez posłuszeństwo. Ksiądz Żudra jako mileczący świadek, chodził zamyślony po izbie; czasem nadszedł Duleba, który pilnował Agafii, siedzącej spokojnie nad dziwną robotą swoją, z igłą bez nici; niekiedy przysiadła się miecznikowa — i natychmiast coś sobie przypomniawszy, odchodziła.

Czekano na Sieniutę z niecierpliwością. Duleba tymczasem między obozem a wdową się dzielił. Zaraz następnej nocy po pogrzebie Dorszaka, półkownik wpadł na myśl osobiwą. Dostał desek na zamku, kazał z nich zbić trumnę, i dobrawszy ludzi, którzy się niczego nie lękali, o świcie odkopał mogiłę Dorszaka. Miał z sobą całun i ów drewniany domek ostatni, kazał więc bez zgryzoty sumienia dobyć ciało, a korzystając z przekładania go do trumny, opatrzył ręce trupa i z palca mu zdjął pierścione. Dopilnował potem zabicia wieka, sam ziemią sypnął na oczy, mogiłę sporą kazał zrobić, odarniować ją i przykryć kamieniami.

Pierścione ten obmywszy, Duleba włożył na palec i pojechał do Agafii. Zastał ją siedzącą w tém samym miejscu, ale staraniem Horpynki trochę przybraną i z włosami uczesanymi.

Gdy wszedł i usiadł przy niej — zapytała go, czy mogiła nie porosła już?

— Kazałem ją darniną obłożyć i kamieniami z góry przykryć — rzekł Duleba. Za to staranie los mi wypłacił, bom w tém miejscu znalazł pierścione.

— He? pierścione? jaki? zawołała Doszakowa.

Spojrzała mu na rękę, zarumieniła się i krzyknęła:

— To nie może być!

Duleba pokazał go jej z blizką, potrzęsała głową.

Osobliwsze zdarzenie! rzekła, i zaczęła szyć znowu.

Tego dnia była spokojniejszą, mówili o dawnych czasach.

Wieczorem nadjechał Sieniuta i wprost z konia poszedł do mieczników.

Gdy o nim oznajmiono, wybiegła przeciwko niemu.

Kłaniał się do kolan czapkę, śmiał się i wesał pokręcał.

— Sługa jaśnie pani, stawię się!

— Panie Sieniuto, co słyhać? możemy jechać? gdzie Tatarowie? nie robią na nas zasadzki?

— Któż to tam w tym psim kraju, z pozwoleniem, za co ręczyć może? rzekł Sieniuta. Ja jak się rano budzę, zawsze Panu Bogu dziękuję, gdy m głowę na karku znalazł.

I zamilkł z nogi przestępując na nogę.

— *Tandem*, dodał — posyłałem szpiegi. Tatarowie głowę sobie sami ucieli, nie tak są straszni. Murzie ich Szejtanowi syna tu ubito; nie bardzo radzi iść nową biedy szukać. Tałalajstwo się to zebrało, ściągnęło tu jak na jaką wyprawę, bo ich jakiemiś skarbami złudzano; teraz się znowu rozpięchli w stepie. Gdyby nawet wyrwała się banda, to nieliczna.

Postanowiono tedy po naradzie, ażeby Dulęby oddział ciągnął po nad granicą, zasłaniając od napadu, a miecznikowa pod konwojem kasztelanica, Sieniuty i kilkunastu ludzi miała z nienacka wyruszyć, aż do Konstantynowa nie stając prawie i nie odpoczywając. Dalej już gościńce były bezpieczne.

We dwa dni nareszcie po ranniej mszy, o brzasku dnia, szybko zaczęto wozy zaprzęgać, konie siodłać i do drogi się sposobić. Sieniuta z hajdukami wystąpił jako straż przednia, kasztelanica stanął u kolebki od strony Jadzi. Miecznikowa już siedziała, gdy niespodziewanie zaszła drogę w czarnej sukni Dorszakowa.

— Co ja tu pocznę sama? zawołała ręce łamiąc.

— Półkownik Dulęba zostaje! odezwała się miecznikowa—przrzekł mi nad wami opiekę.

Obejrzała się Agafia.

— A tak! to już Dulęba!—Ruszyła—ramionami. Niech będzie Dulęba, a panią niech Bóg prowadzi szczęśliwie.

Obejrzała się i rękę podała półkownikowi.

— Miecznikowa mnie waćpanu oddaje — ona pani—co czynić? trzeba słuchać! Nie mam nikogo!

Powóz wyciągał już z zamku przez na nowo sklecony most, a za nim widać było w czerni stojącą Dorszakową, która patrzyła jak osłupiała to na oddalającą się kalwakatę, to na świeżo usypaną mogiłę.

Jadzia obejrzała się kilka razy na zamek, na okolicę, która jej się niegdyś wydawała tak piękną i wesołą, a teraz tak smutną. Tyle tu przeżyła—i z tak różnym uczuciem wracała do domu! Szczepiotanie wesołego kasztelanica dochodziło jej uszu, ale go zrozumieć nie mogła. Miecznikowa odmawiała *Pod Twoją obronę*.

Ranek był już chłodny, lecz jeszcze piękny i pogodny, konie dobrze wypoczęłe. Więc po przebyciu wawozów, gdy na równiejsze drogi wydobyła się kolebka, ruszono dosyć sporo. Sieniuta kłusował i zagrzewał do pośpiechu, ażeby się wydobyć co rychlej z okolicy, którą jeszcze za niebezpieczną uważał. Szczęściem obawy były płonne, i oprócz gromadek ludzi z wozami i zbożem jadących na targi, nie spotkano prawie nikogo do Konstantynowa. Jabłonowski pierwszego dnia był myśli wesołej i zabawiał jak mógł sobą, rozmową, koniem, z którym dokazywał, i strzelaniem do ptactwa, jakie się nawijało.

Jadzia tę drogę wspomnień przebywała milcząca.

Jabłonowskiemu dalej nad Konstantynów jechać nie było można, ani potrzeba.

Pokazał się wreszcie drugiego dnia pośpiesznej podróży dominikański klasztor i zamek, a kasztelanie na widok miasteczka westchnął ciężko. Nie skorzystał wiele z podróży, lecz zakochał się już tak, że postanowił na własną rękę miecznikowej do nóg paść i o pannę prosić.

Mrok gęsty padał, gdy stanęli w miasteczku i gospodę dawną zajęli, w której Sieniuta z konia zsiadł, tak się czując zmęczonym, iż odwiedzenie brata do następnego dnia odłożył.

Ponieważ podróż nadzwyczaj była przyspieszoną i nużącą, a ludzie i konie głodne, wnet czując się tu bezpiecznymi wszyscy, rozłożyli się obozem wesółym. Miecznikowa zadysponowała wieczerną, i kasztelanica zaprosiła na nią. Ludzie czuli się tu już jak w domu, rozchmurzyły się czoła—przeszłość snem się zdawała. Mówiono o niej wesoło.

Kasztelanie smutny był i pomieszany; przy wieczery mówił mało. Zaraz po niej wyszła Jadzia do bokówki, ks. Żudra pociągnął do Sieniuty naprzeciwno, Jabłonowski został sam na sam z miecznikową. Była ona dla niego tak macierzyńsko łaskawa, iż go do siebie ośmieliła. Przewalczywszy więc chwilę, przystąpił do niej kasztelanie niby z pożegnaniem. Miecznikowa sposobila mu się pamiątką wywdzięczyć za jego opiekę, i z owego skarba dobytego rząd sadzony agatami przynieść kazala.

Gdy się więc żegnać zaczął, ona pierwsza dziękowała mu czule i dodała:

— Nie odmówisz mi, kasztelanicu; wiem, że ci na niczem nie zbywa, i że w domu wszystkiego masz

podostatkiem, ale ja w imieniu męża muszę prosić, abyś przyjął małą pamiątkę odemnie.

I odkryła dopiero leżący na ławie pyszny rząd ów pozłocisty.

Kasztelanie zarumienił się całując jej rękę.

— Pani miecznikowo dobrodziejko... jeśli kto ma komu dziękować, to ja wam; z waszej łaski najpiękniejsze dni w życiu przeżyłem; a gdy się kończą—tęskno mi do nich i serce się za wami wyrwać będzie. A! karz mnie pani jako chcesz za śmiałość moją! prawda, że sobą nie władnę, że od rodziców zależę, ale sercem mojem ja sam władam tylko, a to, Bóg widzi, pannie miecznikównie oddałem całe i na wiekiistość.

To mówiąc i całując rękę miecznikowej, pokłakił przed nią.

— Pod waszą się opiekę oddaję! zawołał.

Zarumieniła się p. Zboińska, i kładąc palec na ustach, podniosła go z ziemi.

— Wstań, panie kasztelanicu—na miłość bożą, wstań, proszę.

Ze wzruszenia mówić nie mogła.

— Jeżeli affekt wasz dla córki naszej stały a prawdziwy—rzekła w końcu—jeżeli Jadzia wam sprzyjać będzie, jeżeli kasztelaństwo zezwoli, ja z serca pobłogosławię.

— Nie nie wiem—z zapalem poczał Jabłonowski—oprócz, że kocham pannę miecznikównę z serca całego i że byłbym najszczęśliwszym, gdybym ją za *sociam vitae* mógł pojąć. O to się starać, do tego dążyć nie przestanę, a w pani miecznikowej dobrodziejce chcę mieć orędowniczkę moją i o łaskę jej błagam.

Po takim zagajeniu sprawy, miecznikowa trochę

z radości popłakała, lzy otarła, i siadłszy w krześle, a przy sobie posadziwszy kasztelanica, dłuższą z nim o jego rodzinie rozpoczęła rozmowę. Ta dość jej była znana z odgłosu powszechnego; coś się bliższego o niej dowiedzieć chciała.

Wywnętrzył się w tém usposobieniu będąc Jabłonowski ze wszystkimi troskami i nadziejami swemi, poprzysiegając, że gdyby przeszkody jakie zaszły, woli czekać lat dwadzieścia, niż się wyrzec szczęścia nadziei.

Zapał, z jakim mówił, przejął niezmiernie matkę, która przyrzekła opiekę wszelką i pomoc stateczną. Poczem kasztelanica ucałowawszy ręce jej, prosił jeszcze jako o łaskę, ażeby mógł widzieć miecznikównę i chociażby chwilę z nią pomówić.

Prośbie jego zadosyć czyniąc, poszła p. Zbońska do bokówki po córkę, i razem z nią zaraz do pierwszej izby wróciła. Jadzia miała zaszepioną twarzą i wzrok smutny, a gdy się kasztelanica rażno ku niej posunął, nie mogła się powstrzymać od cofnięcia na kilka kroków.

Miecznikowa coś miała do dysponowania, pozostali więc tak jak sami w rogu obszernej izby.

Kawaler począł oświadczać, jak mu przykro i smutno tak mile towarzystwo opuszczać, po którym wiekuistą czuć musi tęsknotę. Spokojnym głosem podziękowała miecznikówna za wszystkie dla nich podjęte trudy, zapewniając, iż mu wdzięcznymi pozostaną. Uklonem chciała rozmowę tę zakończyć prędko, lecz Jabłonowski się zbliżył i dworskimi komplementami a wyrazami gorącemi pamięci dopraszać się począł i laskawego serca.

Panienka rumieniła się mocno.

— Mam nadzieję, rzekł: że gdy się wojna skończy a swobodnym będę, Bóg da, przypomnieć się do Mierzejewic przyjadę. Jakże mnie przyjmie panna Jadwiga?

— Jak najgościnniej będziemy się starali kasztelanica przyjąć u nas i wdzięcznym sercem.

Spojrzał, westchnął, ale spojrzenie padało na spuszczone powieki, a westchnienie rozwiało się niedosłyszane.

Jadzia ukloniła się raz drugi, chcąc rozmowy dokończyć, kasztelanica przeciągnąć ją napróżno usiłował, zawróciła się i odeszła szybko.

Miecznikowa przystąpiła do niego.

— Nie mam łaski u panny Jadwigi—rzekł wzdychając.

— Dziecko trwożliwe... to się znajdzie później. Nieśmiała jest—miej waszmość cierpliwość, ja nad nią pracować będę.

Na tém urwano.

Nazajutrz do dnia potrzeba było powracać kasztelanikowi, i choćby się chętnie jeszcze zatrzymał, musiał rad nierad wyruszyć.

Znużone konie i ludzie wymagali tu spoczynku choć przez dzień jeden. Na podziękowanie Bogu za ocalenie cudowne, posłała miecznikowa piękny dar do klasztoru, prosząc o wotywę dziękczynną nazajutrz. Ksiądz Żudra napisał list do księdza przeora Zająca, a Nikita poniósł go do dnia do Dominikanów.

Właśnie się wybierano na mszę, gdy długo z powrotem napróżno oczekiwany Nikita przywłókł się do klasztoru, ale tak posępny i przygnębiony, jakby go tam jakie nieszczęście spotkało.

Staął w bramie z założonemi rękoma i namyślać

się zdawał co począć. Zwrócił się wreszcie do księdza Żudry i wziął go na bok.

— Cóż ty mi tam niesiesz, że się tak zbierasz, jak czajka za morze? spytał kapelan.

— Licho, lichu—rzekł Nikita,—jużbym nie mówić nie wołał.

— Cóż tam?

— Wszak ci to nasz Janasz bez nadziei życia leży u Dominikanów, i już go słyszę na śmierć dysponowali. Wpuścili mnie do infirmaryi gdzie leży; nie poznał,—a ja jego, gdybym nie wiedział, kto wie, czybym też mógł poznać... Wyprawili go na zgubne imię... dowlókl się tu ledwie i jak padł tak już nie wstał. Przyszła jakaś zła gorączka, choć ratunek był wszelki, za późno pono! Takiego człowieka zgubić! mój Boże!

I zapłakał Nikita.

Wszczęła się tedy sprzeczka czy mówić lub nie pani miecznikowój, bo się to zdawało niepotrzebnem nadaremnie ją martwić, gdyż już ratunku żadnego nie było. Szeptali tak po cichu, gdy drzwi, pod którymi stali, otworzyły się, i z załamanemi rękami wypadła z nich Jadzia zapłakana.

Rzuciła się do Nikity.

— Widziałeś go?

Dworak się zmieszał widząc, że został podsłuchany, nie wiedział jak odpowiedzieć. Jadzia krzyknęła i pebiegła jak nieprzytomna do matki. Właśnie się miecznikowa wybierała z różańcem i książką do kościoła, gdy ujrawszy córkę w tym stanie, nie wiedząc co się stać mogło, domyślając się czegoś okropnego, pobiegła ku niej strwożona.

— Co ci jest! Jadziu! na rany boże!

— Matko! On umiera! zawołała ręce łamiąc w rozpacz i padając na kolana—umiera!

— Kto?

— Janasz!

Miecznikowa stała osłupiała, gdy wbiegł ks. Żudra, a za nim Nikita. Odkryło się wszystko.

Strwożona sama, natychmiast zaprzęgać kazała p. Zboińska; zamknęła jednak wprzód drzwi, i zostawszy sama z córką, usiłowała ją utulić.

— Bardzo piękna miłość bliźniego i miłość braterska dla sieroty, odezwiała się potem surowiej nieco: ale niech Jadzia nie zapomina, że ludzie nie nawykli do takich przyjaźni, źle je widzą i źle tłómaczą. Obcy człek! na miłość bożą!

— Jak to obcy? matuniu! przerwała Jadzia. Wychowaliśmy się razem, przywiązałam się do niego, i nie mam płakać, gdy za nas i z naszej przyczyny umiera?

Miecznikowa sama mocno zmieszana, przerwała zaraz rozmowę, otarła oczy Jadzi, zarzuciła jej zasłonę na twarz i kolebkę podawać kazała. Całą drogę jechały mileczące, matka słyszała łkania córki i udawała, że nie wie o nich. Zajechała kolebka wprost przed kościół, gdy na wotywę uroczystą dzwoniono, weszły więc zaraz, pokłękły, a ks. Zając już z zakrystyi do ołtarza kroczył z asystencyą. Przez cały czas nabożeństwa, Jadzia miała głowę wspartą o ławkę i płakała.

Najgorsza chwila nadeszła: pragnęła p. Zboińska widzieć chorego, a córkę zostawić, aby jej oszczędzić bolesnego wrażenia, lecz Jadzia stanowczo się oparła, poczęła ją całować po rękach, chciała upaść do nóg,

i miecznikowa lękając się oczu ludzkich, zaleciwszy spokój, musiała wziąć ją z sobą.

Janasz leżał w osobnej celi przy infirmaryi. Była ona maleńka, o jednem oknie, z prostym tapezaniem i stolikiem w głowach jego. Braciszek nowicyusz siedział przy chorym odmawiając różaniec. Smutny nad wyraz widok uderzył ich oczy. Wyżółkły, wychudzony, z zamkniętymi powiekami, z otwartymi ustami, z obwiązaną głową, Janasz leżał na poły już umarły. Na stoliku stała gromnica zagasła. Przed kilku godzinami dysponowano go na śmierć, choć mało miał przytomności. Na obnażonej piersi widać było blizny od strzał tatarskich i medalik Jadzi. Miecznikowa i Jadzia stanęły w progu, ale dziewczę poruszone zapomniało o wszystkiem, wyrwało się, przypadło do łóżka, pokłękło i zwieszoną stygnącą ręką chorego wzięło w gorące dłonie.

Umierający drgnął, poruszyła się głowa, przymknęły usta, powoli ociężałe podnosić się zdawały powieki.

Cichym głosem, jakby go napowrót powoływała do życia, Jadzia szepnęła:

— Janasz! Janasz!

Głos ten zaledwie dosłyszany, wśród ciszy klasztornej doszedł do ucha chorego, Janasz poruszył się znowu, ale głowa zaledwie nieco dźwignąwszy się nad poduszki, padła na nie, i powieki napowrót się zwały. Miecznikowa nie śmiała już odrywać córki od niego.

— Janasz! głośniej poczęła wołać Jadzia, prawie rozkazująco.

Chory otworzył oczy, powiódł wzrokiem błędnym,

żrenice zbladłe zatrzymały się, wlepiły w twarz Jadzi, i zdając się czerpać z niej siłę do życia, otwierały coraz więcej. Błysk jakiś zaświecił w nich, jakby promieniem odbitym od oczu Jadwigi. Uczuła zimną rękę jego drżącą w swych dłoniach. Głowa podnosiła się, dźwignęła, sen zdawał się rozpraszać. Chory spoglądał w koło nie dowierzając sobie. Po chwili jakby znużony zamknął powieki, padł znowu, i westchnienie ciężkie wyrwało mu się z piersi.

— Janasz! głośno już powtórzyła Jadzia.

Usta chorego poruszyły się.

— Kto mnie woła?

— Ja! siostra! zawołała Jadzia: ty musisz żyć—tyś żyć powinien—ja nie chcę, byś ty umierał. Janasz!

Ostatni wykrzyk był pełen boleści i błagania.

Miecznikowa stała bezsilna; lzy jej ciekły po twarzy, chciałaby była odwołać córkę, czuła się przykutą do ziemi, patrzała jak na cud na to wołanie do życia, płynące z serca i dokonywające cudów w jej oczach.

Korczak zerwał się i siadł, wstrząsnął całym. Oczy otwarły się wielkie, ręką potarł czoło, patrzył i poznawał miecznikową, Jadzię, ale nie mógł myślał pochwycić zerwanej nici żywota.

— Janasz, ty będziesz żył! głośno poczęła Jadzia, — ty musisz żyć—ty nie umrzesz!

Chory poruszał się, jakby bronił nakazowi, jakby mu od progu śmierci ciężko było powracać do życia; lecz przytomność, siła, oddech, ożywiały już tego, który był trupem prawie przed chwilą.

Miecznikowa przystąpiła z kolei.

— Jesteśmy przy tobie, Janaszku, rzekła,—nie opuścimy cię. Bóg łaskaw, siły ci wróca. Masz opiekę, nie jesteś sam. My z tobą.

Oprzytomniały milezał długo.

— Gródek! klasztor—zabili Tatarowie, nie wiem. Zapomniałem—odezwał się—czyż trzeba żyć? Nie mogę... wstać nie mam siły, ale będę posłuszny, pani każe jechać? ja jadę, za kraj świata. Nikita... Konia... Gdzie ja jestem?

Jadzia widząc ten stan—poczęła go łagodnym uspakajać głosem.

— Odpocznij, będziemy nad tobą czuwać, nie pojedziesz sam,—z nami... ale trzeba wyzdrowieć—trzeba żyć.

— Trzeba żyć! powtórzył wdychając chory...

Nie mógł się jednak długo utrzymać, i choć ręką opierał się o ścianę, opadł na poduszki. Braciszek aptekarz, który przed chwilą stanął był w progu i przypatrywał się tej scenie, wsunął się teraz powoli, niosąc napój, który naprędce przyprowadził.

— Bóg łaskaw, cud—przesilenie—kryzys, trzeba mu dać pić, rzekł—i podał kubek.

Jadzia wzięła go z rąk księdza i zbliżyła się do chorego. Pochyliła się nad nim i szepnęła:

— Janasz, trzeba to wypić.

Posłuszny wyciągnął rękę drżącą szukając kubka, ale Jadzia mu sama naczynie przyłożyła do ust spiekłych.

— Pij—rzekła—i niech ci napój ten da życie.

Janasz otworzył oczy, wlepił je w nią z zachwytem niewysłowionym, i począł pić, i wypił do dna. Nawet przymknęły mu się oczy. Odstąpiła Jadzia.

— Teraz trzeba mu dać zasnąć szepnęła braciszek,

a ja pozostanę przy nim teraz. Bóg łaskaw—mam nadzieję.

Skorzystała z tego miecznikowa, aby Jadzię pochwycić i odeciągnąć od łóżka. Dała się nie mówiąc zabrać, tylko z progu spojrzała jeszcze na usypiającego. On, jakby poczuł ten wzrok, otworzył oczy, uśmiechnął się łagodnie i zamknął powieki.

W korytarzu stał ks. przeor Zajac, który pokornie zapraszał miecznikową dla odpoczynku do siebie. Byłaby może odmówiła, chcąc spocząć swobodniej w gospodzie, lecz Jadzia się chwiała na nogach, jej potrzeba było przyjść do siebie. Część życia oddała jemu.

Nikita został przy chorym.

Od przeora dowiedzieli się szczegółów o chorobie Janasza, który ledwie się przywłókł z gorączką do miasieczka i obiegł w gospodzie. W rozmowie ks. Zajac słowo rzucił:

— Wiekopomne Janowe zwycięstwo...

— Jakie? podchwyciła miecznikowa, poruszając się na krześle.

— A więc wielmożna pani dobrodziejka nie dotąd nie wiesz? zawołał ks. Zajac,—i ja będę tak szczęśliwy, że ja pierwszy o tym uwiadomię... Doszła tu do nas radosna nowina przez kresy lwowskie, że król nasz Jan, zaledwie pod Wiedeń przybywszy, *venit, vidit, vicit!* Turków siłę nieprzeliczoną, która Wiedeń oblegała, pobił na głowę i rozpędził; niezmiernie skarby dostały się w ręce nasze. Wzięta rękami dzieci naszych wielka chorągiew proroka. Bóg dał nam tryumf w obronie Ewangelii.

Ze wszystkich piersi okrzyk się wyrwał, ręce dziękczynne się złożyły.

— Możeż to być? wołała pani Zboińska.

— Rzecz jest pewna—bo do królowej jejmości przybył goniec z listem, który król pisał z namiotu wezyra... Po całym kraju biegają gońce, wszystkie kościoły rozlegają się pieśnią Św. Ambrożego dziękczynną, co żyje cieszy się i raduje, że nam dano było skruszyć tę potęgę i krwią naszą krzyż Chrystusa od zniewagi obronić.

Radość i uniesienie ożywiły wszystkich, i gdyby nie choroba Janasza, miecznikowa byłaby biegła co prędzej do domu, aby się coś więcej dowiedzieć, a szczególnie o mężu, który był przy boku króla.

W powrocie miecznikowa była dwojako wzruszona: otrzymaną wiadomością i widokiem, jaki przed oczyma miała. Jadzia chmurna, zapłakana, milcząca, jechała jakby się wstydząc tej chwili uniesienia u łóżka chorego. Matki myśl z przerażeniem wracała do tej chwili. Poczula całą siłę przywiązania, które się objawiło w tym momencie stanowczym, trwożyła się o przyszłość.

Jadzia ledwie wróciwszy do gospody, pobiegła niemal zawstydzona do swój bokówki, i tam upadła na łóżko, modląc się i płacząc. Obawiała się lzy pokazać przed matką.

Nim wieczór nadszedł, dwa razy miano wiadomość z klasztoru. Przybył Sieniuta od brata i doniósł, że chory się przebudził i długo dosyć mówił z Nikitą, że się miał widocznie lepiej. Potem przybył sam Nikita z weselszą twarzą, zapowiadając także, iż „panicz” daleko teraz nawet pod wieczór, czuł się silniejszym i jakby z grobu powstał, bo już się ze światem pożegnał był na wieki. Zabrawszy dla chorego co tylko sądził, że mu potrzebnym być może, wybrał się do niego na

noc, i miał już odchodzić, gdy Jadzia potajemnie wybiegła i szepnęła mu, ażeby od niej pozdrowił Janasza jeszcze. Na znak dała mu, nie mając co, chusteczkę, którą z szyi zdjęła. Nikita rozczerwony pocałował ją w rękę, chustkę jak najtroskliwiej schował i czempredzej się oddalił.

Nazajutrz rano Sieniuta nacieszywszy się bratem, siadł na koń, aby do domu powrócić. Miecznikowa niepewna była co z sobą pocznie. Wczorajszy dzień uczynił ją posępną i zamyśloną, chciała jechać i wahała się—a nie śmiała, z Jadzią nie mówiąc wcale o Janaszu ani o dalszej podróży. Unikała widocznie tego przedmiotu.

We trzy dni Janasz już mógł wstać i przejść się o swój sile po celi, był jednak osłabiony i zmieniony do niepoznania. Zdawał się starszym znacznie, młodość z sobą choroba ciężka i troska zabrała. Nikita nastawał mocno, aby z ks. Żudrą siadłszy na wóz jechał do Mierzejewic, gdzie go samo powietrze uzdrowić musi. Droga nie była straszna, bo od starego Konstantynowa jechać mieli nie tak już śpiesząc, szczerząc zmęczonych koni i ludzi. Braciszek aptekarz wprawdzie nie radził się jeszcze na jesienne narażać powietrze, miecznikowa milczała, Janasz także.

Jadzia dwa razy była z matką u chorego, lecz niemal zawstydzona tem, że się pierwszym razem znalazła tak nieopatrznie, chłodniejszą teraz była i na pozór obojętną.

W parę dni potem Janasz czuł się tak dalece silnym, że sam do podróży się zaczął gotować. Nazna-

czono odjazd, dzień jeden jeszcze dając do wypoczynku, wreszcie po wotywie na intencję podróżnych, Korczak podziękowawszy Ojeom za ich gościnność, zabrał się do miasteczka, gdzie już w gotowości stały wozy i ludzie. Wprawdzie nie mógł jeszcze bez zadychania się długo iść o swą siłę, lecz z każdym dniem i godziną było mu lepiej. Miecznikowa śpieszyła teraz niespokojna. Codzień nowe przychodziły wieści o wiedeńskiej potrzebie, a o mężu od nikogo się dowiedzieć nie mogła. Jesień była dosyć sucha i pogodna, więc i wołyńskie drogi niepopsute. Na każdym popasie i noclegu spotykano przejeżdżającą szlachtę, która nowe dziwy rozpowiadała o rozbiciu Turków. Jądrzisię tém cieszyli, jakby Kamieniec i Podole z rąk ich były wyrwane; drudzy zemstę srogą zapowiadali. Godzili się jednak na to wszyscy, iż odniesione zwycięstwo było chlubą wielką w oczach Europy i mogło podnieść na nowo sławę rycerstwa... O kilku już poległych pod Wiedniem wiedzano, o kilku rannych z przedniejszych dowódców i osób przy królu zostających; tylko o mieczniku było głucho.

Ksiądz Żudra powtarzał, iż to właśnie najlepszym było, iż nowin nie mieli żadnych.

Miecznikowa wdychała i modliła się. Tak ciągnąc się, a coraz bliżej będąc znajomych okolic, na noclegu w karczmie na Podlasiu szczęśliwie trafili na sąsiada. Był nim stary pan chorąży bielski, przyjaciel miecznika, gospodarz i prawnik wielki, człek dobry i znany, lecz zrzęda i nudziarz a robigrosz, zakłopotany nieustannie swemi folwarkami i interesami. Chorąży miał nadzwyczajną ochotę nabywania ziemi i majątków, kupował co tylko mógł, często bez pieniędzy, wykręcając się rozmaicie, niezawsze wychodząc szczęś-

liwie, a na stare lata nabrawszy kłopotów na głowę co niemiara. A że majątności te bardzo były rozrzucone, chorąży nieustannie był w drodze z jednej do drugiej, żadnej pono dobrze dopilnować nie mogąc. Spotkali go właśnie przejeżdżającego z Lubelskiego w Podlaskie, gdzie ogromny szmat błot i piasków zakupił, które mu nie nie dawały. Jechał oglądać czy potaszków palić i smoły nie będzie mógł pędzić.

Ksiądz Żudra najprzód go zobaczył i poznał. Chorąży porwał się od bigosu podróżnego, przy którym siedział właśnie, i począł go obejmować i ścisnąć.

— Więc wracacie? cali! Chwalić Najwyższego, już o resztę nie pytam, zawołał. Do nas tu straszne i głupie jakieś dochodziły wieści.

— O! w istocie przebyliśmy srogie tarapaty—odezwał się ksiądz Żudra—ale Bóg uratował, a pocieszył nas *victorią*, o której nas wieści na drodze doszły. Ale o mieczniku dotąd nie nie wiemy.

Chorąży czegoś chrząknął, pasa poprawił, czuprynę potarł.

— Nie słyszałem nic—odparł krótko, ale oczyma tak dziwnie powiódł po księdzu, jakby skłamał, do czego nie był nawykły.

— Nie mieliście listów? zapytał.

— Może w domu czekają.

Chorąży zmilczał, prosił na bigos, ksiądz odmówił, zaczęły się opowiadania. Potem stary wasy otarł i zabrał się iść pokłonić miecznikowej, ale wprzód pośpieszył coś ludziom szepnąć.

Z panią miecznikową rozmowa była urzędowa, o sprawach ogólnych, *de publicis*, o sąsiedztwie, o Mierzejewicach. Chorąży zaręczał, iż nie prawie nie wie, bo ciągle jest na dyszlu. Zdawało się jednak, jakby

się za język kasał. Posiedziawszy chwilę, pożegnał sąsiadkę i z ks. Żudrą poszedł do drugiej izby.

Jakoś się dziwnym wydawał kapelanowi: mówił, urywał — zaczynał, nie kończył — patrzył księdzu w oczy, zdawał się namyślać. Wreszcie wziął go pod rękę.

— Księżuniu — rzekł — tu nie ma co obwijać w bawełnę. Nie chcę być złych wieści posłem, może to są rzeczy niepewne, ale żeby się miecznikowa *insperate* nie dowiedziała, — gadają, że miecznik pod Wiedniem ranny. Otrzymał postrzał i to w nogę. Noga — jak u Achillesa tak u nas, najniebezpieczniejsza rzecz.

Ks. Żudra wstrząsł się i ręce załamał.

— Mogą być bajki, dodał chorąży, — ale chcę, żebyś wiedział o tém, aby was to nie zachwyciło nagle.

Milczał kapelan zafrasowany.

Chorążego konie były już gotowe, siadł więc i ruszył zaraz. Ks. Żudra pobiegł do Janasza, który w drodze nie tylko był nie osłabł, ale się miał znacznie lepiej. Nie mógł utrzymać przy sobie nieszczęśliwej wiadomości — zwierzył się z nią Korczakowi. Janasz jak piorunem był rażony. Kochał mieznika jak ojca, szanował nad wyraz wszelki — osłabiony jeszcze, od leż się nie mógł powstrzymać. Prędko jednak lży otarliwszy, oświadczył ks. Żudrze, że jeśli się wiadomość sprawdzi, on natychmiast ruszy do mieznika, choćby go na drugim końcu świata szukać było potrzeba.

Przed ostatnim noclegiem, który przypadł o mil trzy od Mierzejewic, a z kąd ludzie przodem wysłani być mieli, i Janasz się wybierał z nimi, — napędził ich znajomy podkomorzy brzeski Buchowiecki, powinowaty mieznika, człek lat średnich, gaduła wielki, orator

ślawny, galant dla kobiet, które się z niego od lat dziesięciu wyśmiewały. Chciał go złapać ks. Żudra, aby go przestrzedz, iż miecznikowa o niczym nie wie, gdy podkomorzy przypadł do kolebki i od razu począł od kondolencyi.

— Pani miecznikowej dobrodziejce! Co za szczęśliwe spotkanie! zawołał z admiracją wlepiając oczy w nią, gdyż był jej wielbicielem wielkim. Już widzę, że panią ta wieść do domu z powrotem pędzi, ale nie tak straszego, nie ma nic straszego, a bohaterstwo się też znajdował!

Pobladła wychylając się miecznikowa.

— Mów, błagam — cóż się stało? ja nie wiem o niczym!

Podkomorzy z razu osłupiał i zaciął się, lecz zawrócić już było za późno. Uderzył się dłonią po ustach.

— Otom się spisał! krzyknął, — niechże mnie! Nie ma nic! Ludzie plotą, jakoby miecznik był ranny, nie pewnego nie ma, bajka to musi być, kiedy pani dobrodziejka nie wiesz nic.

Miecznikowa płakać zaczęła, Jadzia krzyknęła. Przypadli ludzie, Buchowiecki stał jak wryty.

— Język przeklęty! mruczał — świerzbialo mnie pleść! A to skaranie boże! nigdy się więc tego nie oduczę!

— Zkąd pan to wiesz? podkomorzy, łaskawco! mów! wołała miecznikowa.

— Bębnią wszyscy, plotą, nie wiem.

— Cóż mówią? zlituj się! co mówią? jaka rana?

— W nogę jakoby postrzał, ale to nie — noga.... cóż noga?

— On zawsze na nogi i tak się skarżył, poczęła miecznikowa — o mój Boże!

Padł tedy niespodziewany frasunek na nieszczęśliwą kobietę. O nocowaniu nie było mowy. Drogi znane dobrze dozwalały ciągnąć nocą, a nadedniem księżyc jeszcze świecił. Kazano popaść w miasteczku rozpytując Buchowieckiego, który wciąż na swą długojęzyczność narzekał. Ks. Żudra nie przyznał się, że o tém już wiedział od chorążego. Z zamieszania, jakie z tego powodu powstało, skorzystał tylko Janasz, bo się po raz pierwszy na progu mógł do Jadzi zbliżyć, po raz pierwszy od téj chwili dla niego pamiętnéj w celi dominikańskiej, gdy głos Jadzi do życia go na nowo powołał.

— Ja już wiedziałem o tém nieszczęściu—rzekł—posłyszeliśmy o nim pierwszy raz od pana chorążego; śpieszyłem do domu, aby zaraz nazajutrz wybrać się w drogę. Żadna siła wstrzymać mnie nie może, ja przy moim dobrodziejcu być muszę.

— Jedź — odpowiedziała krótko Jadzia. Czemuż ja nie mogę! Biedny ojciec...

— Bóg da, że nie będzie to tak straszne jak się dziś może wydaje... ludzie mówią...

— A! odpowiedziała Jadzia: — żyłam krótko — ale jużem się tego nauczyła, że zawsze straszniejsza jest prawda niż ludzkie przeczecua! Z jakąż ja się radością wybierałam w tę drogę! jak pilno było matuni! Któż z nas odgadł co nas tam czekało... i że wy nam ocalicie życie, poświęcając wasze!

— Panno miecznikówno dobrodziejko — rzekł Janasz wzruszony—pani ja też moje winienem. Byłem umarły, głos jój z grobu mnie wywołał.

— Bom potrzebowała was, mój dobry bracie — rzekła Jadzia; — sama jestem na świecie, i bez was byłabym sierotą.

Janasz spuścił oczy.

— Pani sierotą nie będziesz, masz rodziców, znajdziesz łatwo opiekuna i przyjaciela... Mogłbym powiedzieć nawet, żeś go już znalazła.

Zarumieniała się Jadzia.

— Wiem o kim mówisz—odezwała się chłodno — ale ten moim przyjacielem nigdy nie będzie. Czuje to. Mam wstręt do niego; nie mogłam mu go okazać tylko, bom musiała być wdzięczną.

— Pozwólże mi jako bratu i przyjacielowi — przerwał Janasz—wziąć jego stronę. Ja go tam poznałem bliżej. Mężny jest, szlachetny, serce ma dobre. Pochodzi z pięknego rodu, nie mu zarzucić nie można, a to wiem, bo to wiedzą wszyscy, że pannę miecznikównę kocha.

Jadzia się zarumieniała jak wiśnia; widać było zniecierpliwienie i zdumienie na jój twarzy.

— Wy za nim mówicie? Janasz? zapytała — wy, za nim?

— Bo mi tak sumienie każe, bo wiem, że i pani miecznikowa jest za nim, a serce matki najlepiej czuje.

Jadzia mu nie dała dokończyć.

— Ja go znieść nie mogę! zawołała żywo. Widział jak byłam dla niego obojętną, a dręczył mnie ciągle. Proszę was, nie mówcie mi o nim.

— A jeśli to przeznaczenie wasze? spytał Janasz.

— Nie! zawoła stanowczo Jadzia: mojem przeznaczeniem raczej będzie klasztor. Wróć do matki przełożonej do Lublina.

Zakryła oczy, Janasz milczał.

— Jak wy mi to mówić możecie? dodała po chwili, wy coście przyjacielem moim? wy? Al tegom się nie spodziewała.... Ja nie chcę iść za mąż — dokoń-

czyła nagle—i pójde tylko za tego, kogo moje serce wybierze, a serce moje już wybrało. Czekać potrafię.

Mlezał Koreczak, stojąc z głową spuszczoną. Jadzia, która stała na progu, wyżej od niego, uderzyła go ręką po ramieniu.

— Słuchaj—a ty? czekać potrafisz?

— Ja? jak to panno Jadwigo?

— Powinieneś umieć czekać, być milejącym i cierpliwym — tyle ci chciałam powiedzieć—rozumiesz mnie?

— Nie—rzekł drżącym głosem Janasz—nie mogę zrozumieć, nie śmiem!

— Jesteś dla mnie dziś bardzo niedobrym bratem — podchwyciła Jadwiga. Przypomnij sobie głos mój w celi, zrozumiesz może.

Janaszowi zabrakło głosu, podniósł głowę.

— Panno miecznikówna — rzekł powstrzymując się—miejcie litość nademną, nie dawajcie mnie nadziei, której ja przyjąć nie mogę. Jam sierota, ja winienem wam wszystko, jam sługa. Cóżby ludzie powiedzieli, gdybym śmiał?...

— Jesteś mi bratem, przyjacielem, nie sługą, szybko poczęła Jadzia. Bądź cierpliwym, czekaj i wierz mi, więcej nie nie chcę.

Odwrociła się szybko i wybiegła do gospody. Janasz stał, długo ruszyć się nie mogąc. Zawołać go musiano, gdy konie były gotowe. Miecznikowa śpieszyła teraz z niecierpliwością niewysłowioną.

Już mieli ruszyć z gospody, gdy z przeciwniej strony krzyki słyszeć się dały:

— Stój! stój!

Wóz wysłany wysoko najechał prawie na konie kolebki p. miecznikowej. Wpół siedział, na pół leżał na nim mężczyzna średnich lat. Janasz wybiegł, aby

zobaczyć co było przeszkodą do wyjazdu, i zbliżywszy się do wozu, poznał rotmistrza Horbowskiego.

— Na Boga! wy tu co robicie? zawołał.

— A no—jadę—odparł rotmistrz—i to na wozie, bo chodzić nie mogę.

— Jużescie z powrotem?

— A no—z pod tego przekłętego Wiednia, gdzie mnie ostatni Turcy, co szable mieli, porabiali wszetecznie; nie wygoilem się jeszcze. Musiałem do domu wracać.

— My z panią miecznikową z Podola wracamy, szybko rzekł Janasz. Na miłość Boga, prawda to, że miecznik ranny? Wiecie o tém?

— Jako żywo! kłamstwo! bałamuctwo! przerwał Horbowski.

Schylił się do ucha Janaszowi.

— Gorzej niż ranny! w niewoli! w niewoli!

Koreczak chwycił się za głowę.

— Nie mówcie nie miecznikowej.

— Głowę zakryję i widzieć ję nie chcę, bo kłamać nie umiem. Bywaj zdrów.

— Nie wiecie jak się to stało?

— Dowiecie się aż nadto wcześniej, daj ty mi święty pokój—nie chcę prawić banialuków, a różnie slyszalem.

Rotmistrz kazał od wrot zawrócić.

Janasz siadłszy na wóz, szepnął na ucho księdzu Żudrze:

— Albo to lepiej lub gorzej — ale nasz miecznik pono nie ranny, tylko w niewoli u Turka.

Znowu tedy lament był nowy.

Ludzi kilku zostawiwszy przy kolebce, Janasz z kapelanem pośpieszyli przodem do Mierzejewic, ażeby

choć ognia napalić i izby ogrzać kazać, [więcej] zaś, by się coś pewniejszego dowiedzieć i umówić jak o tém miecznikową uwiadomić.

Z północy zajechali przed dwór w Mierzejewicach, ciemny zupełnie. Wszyscy spali. Na głos Janasza dobrze znany, jeden z wartowników dobiegł zaraz do podstarościego Wojdy, a drugi począł stukać w okna ochmistrzyni pani Tulskiej, aby co prędzej wstała.

Wojda nadbiegł w kożuchu, który narzucił na przedce, bóty wdziawszy na bosc nogi—i bez czapki.

— Wszelki duch Boga chwali! Janasz! zawołał — a pani?

— Za godzinę najdalej będzie. Co o panu sły-
chać?

— Nic nie wiecie? spytał Wojda.

— Owszem gorzej niż nie, bo płocze wieści. Ranny, w niewoli...

— No—tak—w niewoli—rzekł Wojda. Są listy do miecznikowej. Piszą, że król gotów w zamian zań dać co ma jeńców najprzedniejszych, ale trzeba, żeby tam kto do obozu jechał.

— Toć ja! choć jutro! zawołał Janasz. Nie ma co taić przed panią. Lepsza pono niewola niż rana.

Wojda głową kręcił.

— Obie licha warte...

Tulska biegła do ganku drzwi otwierać. Pobudzi-
li się ludzie, zapalono światła.

Nie było czasu w długą się wdawać rozmowę; dwór cały rozbiegł się, gotując na przyjęcie ukocho-
nej pani. Przybycie jej lży wyciskało z oczu, bo przypominało biednego miecznika, którego tak twardy los spotkał.

Ksiądz Żudra poszedł do swój zimnej izdebki,

w której mu chłopak dopiero ognia niecił. Janasz spoczął u Tulskiej, która go zaprosiła, aby się u niej ogrzał. Oczekiwano tak na panią miecznikową, która w parę godzin, gdy już dwór cały zebrany był w ganku, nadjechała.

Gdy w ganku obejrzała wszystkich, że zdrowi są i żywi, weszła dopiero na próg, z kropielnicy wody święconej wzięwszy, z modlitwą na ustach. Wojda i Tulska szli za nią.

Wszystko było w porządku, dom się uśmiechał jak dawniej, ale wspomnienie szczęśliwych chwil w nim przeżytych, zatruwała myśl o mieczniku. Nie śmiała pytać jejmość; oglądała się, jakby szukała oczyma tego, którego jej tu brakło.

— Waszmość, panie Wojda, musisz mieć wiadomość o panu... odezwiała się głosem drżącym miecznikowa.

— Tak jest, jaśnie pani.

— Mów proszę—mężtwo mam, siebie oszczędzać nie potrzebuję i chcę, by mnie nie oszczędzano. Całą prawdę mówić zalecam.

— Nie śmiałbym też jej przed jaśnie panią ukrywać, odezwał się Wojda. Pan miecznik w niewoli u Turka.

— W niewoli! Jezu drogi! i ranny?

— Nie — zdrów jest. Pacuk był razem z jaśnie panem wzięty i umknął: on najlepszą potrafi zdać relację.

— Jest tu? spytała miecznikowa.

— Jest, aleśmy mu kazali tymczasowo się nie pokazywać, póki by pani przywołać nie kazała.

— Niech przyjdzie! niech natychmiast przychodzi! odezwała się pani Zboińska. Chcę wiedzieć wszystko.

Paćuk był pacholkiem przy mieczniku, chłopak roztropny, ale prosty. Zaledwie posłano, zjawił się, jeszcze w tej odzieży odartej, w jakiej się wyrwał z rąk tureckich.

Litość brała patrząc na niego, tak wyglądał zbieżony i wynędzniały. Przyszedłszy, do nóg padł miecznikowej, z razu przemówić nie mogąc, płakał i zanosił się od łez, lecz gdy mu mówić nakazano, począł zaraz otarłszy łzy i odzyskując przytomność.

— Po tych wszystkich zwycięztwach i nieszczęśliwościach—rzekł—jakieśmy doznali pod tym skaranym Wiedniem, gdzie nas tak przyjęto, że i nieprzyjacielowi nie życzyć lepiej, król jegomość i my z nim pociągnęliśmy zdobywać Parkany przeklęte. Niech już o tym kto inny rozpowiada, dosyć było biedy, anośmy na swoim postawili i znowu Niemcom zamek oddali... Siła mówić. Pan miecznik pomimo tych niewygód, ba i pory takiej często, że psaby na podwórze nie wypędził, był zdrow i wesół. Dusza się radowała, patrząc na niego, bo się ze wszystkiego śmiał, choćby bieda była największa. Nieraz król jegomość bez namiotu legał, a co mówić o nas. Nierazemy się suchym chlebem dzielili, dobrze kiedy i ten był... Zaraz pod Parkanami, gdy już je wzięto, raz powróciwszy pan miecznik do namiotu wieczorem, powiada do mnie: „Pacuk, podobno się do drogi gotować, do królowej z listami pojadę, a może się uda i do Mierzejewic doskoczyć.” Mnie się aż serce zagotowało z radości. Zaczęliśmy się pakować, choć niewiele tego było, bo lekko jechać mieliśmy. Nazajutrz listy już były gotowe. Pan miecznik samotnie ze mną

i z Dąbskim ruszył. Jeszcze z rozkazu królewskiego miał obejrzeć oba pola bitwy pod Parkanami—bo tam okropna rzeź była, i trupów jeszcze siła leżało—i zamki w Parkanach i Ostrzygoniu, czy jak się tam to lichy nazywało. Wyjechaliśmy wzdłuż obozu Niemców, bo wodą na łodzi zamku opłynąć nie było podobna, tak trupy rzekę zaważyły—ruszyliśmy do Komorna. A do tego Komorna, ani pan ani my drogi nie wiedzieliśmy. Pan się śmiał. „Droga? na końcu języka!” Nie dalej było pono niż mil pięć—ale kto go wiedział, którędy się tam dostać?... Jechaliśmy po nad Dunajem, rzeką, która tam płynie. Przyłączyło się do nas Niemców kilkunastu, którzy też w tę stronę dążyli, zdawało się, że lepiej być nie może. Miecznik z Niemców żartował, a o Turku nikt i nie myślał, choć się tam ich ciurów dużo zawsze wałęsało. Kiedy tak na nasze nieszczęście jedziemy, aż oto przed nami kupa ludzi — w białych płaszczach. Było ich może z półtora. Pan miecznik powiada: „To Kroaty cesarskie, ja z nimi się rozmówię i języka dostanę.” Jakoż ścisnął konia, a my za nim. Te łotry w białych płaszczach patrzą na nas i stoją jak mury, nie ruszają się. Byliśmy od nich o jakie trzydzieści kroków, kiedy patrząc, dobyli nagle szabel, i jak się na nas rzucą, z impetem strasznym! Koni już ani utrzymać było ani zawrócić, bośmy pędem lecieli. Aniśmy się obejrzeli, gdy nam na karkach siedli. Niemcy, co z nami byli, ognia dali. Mnie zaraz jeden powalił na ziemię, ażem się krwią oblał i z rąk mi szabla wypadła. Miecznik siedział na szpaku, miał jeszcze czas się zawrócić i byłby może ujęć zdołał, gdyby w pędzie Niemiec, który za nim leciał koniem go i sobą nie uderzył, tak, iż szpak i pan padli na

ziemię. Miecznik się zaraz porwał i chciał się bronić, lecz go opasali w około. Patrzę, jeden mu rękę podaje, bronić się nie było sposobu. Mnie drugi za kołnierz chwycił i ciągnie. Takeśmy się nędznie do niewoli dostali. Lecz że p. miecznika starszy Turek wziął, a wiele sobie snadź po nim obiecywał, łagodnie się z nim obszedł. Co z nami było i co się oberwało, mówić nie chcę... Było nas niewolnika pozbieganego, Niemców szczególnie, głów kilkanaście. Pod wieczór ustawiono nas pośrodku, straż z dzidami do koła i tak pieszo iść musieliśmy do zameczku, który oni tam zajmowali. Rzeczkę, co go oblewała, przejść musieliśmy pieszo. Przed bramą Turcy dali ognia z pistoletów, bo u nich taki zwyczaj, gdy z jeńcami wracają. Już późną nocą wpuścili nas do środka. Turków było pełno. Poczeli nas prowadzić od jednego do drugiego, a każdy z osobna trząsł, szukając czyśmy przy sobie czego nie mieli, nawet w bótach. Miecznik był, mimo wielkiego nieszczęścia, tak wielkiego serca, że go nigdy nie widział spokojniejszym. Wzięli mu pektoralik, pierścienie, kiesę, wszystko. Od Annasza do Kaifasza wodzili wypytując przez tłumaczów, którzy tam byli Węgrowie zbiegli i zdrajcy, ale miecznik nie mówić nie chciał, z nas dwu żaden nie miał im co powiedzieć. Tak się nasza nędza zaczęła... Nas przy dozorze nazajutrz do roboty zaparli; chcieli i pana zaprzędz do niej, ale powiedział wręcz, że do tego nie był nawykły. Strawą mizerną trzeba się było obchodzić... Żeby powiedzieć, iż się bardzo nad nami znęcali—nie mogę... We dwa czy trzy dni i my i p. miecznik przez tego, który nas wziął, zaprowadzeni byliśmy do starszego, którego tam zowią baszą. W pierwszej izbie bóty nam pozzrucac

kazali, bo to u nich uszanowanie, głowa nakryta a nogi bose. Dopiero nas wprowadzono do drugiej izby, której podłoga kobiercem była pokryta z kawalków zszywanym. Basza siedział na podniesieniu, ostawiony poduszkami w kącie, między dwoma oknami, a posłanie pod nim czerwono okryte i dokoła poduszki. Nad nim szabla wisiała i buńczuk z konskiego ogona czerwony... Tu dopiero poczęła się na nowo indagacya: gdzie? jak? co? ale miecznik mało co mówić chciał i dali mu pokój. Pozwolili się na ziemi i tego, co oni tam piją, przynieśli w filiżance... Wszystkich jeńców rozpatrzywszy, jegomości i mnie odesłał basza synowi swojemu na miasto. Tu już trzymali nas jak Bóg dał, niewiele się troszcząc, byleśmy żyli, dla okupu. We dnie ze sługami, a na noc...

Tu się nieco zawahał Pacuk.

— Na noc nas zamykali do lochu, mnie i dyby na nogi kładli.

— A miecznik? zapytała głosem drżącym pani Zboińska.

— Nie śmieli mu ich kłaść, rzekł sługa. Biedy i głodu, i nędzy zażyliśmy wielkiej, ano miecznik jeden nie tracił ani humoru, ani męstwa. Mnie już dopiekło to do śmierci. Gdybym na pana nie patrzył i od niego strofowany nie był, sądzę, żebym ziemię już gryzł... Jednego dnia, gdyśmy tak siedzieli na górze w izbie, a służba się porozchodziła, bo przy niej mówić nie było bezpiecznie, gdyż niektórzy z nich rozumieli coś języka naszego, odzywa się p. miecznik do mnie:—„Pacuk, ja ciebie poznać nie mogę. W pierzynieś się nie chował, a stękasz i skwaśniałeś gorzej odemnie. No—to idź ztąd do licha.” — „Wolne żarty, jasnego pana,” rzekłem. — „Nie żartem ci to mówię:

mógłbyś i sam być wolny i mnie uczynić przysługę, boby się ludzie przez ciebie dowiedzieli, gdzie jest i co się ze mną dzieje.”— „A jakże ztąd uciekać?!” zapytałem. „Chciój-no tylko i myśl,” powiedział pan. Ja bym to dawno uczynił, alem trochę za stary... Tyś młody i znajdziesz sposób się ztąd wyrwać. Odzież i tak dali ci, że po niej nie poznają. Parę słów nauczyłeś się od nich. Weź ino na rozum.”— Otoż to słowa pańskie poskutkowały, wziąłem się od tego dnia myśleć, jakim umknąć sposobem? Niebardzo też oni nas, a więcej miecznika dla okupu pilnowali. W lochu, w którym nas na noc zamykano, począłem się grzebać. Miałem kąt osobny. Z rana wynosiłem ziemię, którą w nocy wydarłem rękami, a jamę ceglami zastawiałem. Tydzień cały kopiąc się, dopierom poczuł, że mi niewiele zostało, aby się na wolność dobrać. Jama była taka, że siłą i mocą ledwie się mógł przecisnąć. Dom stał na pogorzelsku, opodal od zamku. Powiadam więc panu jednego dnia: „Jutro idę, co pan przykaże?”— „Ha!” rzekł miecznik: „innęj dyspozycyi nie daję”—z przeproszeniem jaśnie pani, ale to własne słowa jegomości,— „nie bądź kpem i nie daj się złapać, powiedz, że mnie Turcy tu trzymają, a znajdzie się kto co wymieni lub wykupi.”— Po-calowałem w rękę pana, pożegnał mnie. Nocą, gdy wszyscy spali, wlażem w jamę, jeszczem ją za sobą zamknął i dobyłem się na podwórze. Pieszko umykać nie było sposobu, konia musiałem szukać. Wiedziałem, gdzie była stajnia kiai, bom codzień musiał im konie czyścić; wszedłem do niej, i już kulbaki nie szukając, ledwie uzdę nałożywszy, stępą wysunąłem się za miasto. Bóg ich ślepotą nawiedził, że mnie nie zobaczyli. Puściłem się na los szczęścia, co koń wy-

rwie. Nad ranem byłem w ogrodzie u Niemców. Tu mnie poprowadzili oglądając za osobliwość, a że koń był, chociażem go po ciemku brał, najlepszy, samego kiai, zaraz mi go tam niemiecki pólkownik zagarnął. Szczęście, że i mnie razem z nim przyjaciele nie wzięli do niewoli. Napotkałem naszych panów, którym rozpowiedziałem wszystko, a z furami dostałem się do Krakowa. Ztąd już pieszko.

Sluehano, nie przerywając Pacukowi.

— Król jegomości już wie o wszystkiem, dodał w końcu,—i dał słowo swe, że choćby dziesięciu najprzedniejszych jeńców oddać przyszło, pana miecznika zamianą dostanie bez wykupu.

— I o wykup nie będzie trudno, zawołała miecznikowa. Lecz kogoż tu użyć?

Janasz wystąpił.

— Ja powinienem i muszę jechać: albo niewolę z panem dzielić i w niej mu służyć, lub go z niej uwolnić. Poprzysiągłem to sobie.

Miecznikowa spojrzała nań.

— Dobre z waszmości dziecko, rzekła; ale wiesz, że na co się porywasz?... Gdybym nie była kobietą, poszłabym sama... Jedź waszmość. Spocznięj teraz i nabierz sił, pomówimy o tém jutro.

— Jabym i dnia nie chciał zwlec—odezwał się Janasz—myśląc o téj niewoli, której Pacuk pewnie wszystkich okropności opowiedzieć nam nie mógł. Każda godzina droga, po cóż zwlekać? Czas wielki!

Miecznikowa namyslała się.

— Jutro, rzekła, albo raczej dziś, bo jeśli się nie mylę, już dnieje. Idź waszmość spocznięj, ja się pomodlę, i obmyślimy co czynić należy.

W istocie dniało, gdy Janasz naostatek do dawnego swojego mieszkania poszedł, ale tu o spoczynku nie było co myśleć, trzeba się było do drugiej, cięższej niż pierwsza sposobieć podróży.

Wyszła nareszcie pani miecznikowa w czarnej sukni, smutna, ale zrezygnowana i mężna, córkę prowadząc za sobą. Niewytlómaczona otucha jakaś wstępowała w jej serce. Słowo króla Jana było zapewniem swobody, należało tylko przyspieszyć ją i wyprowadzić kogo do obozu, a nikt nad Korczaka zdolniejszym do tego być nie mógł. Spojrzała nań z daleka: wychudły był, zmęczony, ale na bladłej twarzy nosił wyraz takiej energii i mężstwa, znała go tak dobrze, że nikomu więcej zaufać, nieczyjś gorliwości pewniejszą być nie mogła.

— W Imię Boże, niech jedzie, rzekła w duchu. I to dobrze, że się od Jadzi oddali, i że dziewczęciu wyjdzie dziecinne przywiązanie ku niemu z głowy. Może też tam gdzie miecznik go dobrze umieści. Pragnę dla niego wszelkiego dobra... tylko już w Mierzejewicach dłużej go trzymać nie można. Świat szeroki, chłopiec poczciwy, wyposażenie się znajdzie. Bóg mu pobłogosławi, a mnie z serca wielki ciężar spadnie...

W ten sposób Janasz zaledwie dzień jeden przeczekawszy w Mierzejewicach, wybrał się zaraz w drogę. Dano mu Pacuka, na nowo go obłókszy, i dwóch ludzi, bo miecznikowa musiała z pieniędzy w Gródku odmurowanych, dać na przypadek wykupu pięć tysięcy czerwonych złotych. Była to summa znaczna, ale wiadano, że Turcy za niektórych i po dziesięć z razu żądali, grożąc, że im głowy pościnają, jeżeli tych pieniędzy nie dostaną.

Ponieważ zapewne nie wiadano gdzie się król znajdował, a na zimę miał do Krakowa powrócić, gdzie już nań królowa oczekiwała, Janasz miał na Kraków jechać.

Rano tego dnia odprawił mszę ksiądz Żudra, na intencję podróży i wykupienia miecznika, poczem Janasz poszedł pożegnać panią.

Rzuciły się lzy pani miecznikowej z oczu, bo do Janasza przywiązaną była, niemal jak do dziecka, które się w jej oczach wychowało. Ścisnęła go za głowę wzruszona i pobłogosławiła. Jadzia stała na uboczu; poszedł do niej, rękę jej pocałował, a dziewczę miało mocy tyle nad sobą, iż nie okazało co czuło. Odezwała się tylko:

— Wracaj do nas zdrów z ojcem, będziemy się za was modlili i czekali...

Zima się już zapowiadała, więc drogi nie były dobre, powietrze ostre i dni krótkie; podróż więc niełatwo poszła. Przybywszy do Krakowa, dowiedział się Korczak, że króla się spodziewano, ale go tam jeszcze nie było; więc korzystając ze sposobności, bo się tam od królowej z listami szlacheie Koźuchowski z dobrym konwojem miał przedzierać, niewiele spocząwszy, ruszył z nim razem. W drodze uszli przeciwień obronną ręką wszelkiego niebezpieczeństwa, i cudem prawie króla z wojskiem zastali u oblężenia Zeczyna, małej miejsciny z zamczkiem, otoczonym wodą i murami, w którym się Turcy ze znacznym oddziałem bronili.

Nad wieczór przybywszy do obozu, użył Janasz pozyskanego w drodze Koźuchowskiego, aby sobie zaraz u króla posłuchanie wyrobić, nie zwlekając i chwili.

Wpuszczono z listami od królowej Koźuchowskiego, a w godzinę potem, gdy król listy przeczytał, bo do tych się zaraz rzucił jako zgłodniały wielce wiadomości, przyszło pacholę po Janasza, że się stawić może.

Królewski namiot ogromny był jak największy dwór i bardzo piękny a dogodny. Wszystek ze wzorzystej materii tureckiej podbitej sukmem, ze sznurami jedwabnymi i kotarami długimi, a izbami ściany poprzeczanymi. Można się w nim było zgubić, ktoby drogi nie wiedział, lecz pacholę prowadziło, i podniosłszy płotek, wpuściło Janasza do środka. Pierwszy raz mając majestat królewski oglądać, Korczak strwożony nieco, u płotka zaraz stanął, pokłon czyniąc i nie rychło oczy śmiejąc podnieść.

Dopiero po chwili, usłyszawszy głos, zwrócił wejście na to miejsce, z którego wychodził. Izba była w namiocie pośrodku kolista, obszerna, karmazynowym sukmem ze złotymi galonami cała wybita, kobiercami grubo wysłana. Na stole krągłym zaciągniętym makatą, paliły się dwie świece i listy jeszcze leżały tylko co porzucone. Król na składanym krześle, z tasakiem jedwabnym, siedział w popielicowym kożusku, na żupan wdzianym, z rękami na kolanach, z twarzą jasną i spokojną. Tuszy już był znaczny, ale mimo to krzepki i silny. Wielką powagą swą uczynił wrażenie na przybyłym, ale nie mógł Korczak wstrzymać się w duchu od myśli, że na szlacheńca raczej wyglądał zamożnego, niż na bohatera. Wielka prostota i dobroć blask królewski przyćmiewała. Buty tam szlacheckiej było dosyć, lecz łagodnej a miłościwej. Patrzył na Janasza i westchnął.

— Waszmość jesteś przysłany od pani miecznikowej Zboińskiej! Miły panie, choć milczysz jakbyś mi

wymówkę przywiózł, żem dotąd mojego dobrego przyjaciela i towarzysza z rąk tych pogan uwolnić nie mógł—ale chyba Bóg niełaskaw, musimy go wprędce dostać.

— N. panie—odezwał się Janasz—pani miecznikowa do stop w. k. mości się ściele, a prosi jeno o pomoc i pośrednictwo, choćby przyszło okup zapłacić!

— Niech Bóg uchowa! przerwał król: mam ja dosyć pochwytyanych ich baszów, dam ile zechcą, byle raz do ładu z nimi przyjsć. Lecz z przewrotnym narodem tym wiedzieć trzeba jak się układać; im człek więcej nalega, tćm więcej robią trudności, a cenę podnoszą. Przecież już mi słowo dali i umowę byli podpisali, że mieznika wydadzą—a to im zdało się targować jeszcze, aby więcej wydrzeć.

— Gdyby łaska w. k. mości ułatwić mi tylko przystęp do mojego pana, jabym już i sam...

Król Jan się rozśmiał.

— Dobre chćci waszmości... rzekł. Jakże się zowiesz?

— Korczak, odparł Janasz.

— Dobre chćci, mości Korczak, ale więcej serca gorącego, niż znajomości tego, co się tu dzieje. Tu i wytrawni rady nie dadzą; cćż dopiero człek nowy! Z poganami sprawa.

Westchnął król.

— Poczekajcie dzień, mam cćś na myśli.

— Mam z sobą n. panie, pięć tysięcy dukatów na okup, lćkam się o nie, w. k. mość pozwolisz, abym je złożył do kassy pańskiej.

Ramionami ruszył król i wćsa pokrćcił.

— Niepotrzebnieście je wzięli, bo my go, Bóg da,

bez pieniędzy dostaniemy. Pojmuję niecierpliwość p. miecznikowój.

— A! najj. panie—gdybym się ja tam tylko mógł dostać!... rzekł Janasz.

— Poszlemy do Neuhaselu, gdzie nieboraczysko siedzi, to się przyłączysz—odparł król po chwili,—lecz uprzedzić sam muszę, iż miecznik pokorną tam przybrał postać, aby go nie obdarto, i nie rad, by się bardzo nim zajmowano.

Wtém nadechodzący Denhoff po rozkazy, przerwał rozmowę. Król wstał, i zbliżywszy się do Janasza, po ramieniu go klepnął.

— Bądź dobrej myśli, a bezemnie się z niewczesną gorliwością nie wrywaj, abys mnie i miecznikowi sprawy nie popsuł.

Janasz rękę jego ucałował i odszedł. W obozie choć znajomych nie było znaleźć łatwo, przyjaciele zaraz się nastęczyli—i Korczaka wzięto, bo każdy był z Polski nowin chciwy.

Wojsko było zmęczone wielce pochodem a nieustannemi utarczkami pogiębione, lecz duch w niem panował i ochota niezmienna. Łupów najrozmaitszych namioty i wozy były pełne. Za becen sprzedawano najosobliwsze sprzęty, z którymi nie wiadano co czynić, bo ich za sobą wieźć nie było podobna. Wychudzeni, ogorzali, pomarzli, odarci, często głodni, śmieli się rycerze, wesołością nadrabiając, gdy czego brakło. Janasz się owego wieczoru nasłuchał dziejów, których przez życie całe nie zapomniął. Sami je bohaterowie opowiadali, nie szukając z nich chluby.

Nazajutrz szturm miano przypuścić do Zeczyna, w którego murach odkryto wyłom na prędee kołami

i ziemią zabity. Jak świt ruszono się z obozu, a Korczak wytrzymać nie mogąc, na ochotnika się wprosił pomiędzy jazdę. Rychło jednak konia rzucił, a sam z innymi szablę dobywszy, pobiegł do szturmu, który ze dwóch stron przypuszczano. Niemal jeden z pierwszych dostał się mimo gradu kul pod wrota, pod które już petardę miano podsadzić, aby je podpalić i skruszyć, gdy naparei Turcy i z téj strony i wyłomem przez cisnącą się piechotę regimentu Denhofowskiego wywiesili białą chorągiew.

Król sam stał na koniu nieopodał, gdy się Denhoff z agą-czorbadżym umawiać zaczął. Zezwolono, aby z życiem szli wolni, bez broni i bagażów. Janasz z wyprawy swój powracał mimo tego miejsca, na którym król stał. Poznał go Sobieski zaraz, i skinął, aby się zbliżył.

— Dzielne serce — zawołał śmiejąc się — takich lubię. Wczoraj z drogi, a dziś na ochotnika poszedł Janasz był lekko draśnięty w rękę.

— Chciałem też mieć szczęście pod rozkazami króla przelać krwi kropelkę za wiarę świętą.

Król głową skinął i wąsa pokręcił.

Turcy w téj chwili poczęli się przez wrota tłoczyć, mimo króla ciągnąc. Przyskoczył Denhoff.

— Nie może to być—zawołał Jan—abym ich puścił wolno wszystkich, kiedy oni mi miecznika trzymają, mimo obietnicy. Agę z synem i co przedniejszych zatrzymać, aż go uwolnią.

Wstąpiła dusza w Korczaka, widząc jak król o Zboińskim pamiętał. Napróżno się Turcy prosili, błagali i wymawiali—nie pomogło nic. Janaszowi zaraz myśl przyszła, ażeby z tych zatrzymanych w niewoli korzystać, i gdy Zeczyn zajmowano, przez Kożu-

chowskiego się jął u króla dopraszać, aby mu ze dwoma Turkami dozwolono jechać, i wydania miecznika domagać się w zamian za agę, jego syna i zabranych przedniejszych dowódców.

Z razu król się opierał, kogo innego wyznaczyć chcąc, potem Węgra dodawszy, zezwolił, Turkom jadącym z nimi przez tłumacza zapowiadając, że jeśliby posłom włos z głowy spadł, jeńców natychmiast śmiercią ukarze.

Tak tedy króla pożegnawszy i nasłuchawszy się nauk i przestróg wielu, jak sobie miał poczynąć, Janasz tegoż dnia przed wieczorem w niebezpieczną wyruszył drogę.

Turey dodani, choć się sprawowali spokojnie, milczący jechali i widocznie gniewem na gjaurów przejęci. Wzrok ich, postawa i mruczenie ciche, nie dobrego nie wróżyły. Węgier milczał, Janasz się opiece bożej powierzał, jedno sobie powtarzając, iż bądź co bądź miecznika oswobodzić musi, choćby sam miał tam przepaść.

Drugiego dnia nad wieczorem ukazał się zameczek przez Turków zajęty i pogorzelisko około niego, a domów murowany, w którym u syna agi miecznik w niewoli zostawał. Najprzód jednak przewodnicy zmusili Węgra i Janasza na zamek iść do baszy. Gdy do wrot przybyli, a z załogi ostrzeżono swoich, którzy dwu chrześcian prowadzili, myśląc, iż to byli jeńcy, uradowano się wielce. Wkrótce jednak radość ta spelzła, gdy poczęli przybyli opowiadać, że Zeczyn został wzięty. Wielka wściekłość opanowała ich, na zamku ruch się wszczął ogromny, a stojący w podwórzu, wśród odgrażającego się tłumu, mogliby paść ofiarą, gdyby przewodnicy nie zapowiedzieli co im król mó-

wił, i jako bezpieczeństwo posłów poprzysiądz musieli. Godzina dobra upłynęła, nim się na zamku nieco uspokoiło, a do baszy ich puszczone. Węgier tu głównym był, bo się po turecku mógł rozmówić; Janasz szedł za nim.

Wprowadzono ich do tej izby, którą opisywał Paucuk, a zastali w niej znowu baszę z cybuchem, na poduszkach, z szablą i buńczukiem wiszącymi nad głową. Człek stary, z brodą długą, z rozańcem w jednej ręce, z nogami podkureczonemi. Oczy miał z gniewu krwią nabiegłe. Zaledwie weszli, a Węgier mówić począł, wybuchnął basza z odgrózkami, iż za wszystko Polakom zapłacą, że stokroć większe wojsko ściągną i kamienia na kamieniu nie zostawią.

Węgier go spokojnie słuchał aż wszystką swą złość wywarł, dopiero spokojnie rzekł:

— Nie po tośmy tu przyszli, abyśmy tych obietnic słuchali. Wiecie co się stało. Król swojego sługi, który u was w niewoli zostaje, domaga się. Przyrzekliście go wydać i zatrzymali, wziął więc waszych przedniejszych, agę-czorbadżego i jego syna, i trzymać ich będzie, póki tego nie wydacie, po któregośmy tu przybyli.

— Ja królewskiego sługi nie mam, bom go synowi darował, rzekł basza; z nim o okup się układajcie.

— Nie o okup myśmy się tu przyszli umawiać, ale o wymianę. Król wam daje więcej niż złoto, bo potrzebnych wam i mężnych dowódców waszych.

— My ich i tak odzyskamy, mruknął basza, a tego wykupić musicie.

Janasz nie rozumiejąc jak sprawa stała, mieszać się nie mógł; uprosił wszakże Węgra, aby mu widzenie się z miecznikiem wyrobił. Odpowiedziano mu,

iż jeśli chce, nazajutrz z miecznikiem dzień spędzić może, gdyż teraz noc i jeńcy w lochu zamknęci.

Turcy przybyli z nimi snadź musieli opowiedzieć baszy, że królowi wielce chodziło o uwolnienie sługi swojego, gdyż się zaciął i zarzekał, że go inaczej nie da niż za dziesięć tysięcy sztuk złota.

Na tém tego wieczoru stanęło.

Nazajutrz, skoro świt budzić się w zamku i ruszać zaczęto, a Janaszowi już bardzo pilno było iść szukać i widzieć miecznika; domagał się więc przewodnika co rychlój i nakoniec doprosił, iż go czaus z zamku na owe pogorzelisko do widnego z dala domu murowanego poprowadził.

Tam już od wczoraj wiedziano pewnie o posłach, gdyż izbę więźniów Janaszowi pokazano. Niektórzy z nich w nędznej odzieży zamiatali właśnie przed stajnią, w dziedzińcach i u wrot, ale miecznika między nimi nie było.

Zobaczywszy Janasza, kilku towarzyszków, sądząc, że jeńiec nowy przybywa, zbiegło się do niego ciekawie. Wskazano mu na górze izbę miecznika, a Kurezaba, szlachcic, który na nogach miał łańcuszki, a w rękach miotłę, rzekł:

— El miecznikowi się jeszcze jako tako dzieje, bo się za niego dużo złota spodziewają. Choć się krył z sobą, przewąchali, że to nie taka jak my golizna. Ale go za to niełatwo puszcza, gdy nas daliby pewnie dwu za jednego konia dobrego, gdyby im go kto przyprowadził.

Janasz z bijącym sercem drzwi otworzył.

W kubraku nędznym, podpasany krajką, w lada jakich chodakach, tyłem do drzwi siedział na posłaniu z wojłoków miecznik i w okno patrzył smutnie.

Chociaż tak okrutnie tą nędzą zmienionego, poznał go zaraz Janasz.

Nierychło zamyślony jeńiec głowę odwrócił; lecz spostrzegłszy we drzwiach twarz, której sobie wyłomaczyć nie mógł, a do tego wychudzoną i zmienioną—przestraszony przeżegnał się.

Jak w tęczę patrzył milezący na Korezaka, gdy ten mu się płacząc do nóg rzucił. Dopiero ręce podniosłszy do góry, zawołał:

— Janasz! ty! zkadżeś się wziął?

— Umyślniem przybył, panie, po was, dla uwolnienia waszego.

— Z domu? wprost?

— Tak jest.

— Jejmość! Jadzia! mów!

— Wszysey zdrowi.

— Bogu chwała! odetchnął miecznik. Ale ty jak z krzyża zdjęty.

— Chorowałem.

Zamilkli.

— Podróż jak poszła?

— Dobrze—dobrze... zawołał Janasz, nie chcąc opowiadaniem na razie go zatrzymywać. Natychmiast po powrocie wysłała mnie pani do obozu, a król jegomość pozwolił tu dojechać. Agę i jego syna i trzydziestu ich przedniejszych zatrzymał dla was, aby wymienić.

— Dobry król.

— Jam przywiózł pięć tysięcy dukatów.

— Ha? zkad?

— W Gródkuśmy skrzynię znaleźli.

Miecznik się poruszył.

— Ani grosza tym zbójom nie dam. Milez—i z tém mi się nie odzywaj. Dosyć mię namęczyli—ale ja

taki twardszy od nich. Otoż, jak widzisz, nie mi, do ich chleba nawykłem. Apetyt mam jakiego nigdy nie było... drwię z nich.

Janasz go poczał po rękach całować.

— Puścić mnie muszą, a pieniędzy nie będą widzieli! Nagleż zamyślenia jakby wychodząc, wtrącił miecznik:

— Kobyła bułana ożrebiła się?

Janasz osłupiał.

— Tak jest—bąknął.

— Mówilem, że żrebak będzie—nie prawdaż?

Naprawdę Korezak o niczym nie wiedział, ale potwierdził.

Uścisnął go za głowę stary.

— Ty myślisz—odezwał się—że ja na twoje przyjęcie taki dobry humor dobyłem z zapasu? Jako żywo! ciągle go mam i z Turków drwię. Wściekają się, a ja się śmieję. Skorzystałem z niewoli tyle, żem się cale nieźle tego ich psiego języka poduczył i mógłbym z biedy drogmanem być.

Janaszowi się na lzy zbierało, a stary śmiał się. Wprawdzie na twarzy niewola się mocno wypiętnowała, lecz oczy śmiały się jak zawsze. Poczał rozpytywać o wszystko.

Treści nie brakło do opowiadania, ale Korezak to tylko mógł mu donieść, coby próżnej z sobą nie przyniosło troski, bałamucił więc i wywijał się różnie, szczególnie o całej podróży na Podole i przygodach doznanych zamilezawszy.

Godziny płynęły niepostrzeżone.

— Panie—odezwał się Janasz—Węgier tam układa się o uwolnienie nasze, ale Turcy się upierają. Ja myśl mam inną. Jeśli przyjmie basza, zostanę za was zakładnikiem; chodzi o to, aby mnie tylko przyjęto.

Miecznik się rozśmiał.

— Nie wezmą cię, chudy jesteś—rzekł—a unich chudy, mężczyzna czy kobieta, nie nie wart. Za młody jesteś, aby cię za mnie pomieniali.

— Toż jeśli o niewolnika do pracy idzie, młodszy lepszy.

— Im nie o pracę chodzi, ale o pieniądze. Nie! nie! rzekł miecznik. My tu może, jeśli Węgier nie nie poradzi, co innego poczniemy. Masz pieniądze?

— Summę całą w królewskich zostawiłem rękę, bo niebezpiecznie było ją brać z sobą—a w kieszeni około stu czerwonych złotych się znajdzie.

Tomówiąc, sakiewkę dobył Janasz i położył ją na stole.

Miecznik popatrzał na nią i schował.

— Chodźmy na podwórze, bo ja się tu mówić lekam—szepnął.

Zeszli tedy po wschodach i na brukowany dziedziniec, po którym sami się przechadzać zaczęli.

Miecznik pokazał drzwi do loszku.

— Zajrzyj-no; z pozwoleniem, nierogacznybym w nim nie zamknął, a oni nas tam na noc i to jeszcze okutych lub w dybach zapierają. A wiesz? czasem się tak śpi, że nie można lepiej. Człowiek do wszystkiego przywyknąć może. Kazali mi z początku konie czyścić, ale zaraz się spostrzegli, że to nie moja rzecz, i dali pokój. Z miotłą jeszcze jako tako... Mały tu—szepnął wreszcie—wcale niezłego człowieka dozorcę. Słowak jest zbisurmaniony i kupić go można a drapnąć. Bardzo mi się chce im tego figla zrobić.

— Ale kiedy i tak wolnym być można? po cóż się podawać w niebezpieczeństwo? rzekł Janasz. Węgier się układa—a dwóch agów...

Miecznik głową potrząsnął.

— Zobaczymy, zakończył. Już mi wreszcie ta niewola dojadła—stęskniłem się do domu: dosyć tego!

Okolo południa nadszedł Węgier, ale z twarzą posępną.

— A co? zapytał miecznik.

— Chcą okupu nie zamiany, odezwał się poseł.

— Dyabła zjedzą! grosza nie dam! zawołał miecznik.

— Ja bez pana miecznika nie pojedę—stanowczo rzekł Janasz.

Zboiński mu w oczy spojrzał.

— Jak mi Bóg miły! bij mnie pan czy ubij—nie ruszę się ztąd.

— To oni cię wypędzą, a nie, to w niewolę zapiszą, rozśmiał się miecznik. Tym bowiem heroizmem kłopotu mi tylko przysporzysz.

Zmlewał Janasz.

— Cóż będzie? zapytał Węgier.

— Powiedz baszy, że ja jestem goły, pieniędzy nie mam, a król takich sług jak ja na seciny liczy; gdyby ich miał tysiącami opłacać, nie stałoby mu na koszule. Jak sobie chce. Turcy pójdą w Żółkwi wały sypać, a ja będę tu podwórze zamiatał.

Gdy wieczór nadszedł, miecznik poszedł się o coś z nadzorcą układać. Szeptali długo. Korczak miał czas się przypatrzeć człowiekowi, a ów zbisurmaniony Słowak przykre i wstrętliwe na nim uczynił wrażenie. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu, żółty, twarzą pociągłej, nosa wielkiego, małych oczu czarnych a bystrych, ruchów niespokojnych. Fałsz mu patrzył z twarzy całój.

— Wyrobilem u dozorecy—odezwał się miecznik,—że nam obu na dzisiejszą noc da izbę osobną i od łańcuszków na rękach mnie uwolni. Przegadamy z so-

bą te godziny, bo jest jeszcze i o co pytać i co opowiadać.

Spojrzał z ukosa na Janasza jakoś znacząco.

Z oczu mógł się domyślać, że na wszystko ważyć się będzie.

— Co u licha—szepnął—żeby też Pacuk miał być rozumniejszy i szczęśliwszy nademnie? a toćby już wstydzic się trzeba!

Weszli razem do izby.

— Słuchaj Janasz! to bydło śpi jak zabite, koło domu zewnątrz żadnej straży nie ma, żebyśmy też uciekli? To dopiero im psikusa wyprawimy! Ani agi, ani pieniędzy...

— Na miłość bożą! zawołał Janasz: panie mój! niebezpieczeństwo! mogą nas schwytać, mogą...

— Wszystko mogą, strzelić i zabić, odparł miecznik: ale dla tego ważyć się trzeba i szczęścia spróbować! Mogłem od łada kiepskiej kuli zginąć na wojnie.

Próżne były prośby Janasza i uwagi; miecznik stał przy swoim.

Węgrowi dano znać z wieczoru, aby sobie jeśli chce powracał, choćby natychmiast. Zresztą, przyznać należy, iż o niego się wcale miecznik nie troszczył.

— Gdyby *Basam teremtele* posiedział tu na mojem miejscu jaki ruski miesiąc—toć go lichy nie weźmie. Łatwiej go uwolnią niżeli mnie.

Zamknęli się na noc w izbie im przeznaczonój. Słowak przyniósł lampkę, gotowanego mięsa trochę, suchego chleba i wody. Miecznik się wesolo wziął do tój wieczerzy.

— W Mierzejewicach—odezwał się—bywały lepsze

wieczerze: krupniczek z półgęskiem, palce oblizywać! kasza ze słoninką! zrazy! Tu jakieś ochłapy dają, Bóg raczy wiedzieć z czego i z kogo, zamiast węgryna wodę, chleb spleśniały, a smakuje to jak specyaly. Co to za mistrze, nędza i głód! Ha! ha!

Janasz niespokojny nie jadł nie i milczał.

Miecznik palcami sobie do tej wieczery posłużywszy, obmył ręce i zaczął myśleć o ubiorze i ucieczce.

Noc ciemna była bardzo i dosyć wietrzna. Wydawało się to przyjaznem dla ucieczki. Wicher stukał w okna i okiennice, że mało co oprócz tego świstu i szumu słyszeć było można. Z północy miecznik jakie tylko miał odzienie, włożył na siebie; Janasz mu chciał na ramiona swój płaszcz rzucić, ale tego nie przyjął, pod pozorem, żeby mu zawadzał. Z pokrajanego w pasy kobierca skrócono sznur, którego nie wiele było potrzeba, ażeby ziemi dosięgnąć.

— Dobyc się ztąd—rzekł miecznik—nie jest żadną sztuką, to dopiero mniejsza połowa roboty; ale koni dostać i uciec, w tém gra!

Janasz mu się raz jeszcze do nóg rzucił, blagając, aby myśl tę odepchnął; uściskał go, zmilczał, ale dalej swoje robił.

— Naprzód się nie wrywaj—idź za mną i bądź posłuszny... nie wymagam więcej. Głowy nie trać. Milcz.

To mówiąc przeżegnał się stary, okno otworzył, sznur powoli dla próby spuścił, ręce poobwijał, i nim Janasz ostatnim wysiłkiem potrafił go pochwycić, był już na oknie i na sznurze. Pozostawało tylko jedno Korczakowi: iść za nim. Nie miał czasu rąk obwarować, zsunął się więc odarłszy je ze skóry, czego na razie nie poczuł.

Miecznik stał już na dole na gruzowisku w ciemnościach i prowadził. Przy domu była sklecona na prędce szopa, w której stały konie agi. Do tej dostać się z zewnątrz nie było można inaczej, tylko wyrywając deski, które ścianę stanowiły. Wziął się do tego miecznik dzielnie, a Janasz jał mu pomagać szybko, bo już ważąc się raz, trzeba było doprowadzić zamiar do skutku.

Licha budowa niewielki stawiała opór. Miecznik dostał się do stajni bez wielkiej trudności, i pochwycił jednego z koni, którego podał Janaszowi, na drugiego sam skoczył w szopie i wyjechał z niej prędzej niż spodziewać się było można.

Rusza! już z miejsca, gdy po za nimi w podwórzu słyszeć się dalo wołanie, krzyk i wrzask, który się rozległ natychmiast po całym budynku. Miecznik konia ścisnął. Janasz postanowiwszy jechać za nim, dobył szablę, którą miał u pasa, konia płazem ściągnął—zaczęli uciekać szybko.

Noc była przerażająco czarna, ale Zboński przez czas pobytu swojego miał sposobność dobrze się w okolicy rozpatrzeć, pokierował więc konia w stronę, gdzie droga była najgładsza i najprościej wiodła do celu. Janasz tuż jechał za nim. Z tyłu dochodziły ich krzyki i hasła. Oczywiście było, że Turcy ucieczkę postrzegli, i że pogoń puścić się miała za nimi.

Biegli więc wśród ciemności, oddalając się coraz dalej od zameczku, gdy Janasz tętent posłyszał za sobą. Zbliżał się widocznie.

— Panie! zawołał: gonia nas... uchodź, ja ich zatrzymam, jeśli dognają.

Nie posłyszał już odpowiedzi miecznika, i koń jego poparł żywiej naprzód. Wtém pogoń słyszeć się

dała tak blisko, iż ujsć od niej było już niepodobieństwem. Sapanie koni czuło po za sobą i przekleństwa ścigających Turków. Koń Janasza zaczął zwalniać, kilka razy świsnęła szabla w ciemnościach napróżno, raz ścięły się z sobą żelazca.

Janasz uczuł w ramieniu ból, z dwóch stron oskakiwali go Turcy; koń padł i on z nim na ziemię. Nie myślał wcale o sobie, patrzył co się mogło stać z miecznikiem, ale wśród zamieszania, jakie powstało między pogonią, która go chwylała, zdało się, że miał czas ujsć niepostrzeżony.

Pochwyciwszy go Turcy i natychmiast ręce zwiąawszy, nie zważając na ranę, okładając razami, zaciągnęli napowrót do domu agi. Tu wszystko było na nogach, gotowe na przyjęcie nieszczęśliwego. Miecznik tak długo siedział w niewoli spokojny, iż Janaszowi przypisywano zachęcenie do ucieczki i jej ułatwienie. Znęcano się więc nad nim jako nad winowajcą.

Chciano go z razu ścieść bez dalszego rozpatrywania sprawy, przyszła potem rozwaga, i okutego w kajdany zamknięto do osobnego, wilgotnego lochu, do którego woda ściekała, i w którym kamienia nawet nie było, aby na nim usiąść sucho.

Janasz nie rozumiał języka; na wszystkie krzyki i łajania nie odpowiadał nic, stał, cierpliwie znosząc razy i wrzaski. Dano zaraz znać do zamku, gdzie Węgier nocował, ażeby i tego jako współwinowajcę nwięzić.

Z tym jednak nie poszło łatwo, gdyż zemstę im przypominał, jaką król zapowiedział, jeśliby któremu z nich włos spadł z głowy...

Po rozmowie z baszą, stanęło na tém, że Korczaka

basza zatrzymać postanowił i za nie go wydać nie chciał, a Węgry rad nierad puścił, domagając się przez niego wydania uwięzionych w Zeczynie, za których Janasz miał gardłem odpowiadać. Gdy ich potem obu razem wyprowadzono, zbliżył się do Węgry Korczak i prosił go tylko, aby królowi o losie jego oznajmił. Zdawało się, że miecznik nocą uchodząc, przeдрzeć się musiał do obozu niemieckiego lub polskiego, gdyż o pochwyceniu go wiadomości żadnej nie było. To pocieszało Janasza, który już wcale ani rany, ani ciężkiej niewoli nie żałował.

W istocie była ona nad wyraz wszelki ciężka i bezlitosna. Słowak renegat, wszyscy słudzy i młody aga mścili się na nim za stratę koni, bo drugi padł od rany zadanej mu pałaszem w głowę, a obchodzili się jak ze skazanym na śmierć. Jedzenie rzucano mu jak psu i to takie, które za ledwie na utrzymanie życia starczyć mogło; na noc zamykano w tym samym lochu, a kajdany zdejmowano tylko wtenczas, gdy pod dozorem pracować musiał, czyszcząc stajnie i podwórze. Nieumiejętność języka oszczędzała mu przykrości, jakiegoby doznał, słysząc nieustanne łajanie i szyderstwa.

Wszystkie jednak niewygody, które powinny były przy ostrém powietrzu dobić chorego, dziwnym sposobem hartowały go tylko. Widząc go pracującego w kajdanach na podwórzu, Turcy przychodzący do agi, rzucali mu jałmużnę. Z razu nie brał jej Janasz, w końcu ta litość dzikich zdała mu się uczuciem ludzkim, którym gardzić nie widział potrzeby. Te groszaki dozwalały mu kupić trochę lepszego jadła i opatrzyć się w szmaty na obwiązanie rany.

Był pewien, że miecznik i król uczynią o niego

staranie; ale co się ze starym stało? dowiedzieć się nie było podobna, z obozu żadna też wieść nie przychodziła.

Turecy zdawali się obojętnie dla niego; Słowak tylko mu zapowiadał, że zgnije w więzieniu, lub pójdzie przykuty robić wiosłem na galerach. Widząc go tak wytrwałym, ceniono go jako niewolnika i bydlę do pracy.

Upłynęło dni kilka, tydzień i drugi: nie zjawił się nikt. Jednego dnia tylko Słowak, wypędzając go na robotę, powiedział, że agę i zabranych za miecznika ludzi w Zeczynie wydano, ale basza jego uwolnić nie myśli bez osobnego okupu, takiego, jakiby za miecznika był mógł otrzymać.

Zima nadchodząca przerwała wojnę nieco, ale niewolę uczyniła nieznosienszą jeszcze. Noce szczególnie, bez odzieży, w zimnym lochu, na ziemi wilgotnej, straszne były. Trochę wyżebraną słomy służyło za pościel i okrycie.

Turecy w końcu, gdy mrozy się powiększały, pożałowali marnującego się człowieka, i na nocleg zapędzali go do izby na dole, gdzie chłód mniej był dojmujący. Kajdany, które się z razu wjadły w ręce i nogi, namulały skórę i wyrobiły sobie łożysko zdrętwałe, w którym już ból był mniej dojmujący.

We trzy tygodnie po nieczecie miecznika, ojciec agi darował mu znowu jeńca Polaka, którego dla pomocy w robocie około domu, przyprowadzono. Był to ciężko ranny szlachcic, towarzysz pancernego znaku, niejaki Zbylutowski, Krakowianin, chłop ogromny, ale nędzą, niewczasem i niewolą wychudzony i przywiedziony do ostatka. Gdy się po raz pierwszy ukazał w podwórzu i spojrzeli sobie w oczy, poznali, że

byli jednego rodu i narodu. Zbylutowski spytał go: zkad?

— Z Lubelskiego.

— Ja z pod Krakowa.

— Gdzie cię wzięto?

— Samem im w ręce wpadł, rzekł Janasz; alem pana mojego a dobrodzieja miał szczęście uwolnić.

— Słyszałem o tém, odezwał się Zbylutowski. Oba pono zamrzemy tu u nich. Mnie wykupić nie ma komu, wymienić prędzej zapomną niż będą pamiętali, a no, wola boża. Waści się też coś liberować nie śpieszą.

Była to pociecha mieć choć pomówić z kim i wspólnie się ratować. Zbylutowski znosił niewolę też z cierpliwością wielką, chociaż zostawił w kraju żonę, od roku dopiero poślubioną, i dziecię.

Gdy o nich wspominał, łza mu sama ciekła z oczu, niepostrzeżona; ocierał ją i mileżał.

Z rana musieli konie czyścić, wody przynieść, jęzmięć siał, stajnię zamiatać, podwórze też i sienie. Wszystkie posługi domowe, nawet noszenie drzewa na barkach, na nich Turecy zdawali. Słowak, gdy mu fantazyja przyszła, smagał bez przyczyny pletnią, aż krwi dobył, i śmiał się.

Wieczorem zamykano ich do izby na dole, w której weale nie palono; nakładano dyby i łańcuszki.

Raz, gdy tak zamknięci gwarzyli, Zbylutowski, który był chodzącą genealogią szlachecką, bo wszystkie domy znał i ich kolligacye po całej Rzeczypospolitej, przypominał, że Korczaków znał w Sandomierskiem; jednego szczególnie sławnego sknerę i pieniacza, któremu dano przydomek Skwarka, dla tego, że chlebem i przyskwarzoną słoniną żył cały okrągły

rok, w poście tylko zamiast niej, oleju do chleba używając.

O tym Korczaku słyszał coś i Janasz, wiedząc, że było jakieś pokrewieństwo między nimi, ale gdy go rodzice odumarli, a do niego się z sierotą zgłoszono, miał odpowiedzieć, że szpitala u niego nie ma. Nigdy się więc już potem o niego nie dowiadywał i zapomniał był całe. Przesunęło się to wspomnienie razem z innemi, i więcej o tém mowy nie było.

Okolo świąt Bożego Narodzenia, między Turkami poczęły chodzić wieści, iż sultan Kara-Mustafę, zięcia swojego, za nieszczęśliwą wyprawę, w której tyle ludu pogubił i taki srom na chorągiew Proroka sprowadził — śmiercią ukarał, wedle ich obyczaju. Posłał mu pismo i jedwabny sznur, którym go uduszono. Mówiono też o strasznój sile, z wiosną mającej się wylać na kraje chrześcijańskie.

Z obozów i od króla nie jeszcze słyhać nie było. Janasz dziwił się téj obojętności, ale wreszcie zdrętwiał, zwątpiwszy już, aby mógł być uwolnionym. Zapowiadano mu, że go do Stambułu odprowadzić mają. Trudno się było okupu tak wielkiego, jakiego aga żądał, spodziewać. Dziwiło go to jednak, iż dosyć się w końcu względnie z nim obchodzić zaczęto, i gdy raz zachorzał był, nawet w cieplejszój izbie leżeć mu dozwolono. Wygadał się w końcu Słowak, że już trzy razy przyjeżdżano, dając na zamianę kilkunastu Turków za niego, lecz aga, im więcej o to naciskano, tém wyżej cenę podnosił.

— Jeszcze waszmość się wydostaniesz jako tako — mówił Zbylutowski, — ale co ja, zginać tu muszę, a że twardo dusza siedzi w ciele, będzie téj męki na dłu-

go. Byle człek modlitwy nie zapomniał i w bydlę się nie zmienił.

Tymczasem stało się to, czego się najmniej spodziewano: jednego poranku wyciągnięto Zbylutowskiego z izby i zapowiedziano mu, że go wymienić mają. Z razu nie mógł swego szczęścia zrozumieć, tak przychodziło nieoczekiwane; potem osłupiał, wreszcie całkiem oszalał. Janasz miał tylko czas żegnając się z nim, prosić go, aby o nim doniósł, że żyw jest, bo Turcy różne czasem wieści puszczały, i że cierpliwie czekać będzie, aż nań kolój przyjdzie wydobycia się z niewoli.

Został więc Janasz sam znowu i z podwójną robotą, bo na niego za obu spadła. Minęły znowu tygodnie, miesiące. Zbierało się już ku wiosnie, gdy aga przybywszy raz z zamku, więźnia do siebie zawołać kazał.

Młody ten Turek, którego z dala tylko widywał dotąd Janasz, nielitościwym był dla ludzi swych i jeńców. Zdziwił się wielce Korczak, gdy mu do niego iść kazano, bo do nowój winy się żadnej nie czuł. Przez czas pobytu swojego nieco języka się nauczył, mógł zrozumieć cokolwiek i bez tłumacza, ale Słowak, który z nim szedł, miał służyć za drogmana.

Gdy go do izby wprowadzono i stanął u progu, długo mileząc czarnemi oczyma wpatrywał się w niego i badał Turka; na ostatek pytać go kazał, z zaklęciem na Proroka Chrystusa (jak się wyrażał): kto on jest w istocie, i jakie ma środki wykupu?

— Żadnych a żadnych nie mam, odpowiedział Janasz. Jestem sierota ubogi, i oprócz łaski pana, u którego służyłem, nic więcej nie posiadam.

Turek wołał, że to nie może być, że tyle starań o niego czyniono, iż ze znacznej rodziny być musi.

— Gdyby w istocie tak było, dawnobyście okup otrzymali.

Nie mogąc więc nie z niego dobyć, odprowadzono go napowrót do izby. Słowak, którego obejście się z jeńcem cokolwiek się zmieniło, powiedział mu na ucho, iż o wymianę i okup przysłano i że za niego syna jakiegoś baszy ofiarowano, a aga tysiąc jeszcze dukatów mieć żądał.

Nazajutrz rano o godzinie, gdy zwykle do roboty pędzono jeńca, nie przyszedł nikt. Później dopiero nieco Słowak drzwi otworzył, i Janasz ujrział tego samego Węgry, z którym pierwszy raz przybył, uśmiechającego się do niego z daleka.

— A toć waszmość chwala Bogu żyw—odezwał się,—na bom sądził, że cię już dawno świecie nie ma. Turcy przy wymianach, snadź posadzając, żeś coś więcej wart od innych, mienili waszmości umarłym.

Uszom swym nie wierząc prawie, wstał Janasz, ale też mu kajdanki na zamek zakładane zaraz Słowak zdjął i puścił. Do młodego agi nie było po co iść, ale na zamek do ojca jeszcze go zaprowadzono, gdzie obu kawą poczęstowano, a Węgry zaraz od żołnierzy odzież kupił, bo Janasz był straszliwie odarty i w lachmanach cały. Ledwie się odziewszy, chciał śpieszyć Bogu dziękować za swobodę — ale i konia jeszcze dostać było potrzeba, i Węgrzyn miał innych do wydobywania z niewoli. Tak się ich zebrało Polaków i Niemców do dziesiątka — i w wesołym towarzystwie, wszyscy Bogu dziękując, pośpieszyli do Kormorna.

Janasz, w którym życie na polu było wygasło

wśród tej nędzy, której końca dojrzeć nie mógł, powoli rozmarzał się, poczynął myśleć i snuć plany przyszłości. Wracały nadzieje i smutki dawne. Były one innego rodzaju nad to, czego doznawał w niewoli. Tam dźwigało się życie z obowiązku, teraz przychodziła znowu walka z sercem i losem na pozór łżejszym, w rzeczy tém sroższym, że bolu nikt widzieć, ani on mógł posądzać.

W podróży garstka towarzyszków powoli się rozpierchła po świecie, tak, iż we czterech ledwie dostali się do Krakowa.

Janaszowi powiedział Węgry, iż królowi szczegółniej winien był oswobodzenie swoje, należało więc upaść do nóg i podziękować.

Lecz w dziwacznym tym stroju, który mu Węgry kupił, na pół tureckim, pół węgierskim, jak się było na zamku pokazać? Pieniądzy na zakupienie innych sukni nie miał. Wprawdzie obyczajem owoczesnym wracający z jassyr, jak kto stał, szli do kościoła i do króla jegomości, niektórzy nawet kajdany niosąc, jeśli je zabrać z sobą mogli. Janasz, łańcuch, który na rękach nosił, dostał w podarunku od Słowaka, i chciał go w kaplicy w Mierzejewicach powiesić.

Wjechałszy do miasta, które z powodu pobytu króla i królowej pełnia było ludzi, Janasz szukał jak błędny kwatery, gdzieby mógł się oczyścić i odpocząć, gdy z konia zsiadłszy, a wiodąc go za sobą, poczuł nagle, że mu ktoś na szyję rękę zarzucił i całować go począł.

Odwrocił się nagle i postrzegł do niepoznania zmienionego Zbylutowskiego.

Odżywił się już był na krakowskim chlebie, wy-

bielał i przyrumienił, a strój piękny czynił go nowym człowiekiem.

— Otom szczęśliw! krzyknął na cały głos Zbylutowski: jam tu z żoną i z dzieckiem od tygodnia. Niechże się z tobą podzielę szczęściem, towarzyszu niedoli.

Zaczęli się ścisnąć w ulicy, aż ludzie ich kołem otoczyli z ciekawości. Janasza po stroju było poznać, że z niewoli wprost jechał.

— Zajeżdżaj do mojej gospody! zawołał Zbylutowski: żonka się postara, abyś głodny nie był. Porwał go tedy pod rękę i wiódł jak swojego.

— A chcesz—rzekł po chwili szlachcie—to cię jeszcze ze Skwarką Korezakiem poznam; wszak ci tu jest! widziałem go. Wyszedł na dziadka kościanego, tak zestarzał, a kaszle, dychawicę ma czy co...

— Bóg tam z nim! anim jego, ani dychawicy nie ciekaw, odezwał się Janasz.

Tak rozmawiając, do gospody się dostali. Nie osobiwa była, ale dla Janasza izba, a dla konia kawał żłobu się znalazł. Nie dając odetchnąć Korezakowi, Zbylutowski go do żony poprowadził, której wiele o nim opowiadał. Kobięcina była młoda i skromna, z synaczką na ręku. Tego zaraz mężowi oddała, aby się z jego wąsami bawił, a sama poszła o jedzeniu pomyśleć.

Tak szczęśliwie Janasz, który się tu obawiał zostać bez znajomych i pomocy, znalazł ją w Zbylutowskim chętną i serdeczną.

Nazajutrz począł się Janasz krzątać, żeby na zamek do króla trafić i o mieczniku dostać języka. Wszyscy mu radzili tak iść jak stał, co też Korezak uczynił. Ale na zamek do króla się dostać nie było

łatwo, bo cały boży dzień dziedzińce były pełne senatorów, duchowieństwa, eudzoziemców, wojskowych, ciżby wszelkiego rodzaju i języka. Zameldował się więc Janasz jako powracający z niewoli, i czekał.

Było z nim kilkudziesięciu uwolnionych, więc Sobieski ich razem do ucałowania ręki przypuścił. Pamięć miał prawdziwie hetmańską, bo kogo raz szczególnie w polu i wojsku widział, rysy sobie natychmiast przypominał a często i nazwisko.

Janasza spostrzegłszy, stanął i myślał długo. Uderzył się w czoło.

— Gdzie ja waszmości widziałem? odezwał się.

— Pod Zeczynem, najj. panie, gdy z okupem dla p. miecznika Zboińskiego przybył.

— Już wiem! tak — rzekł Sobieski, ale mu się twarz chmurą okryła—i oba z miecznikiem pięknieście się mi spisali, jak dwu wartogłowów. Ześ też waszmość od tego kroku nie powstrzymał starego, co go omal życiem nie przyplacił!

— Jam niewinien najj. panie, odezwał się Janasz; miecznika żadna siła nie pohamuje, gdy nań chwila taka przyjdzie.

— Ja go znam, to prawda—odrzekł król—a i waszeć dobrą odbyłeś pokutę. Turcy cię za umarłego podawali przy wymianach, a potem się na okup zasadzili, ale przecię jakoś się udało.

— Przybyłem do stop waszej królewskiej mości podziękować.

— Chwała Bogu, chwała Bogu, i Bogu nie mnie dziękuj. Miecznik tam asindzieja bodaj opłakał, bom mu doniósł, że umarłeś. Ucieszy się, gdy cię żywym zobaczy.

Popatrzał król na niego.

— No, wyglądasz jak wracający z niewoli; wytechniej tu sobie—rzekł—a maszże jaki grosz przyduży, czy nie?

Janasz zmilczał.

— Pewnie jak święty turecki od Turków wracasz—dodał śmiejąc się, i odwrócił zaraz do stojącego za nim marszałka dworu:—Dwadzieścia czerwonych złotych każcie mu wyliczyć, a ja się z miecznikiem porachuję.

Janasz się sklonił.

— Odpoczywałem tu nie chciałem, odezwał się,—i prosiłbym, żebym mógł zaraz jechać.

— No, to jedź—a miecznikowi powiedz: niech mi się wysztytuje, bo aby cokolwiek ciepła, musi ze mną znowu iść. A waszeć?—zapytał Sobieski.

— Gdyby p. miecznik się zgodził, miałbym się za szczęśliwego, gdybyś mi w. k. mość pod swoją chorągiew zaciągnąć się pozwolił, choćby w cudzoziemskim autoramencie, bo pocztu jako sierota nie mam z czego wystawić.

— To ci się nawet należy—odezwał się król—boć na Turkach *revanche* wziąć potrzeba za to, co się od nich ucierpiało. Jedź-no, jedź, a gdy się odpasiesz, miejsce ci znajdzie.

Król mu dał rękę do pocałowania—i na tém się posłuchanie skończyło. Wychodzącemu we drzwiach marszałek oddał dwadzieścia dukatów. Janasz wyszedł z zamku, już tylko myśląc, jakby się do Mierzejewic dostać co najprędzej,—wprost tedy szedł do Zbylutowskich.

Ledwie się we drzwiach pokazał, z drugiej izby wyjrzawszy towarzysz, zawołał:

— Otoż i on.

A wtém wyjrzała siwa głowa i twarz w zmarszczkach cała przygarbionego nieznanego człowieka. Starowina był jakiś nędzny, pokorny, ubogi, w wyszarzanym i zleżałym kontuszu długim, który niegdyś na lepszą tuszę był robiony, bo na nim wisiał jak na kołku. Oczyma małemi przymrużonemi, namarszczywszy czoło, pilno się wpatrywał w nadchodzącego. Zbylutowski się śmiał.

— Poznajcie się ichmoście, bo to jedna krew, obaście Korczaki.

Dopiero się Janasz domyślił, że to był ów sławny Skwarka, który niegdyś przytułku mu odmówił, zarzekając się, że u niego szpitala nie ma.

Więc z dała mu się bardzo poklonił i nie myślał narzucać.

Skwarka zaś obie ręce rozstawiwszy, przyszedł do niego, niezmiernie czule ścisnął, szepleniącym i cieniutkim odzywając się głosem:

— Kochaneczek! Korczak! mój Boże, nasza krew! z niewoli! z tureckiej! Niech cię uścisk, mój gołąbku!

Janasz dał się uściskać, w ramię go pocałował, już poczuł stęchłą kontuszę, ale wnet odstąpił. Korczak stary siadł i jak w tęczę w niego patrzył zmrużonemi oczyma, powtarzając:—„Gołąbeczek!”

— Pan Korczak—rozmiał się Zbylutowski—bardzo was chciał poznać. Wszakżeście krewni.

— Myślę, że dalecy—odparł Janasz.

— Albo dalecy, albo i nie tak bardzo, gołąbku mój, rzekł stary. Twój dziad był Fabian, a z moim ojcem Sebastianem rodzeni byli, tak, kochanie moje. Nam w rodzinie zawsze się nie szczęściło. Wola boża, kogo kocha Bóg temu krzyże zsyła, tak! mój go-

ląbku... Waszecia ojciec wszystko stracił, mój także; nie miałem nic, wyszedłem w świat w łatanej koszuli.

— Aleś się waszmość za to pięknej fortuny dorobił — rzekł Zbylutowski.

Stary rękami potrząsł.

— Ja? któż to wam mówił? Nędza! długi! bieda! nieurodzaj, procesa, pieniacze! ostatni grosz patronowie wyssa z kieszeni! Nędzarz jestem!

Spojrzał na Janasza, który nie mówił nic. Pilno mu było myśleć o podróży, a Zbylutowscy od obiadu puścić nie chcieli. Misa już szła na stół z krupnikiem. Niespodziani goście czynili przyjęcie nieco trudnym, talerze się jakieś znalazły, ale łyżek brakło.

Okazało się, że stary Koreczak, obyczajem dawnym, za pazuchą miał łyżkę podróżną, którą wożono niegdyś zawsze, bo szlachciec bez szabli, noża, łyżki i krzesiwa nie stąpił. Dla Janasza pożyczono u gospodarza, i śmiejąc się do stołu zasiedli, przypominając jak żyli i karmili się u agi.

Słuchała pani Zbylutowska wdychając, i męża pocałowała za to, że tyle wycierpiał. Koreczak wdychał nad nieszczęściami dwu jeńców, ale jadł lakomic i cheiwie, z oczu Janasza nie spuszczał.

Polewka i pieczone mięso cały obiad składały; gąsiorzek zieleniaku stał na stole, aby było czém popijać. I tego staruszek kosztował, a jakoś mu po nim oczy się otworzyły — bo z razu jak kret patrzył, — i usta się na uśmiech zbierały.

— Choć to niegrzecznie, ledwie usta otarłszy, łaskawych gospodarzy żegnać, rzekł wstając Janasz — ale komu w drogę, temu czas.

To mówiąc, gospośię w rękę pocałował, towarzysza w twarz z obu stron, małego chłopaka w czoło,

Koreczakowi się nisko skłonił i chciał wychodzić, gdy stary co rychlej czapki i koszturka zaczął szukać, i razem z nim pośpiesznie się za próg wybrał. Towarzysz to był niezbyt pożądanym dla Janasza. Za progiem pochwycił go za rękę.

— Gdzie, kochanie, mieszkasz? spytał. Jabym słóweczko chciał z tobą pogadać.

Stali przy drzwiach izdebki, Koreczak szedł.

— Czego to ty, gołąbku, tak się śpieszysz? szepnął oglądając się. Ja... ja chciałbym cię poznać i jeszcze lepiej pokochać. Bo i tak kocham, jako swoją krew.

Obejrzał się i głos jeszcze zniżył.

— Ja, ubogi jestem, to prawda, mówił dalej — strasznie ubogi... zjadły mnie z kretelem pieniacze, ale coś tam jest! cośby się tam po mojej śmierci znalazło. Ja dzieci nie mam: Stefuś mój w szóstym roku biedaczyna skończył. Zestarzałem, zeszkapiałem, oczy nie służą, dychawica męczy.

Spojrzał na Janasza, który milczał spokojnie, i wziął go za rękę:

— Gdybyś ty mnie chciał służyć i pomagać, a oddać mi się cały, he? Cośby się tam znalazło! Już nikogo nie mam.

— Ja wszystko winienem miecznikowi, przerwał Janasz.

— A co ci miecznik da? zawołał Koreczak — dudka na kościele? U mnie zawsze coś tamby się znalazło później. Już to biedy i głodu trzebaby przymrzeć, bo u mnie w domu chudo! ale...

Popatrzał znowu w oczy Janaszowi.

— He? gołąbku? co mówisz?

— Dziękuję panu dobrodziejowi za jego łaskawe

względy, odparł Janasz. Bez żadnej nawet nadziei i nagrody gotówbym mu służyć; ale—jam do rycerskiego rzemiosła tylko zdatny.

— Piękne rzemiosło—syknał stary—guzy w zysku! Co waszmości po tém? Na starość pod kościołem siedzieć: do czego ci to?

— Pan miecznik mnie wychował jak własne dziecko, słucham go jak ojca, bez niego sobą nie rozporządzam, odezwał się Janasz. Oto i król jegomość obiecał mi miejsce w swym pólku.

Korczak ramionami ruszył.

— Ale bo ty gołąbku, nie wiesz nie—rzekł;—to się tak mówi, *propter invidiam*, że się nie ma nie. Ja tam wielkich rzeczy nie mam, ale zawsze coś jest. Kawalek ziemi nieszpety... jakbyś go oczyścił...

Janaszowi pilno było.

— Daruj mi waćpan dobrodziej—rzekł—na prawnikam się nie rodził i nie uczył.

— O! ja ci mówię, nie zarzekaj się, serdeńko moje, nie pluj na wodę, namyśl się. Ja poczekam. Jadę do domu, pisz do mnie na Sandomierz do Macieńczyna. Rozumiesz gołąbku? Macieńczyna! Już tylko do Sandomierza, a tam mnie znajdą.

Począł ścisnąć mocno Janasza i nareszcie wyszedł.

Tegoż dnia Korczak najął konie i przed nocą już był w drodze.

W Mierzejewicach we dworze z powodu zapust zjazd był wielki.

Tak mówiono—choć sprowadzone skrzypki i sproszeni goście pod tym pozorem, zarazem byli przez pana miecznika powołani, aby o domu jego popularność

ci i zamożności w oczach kasztelanica Jabłonowskiego świadczyli.

Jadąc z Podola do rodziców na Ruś, kasztelanie tak jakoś się pokierował, ażeby mógł pani miecznikowej złożyć uszanowanie.

Trafił tu na wielką radość z powodu oswobodzenia i powrotu samego miecznika, który już od kilkunastu tygodni był w domu, i na smutek razem, acz ten milezeniem zbywano, gdyż przyszła była wieść z Krakowa, że Janasz, który ratował swego pana i dobroczyńcę, padł poświęcenia swojego ofiarą.

Miecznik nadzwyczaj to uczył mocno. Przez dni kilka chodził jak osowiały, wdychając i lzy ocierając, bo chłopca kochał bardzo. Jadzia zachorowała potem i tydzień była w niebezpieczeństwie, a wstawszy z łóżka, nie mogła jeszcze przyjść do siebie. Oboje rodzice pieczętami starali się dziecię do życia przywrócić. Uśmiechała się im smutnie, nie mówiła nic, ale chodziła jak cień i zmieniła się na twarzy straszliwie.

Co do kasztelanica, nie był pan miecznik od tego, ażeby świetną kolligacją dom swój podnieść, inaczej się jednak cokolwiek niż żona na to zapatrywał.

— Moja jejmość, moja panno—mówił do żony—piękne to imię i dom wielki, i majątności rozległe, ale wolałbym dziecko dać szlachcicowi, toby to tam uszanowano, a w pańskim domu zawsze się im zdawać będzie, że mi łaskę zrobili. Tymczasem pan miecznik Zboński, *simplex servus Dei*, niczyjéj łaski nie potrzebuje, a panna miecznikówna ma taki kawalek chleba za pasem, że sobie męża może wybierać, jakiego zechce!

— Ale możeż wybrać lepiej niż jego? mówiła miecznikowa. Chłopiec jak lalka, dworak, żołnierz, meżny, szlachetny.

— Ta, ta, ta! przerwał Zboiński: pewnie, pewnie, ale jabym takiego rubasznego szlacheica wolał, coby go choć trochę czośkiem słyhać było, bo ja w piżmo nie wierzę, a ten mi piżmem śmierdzi.

Ponieważ jednak kasztelanica przyjąć wypadało, a właśnie były zapusty, miecznik posłał do sąsiadów prosząc *na chróst*—z tém, że i skrzypki będą.

Jakkolwiek dom był zamożny jak mało, i ptasiego mleka w nim chyba brakło, jednak oprócz muzyki, wiele drobnych rzeczy musiano kazać przywieźć z miasteczka. Było to w niedzielę zapustną. Nikita, który od czasu jak o śmierci Janasza przyszła wiadomość chodził smutny jak po bracie, ciągle mówiąc o tym paniezu drogim,—pojechał, rad, że przynajmniej w miejscu siedzieć nie będzie, gdzie mu wszystko Korczaka przypominało. On jeden z Jadzią najmocniej odczuwał śmierć Janasza.

Nikita małemi saneczkami jednokonnymi przed wieczorem dobiegał do miasteczka. Tu, jak to po polu, cie bywało u nas, każdy dwór miał swą gospodę, do której ludzie jego zajeżdżali, a której właściciel był zarazem faktorem i pełnomocnikiem pana. Ledwie konia postawił i do izby wszedł, Majerek począł się go rozpytywać: po co, dla czego przyjechał, i czy czasem jego pośrednictwo nie będzie potrzebne? Dowiedział się naturalnie: kto był we dworze, jacy goście byli zaproszeni, i co się z tego święciło.

— E! rzekł w końcu Nikita: wszystko nadaremne, panna za niego nie pójdzie, ja wiem, że nie pójdzie!

— Nu? a dla czego?

— Bo nie chce.

— A dla czego nie chce? pytał Żyd.

— Dla tego, że ję się nie podobał, i nie pytał mnie więcej. Posyłaj do Kwinty po muzykę i po wszystko.

Kwintą przewano wirtuoza, który zarazem nogą orkiestrę prowadził, a ręką na skrzypcach wygrywał pierwszy głos. Kapela to była samorodna, coś na kształt węgierskich, z pamięci grająca wszystko, ale z niezmiernym zapalem i werwą, czasem, pod dobry humor, szaloną. Szczęściem Kwinta jeszcze zamówiony nie był. Nikita zbywszy się tej najważniejszej sprawy, siadł przy stole obu łokciami się podparwszy, gdy wśród mroku postrzegł sanki zachodzące właśnie do gospody. Na nich siedział ktoś—rozpoznać go nie mógł—ręką wskazujący dom Majerka.

Śnieg trochę prószył, i przybyły otrząsał się z niego w sieni, a potem drzwi otworzywszy, wszedł do izby. Nikita siedział wprost wnijścia, i podniosłszy oczy—otworzył usta, rzucił się, wstał z siedzenia, a na ostatek krzyknął:

— Wszelki duch Boga chwali!

— A! Nikita! odparł Janasz przybywający właśnie.

— Paniezu! żywy! mój pan! poczał biegnąc Nikita, i rzucił mu się do kolan. Jezu miłosierny! wy to jesteście!

To serdeczne przywitanie rozczerło Korczaka, który uściskał chłopaka, nie mogąc przemówić słowa.

Wtém nadbiegł Majerek, żona jego, dzieci. Wszyscy wiedzieli o śmierci Janasza, i osłupieli widząc go żywego. Gwar, szwargot, wykrzyki powstały w karczmie.

Konie, któremi Janasz przybył, zmęczone były bardzo, dalej już iść nie mogły, nie miał więc zamiaru

na noc stanąć w Mierzejewicach. Nikita także chciał był nocować, lecz zmienił plan.

— Panicz tak chcesz spać jak z nieba, bez oznajmienia, to nie może być—odezwał się. Lepiej będzie, jak ja trochę przygotuję. Panienka chora, jegomość świeżo po chorobie, jak się pan tam pokaże, nie! to będzie źle. Ja na całą noc pojedę—a panicz dopiero jutro rano...

Nie sprzeciwiał się Janasz.

W chwilę też zdawszy małe sprawunki na Majerka i poleciwszy mu, aby je do sani Janaszowi włożyć, Nikita wódki się napił, i jakby inny człowiek pośpieszył napowrot do Mierzejewic.

W chwili, gdy się go jak najmniej spodziewano, Nikita już o późnej godzinie zajechał przed stajnię, konia oddał fernalowi, a sam, że się u miecznika jeszcze świeciło, pobiegł do niego.

Miecznik swoim zwyczajem powróciwszy do sypialni, klęcząc pacierze odmawiał; odwrócił głowę, zobaczył Nikitę, trochę się zżymnął, lecz modlitwy kończył. Dworak stał u progu. Po chwili trzykroć uderzywszy się w piersi z całych sił, pochyliwszy przed obrazem, stary oparł się o łóżko, dźwignął i wstał. Popatrzał na Nikitę.

— Czegożeś ty, waryacie, leciał tak po nocy, na skręcenie karku! Wilej stadami chodzą! Konia pewnie ochwaciłeś. Czemuś nie nocował w miasteczku? co to jest!

— Gdzie tam, proszę jasnego pana, nocować było! Koni pełno, ludzi tłok, noc jasna, nie spędziłem szkapy.

— A co ci tak było pilno? — to niedarmo—zawołał miecznik.

Nikita pomilezał.

— Kwintę zamówiłeś?

— Będzie jutro.

— Ryby dostałeś?

— A jakże!

— Gdzież u licha, po nocy?

— To Majerek.

Miecznik ramionami ruszył.

— Zobaczę jutro konia—którego ci dali?

— Żarnowskiego gniadego.

Sapnął stary.

— No—to ruszaj spać.

— Proszę jasnie pana, choć to niepewne, ale w gospodzie byli ludzie jadący z Krakowa. Otoż jeden z nich bajki plół.

— Co za bajki?

— Że tam dużo jeńców naszych król jegomość wymienić kazał teraz, i że jeden z nich do Mierzejewic o furę pytał.

Miecznik przyskoczył do niego z oczyma iskrzącymi.

— Na Boga! nie pytałeś jak wyglądał?

— Mówili, że młody, tylko zmizerowany.

Łzy stanęły w oczach miecznikowi i ręce podniósł do góry.

— A! gdyby też Bóg cud uczynił! gdyby to był Janasz pocziwy!... cobym dał! cobym dał!

— No, tak z opisu toż się zdaje — dodał Nikita, patrząc mu w oczy i uśmiechając się dziwnie.

Zboiński wpatrzył się w niego, i więcej się począł domyslać, niż słyszał. Przystąpił do niego i uderzył go po ramieniu.

— Ty coś wiesz! gadaj! nie bierz mnie na męki.

— Proszę pana, ja myślę, że on żyje!

— Myśle! myślę! mów, wiesz i lękaś się powie-
dzieć. Co to, ja dziecko? trutniu jakiś!

Nikita się w głowę poskrobał, i za kolana go po-
chwyciwszy, wybuchnął:

— Jaśnie panie, Janasz żyje! żyje! na mojem go oczy
widział!

Miecznik podskoczył, ale też do łóżka się odwró-
cił, do obrazu Chrystusa, padł i ręce rozłożywszy,
głośnie poczał dziękować Bogu.

O Nikicie jakby zapomniał.

— Jejmość! Pójdź, zakolacz do Tulskiej, spytaj,
czy pani się położyła?

Nikity już w izbie nie było. Miecznik chodził por-
uszony, trąc czuba... śmiejąc się sam do siebie.

— Bóg łaskaw, Bóg dobry, z sumienia mi kamień
spadł.

Wtém pani Zboińska, jak stała w białym przyo-
dziewku i czarnej katance, w czepku nocnym zjawiała
się we drzwiach. Postrzegłszy męża, który chodząc
po izbie nogą podrzucał do góry, jak był zwykły, gdy
mu się co nadzwyczaj szczęśliwego trafiło, osłupiała.

— A tobie co przyszło do głowy?

Zboiński zbliżył się, objął ją za szyję i całować po-
czął.

— Otoż ci się na czułość zebrało!

— Kochanie, panno moja, na czułość, na radość,
na niewypowiedzianą rozkosz, za którą Bogu dzięku-
ję! Zgadnij co ci powiem?

Miecznikowa stanęła zdumiona.

— Cóż ty ze mną w zagadki grasz? mieczniku,
co ci jest?

Zboiński do góry rękę podniósł.

— Chwała Panu na wysokościach... Janasz żyje!

Pani Zboińska krzyknęła, ale zamiast radości, któ-
rą się miecznik spodziewał—stanęła niema, zamyślo-
na dziwnie, a po chwili uchwyciwszy blisko stojące
krzesło, siadła na niem i w milczeniu na rękę się
podparła, patrząc w ogień palący się na kominie.

Zboiński nie mógł tego jej usposobienia zrozumieć;
zmieszał się.

Zboińska wreszcie spojrzała na męża, jakby bada-
jąc go, i namyśliwszy się poczęła:

— Bogu niech będą dzięki, tak—cieszę się i ja,
dla was, dla nas, dla niego, cieszę się... ale mój dro-
gi Krysiu, radość to z piolunem zmieszana.

— Nie rozumiem—słowo daję.

— Kiedy już Bóg tak zdarzył, to może lepiej, aby-
śmy się rozmówili bez ogródki.

— Ale na rany Chrystusowe! moja panno, mów—
a prędko! W istocie do mojego życia naleliście pio-
lunu, nie nie rozumiem, trwożę się w końcu. Co tam
chowasz takiego?

Stanął przed nią miecznik; ta się wahać zdawała
jeszcze—powstała z krzesła.

— Wola boża—ja matka nie podołam temu, dla
ojca tajemnic być nie powinno. Wszyscyśmy Jana-
sza kochali jak dziecko, ale pono nasza Jadzia poko-
chała go za nadto. Rozumiesz mnie. On temu nie nie
winien. Uciekał prawie od niej. Dziewczę niewinne
nie widziało w tém nic złego. Już w Gródku to po-
strzegłszy, starałam się ich rozdzielić. Janasz chciał
tam zostać z dobrą woli, potem wyjechał do jegomo-
ści z listami i obłożnie zachorował w Konstantynowie.
Przybyliśmy tam, gdy go już na śmierć dysponowa-
no, leżał jak trup. Jadzia przypadła do niego i gło-

sem swoim do życia go w moich oczach przywołała. Chłopiec temu nie niewinien, ale ich trzeba rozdzielić. Widziałeś co się z nią stało, gdy przyszła wiadomość o jego śmierci?... Teraz, gdy się z tą myślą oswajać zaczęła, ten powraca...

Załamano rękę. Miecznik stał jak wkuły do ziemi, pobladł, zmienił się, usta wydał.

— Chciałoby się nie wierzyć tej biedzie, rzekł zmienionym głosem,—ale ty, moja droga, masz oczy kobiety i matki, musi to prawdą być.

— Głowę tracę.

Oboje zaniemieli na chwilę. Miecznik się przecharczać zaczął zadumany.

— Co tu począć?

— Ja ci się z radą nie śmiem wyrywać—rzekła powoli miecznikowa. Nikita może się jeszcze nie wygadał, zawołałby go, zakazać mu, żeby nikomu ani pisał, a posłać do Janasza, niech do Krakowa do króla jedzie. Dziewczę zapomni, kasztelanie się z nią ożeni, i...

Miecznik głową trząsł.

— Komplikacja—zawołał—a w dodatku kłamstwo. A nuż się wygadają! I znowu chłopca mi żal, jam życie mu winien, a odpędzę go od progu, jakby on co zgrzeszył. Przecież jejmość mówisz sama, że on tego na sumieniu nie ma. Jakże z nim tak postąpić?...

— Wszystko to prawda, łagodnie zaczęła miecznikowa; ale tu o dziecka jedyne szczęście i spokój chodzi.

— Jak mi Bóg miły, pierwszy raz w życiu tracę głowę, nie wiem co począć...

— Przecież mu jej dać nie możemy? zawołała matka.

— Ani śnić o tém! wybuechnął miecznik. Chłopak mi drogi—ale ani on może tak wysoko sięgnąć, ani ja tak się poniżyć! Gdzie! co za podobieństwo!

Chmurny przeszedł się parę razy, otworzył drzwi i krzyknął w sień:

— Nikita!

Chłopak pobiegł wołać przybyłego. Stał we drzwiach z twarzą rozjaśnioną.

— Czyś ty się już przed kim z tą nowiną nie wypaplał? zapytał miecznik.

— Ja? żywej duszy nie widziałem. Chodziłem do kredensu, czy co zjeść nie znajdę.

— Jak ty mi piśniesz—rzekł po cichu przystępując do niego stary i palcem grożąc mu na nosie—to mi się nie pokazuj na oczy.

Nikita ramionami ruszył, nie mógł nie zrozumieć.

— Idź zaraz do stajni, każ sobie do sanek dać srokacza, weź chłopca dla bezpieczeństwa. Wracaj natychmiast do miasteczka do Janasza, dam ci list. Ale milczeć—bo...

Miecznik siadł zaraz pisać; Zboińska nie wychodziła.

— Niewdzięcznie się znajdujemy względem niego, odezwał się stary głosem, w którym lży czuć było. Serce mi się kraje, brzydę się sobą—ale dziecko! jedyne dziecko! Bóg przebaczy... Moja jejmość, krew się pieniędzmi nie płaci, to prawda, miłość się nie nagradza posagiem—ale niechże biedak choć głodu nie cierpi. Trzeba go wyposażyć.

— Daj co chcesz! zawołała Zboińska.

— Tysiąc dukatów mu poszlę, niech się ma czém z pocztą postawić. Ale żebym też, choć po kryjomu, widzieć go nie mógł!

— Gościa masz w domu, odezwiała się Zboińska; na jutro zaproszonych osób tyle.

— Aleć w miasteczku go Żydzi poznali i widzieli, to się nie utai—zawołał.

— Zakażemy mówić! Któżby śmiał! Mejer swoim zapowie, żeby milczeli.

Miecznik westchnął i siadł pisać. Ręka mu się trzęsła, oczy ocierał. Wreszcie pióro rzuciwszy, wstał.

— Dopisz kilka słów—rzekł do żony—tyleśmy mu choć winni.

Miecznikowa, która widziała wzruszenie męża, przybiegła do stołu, pogładziła go po twarzy.

— Serce moje, pamiętaj, że to dla Jadzi czynimy. W sumieniu nie mamy nic. Chcesz mu ją dać?

Miecznik za głowę się pochwycił.

— Ale dajże mi pokój! wiesz, że umarłbym, gdyby tak za mąż wyjść miała! Ignominia! chłopak u nas wychowany w domu! Do czego by to było podobne! Nie mów mi tego, proszę.

— Mówiłeś o tysiącu—dodała Zboińska—daj mu dwa!

— Niech mu wiezie trzy, rzekł spokojnie miecznik; ale ja ci się klnę, że on i jednego nie weźmie. To wszystko jedno.

Siadła pisać pośpiesznie Zboińska, a że w spokojny czas nieosobliwie wcale z piórem się obchodziła, teraz trudno było wyczytać co nakreśliła. Miecznik chodził jak oszalały, za głowę się rwąc.

— Tego mi jeszcze było potrzeba! mruczał—po niewoli, po tych wszystkich plagach!...

Wkrótce Nikita milczący z pieniędzmi od stajni ruszył. Szczęściem, że mu Hołobę dano, który sro-kacza prowadził, bo sam nie byłby pewnie trafił do

miasteczka, tak przygnębiony jechał i zrozpaczony prawie.

Zabierało się na dzień, gdy czarne dachy miasteczka, których śnieg od dymu okopciał, pokazały się na polu okrytym białem. W karczynie zamkniętej spało wszystko, trzeba było bić do drzwi długo, nim zaspasny belfer przyszedł otworzyć. Nikita wydobył swój ciężar z sanek i poszedł do izdebki, w której spał Janasz. Z razu niebardzo go chciał budzić, lecz słysząc hałas, Korczak sam się zerwał pytając czy dnieje? Pilno mu było do Mierzejewic.

Wtém na progu ze świeczką pokazał się Nikita.

Przetarł oczy Janasz, popatrzał na niego.

— Co się z tobą stało? zbłądziłeś? nie dojechałeś do Mierzejewic?

Nikita rzucił zawiniątko, siadł na ławie i list dobył. Twarz jego mówiła wiele; domyślił się Janasz czegoś złego i rękę drżącą po list wyciągnął. Serce mu biło—odgadł niemal co go czekało. Przy ogarku począł czytać list miecznika—krótki, serdeczny, ale okrutny zarazem. Czytał raz, błędził po nim czytając, czytał—drżał mu papier w rękach—potrzebował dłuższej chwili czasu, nim przyszedł do siebie. Zabrakło mu głosu. Nikita patrzył na niego z politowaniem, z bólem, z gniewem na miecznika—ale nie mówił też nic.

Przemógłszy ból wreszcie, Janasz list położył, głowę podparł, dumiał.

— Mój Nikito—rzekł—kiedy taka wola państwa miecznikowstwa, ażebym ja pozostał umarłym, proszę cię zakaż Mejerkowi, ażeby nie gadał o mnie. Ja zaraz ztąd ruszać muszę, tubym długo nie mógł zostać.

— Pieniądze—dodał—odwieszysz napowrót; ja ich

nie potrzebuje, przyjąć nie mogę. Król mi dał na drogę, to starczy na powrót, lub... nie wiem. Trzeba sobie szukać kąta.

Wtém Nikita wybuchnął.

— Ani po panu, ani po panim się tego nie spodziewał!

— Na miłość Boga, cicho! przerwał Janasz: oni wiedzą co czynią. Ja tego im za złe nie mam, tak musiało być. Zawiniłem, żem się z Krakowa nie zgłosił.

Rozplakał się Nikita. Janasz wstał co żywiej, aby też samą furę napowrót do Krakowa zamówić. Nikita kilka razy narzekania poczynił, ale mówić mu nie dał. Za karczma ścisnęli się w milczeniu, a dworak widząc oddalające się sanki, stał długo jak wryty. Wreszcie zawiniątko wrzucił do wozu i do Mierzejewic powrócił.

Następny dzień w Mierzejewicach, który usiłowano uczynić wesółym, nie był takim wcale. Coś ciężło na wszystkich sercach, jakiś niepokój widać było na twarzach.

Przed południem nadjeżdżający goście szczęściem przynieśli z sobą roztargnienie. Wesół humor miecznika chwilami brał górę. Pani Zboińska krzątała się, podwajając starań i gościnności.

Jadzia wyszła też ubrana wedle rozkazu matki, ale z twarzą, której żaden nakaz nie mógł odmienić. Uśmiechała się łagodnie, smutnie, roztargniona i jakby na wszystko obojętna. Rówieśnice napróżno się ją rozbawić starały i przyjaciółki wypytać.

Odpowiadała im, że od chwili téj, gdy ją z matką Tatarowie napadli i śmierć lub niewolę widziała

już przed sobą, do dawniej wesołości powrócić nie może.

Gdy wieczorem skrzypki się odezwały, Jadzia przybiegła do matki, głowę na jej piersiach położyła, uścisnęła ją i szepnęła:

— Noga mnie boli — tańcować nie mogę, matulinu, nie będę — proszę was, nie przymuszajcie mnie, proszę.

Spojrzała na nią łzawemi oczyma; matce też zakręciła się łza w oku — pocałowała ją w czoło i nie odpowiedziała nic. Nie poszła więc Jadzia w taniec, chociaż ojciec, który sobie w końcu trochę podchmieleł, sam się jej za tancerza ofiarował, aby upór zwyciężyć. Pocałowała go w rękę, popatrzała w oczy; miecznik, wyrazem jej twarzy przestraszony niemal, odstąpił.

Skoki więc i muzyka były dla drugich, a kasztelanie w końcu trochę dotknięty, wybrał sobie pannę starościankę bielską i uwijał się z nią, dokazując niezmiernie. A trzeba było wyznać, że tańczył cudownie, bo się w stolicy tańca, w Paryżu, u najpierwszego ćwiczył mistrza. Podziw obudzała jego piękna prezencja i niezrównana gibkość ruchów. Starzy i młodzi stawali kołem, gdy starościankę wzięwszy, wywijał z nią pośród sali.

Jadzia z założonemi rękami patrzała obojętnemi oczyma.

Wśród wiwatów, wystrzałów i dobrej myśli, dociągnięto tak do dnia. Jabłonowski miał pono zostać przez ostatni wtorek, ale z rana pożegnał oboje gospodarstwo i niespodziewanie wyjechał.

Matka, która pilne miała oko na córkę, dostrzegła, że posępna twarzyczka jej, po odjeździe kasztelanica

wyjaśniła się i wypogodziła. Trwały zabawy umyślnie następnego dnia, aby się ludziom nie zdawało, że je tylko dla Jabłonowskiego wyprawiano. Jadzia odetchnęła dopiero swobodniej na mszy popielcowej.

— A przecież się to skończyło... szepnęła po cichu.

Macienczyn, dwór pana Korezaka, o parę mil od Sandomierza, znany był w koło na mil wiele, jako miejsce, które ludzie w największej nawet potrzebie schronienia omijać musieli. Nigdy tam nikt z naglony przypadkiem w podróży do wrot nie zapukał. Wpośród starych drzew, których gałęzie z kory były po-
odzierane, opasana płotami połamanemi, stała przy kupie gruzów, na starém pogorzelisku, porośłém chwastami, murowanka, która snadź z niedogorzałego dworu dawnego pozostała. Dziwnie to wyglądało, okop-
ciałe, brudne, słomą pokryte, boki do dziedzińca, z oknami na pół w blonach, poł z drzewa. Przez zarosły dziedzińczyk wila się ścieżynka kręta, wiodąca do drzwi zamezystych. Obok stała prosta chałupa zastępująca folwark, szopka, która musiała być stajnią, i kilka klatek, a w tych domyslać się godziło chle-
wów i obór.

Wieś nieopodal rozłożona nad rzeczulką, daleko zamożniej wyglądała od dworu. Położenie było wesołe i piękne. Na wzgórzu murowany kościółek i plebania panowały okolicy.

W dzień zimowy, furka dosyć nędzna stanęła u wrot dworu, których otworzyć nie było komu. Dwa brzydkie psy, z sierścią najeżoną, wyskoczyły ujadając ku bramie; postać jakaś w kożusku brudnym ukazała się na progu murowanki i znikła. Mężczyzna młody

wysiadł z sanek i począł fórtki szukać dla wnijścia, ale tój nie było, i wrota trzeba było zasypane śniegiem odsunąć nieco, aby się dostać w podwórze.

Widząc, że przybyły tak stanowczo się dobija, wyszedł chłopak odarty z chałupy.

— Jest pan Korezak w domu? zapytał gość.

Chłopak patrzył i milczał, nie śmiał odpowiadać.

Po chwili zapytał sam:

— A wasza miłość kto?

— Pytam cię o pana.

— Albo ja wiem!

Postać w kożusku pokazała się w progu, chłopiec na nią rękę zwrócił.

Przybyły broniąc się jak mógł psom, zbliżył się do murowanki. Po kilkakroć stojący tam w kożuszy-
nie, to chował się, to pokazywał...

— Pana nie ma w domu! nie ma w domu! rzekł w końcu z dala.

Przybyły rozśmiał się smutnie:

— Ale panie Korezak, samże nim jesteś.

Kożuszek się schował i znowu wyszedł. Rękę do oczu przyłożył.

— Nie mam honoru znać!

— Jak to! w Krakowieśmy się spotkali! Przypomnij pan sobie! Korezak Janasz.

— E? nie przypominam.

— U Zbylutowskich w gospodzie.

— Gdzie? kiedy to było? W Krakowie?

— Ale—niedawno... Kazalesz mi pan pisać do Macienczyna, wołałem przybyć sam.

— Kto taki? kto?

— Korezak.

— Jaki Korezak! Korezaków teraz jak grzybów

narosło! He? gdzie stąpisz, Korczak—a mnie co do tego! mnie co do tego!

— Aleś mi pan kazał przybyć?

— Ja? śniło się! hm! ja?

— Przypomnij pan sobie.

Zamyślił się stary i ustami zaczął robić, jakby co przeżuwał:

— A no? a no? Nie chciałeś waszmość mnie, kiedy ja go prosił. Przyszła koza do woza: ja waszmości teraz nie potrzebuję. Widzisz sam, jaka tu nędza—he? co?

Janasz popatrzał nań, sklonił się i już chciał odchodzić.

Stary za nim oczyma powlókł i zawołał:

— Stój waszmość—czekaj. U mnie w izbie nie palono, ale na kominek trzasek przyniosą, chodź się ogrzej z drogi, chodź.

Janasz się zawrócił. Przez bardzo brudną sionkę weszli do izby, której okna były tak pozamarzałe i brudne, że w niej o białym dniu mrok panował. Tu stał stół prosty, nakryty wyszarzanym kilimkiem w pasy, poodzieranym po końcach, kilka stolików i szafa, pomalowane niegdyś niebiesko. Komin wystygły pełen był popiołu i śmiecia, w rogu izby leżała kupka rzepy, pokrytej słomą, a woń od niej rozchodziła się szeroko.

— Siadaj, gołąbku, siadaj—rzekł Korczak—zawsze tu zaciszniej niż na podwórzu. Ja ciepła nie mogę znieść, odwykłem, choruję od niego; a z daleka kochanie?

— Z Podlasia.

— Kawał drogi—a dokąd?

— Sądziłem, że do Macienczyna.

Westchnął stary.

— A co byś ty tu robił? kochanie! Ty widzę słabowity, delikatny, do ciepła przywykły, do gorącej strawy, do przysmaków, do mięsa, a u mnie tu bieda. Ja żyję chlebem i wodą, szczególnie teraz w post.

Nie było co mówić ze starym, który oczyma świdrował przybyłego.

— A no to prawda, że mnieby się do papierów pomocy zdała—ale u mnie praca i życie ciężkie... Inaczej zbawionym być trudno, gołąbeczku mój, człowiek się psuje, mięknie.

Janasz nie mówił nic.

Stróżka, istny obraz nędzy i brudu, niosąc w fartuchu trzaski, weszła hałaśliwie i spytała: gdzie zapalić?

Stary się zawahał nieco.

— A no tu! tu!

Przysiadła więc przy kominie usiłując ognia nanieść. Był to snadź zwyczaj przy gościach. Trzaski dużo dymu wydały, dym z zimnego kominu rzucił się na izbę i wkrótce ciemniej w niej było jeszcze niż wprzód, a do tego i duszno.

— To nie, kochanie, to przejdzie—zdrowo. Chłopi zawsze w dymie się wędzą, dla tego tacy krzepcy.

Rozmowa w czasie pobytu stróżki zupełnie się prze-rwała. Dopiero gdy ogień błysnął i kobieta trzaskając drzwiami wyszła, Korczak westchnawszy począł znów:

— Cóż ty, kochaneczku, myślisz teraz z sobą?

— Nie wiem—rzekł Janasz—dostanę się do Krakowa, do króla, a tam co Bóg da...

Milczeli, Janasz patrzył w komin, okrył się opoń-

czą, bo w izbie było zimno, w rodzaju obojętnego osłupienia siedział, a stary mu się przypatrywał.

— Jegomość piszesz? kochanie moje?

Janasz się uśmiechnął.

— I po łacinie nawet, expedite—byłem-ci u księży Jezuitów w Lublinie.

— A prawa cokolwiek znasz?

— Tyle tylko, co się gdzieś posłuchało o nim z przypadku.

— Ale nie święci garnki lepią — rzekł stary: — ja nie umiałem nic a nie, a no, teraz konstytucję na państwo, statut i korekturę pruską. Byłe ochota, kochanie.

— Nie mam jój — rzekł przybyły krótko.

Korczak ustami począł coś żuć znowu długo.

— Wiesz co, ja waszmości powiem, mój gołąbku, bo mi ciebie żal, żeby cię Turcy gdzie zabić mieli, bo ty taki prawdziwy jesteś Korczak. Posiedź tu u mnie sobie, tak dla wypoczynku, czasem dla zabawy co przepiszesz, czasem się przejedziesz. Jeść, no jeść, krupnik się znajdzie, jeśli już koniecznie trzeba; chleb razowy, bo to najzdrowszy, a wodę mam w studni, jakiej nigdzie na świecie nie ma. Odpić się nie można. Zobaczysz, ona cię odżywi. Trunki wszystkie dyabła warte... to boży trunek.

Janasz zamyślony nie odpowiadał nic.

— Izba jedna stoi próżna, ja ci ją pokażę, chodź, to tu przezedrwi!

Weszli do ciemnej sionki: z niej drzwi niezamknięte prowadziły do izdebki tak brudnej jak pierwsza o jednym oknie. Tarezan w niej stał nagi, stolec jeden i skorupa pusta; zamiast podłogi cegły leżały

potłuczone na ziemi. W kącie piec bez drzwiczek, lepiony, wiał chłodem.

Straszne to było i przypominało mimowolnie Janaszowi tureckie jego więzienie. W nim on nawykł do wszystkich niewygód. Teraz było mu obojętnem, gdzie się podzieje, byle znaleźć przytułek.

Cicho więc odpowiedział Korczakowi, że się zgadza pozostać. Staremu oczy zabłysły:

— Ja ci, kochaneczku, nie obiecuję nic, pamiętaj to sobie dobrze; no, dach nad głową, dobre serce... nędzą się dzielę, ja sam biedny — widzisz...

Janasz mu odpowiedział, że nie nie żąda.

Tak tedy stanęła jakaś umowa, i swój tłumoczek kazał Janasz przenieść do izby, postanowiwszy sam już ją sobie wyporządzić. Co dalej miał począć, dobrze nie wiedział.

Rozglądał się właśnie po tym nowym schronieniu, gdy Kożuszek powrócił.

— Ale oto, gołąbeczku — odezwał się, — o jednej bardzo ważnej rzeczy zapomniałem. Pobożny jestem i Pana Boga chwale. I ty kochanie do kościoła, żebyś sobie poszedł się pomodlić, a! i owszem; ale — na plebanie, to wara! Kto u mnie mieszka, ten do proboszcza nie gada! To mój wróg, klecha obrzydły! U ołtarza szanuję, ale więcej z nim stosunku żadnego. To sobie waruję: na plebanie żebyś nie chodził.

Janasz zdziwił się niezmiernie.

— Czyżbyś mi pan miał bronić znajomości zrobić? zapytał Janasz — a toczy była niewola gorsza od tatarskiej.

Skwarka złożył ręce.

— Kochanie! gołąbku! nie bronie, tylko przestrzegam. Klecha obrzydły jest, powiadam ci: klecha,

sknera, skąpiec, dusigrosz. Ja się go boję, ja cię przestrzegam. Chytry, niebezpieczny.

Nie śmiejąc snadź puszczać się w dalsze dowody, Koreczak natychmiast się wysunął. Objęcie nowego mieszkania wiele pracy kosztowało Janasza, lecz było to razem zajęcie i rozrywka, której potrzebował.

Stary z daleka przyglądał się z pewną nietajoną radością, jak sobie sam nosił wszystko, uprzątał goście miły. Z pozostałego grosza dokupił nawet co było potrzeba, ażeby tę pustkę uczynić mieszkalną. Koreczak udawał, że tego nie rozumie. W miarę jak izba stawała się schludniejszą, przychodził ją oglądać i cieszyć się tém. Piec stanął nareszcie, a trzasek do niego i suszy Janasz sobie przysposobił sam, z pomocą najętego ze wsi parobka.

Korzystal z tego Koreczak po cichu, i wieczorem temi drewkami sam potajemnie u siebie palił.

Trzeciego dnia wszedł z rana, uprzejmy jak zawsze, utyskując nad tém, że teraz, gdy już do roboty nie ma, Janasz się nudzić może.

— Ja mam tu paperek, możebyś sobie dla zabawki przepisał, rzekł: dokumencik wielce zajmujący w sprawie granicznej.

Janasz wziął się do przepisywania. Charakter podobał się staremu.

— O! o! jak to pisze! zawołał: palestranek ręką, wyraźnie, czysto i ślicznie.

Znalazły się zaraz i inne dokumenciki nader interesujące do kopiowania. Jeść nie było wiele, ale Koreczak sobie pomagał tém, że przechadzając się do karczmy wstępował, gdzie parę jaj a czasem ryby gotowanej mógł dostać. Na utrzymanie życia to starczyło.

W jednej z tych popołudniowych przechadzek przez wieś idąc, Janasz spotkał duchownego — mężczyzną słusznego wzrostu z laską w rękę, który mu się pilnie przypatrywać zaczął. Szlachetne rysy twarzy, energii pełne, oczy bystre, ruchy żołnierskie prawie, zastanawiały w przechodzącym. Łatwo się w nim było domyślić owego osławionego klechy, przeciw któremu ostrzegał Skwarka gościa swego. Obudzało to ciekawość raczej, niż odstręczało. Janasz uklonił się z dala, ksiądz mu ukłon oddał i zbliżył się uśmiechając:

— Ze dworu waszmość? prawda? zapytał; nowa ofiara tego pajaka?... Już tedy ma znówu kogoś w świecie? A pewnie cię ostrzegał, żebyś od klechy był z daleka?

Obcesowe to nieco powitanie trochę zdziwiło z początku Janasza, ale wprędce przyszedł do siebie...

— A wiesz, dla czego ci kazał od klechy trzymać się z dala? ciągnął dalej proboszcz, wywijając laską. Dla tego, że ja wszystkie jego sprawki znam! że go na wylot nauczyłem się, i że radbym z jego szpon wydrzeć każdego, co w nie wpadnie.

Janasz milczał z początku.

— Przebaczysz mi, mój ojcze, odpowiedział: wszyscyśmy nieświęci i potrzebujemy miłosierdzia dla wad naszych.

Rozśmiał się proboszcz.

— To coś szczególnego! waszmość czujesz się w obowiązku starego bronić?

— Bo ja nie potępiam nikogo.

Popatrzał nań ksiądz długo.

— Słyszałem, że się waszmość też Koreczak zowiesz; czy krewny?

— Bardzo daleki.

— Cóż cię tu przypędziło?

— Łatwo się domyślić, mój ojcze—bieda.

Proboszcz zdawał się być ciekawym. Janasz nie miał powodu taić, ale nie chciał też spowiadać się kładnąc winę na miecznika, część więc życia pokrył zupełnie, mówił tylko o niewoli, o spotkaniu z Korczakiem i o schronieniu, którego potrzebując, znalazł tutaj.

— Bardzo mi waćpana żal—rzekł ksiądz — że cię losy do tego sknery zagnały; ale to wasza rzecz. Ino słuchaj, jakbyś z głodu marł, przyjdź do mnie na barszcz, *in extremis*.

To mówiąc, poszedł żwawo wywijając łaską.

Zaledwie Janasz do murowanki powrócił, gdy się drzwi otworzyły, i Kozuszek, straszliwie przeżuważając i gębę krzywiąc, co było u niego znakiem zakłopotania i złego humoru, wsunął się.

— A co? już z klechaście się zetknęli? wybuchnął—coż ci mówił, gołąbku? Prawda? wieszal psy na mnie?

— Nie, bo jabym tego nie zniósł, odparł Janasz.

Korczak spojrzal zdumiony, prawie uszom niedowierzając.

— Aniołku, serce, chyba kłamiesz? odparł po chwili. Ja mam takie szczęście psie do ludzi, że mnie nikt pocziwego nie dał słowa.

— Ja nigdy nie kłamię, rzekł Janasz krótko.

— A to z ciebie, gołąbku, bardzo porządny człowiek! odezwał się stary. Są tacy ludzie, co wszystko miodem smarują w oczy, znałem takich, ale za oczy—ma dziegiem, może ty do nich należysz?

— Przekonasz się pan, rzekł Janasz krótko, chcąc przerwać rozmowę.

Mileząc, dobył Korczak plik papierów z za kożuska i położył go przed Janaszem.

— Żebyś się nie nudził u mnie... szepnął.

Podszedł ku drzwiom i wrócił.

— Miałem jeszcze jedną propozycję do zrobienia. Młodemu ruch potrzebny, to ja wiem. Jabym ci furkę dał do Lublina, mam sprawkę w trybunale. Jest tam łotr, pijanica, zbój patron co jój pilnuje, ale jego trzeba pilnować. Ze mną się obył tak, że mnie już nie ma za boże stworzenie. Możebyś ty się przewietrzył?

— Dla czego nie? rzekł Janasz: pojedę.

— Na drogę coś niecoś dam, z domu się weźmie chleb, obrok, sianko, bo takiego sianka jak nasze nigdzie nie dostać. Sera może też kawalek zawiedłego znajdzie gospodyni. Młodemu niewiele potrzeba. I zdrowień, słowo daję.

Janasz się uśmiechnął, a stary zaczął także śmiać się, jakby z samego siebie.

— Bez pieniędzy, ściśle biorąc, możnaby się całkowicie obejść, gdyby nie ci rozbójnicy karczmarze, którzy postojnego wymagają, chociaż na prawdę winni by zapłacić, gdy koń postoi. A nawóz? To też na ogrodach u nich dynie jak beczki! zkądże to? z naszych koni. Fortuny robią karczmarze, taki świat! To darmo. Więc na postojne i na buleczkę dla odmiany kilka groszyków dałbym, ale proszę z nich o rachunek ścisły. U mnie zwyczaj taki.

Janasz się uśmiechnął znowu, i Kozuszek śmiał się także.

Usiadł na próżnej skrzyni i począł cicho:

— Ludzie po większej części, gołąbku moj, ekspensują dla oka. Nietyle dla żołądka, co dla próżności.

Patrz-no na futra: kolnierz ogromny, świat chyba grzeje, bo nie tego, co go nosi; półmisek srebrny, by się ludzie dziwowali i zazdrościli. Drugi z niestrawności umiera, ale specyały je, które mu nie smakują, aby pana znali. Ja téj próżności nienawidzę. Niech mnie ludzie za nędzarza mają, tom spokojny. Oni się ze mnie śmieją, a ja z nich.

Począł się śmiać. Janasz pióro temperował.

— Zatem jutro do Lublina. Sprawę znasz, boś dokumenta spisywał. Sprawa złota, czysta, jasna, ale ją te jury-chwosty zagmatwali. Mecenas nasz zowie się Pampowski; brzydko się nazywa, ale familia stara. W herbarzu jój może nie ma, a no w Knapiusza przysłowiach stoi. Człowiek byłby głową swą królem jurów na całą Rzeczpospolitą, ale pijak. Sprawę zapije często lub prześpi i kondemnaty dopuści.

Janasz pojechał.

Tegoż samego dnia, ponieważ izba zajmowana przez Janasza i przez niego wypożyczona, była daleko wygodniejsza, Skwarka się wniósł do niej ze wszystkiemi mieniami swojemi.

— Młodemu to wszystko jedno! mruknął dla uspokojenia sumienia.

Po zapustach i wyjeździe kasztelanica, w Mierzejewicach znowu pusto było, cicho i smutno. Jadzia chodziła jak dawniej z żalobną swą twarzą, którą tylko promyk czasem jaki rozjaśnił, gdy na równie smutne oblicza rodziców spozrzała.

Od owego wieczoru, gdy miecznikowa nakłoniła męża, aby o Janaszu zamierzano i odprawiono go w świat tak bez litości, jakby sobie słowo dali oboje,

nie wspomnieli o nim więcej. Gdy Nikita chmurny powrócił i odwiózł miecznikowi pieniądze nietknięte, weale tém niezdziwiony stary, schował je napowrót pod klucz, słowa nie rzekł, ale chodził jak struty. Żonie raz tylko szepnął:

— A co, nie mówiłem? pieniądze powróciły.

Zbladła jejność, zmieszała się, i potem nie mówili już więcej. Jejność udawała wesołą dla córki i dla męża, siłiła się na to, a gdy została samą, wzdychała i poplakiwała. Miecznika trudno było poznać. Z natury wesoły, rubaszny, nawykły sobie wszystko na dobre tłómaczyć, śmiać się nawet z rzeczy, które drugich gryzły i niecierpliwiły, zrobił się teraz nadzwyczaj popędliwym i gniewnym. U tego rodzaju ludzi, żywego temperamentu, wesołość się zwykle w niecierpliwość i wybuchy żółciowe obraca. Widziała to jejność, doznali ludzie, i cicho szęptali, że miecznikowi niewola bisurmańska zmieniła charakter.

Na Jadzię nawet, owo dziecko jedyne, pieszczone i ukochane, gniewał się czasami i gderał.

Dobierał zabaw i rozrywek napróżno. On i żona chodzili niepokojeni w sumieniu, patrzali na siebie i gryźli się sobą i córką. Jednakże żadne z nich nigdy o tém rozmowy nie wszechło; o Janaszu, jakby go na świecie nie było, milezano w domu. Zdawało się, że wszyscy sobie słowo dali, aby go nigdy nie wspominać. Raz tylko Jadwisia z przypadku przypomniała ojcu, że obiecał był na pamiątkę wychowawcowi krzyż na cmentarzu postawić, choć ciało jego tam nie spoczywało, ażeby się ktoś czasem za jego duszę pomodlił.

Miecznik strasznie się zmieszał.

— Kochany tatku, rzekła Jadzia: przecież on so-

bie na to zasłużył. Uratował mnie i matkę w Gródku, ratował ciebie, sam zginął... to mu się należy.

Miała lzy w oczach i głos drżący; ojciec popatrzał zdziwiony:

— Jak tylko się słowo rzekło, to, to się zrobi... to się zrobi...

— Krzyż nie będzie dużo kosztował, dodała Jadzia: jabym nawet... ja mam trochę oszczędzonych pieniędzy od moich krówek; mnie to niepotrzebne, jabym to dała na krzyż dla niego...

Dokończyła bardzo cicho, spuściwszy oczy. Miecznik stał i palcami kręcił, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Ale to się i bez tego zrobi. Kiedy ci mówię...

Zląkł się w rzeczy, aby córka bez wiedzy jego żywemu nie postawiła krzyża, co uważał za uczynek grzeszny, a grzech ciężłby na sumieniu.

— Proszę cię, zostaw to mnie, dodał; ja to sam w swoim czasie każe zrobić.

— Ale, tatku, pacierze przepadają, któreby mu krzyż przyciągnął. Jakaż dusza ich nie potrzebuje?

Zboński oczy spuścił. Cały dzień potem chodził znowu gniewny, a nazajutrz na trzy dni w sąsiedztwo wyjechał.

Przeszedł wielki post, nadeszła Wielkanoc i wiosna. Jadzi przypomniała ona dawne lata, wznawiała żal i tęsknotę po przeszłości. Chodziła do ogrodu płakać. Krzyż, którego wystawienia tak mocno żądała, niepokoił ją. Obliczyła się ze swemi pieniędzmi, a miała więcej niż trzydzieści bitych talarów, to jest dwa razy tyle ile na najpiękniejszy krzyż naówczas było potrzeba. Postanowiła sobie użyć Nikity, który tak kochał Janasza, i wyszpiegowwała go po obiedzie,

gdy stał w ganku, aby z tém wybiedz do niego.

— Mój Nikito — zawołała żywo — mam prośbę do ciebie—wielką prośbę, ale ty o tém nikomu nie mów.

Zbliżyła się oglądając.

— Prawda—kochaleś Janasza?...

— O! panienko! jak ja jego kocham! odezwał się Nikita.

— Ja dawno ojca prosiłam i proszę: obiecał mi, że dla jego pamięci, żeby się ktoś choć za duszę jego pomodlił, każe na cmentarzu krzyż postawić; ale ojciec zajęty, tyle ma rzeczy na głowie—ja pieniądze dam, ty mi to zrób....

Sluchając Nikita zbladł, zmieszał się nadzwyczajnie, zadumał, nie wiedział co mówić.

Wreszcie po długim namyśle odezwał się:

— Proszę panienki, to w żaden sposób nie może być.

— Dla czego?

— Bo Turcy to naród bez czei i wiary. Oni powiedzieli, że umarł, a kto to wie?

— Jak to? zawołała chwytając go za rękę—ty sądzisz, że on żyje? ty myślisz, że on żyć może?

Zarumieniła się, oczy zaiskrzyły. Nikicie zrobiło się dziwnie na sercu, żałował jój, ale ust otworzyć nie mógł.

— Co ja wiem, proszę panienki? rzekł powoli—co ja głupi, prosty człek mogę wiedzieć? Ja sobie tylko tak myślę: albo to jeden raz tak bywało, że kogo za umarłego w jassyrze ogłosili, a potem i w dzie sięć lat powrócił! Któż, proszę panienki, nie słyszał o pani staroście Strojnowskiej, której męża Turcy zabrali, no, i ks. Trynitarze nawet, co jeździli z okupem, świadczyli, że umarł, aż on się zjawił, gdy staroscina już z drugim żyła mężem?

Gorąco to jakoś prawil Nikita, ale się wnet zmiarkował, widząc jakie wrażenie czyni na Jadzi, że z tego może być bieda—i zafrasował się.

— Ale niech panienka dobrodziejka zlituje się, nie mówi, że takie rzeczy odemnie słyszała,—podechwycił prędko. Tu we dworze u nas o tém mówić nie wolno. Panby mnie kazał obić, gdyby się dowiedział.

— A! nie lękaj się—poczęła Jadzia, której twarz się zarumieniła i rozpromieniła—ja ci serdecznie jestem wdzięczna! Turey kłamią! tak! On żyje, on wróci—ja to czuję! Tyś dobry, pocziwy człowiek, tyś mi życie wrócił.

I wsypała mu talary w rękę.

— Weź to dla siebie, na wesele. Masz słusność! nie godzi się stawiać krzyża, a nuż on żyje? O! mój Boże, toby śmierć wywołało! Jaka ja bylam nieopatrna!... a ojciec! ojciec pewnie myślał tak samo; tylko mi nie chciał powiedzieć!

Mógł sobie powinszować dobrego uczynku Nikita, gdyż od tego dnia, od téj chwili, Jadzia z tą myślą, że on żyje, przestała modlić się za duszę—zaczęła modlitwy na intencję powrotu, nie możemy zaręczyć czy nie rozpoczęła nowenny do Św. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych i ludzi zatraconych.

Korzystając ze zmiany usposobienia córki, miecznik wprost i otwarcie rał jęć młodzież, której cały spis miał w pamięci; lecz jak tylko rozmowę tę poczał, Jadzia się nachmurzała.

— Nienaturalna rzecz! — mruczał — żeby panna w jęć wieku za mąż iść nie chciała.

Potajemnie więc przez przyjaciół zachęcał młodzież do konkurów. Zjeżdżali się synowie okolicznych obywateli—lecz Jadzia nielitościwie obchodziła się z nimi.

Jeden śmielszy gdy słówkiem strzelił, odpowiedziała mu stanowczo—iż za mąż iść nie myśli, i gdyby nawet rodzice sobie tego życzyli, będzie ich prosiła, ażeby jęć wolę własną zostawili. Drugi prosił o pozwolenie starania się,—Jadzia mu rzekła:

— Możesz się pan starać, ale na wszystko najświętsze zaręczam mu, że czas tracisz — ja za mąż nie pójdę.

Poszło to posąsiedztwie, a krążąc dojechało do miecznikowej, którą ta śmiałość Jadzi zdziwiła i zniecierpliwiała. Zaczęła jęć to wymawiać.

— Moja matnui — zawołała Jadzia—nie chcecie mnie czynić nieszczęśliwą? prawda?—pozwólcież mi zostać przy was, jak jestem. Nie chcę i nie pójdę za mąż.

— Ale to być nie może.

— Jeśli mnie kto zmuszać będzie, do klasztoru gotowam...

Matka już nie odzywała się więcej. Ojciec coraz chodził chmurniejszy.—Z sobą o tém mówić unikali. W domu nigdy tak im obojgu obo, dziwnie, przykro nie było. Miecznik uciekał z niego pod różnemi pozorami, matka płakała. Rady nie mogli znaleźć oboje.

Mówiliśmy, że Jadzia część swojego wychowania odbyła w klasztrze Brygidek w Lublinie. Przełożona jego, krewna Zboińskich, kochała Jadzię, miała na nią wpływ wielki. Przyszło więc na myśl miecznikowej u niej szukać rady i ratunku. Chciała, by ona Jadzi wmówiła posłuszeństwo dla rodziców, którzy jęć tylko szczęścia pragnęli.

Pod pozorem więc potrzebnych do domu zakupów różnych, szepnąwszy o tém mężowi, który się zgodził chętnie, około Zielonych Świątek zaczęła się wybierać do Lublina. Jadzia, która jechała także, cieszyła

się niewymownie, że zobaczy matkę Aniełę. Pan Zboiński—jak zawsze—sam wybrał konie, dopilnował zaprzęgu, przejechać je kazał przy sobie. Nikitę dodał dla straży i w ganku stojąc pożegnał odjeżdżające.

W Lublinie także mieli państwo miecznikowstwo zwykłą swoją gospodę u Izraelity, który się zwał Łosicki, bo niegdyś z miasta Łosic pochodził. Był to razem kupiec i właściciel zajazdu, czasu trybunału robiący wielkie interesa, gdyż miał stosunki z deputatami i pośredniczył między prawującymi się i nimi. Łosicki chlubił się, że on więcej spraw wygrywał niż mecenasi najwięksi.

Pierwszego dnia po przyjeździe miecznikowej nie było mowy o udaniu się do klasztoru, gdyż forta wcześniej bywała zamykaną. Nazajutrz rano miecznikowa, która miała szczególne nabożeństwo do Drzewa Krzyża Świętego, najprzód się udała do Dominikanów. Ztąd dopiero pojechały do Brygidek, i konie odprawiwszy, pozostały tam dzień cały.

Nikita nie miał co robić—poszedł na miasto przypatrywać się splendorom trybunalskim, zaciągającej warcie i honorom oddawanym marszałkowi.

Nagle oczy podniósł, wlepił je i stanął osłupiały. W lichéj odzieży, przy szabelce ładajakiéj, w czapczynie wytartéj, ale dziwnie pańsko wyglądający siedł młody mężczyzna z papierami pod pachą, obok drugiego otyłego, czerwonego, z zaiskrzonymi oczyma, który chociaż w ulicy, głośno wrzeszczał i rękami wywijał, jak wiatrak skrzydłami.

W młodym aplikancie poznał Janasza, lecz oczom nie chciał wierzyć. Zdawało mu się niepodobieństwem, ażeby to on mógł być. Poruszony wielce podbiegł

i pochwycił go, gdy już do gmachu trybunalskiego się zbliżał.

— Panicz! zawołał na głos.

Janasz się odwrócił.

— Nikita! co ty tu robisz?

Wtém czerwony towarzysz posunął się, jakby chciał umknąć. Janasz zawołał:—„Czekaj tu na mnie!”—i poszedł go doganiać. Razem z nim weszli do gmachu.

Nikita stał, popychany ze wszech stron.

— Co tu teraz począć? myślał: hm?

Chwilę nie było Janasza, który natychmiast zjawiwszy się, Nikity w tłumie szukać zaczął.

— Nikita, co ty tu robisz? bracie! jakżem ja szczęśliwy! Bóg mi cię zesłał. Mów mi o nich!

W ulicy rozmówić się nie było podobna, skreśli więc w prawo do winiarni. Zarumienił się jednak w progu Janasz i stanął.

— Zostańmy tu, rzekł: wszedłszy, musiałbym coś kazać postawić — a no — po staréj znajomości — nie mam nic.

Nikita ręce załamał, popatrzał na suknie, i te świadczyły, że niewiele mieć musiał.

— Będzie nam i tu dobrze—dodał Korczak—mów, proszę.

— Mój paniezu, mój złoty, mój dobrodzieju—pochwycił Nikita,—już się nie wstydz, a pozwól mi kazać co postawić. Dalibóg nie zubożęć.

I uderzył po kieszeni, w której brzęczały talary.

— Wealebym się nie wstydził od ciebie przyjąć, mój Nikito, ale ja nie nie piję—odwykłem...

Uśmiechnął się:

— Żebyś wiedział jakie życie prowadzę!

Ruszył ramionami.

— To wszystko jedno—dodał—mów o Mierzejewicach; miecznik, jejmość—zdrowi?

Nie śmiał zapytać o Jadzię, ale się zarumienił. Nikita z ukosa spojrział.

— Ale ja tu z panią i panienką: dziś siedzą u panny Anieli, u Brygidek!

Janasz zadrżał i zmilczał.

— Zdrowi?

— Wszyscy—wszyscy, dzięki Bogu—tylko starzy państwo od tej nocy, kiedy was tak odprowadzili, niech im Bóg nie pamięta—chodzą oboje jak pościnani. Jedno na drugie spojrzeć nie śmie.

Westchnął.

— Dalibóg—kończył Nikita—oni was wszyscy żalują, i pan i pani, a co panienka, to—jak brata.

— Dobrze, złote serce—szepnął Janasz, któremu się łza zakręciła w oku.

— O! serce, paniezu, anielskie... E! taki panu powiem wszystko, począł dworak. Panna zawsze was ma za umarłego. Otoż poczęła prosić ojca, żeby na ementarzu krzyż wam kazał postawić, żeby się za waszą duszę modlili. Miecznik się wykręcał, odkładał, aż panienka raz wychodzi do mnie na ganek. Zebrała biedaczka od swoich krów kilkanaście talarów, i koniecznie, żebym ja się tego podjął, krzyż za jej pieniądze kazać zrobić.—Tak mnie zagadnęła—co tu począć?—Poszedłem do głowy po rozum. Powiedziałem, że Turcy często kłamią, że ludzie czasem w dziesięć lat z jassyru wracają, przypomniałem starościnę Strojnowską. A! paniezu, żebyś ją widział, jaka mi była wdzięczna! I te talary, co miała na krzyż, darowała mi—na wesele. A co? musiałem przyjąć.

Milcząc słuchał Janasz, czy miał łez pełne.

— A! rzekł cicho—gdybym ją mógł widzieć—ale tak, żeby ona mnie nie zobaczyła!

Nikicie oczy zabłysły.

— Czekaj! zawołał.

— Nie—nie! w tejże chwili podchwycił Janasz—nie godzi się—nie! Ja dziś jadę. Nużbyśmy się w ulicy spotkali! Na co? do czego? Bóg tak chciał—rozdzielił los. Nie można—nie godzi się.

Zarzucił ręce na ramiona Nikicie, który go usiłował powstrzymać, i wyrwał mu się szybko. Odwinął kołnierz od kontusza, zakrył sobie twarz i zniknął. Dworak stał, powtarzając: „Sumienie!” I jemu się łza w oczach kręciła...

Szczęściem dla Janasza proces był dokończony, Skwarka jakimś trafem miał sprawę słuszną, i—co dziwniejsza, wygrał ją. Mógł więc postawiony tu dla dozoru Janasz powracać do tego, co się teraz jego domem nazywało.

Podróż była tém dłuższa, że musieli ją odbywać o zielonej paszy. Siana dawno nie stało, obroku nie było kupić za co, ledwie chleba. Koń więc na brzegach lasu spętany się posilał, a Janasz z chlebem i solą siadał pod drzewem.

Uczucie spełnionego twardego obowiązku czyni czasem człowieka szczęśliwszym niż ulegnienie sercu i uczuciu. Tryumf nad samym sobą—daje dopiero miarę własnej siły. Janasz czuł się w tej chwili takim zwycięzcą. Uśmiechał się swęj nędzy, upokorzeniu i dobrowolnej ofierze. Wspomnienie Jadzi przepełniało mu serce. Chciał być jej godnym, choć duszą czystą i sumieniem.

Stał w Macierzynie, i ze drzwi Kozaszek się po-

kazał, zgarbiony bardzo, o kiju. Janasz, który miał papiery przy sobie, wysiadł i poszedł ku niemu.

Skwarka jakoś źle wyglądał, kaszlał i nogi miał plachtami brudnymi poobwiązywane.

— A! przecież! rzekł — przecież się doczekałem. A cóż, dyabli wzięli sprawę?

— Nie—rzekł Janasz.

— Cóż—odroczone?

— Nie.

— Więc co?

— Wygraliśmy.

Skwarka rzucił kij, aby go uścisnąć.

— Ot toś mi się spisał! ot toż tego się już nie spodziewałem! Dopiero cześnik będzie się wściekał! A ha! dobrze tak! nie zaczepiaj Korczaka!

Odżył stary.

— Ale, widzisz gołębaczku, kochanie moje, co z mojemi nogami się dzieje! Brzękną łajdaczki. Smaruję kociem sadłem; co mnie ono kosztuje! dwa cudze koty musiałem kazać zabić! Nie pomaga nic. Chodź do izby.

Weszli do środka.

— Ja tu, mój gołębku—rzekł Korczak — żeby ci twoja izdebka nie pustoszyła się, tom się do niej wniósł z rupieciami. Ty sobie, kochanie, moją pięknie wyporzadzisz—tak? nie prawdaż? Będzie ci wygodniej, teraz ciepło, a ja chory.

— A no, dobrze, pan jesteś gospodarzem w domu, rzekł Janasz obojętnie.

— Ty jesteś złoty chłopiec, odparł stary; ale daj dekret, niech przeczytam.

Rozłożył papier i począł się macać szukając, okularów.

— Tybyś z drogi co zjadł? he, kochanie moje? ale nie ma w domu nic. Suche dni, ja tego ściśle pilnuję. Z tego całe niebłogosławieństwo boże.

Mruczał już tylko zatopiony w czytaniu. Janasz poszedł do nowego mieszkania, żeby rozmowy dalszej uniknąć. Ledwie spoczawszy trochę, trzeba było zająć się restauracją izby, którą długi w niej pobyt Skwarki uczynił istną ruiną. Janasz się śmiał i wzdychał—ale miał robotę.

Wlokło się życie po staremu. Drugiego dnia dokumenta dla zabawki do przepisywania się znalazły, ale stary Korczak z wiosną był słabszy. Nogi mu puchły, ledwie się ruszał. Janasz radził do doktora.

— Ta! ta! ta! do jakiego doktora? A iluż to ich jest? przy królu jegomości jeden i to Żyd—a w Krakowie może ze dwu. Tam się na wagę złota nie dokupić rady—dopieroż apteka! Czy mnie na to stać? Ruina...

Słuchać o tém nie chciał. — We wsi była baba sławna ze swych dekoktów, smarowideł i zamawiania. Z jój to rady używał już stary kociego sadła, ale to nie pomagało. Przywołana Wojcieszyna, kazała nogi odwiązać... Czerwono wyglądały i lśniaco. Spaliła około nich parę lnu pasemek, mruczając i rzucając coś precz. Kazała na nowo poobwiązać i dała jałowcowe jagody do picia.

Przez parę dni zdawało się lepiej. Skwarka mówił o nowym procesie, ale wstać nie mógł, a żywić się lepiej nie chciał. Jaja, na które się namówił, kazał zbierać po wsi u litościwych kobiet bezpłatnie, jako dla chorego pana. Zepsute zostawiał dla służby.

Okolo ŚS. Piotra i Pawła, po różnych przejściach i rozmaitych radach Wojcieszyny, Korczak zapadł tak,

że się uląkł o życie. Jednej nocy szczególnie, zdusiło go tak, iż zdawało się, że skończy. Janasz go posadził w krześle, i tak do rana drzemiąc dotrwał w niém.

— Na wszelki przypadek—odezwał się — choć to nie ma nic strasznego, alebym chciał zobaczyć się z księdzem, tylko nie z tym klechą obrzydłym.

— Zkądże innego dostaniemy? rzekł Janasz. Trzebaby konie posłać.

— A tak, gołąbku — i za furę zapłacić, i księdzu coś dać...

Pomyślał.

— No, to proście tego klechy, dobrze — zechce przyjść, rozmówimy się, a nie, ja temu niewinien, on przed Panem Bogiem odpowie. Mnie wszystko jedno, na niego grzech. I bądź co bądź, cztery kroki do dworu, więcej nad tynfa nie dam — i to Bera-tyuka... Niech chłopiec pójdzie, proboszcza poprosi...

— Ja pójdę—rzekł Janasz.

— Nie: ty siedź; ja chcę, żeby się on obraził i nie przyszedł; naówczas wszystkie moje grzechy, gołąbeczku, przejdą na jego sumienko.

Zakaszlał się staruszek.

Chłopiec pobiegł na plebanie.

W kwadrans z wielkim hałasem wpadł proboszcz. W progu stanął, oba na siebie oczy podnieśli. Przypatrując mu się ksiądz, złagodniał, skinął głową, nie mówiąc słowa, wziął stół i siadł przy nim. Wyszli wszyscy.

Janasz, który był w trzeciej izbie, słyszał tylko chwilami to podniesiony głos proboszcza, to cichy, ale wysilony Korczaka. Gdy go zawołano, Skwarka sie-

dział posępny na krześle, a proboszcz poszedł po komunie świętą i oleje.

— Na wszelki przypadek... mówił stary.

Obrząd odbył się przykładnie, bo staruszek mimo nóg obrzękłych, chciał przykleknąć. Janasz i chłopak trzymali go pod ręce. Bił się w piersi i płakał.

Gdy się wszystko skończyło, przygotowanego tynfa chciał dać proboszczowi, ale ten go odmówił.

— Byłeś wielmożny pan kollatorem moim, to posługa należna. Co tam między nami niegdy zachodziło, niech będzie zapomniane; a gdy da Bóg pozdrowiejesz...

— Poprawię się—daje słowo... zamruczał Korczak.

Janasz wyprowadził proboszcza do bramy.

— On do jutra nie dożyje, odezwał się ksiądz. Czy waćpan o sobie pomyślał? Krewnych nie ma blizkich—mógłby zrobić testament.

— Niechże Bóg broni—przerwał Janasz — żebym w takiej chwili miał o sobie pamiętać. Co będzie to będzie, pójdzie się gdzieindziej...

Ku nocy coraz było gorzej, puchlina podnosiła się do góry, Korczak to sam czuł.

— Już ze mnie nie będzie nic — odezwał się, Janasza biorąc za rękę. Kochanie moje, tylko mnie dobrze posłuchaj. Daj słowo, że majątek utrzymasz i nie stracisz.

— Ale cóż tam o tém mówić! o tém myśleć! zawołał Janasz.

— Trzeba, bo i lichy wie kto to rozechwyta... Nie stracisz? mów!

— Nie straciłbym, ale po co o tém myśleć?

— Mów—nie stracisz?

Słowo wreszcie wymógł na Janaszu, i począł pośpiesznie mówić:

— Testament w szufladce. Pieniądze pod gruszką w ogrodzie garnuszek jeden, koło komina w izbie drugi...

Wyliczanie trwało dosyć długo, przerywane zapytaniem: „A nie stracisz?”

Nad ranem kożuszek się rozpiął, stary życia dokonał...

Janasz stał osłupiały długo.

Tak dziwnym losu trafem, najmniej się tego spodziewając, Janasz został dziedzicem wioski i panem znacznego kapitału, bo wszystkie garnki były pełne. Oprócz tego na obligach miał Korczak ze trzykroć sto tysięcy złotych bardzo pewnych. Testament był prawomocny, pokrewieństwo czyniło go ze wszech miar ważnym.

Myliłby się jednak ktoby sądził, że to Janasza uczyniło szczęśliwym. Przyjął obojętnie łaskę losu, jakby zniósł cios jego.

Po odprawionym pogrzebie, który z woli nieboszczyka był jak najskromniejszym, Janasz pozostał w oczyszczonej murowance, nie wiedząc spełnia co począć z sobą. Do gospodarstwa niewiele miał ochoty, poczet teraz mógł sobie wystawić jaki chciał, pragnął też Zbylutowskiemu podziękować, który był w istocie tego szczęśliwego wypadku mimowolnym twórcą — i w tym celu wybrał się do Krakowa.

Na wyprawę tegoroczną Miecznik się już wybrać nie mógł; niewola dała mu się we znaki na zdrowiu — król go od wyprawy uwolnił. W Mierzejewicach, jak nigdy, smutno było i pusto.

Podróż do Lublina nie pomogła nie Jadzi i o mało nie zaszkodziła jeszcze, gdyż zapragnęła była zostać przy Matce Anieli, i ledwie lzy matki to postanowienie skruszyły.

Miecznikowa szukała środków na ożywienie Mierzejewie i trudno je było znaleźć. Spraszano gości — to cokolwiek miecznika, choć na krótko, rozrywało.

Przypadły właśnie urodziny p. Zboińskiego w lipcu. Nie mówiąc mu nic, jejmość się wybrała po sąsiadach.

— Moi dobrodzieje, mówiła wszędzie: mężysko mi czegoś kwaśne; od téj niewoli poznać go trudno. Co robię, żeby go rozruszać, wszystko nadaremno. Przy najmniej gdy goście nadjadą, to się ożywi. Zjedźcie się na urodziny, przywieźcie kogo możecie, aby było jak najwięcej.

Gdy nadszedł dzień ten, w istocie frekwencya się znalazła, jakiej nigdy nie było. Gdzie kto miał rezydenta, krewniaka, gościa, przywiózł z sobą do Mierzejewie.

W istocie solenizant wypogodzoną miał twarz jak za dobrych czasów. Gdy zasiedli do obiadu, a z młodzieży zaczęto bić na wiwat, zrobiło się gwarno, wesoło, ochoczo... aż miecznikowa Bogu za dobrą swą myśl dziękowała.

Przy mieczniku nieopodal siedziała Jadzia, na przeciw nich obywatel z Sandomierskiego, przybyły do brata p. Suchodolskiego, który go tu z sobą przywiózł. Sandomierzanin gaduła był i człek wesoły. Prawił oracye, koncepta, anegdotki i wiersze, tak, że gdy usta otworzył, cichło wszystko, i słuchano go z największą cheiwością. Zwykle dopiero ku końcowi wybuchał śmiech rześisty. Zaczęto prawić o różnych

losach dziwnych ludzi i charakterach. Różne przykłady wad i przywar ludzkich, posuniętych do najwyższego stopnia, śmieszności i nałogi opisywał z kolei ten i drugi,—aż Suchodolski z pod Sandomierza zabrał głos:

— Już kutwy doskonalszego w swym rodzaju, niż my w Sandomirskim, pana Skwarę—nie miał świat i Korona. Można go było pokazywać jako monstrum, bo spojrzawszy na niego, szelągaby zań nikt nie dał, a zostawił po sobie fortunę, jaką daj Boże każdemu. Pieniacz był nielada, bez procesu żyćby nie mógł, ale prawników odsyłał do miłosierdzia bożego po zapłatę. Ani sługi, ani parobka nie nagrodził po ludzku, i tak całe życie sterał. Pod koniec, słabszym się czując, wziął sobie nieszczęśliwego jakiegoś krewniaka czy imiennika, którym się wysługiwał jak murzynem. Ale cóż? tacy ludzie szczęście mają; proboszcz, który mi to opowiadał, a patrzył dzień w dzień na życie jego i sprawy,—mówi, że równie skromnego, poczciwego, spokojnego, dobrego chłopca ze świecą szukać. Co z nim stary kutwa wyrabiał, na wołowójby skórze nie spisał. Koniec końców jednak, że umrzeć każdemu wreszcie potrzeba, stary się poczuł źle, nogi puchły, i wziawszy słowo od biednego krewniaka, że majątku nie straci, zapisał mu wszystko, a tak ów Korczak nagle do fortuny przyszedł.

— Korczak? zawołał miecznik błędniejąc: jaki Korczak?

Jadwisia się zarumieniła jak wiśnia i poczęła oczyma jasnymi wpatrywać się w Suchodolskiego.

— Jaki Korczak? tego nie wiem, odparł Suchodolski. Widziałem go z dala na pogrzebie, dziwnie piękny chłopak, szlachetna twarz i miła.

— A! to on! krzyknęła mimowolnie Jadzia, składając ręce.

Miecznikowa i mąż spojrzeli po sobie; gospodarz starał się jakimiś znakami Suchodolskiego przestrzedz, aby rozmowę przerwał, ale ten je źle zrozumiał, jeszcze się rozwiódł obszerniej.

— Tyle wiem, że ma imię Jan czy Janasz i że był w tureckiej niewoli.

— A! to on! to on! powtórzyła Jadzia ręce składając, i zwróciwszy się do matki, dodała: To on!

Wszyscy na nią patrzali, co jej bynajmniej nie zmieszało.

— Tak, to ten sam, który matce i mnie życie ocalił, który ojca uratował z niewoli, dodała Jadzia; ale jakże być może, aby puszczone na swobodę, nawet się do nas nie zgłosił?

Miecznik ze spuszczonego oczyma, ręką bębnił po talerzu; matka poskramiała oczyma córkę.

— A! to chyba nie nasz Janasz, dodała Jadzia; bo gdyby ten był, który się u nas wychował, pewnieby nie poszedł nigdzie, tylko tu przybył najprzód jak do rodzicielskiego domu.

— Są nazwiska i imiona podobne, wtrącił miecznik z flegmą, i ja też sędzę, iż to ten sam być nie może, ale inny pewnie jaki.

Jadzia spojrziała w koło, pobladła i zamilkła.

— Dziwne jednak imienia i nazwiska podobieństwo! dodała po chwili.

Suchodolski, który był wielkim znawcą ludzi, spostrzegł, że swoim opowiadaniem jakąś niezręczność popełnił; zaczął więc zaraz przywozić rozmaite zdania, w których zupełne imion i nazwisk podobieństwo było dziwnych omyłek powodem. Między innemi

powieść o pani Bubrzyńskiej z domu Łabowskiej, która dowiedziawszy się o panu Tomaszu Bubrzyńskim w Warszawie, presumowanym mężu swoim, zjechała szarym wieczorem wprost do niego, a tak pewna była, iż męża znalazła, że go uściskała. Wtém chłopiec ze świecą wszedł, i odkryło się, że to był pan Tomasz Bubrzyński, któremu za to, że ją śmiał napowrót pocałować, wymierzyła policzek tegi i odeszła. Śmieli się wszyscy. Suchodolski tymczasem, snadź zaczepiony przez kogoś, wyliczał bajeczne summy w kapitałach, obligach i majątnościach, które ów Janasz Koreczak odziedziczył.

Miecznik słuchał z uwagą wielką.

— A nie wiesz co zamierza? Pewnie mu się głowa zawróciła!

— Pojechał się słyszę do wojska zaciągnąć, dodał Suchodolski,—bo i minę ma, i gusta rycerskie, a z biedy snadź tylko u starego kauzyperdy służyć musiał... Teraz sobie przypominam, jak przez sen, kończył opowiadający, że mi ksiądz opowiadał, iż dziwne a osobliwe historie słyszał od niego, o obleżeniu jakimś od Tatarów na Podolu, które wytrzymał; miał jeszcze blizny od ran tatarskich.

Jadzia wstała wyprostowana jak świeca.

— To on! krzyknęła ręce łamiąc: ocalony!... i padła na krzesło na pół omdlała.

Miecznikowa przybiegła do niej, a Zboiński rzekł chłodno:

— Nie ma się co dziwić, że Jadzia tę wiadomość tak do serca wzięła, bo się ten chłopak u nas wychował, i uważała go za brata. W istocie, musi to ten sam być...

Jadzię matka odprowadzić musiała od stołu, a za-

tém i inni goście powoli ruszali się i rozchodzili po pokojach; tylko ci, co kielichy mieli pełne, za stołem pozostali.

Miecznik udawał jak mógł, że go to nie nie obešlo, lecz w istocie dotknięty był mocno znalezieniem się córki, które wszyscy postrzegli i tłómaczyć sobie musieli. Po chwili Jadzia ukazała się blada w kole rówieśnic, i starała się prowadzić jakąś rozmowę obojętną. Zabawa trwała jak zwykle do późna, i skończyła się wiwatami na ganku. Z moździerzy strzelano, aż szyby brzęczały. Nad ranem jednak porożjeżdżali się wszyscy, a ci, co jechać nie mogli, spali w oficynach i w szopie na sianie.

Jadzia w sukniach jak stała, siadła nierozebrała w krzeselku, zadumana i smutna. Wtém weszła miecznikowa.

— Kładźże się spocząć! tak późno!

— A! matusiu, jak tu się położyć, jak tu spać, kiedy się serce krwawi! Ten człowiek, ten, którego przywiązaniu ja tak wierzyłam, ten Janasz, mógł powróciwszy z niewoli pójść się uganiać za upadłą służbą dla majątku, nie dawszy nam nawet znaku życia!

Matka stała zamyślona przed nią, walcząc z sumieniem.

— Nie obwiniaj go, rzekła: to, co ty znajdujesz grzechem, on pewnie i ja mamy za zasługę i cnotę. Po cóż miał tu powracać, tak jakby rękę po nagrodę wyciągał? po co? gdy ty, nieopatrzne dziecko, dałaś mu sto razy uczuć, że go kochasz, a ja otwarcie oświadczyłam, by nie śmiał na pańskie dziecko oczu podnieść!

— Matko! tyś mu to mówiła? krzyknęła Jadzia, ręce łamiąc.

— Jeśli nie temi słowy, to równie jasno i wyraźnie, kończyła miecznikowa. Nie chcę, byś go obwiniała niesłusznie. Wiedział, że między nim a tobą jest przepaść, bo córka pana miecznika nie mogła być żoną ubogiego sługi i sieroty.

Jadzia rozplakawszy się, rzuciła matce na szyję.

— Matuniu droga! dziękuję ci! A! temi słowy uspokoiłaś mnie. Tak! on nie mógł zapomnieć, on nie był niewdzięczny, on jest jakim był. Teraz, pozwól mi się pomodlić.

Jadzia uściskała matkę w milezeniu, i przed łóżkiem rzuciła się na kolana. Matka zobaczyła ją rozpoczynającą modlitwę i wyszła. Właśnie szukano jej po całym domu, bo miecznik chciał się z nią widzieć i mówić. Zastala go rozebranego w białym kitlu i chodzącego po pokoju wielkimi krokami. Sapał, i zżymał się, i burezał. Zaledwie zobaczył wchodzącą miecznikową, począł gwałtownie:

— Pięknie się waścina Jadzia spisała! pięknie! Rozniesie się po całutkiem sąsiedztwie historya! Patrzą na nią wszysey.

— Ale któż się mógł spodziewać? i cóż w tém złego, że się uniosła?

— Tak! tak! to kara boża za kłamstwo. Mamy cośmy sobie sami zgotowali, mówił miecznik. I cóż dalej? co dalej?

— Ale cóż ma być? Nie.

— Nie, zapewne! będzie coraz większy kwas w domu, i dziecko sehnąć i więdnąć będzie jak schło i więdło.

— Chceszże mu ją dać? Mieczniku! zawołała pani Zboińska.

— Ja, ją? jemu? teraz, gdy odziedziczył *jure caduco*, jakąś tam fortunę, żeby ludzie mówili, żeśmy się na nią zlakomili, i że póty, póki ubogim był, tośmy go za hetkę nie mieli, a teraz go honorujemy, bo w pierze porósł! Ale nigdy w życiu! nigdy w życiu! Miecznik się w piersi uderzył:

— Ani wprzód, ani teraz, ani nigdy mieć jej nie będzie.

Pani Zboińska przeszła się po pokoju z wolna.

— Mój jegomość, rzekła spokojnie: zmów pacierz, kładnij się spać, i dajmy temu pokój.

Miecznik nie nie odpowiedział, stał w oknie zadumany.

Następny dzień był smutny i kłopotliwy jak wszystkie jutra po uciechach. Jadzia się przez cały dzień nie pokazywała; mówiła, że była zmęczona i chora. Pod wieczór wyszła do ogródka. W rogu domu stał z rękami w tył założonemi Nikita. Podbiegła ku niemu.

— Nikita! ty wiesz? on żyje...

— E! panienko, uśmiechnął się dworak: jam o tém najdawniej wiedział, że on żyje... On-że przecie tu jechał najpierw do nas, a państwo go z miasteczka odprawili w świat, żeby się nie ważył pokazywać. Ja do niego z tém jeździłem... i pieniądze mu wozilem, ale ich wziąć nie chciałem...

Jadzia zbladła dziwnie.

— Mów, odezwała się cicho—mów mi wszystko: więc ojciec i matka wiedzieli?...

— A już cię, mówił Nikita. Jak mu zakazano się tu pokazywać, poszedł w świat nieboraczysko bez grosza. I dla tego musiał tę nędzną służbę przyjąć,

a cierpiał taki niedostatek, żem go spotkawszy w Lublinie, znalazł bez grosza przy duszy.

— On był w Lublinie, gdyśmy tam byli?

— A był, ciągnął dalej Nikita; ale zaraz wyjechał, aby się nie narażać panu i pani.

Jadzia głową tylko skinęła Nikicie, i poszła dalej, ażeby ukryć wzruszenie.

W domu następnych dni było nie do zniesienia smutno i wyżyć trudno. Miecznik się nieustannie gniewał, lajał, rzucał i nie mu dogodzić nie mogło.

Z małemi odmianami humoru, tak upłynęło całe lato i jesień, przerywane tylko otrzymywanemi wiadomościami od wojska, które po zdobyciu Jazłowca, spodziewano się ujrzeć wkraczającym na Wołoszczyznę. Wiadomo jak wyprawa ta przeciwko Turkom małe wydała owoce. Jesienią już, gdy dwór się w Żółkwi znajdował, miecznik zapragnął pojechać do króla, i kazał się do drogi sposobić. Męczył go smutek Jadzi, którą kochał, ale był z niej wielce niezadowolony. O Janaszu od owego obiadu wcale mowy nie było; ani on, ani matka, imienia jego nie wspomnieli.

Miecznik w wigilię wyjazdu do Żółkwi, wieczorem posłał po Jadzię, aby do niego przyszła.

Dziewczę przybiegło natychmiast.

Poruszony już wielce samą myślą o rozmowie, jaka nastąpić miała, Zboiński weześnie okazywał niezwykajny jakiś stan umysłu. Spojrzał na córkę, nie mógł się zebrać na słowo.

— Słuchaj-no, Jadziu — odezwał się — raz się nam trzeba rozmówić otwarcie. Dusić się w sobie na nic się nie zdało. Przebierasz w uczeiwych ludziach, co ci się stręczą, jak w ulegalkach... popłakujesz, wzdychasz, czynisz siebie nieszczęśliwą, a nas tyranami;

raz się to skończyć musi. Zawróciła się asindźce głowa, czy co u katal! pokochałaś przybłądę tego, Janasza. Nie mam nic przeciwko niemu, bo chłopiec uczeiwy, ale mu daleko do tego, żeby śmiał po rękę córki mojej sięgnąć! Daleko! Na to ja nigdy nie pozwolę — to trzeba sobie wybić z głowy. Rozumiesz?!

Jadzia chwilę stała mileżąca — a potem rzekła:

— Nie będę kłamała — kocham Janasza od dzieciństwa. Macie prawo mną rozrządzać, czyńcie co chcecie. Zabronicie iść za niego, woli waszój się nie sprzeciwię, ale u ołtarza innemu nie przysięgnę.

Podniosła głos i powtórzyła:

— Ojczel! tego nie możesz wymagać odemnie.

Miecznik się porwał z krzesła:

— Tak! — zawołał — na śmierć moją będziesz czekała! doczekasz jej rychło, bo ja sromu i cierpienia tego nie przeżyję...

— Ojczel, nie masz litości! — krzyknęła Jadzia — i padła.

Ojciec skoczył ją ratować, z rozpaczą bijąc się w piersi i głowę. Rozruch w całym domu powstał, wpadła miecznikowa: zaczęto cucić Jadzię i zanieśiono ją na łóżko. Zboiński w rozpacz, że się uniósł, pobiegł ręce jej całować i uspakajać. Sądny dzień był w Mierzejewicach. Wieczorem Jadzia w gorączce leżała nieprzytomna, a rodzice płacząc siedzieli przy niej. Do wszystkich kościołów i klasztorów rozesłano na nabożeństwa, do cudownych obrazów na wotywy, do Krakowa pojechał podstarość po lekarza.

Siedm śmiertelnych dni przeleżała tak walcząc między życiem a śmiercią, a gdy przybył z Krakowa doktor, znalazł ją osłabioną jeszcze, ale już ocaloną. Wstąpił duch w rodziców. Podróż do Żółkwi

naturalnie odłożona została, i mowy już o niej nie było.

W kilkanaście dni Jadzia wstała, zmieniona, osłabła, ale zrezygnowana i milcząca.

W mieczniku choroba ta sprawiła zmianę nadzwyczajną — nie mówił nic, lecz zlagodniał znacznie i po-
bożniejszym się stał niż kiedykolwiek.

Gdy niebezpieczeństwo minęło, sama żona przypomniała mu podróż do króla i Żółkwi. Miecznik wybrał się, pożegnał czule i pojechał, lecz bez tego zapалу, jaki okazywał zwykle, gdy się wybierał w drogę.

W podróży ludzie, którzy się już byli przygotowywali na niecierpliwość i lajanie, zdumieni zostali wielką powolnością pana, który nawet na ulubione konie swoje nie zwracał uwagi. Dostali się na Ruś. W Żółkwi zjazd był właśnie ogromny, nie tylko senatorów i dygnitarzy Rzeczypospolitej, ale obcych posłów i gości. Miecznik wpadł w tłum cudzoziemców, których nie lubił. Pomimo tego natłoku, nazajutrz rano już mógł się dostać do króla. Zastał go na rozmowie z ks. Votą, który Sobieskiego najlepiej rozmowami uczonemi rozrywać umiał i bez którego się prawie chwili obejść nie mógł.

Zobaczywszy Zboińskiego, Sobieski zaraz witając go zawołał:

— Mieczniku, gorzej mi z domu własnego wracasz niż z niewoli! Zmizerniałeś, wychudłeś.

N. Panie, rzekł miecznik — dom też ma swe kłopoty, a mnie i to gryzło, że z W. K. Mością pod Jazłowcem i Żwańcem być nie mógł.

— Powetujemy to — odparł król, boć to jeszcze widzi mi się, nie koniec. Miałem za waszmości, choć

już w ostatkach wyprawy jegomościwego wychowawca Korczaka, który się spisywał dzielnie.

Miecznik milczał.

— Musieliście go już widzieć, bom go z sobą do Żółkwi wziął. Bardzo mi się podobał i dalszą jego krescycytą chcę się zająć. Wart tego.

Zboiński zmieszany nie wiedział co odpowiadać.

— Miałem go za ubogiego — dodał Sobieski, sądząc, że tą rozmową przyjemność uczyni miecznikowi — a no, okazuje się, że to chłop zamożny. Wystawił poczet co się zowie okazały.

Poszła tedy rozmowa o tegorocznej wyprawie i o Kamieńcu, który król koniecznie chciał liberować z rąk tureckich. Zboiński się rozgadał.. i tak godzina upłynęła. A że i ks. Vota siedział, i Alberti Wene-
cyanin, który przy królu był, nadszedł, Zboiński pożegnał go i wysunął się do miasteczka.

Dowiedział się o Janaszu, i to mu humor zepsuło.

— Blazen jeden, mrucał w duchu: dowie się, że tu jestem, powinien przecie do mnie przyjść z pokłonem. Cóż? będzie się na mnie krzywił, że mu do Mierzejewic jechać nie dał? Pal go dyabli! Juścić ja go nie pójde przepraszać.

Tegoż dnia jednak Janasz się nie pokazał, i Zboiński z nim nie spotkał. Nazajutrz idąc do zamku, na drodze, spostrzegł miecznik Janasza w paradnym stroju rycerskim, dążącego też na zamek. Zetknęli się prawie oko w oko. Korczak zobaczywszy miecznika, żywo do kolan mu przypadł, z tak wielką i niekłamana radością, z takim uniesieniem, że stary o wszystkich zapomniawszy, ściskając go rozplakał się.

Miecznik czuł się względem niego winnym, nigdy by jednak do tego się nie przyznał pierwszy; teraz był złamany pokorą i łagodnością i oburzony przeciwko sobie samemu. Poszli razem, jak gdyby nigdy nie nie zaszło między nimi — mówiąc o Turkach, o królu, o wyprawie, o dworze, a nie tykając rzeczy drażliwych. Ponieważ Zboiński dnia tego miał się pokłonić królowej jéjmości i być u dworu, Janasz go więc pożegnał, bo miał też zajęcia od króla dane.

Miecznik w duchu wyrzucał sobie winy swoje.

Za tém jednak wcale nie szło, ażeby miał zmienić przekonanie co do córki i małżeństwa. Chciał wynagrodzić Janaszowi niewdzięczność, lecz wcale innym sposobem — popierając go u króla, okazując mu dobre serce. Do Mierzejewic nie tylko go nie zapraszał, lecz o nich, o żonie i córce unikał przy nim wspomnienia.

Wesoły humor dawny p. miecznika uczynił go upodobanym królowej, która potrzebowała rozrywki i wdzięczną była tym, co ją z sobą przynosili.

W rozmowie Marya Kazimira powinszowała miecznikowi wychowawca, gdyż i ona знаła Korczaka, który był od kilku miesięcy przy dworze, i dosyć go lubiła.

— Mam na niego zamiary — rzekła po cichu: — ładną pannę, piękny posąg i dobre imię.

Utkwiło to w głowie starego, a że miał na dworze stosunki, dowiedział się, że królowa zamierzała swatać Janasza z margrabianką francuską, niemającą panienką, ale świetnego rodu. Zdziwiło go to wielce.

Wieczorem, gdy się znowu zeszli, z dala miecznik jął się rozpytywać i badać o ów spadek po sknerze. Janasz niebardzo się z tego chciał spowiadać;

w końcu jednak, zaspakajając ciekawość miecznika, wyliczył mu się ze wszystkiego. Zdumiał się mocno p. Zboiński... Całą noc potem spać nie mógł, choć nie wiedział dla czego.

Raniuteńko poszedł na nabożeństwo do kościoła. Tu jak zwykle począł z sobą rachunek sumienia. Nigdy od dawna tak mu on źle nie wypadł.

— Grzeszniku obrzydły... bij głową o posadzkę i bij się w piersi, mówił sam do siebie — boś pełen sprosności. Teraz, gdy ci zaświeciło złoto w kieszeniach biednego chłopca, poczynasz w nim smakować, i już ei się wydaje nie tak dalekim. Ha! przyznaj się — upokórz, nie jesteś nikiem, chciwym, a głupim?

I bił się miecznik w piersi, a płakał.

Gdyby kto z boku choć połowę mu tych ostrych prawd śmiało powiedzieć, wyzwiałby go na rękę pewnie i poobeinał — sobie musiał to przebaczyć.

Gdy się msza skończyła, wyszedł upokorzony i gniewny. Nie chciał nawet dłużej w Żółkwi bawić. Król w wigilię tego dnia dał mu być przywilej na starostwo. Miecznik rozmyślił się, i z obrachunku sumienia wypadło, iż z dyplomem za kontuszem do króla powrócił. Nikogo nie było.

— N. Panie, rzekł Miecznik: przyszedłem ręce W.K. Mości ucałować za łaskę jego, ale o nową prosić.

Król stanął zdziwiony. Miecznik dobył papier.

— N. Panie, uczynicie to dla mnie, rozkażcie w kancelaryi przepisać starostwo na Korczaka. Ocalił mi życie, nie mam mu jak odwdziżyć. Chleba z łaski bożej mam dosyć.

Pokłonił się do kolan.

— Dałbym mu drugie, odparł król, — ale rzeczywiście już nie do rozdania nie mam.

— Toby była łaska wasza Najj. Panie, a nie ofiara odemnie, a ja pragnę, aby to wziął z rąk moich.

— Ceduj mu starostwo, a ja konsens dam — rzekł król — zgoda na to. Pokłoniwszy się Zboiński pobiegł do kancelaryi, i za kilka dukatów otrzymał zmianę przywileju.

W kieszeni go mając, poszedł śpiewając do gospody. Korczak miał nadejść. Zaledwie się we drzwiach ukazał, Zboiński go dawnym uśmiechem powitał:

— Jużem myślał, że cię owa margrabianka przytrzyma — rozśmiał się.

— Jaka? pyta Korczak rumieniąc się — o żadnej w świecie nie wiem.

— Żartuj zdrów — mrugając oczyma rzekł miecznik — królowa cię sama swatać ma.

— Mnie się o tém nie śni.

Miecznik zwrócił się szukając papieru, wziął go w ręce i stanął przed Korczakiem.

— Słuchaj — rzekł — służyłeś mi wiernie i pocziwie; odplaciłem ci tak, żeś mnie za niewdzięcznego mógł poczytać. Spokojnie usnąć nie mogę. Rachunki nasze nieskończone. Król mi dał starostwo Mielnickie, a ja wyrobiłem u niego prawo cedowania go na ciebie. Konsens król podpisał. Witam cię, mój starosto.

I rzucił mu się na szyję.

Janasz padł mu do nóg.

— Panie mój, którego ojcem nazwać mogę, boś mi go zastąpił — nie czyn tego, proszę! Co mi po tém starostwie?

— Tobie nie po niém, ale mnie, mnie trzeba, abyś je odemnie wziął. W sumieniu mi lżej będzie. Inaczej, wieczny rozbrat!

Janasz wstał i w rękę miecznika pocałował. Miecznik był dziwnie wesół. Kazał nazajutrz przygotować wszystko do podróży.

Wieczór zszedł szybko. Rozebrawszy się, Zboiński ziewnął i wreszcie oświadczył, że spać się kładzie.

— Ty idź, ale jutro, mości starosto, staw mi się tu o brzasku, abyśmy się jeszcze raz pożegnali.

Z dziwném jakimś uczuciem pomieszanego smutku i wesela, do domu się powlókł Janasz. Ten podarek miecznika ciążył mu jak kamień, widział w nim ukończenie wszelkich rachunków, rodzaj tajnej zapłaty, pokwitowania się i — rozbratu.

Zboiński nie chciał być w długu, a inaczej wywdzięczyc się nie umiał.

Nazajutrz rano, gdy przyszedł do gospody, już miecznika ludzie i konie byli gotowi, Zboiński poświsztując polewkę dopijał, wesół jak dawniej, gdy przed sobą miał w drogę.

— Dzień dobry panu staroście! — zawołał żartobliwie — a jak się tam spało z przywilejem pod poduszką?

— Nieciekawie — rzekł Janasz w rękę go całując — bom się bał zaspać ranka.

— I o włos się to nie stało. Waszeć mnie znasz? he? ja gdy w drogę się wybieram, zawsze godzinę jestem wcześniej gotów niż trzeba. To już taka natura.

Kazał sobie podać Zboiński kożuszek podróżny — Janasz go podpasął; włożył bóty ciepłe, wziął kosz-

turek w rękę. Żegnali się czule, Korezak prowadził go do bryki. Miecznik siadł.

Z odkrytą głową stał przed nim Korezak, łzy mu się w oczach kręciły. Już prawie konie ruszać miały, gdy Zboiński się odwrócił, po ramieniu uderzył Janasza.

— Słuchajże, panie starosto—zawołał—jak tylko ci król da urlop — czekam, waszmości w *Mierzejewicach*.

Słowa te wymówił głośno, wyraźnie, powoli — i dodał:

— Ruszaj!

Konie nawykłe do tego głosu, z kopyta pomknęły. Korezak chciał rękę pochwycić, ale już było za późno. Miecznik uśmiechając się, ręką go żegnał i powtórzył:

— Do zobaczenia w *Mierzejewicach*!

Jak p. miecznik wesół do domu wrócił i przyjemnie żonę humorem swym zadziwił — o tém szeroko pisać nie widzimy potrzeby. Z Jadzią się przywitał po staremu, w czoło ją pocałował.

Mówił wiele twarzą, ale ustami nic. Wytrzymał tak chwilę—potém niby obojętnie:

— Ale—ale—spotkałem w Żółkwi Janasza. Wiedzie mu się też, wiedzie... Król mu starostwo dał, a królowa jejmość chce go z jakąś Francuzką ożenić. Myślę jednak, że to do skutku nie przyjdzie, bo... bo... *ja go do Mierzejewic prosilem*.

Głos mu drżał. Jadzia skoczyła i padła do kolan płacząc.

— A tylko już tych szlochów dosyć — wybuchnął. Gdy źle—beczą; gdy dobrze—placzą! Skaranie boże z temi łzami! Czegoż już więcej odemnie chcecie? Niechże będzie w domu wesoło.

Uściskał córkę.

A na tém kończy się historia Janasza Korczaka i pięknej miecznikówny.

KONIEC.

WUZEUM
JIK
ROMANOWE

7

